

Wszystko

JEST

ILUMINACJA

JONATHAN SAFRAN

FOER

„DZIEŁO ŻYWIŁOWEJ WYOBRAŻNI,  
OPowieść o CUDACH NIEZWYKŁYCH

I ZUPEŁNIE PROZAICZNYCH.  
FOER ZDOBEDZIE WASZ PODZIWI  
I ZŁAMIE WAM SERCE.”

JOYCE CAROL OATES



Wszystko  
JEST  
ILUMINACJA  
JONATHAN SAFRAN  
FOER

Przełożył  
Michał Kłobukowski

*Prosto i niemożliwie:  
mojej Rodzinie*

## UWERTURA DO NAPOCZĘCIA BARDZO SZTYWNEJ PODRÓŻY

MOJE PRAWNE IMIĘ jest Aleksandr Perczow. Ale wszyscy z moich wielu przyjacieli przezywają mnie Aleks, bo ta wersja mojego legalnego imienia gładziej się wymawia. Matka przezywa mnie Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną!, bo ja rzeczywiście wciąż ją migreną przyprowadzam. Jeśli chcesz znać, po czemu wciąż ją przyprowadzam migreną, otóż po temu, że wciąż jestem gdzie indziej z przyjaciółmi i rozsiewam tyle waluty, i wyczyniam tylu rzeczy, co mogą każdą matkę przyprowadzić migreną. Ojciec dawniej przezywał mnie Szapką z powodu futrzatej czapki, którą przywdziewałem nawet w letni miesiąc. Przestał mnie tak przezywać, bo mu zakazałem dłużej przezywać mnie tak. Brzmiało mi to z chłopięca, a ja zawsze myślałem o sobie jako bardzo mocarnym i rozplodnym. Mam dużo dziewczyn, wierz mi, i każda ma dla mnie inne imię. Jedna przezywa mnie Dzidzi, nie po temu, że jestem dzidzi, tylko po temu, że na mnie zważa. Druga przezywa mnie Cała Noc. Chcesz wiedzieć, po czemu? Mam dziewczynę, co mnie przezywa Waluta, bo rozsiewam przy niej tyle waluty. Po temu

aż jej na mnie ślinka ciecze. Mam miniaturowego bratka, który przeżywa mnie Alli. Nie bardzo mnie kręci to imię, ale za to on sam kręci mnie bardzo, więc OK, zezwalam mu przeżywać mnie Alli. Co się dotyczy jego imienia, jest one Igorek, ale Ojciec przeżywa go Niezdarą, bo Igorek co chwila w coś musi się spacerować. Tylko przede czterema dniami zdziałał sobie granatowe oko, bo się nie skoordynował z cegielnym murem. Jeśli się zastanawiasz, jak imię mojej suki, tak one jest Sammy Davis, Junior, Junior. Dostała to imię, bo Sammy Davis, Junior był Dziadka najlubiejszy śpiewak, a suka jest jego, a nie moja, bo to nie mnie się wydaje, że jestem ślepy.

Co się dotyczy mojego persony, tak spędzono mnie w roku 1977 - w tymże samym, co gieroja tej historii. Prawdę zarzekłszy, życie mam całkiem ordynarne. Jak już wzmiankowałem, działałem dużo dobrych rzeczy z sobą i z innymi ludźmi, ale te rzeczy są ordynarne. Rajcują mnie amerykańskie filmy. Rajcują mnie Murzyni, a już zwłaszcza Michael Jackson. Rajcuje mnie rozsiewanie mnóstwa waluty w sławnych klubach nocnych Odessy. Lamborghini Countache są super, tak samo jak cappucciny. Dużo dziewczyn chce się z mną ucieleśniać w wielu znakomitych aranżacjach, nie pomijając Wstawionego Kangura, Łaskotek Gorkiego i Nieuległego Dozorcy Zoo. Jeśli chcesz znać, po czemu tyle dziewczyn chce z mną być, otóż po temu, że ja jestem persona prima sort do współbycia. Jestem poczciwy, jak również srodze śmieszny, a to są zdobywcze cechy. Ale tak

a tak znam wielu ludzi, co ich rajcują błyskawiczne auta i sławne dyskoteki. Tylu wyczynia Umizgi Łońskich Sputników, które zawsze finalizuje się z zaślimaczoną potwarzą, że nie nadążam ich zakarbować na wszystkich swoich rękach. Są nawet tacy, co mają Aleks na imię. (Aż trzech choćby tylko w samym moim domu!) Właśnie po temu z takim szampańskim animuszem jechałem w Łuck tłumaczyć Jonathana Safrana Foera. Bo to miało być nieordynarne.

Na drugim roku angielskiego w uniwersytecie poradzałem sobie wręcz brawurowo. Było to bardzo majestatycznie od mojej strony, bo mój instruktor miał gównu pomiędzy mózgami. Matka taka była z mnie dumna, że aż powiedziała: „Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną! Napawiasz mnie taką dumą”. Prosiłem ją, żeby mi pokupiła skórne spodnie, ale odmówiła. „Szorty?” „Nie”. Ojciec też był dumny. „Szapka” – powiedział, a ja na to: „Przestań mnie tak przezywać”, no tak on: „Aleks, napawiasz matkę taką dumą”.

Matka to pokorna kobieta. Bardzo, bardzo pokorna. Haruje w małym barze godzinę odległości od naszego domu. Prezentuje tamtejszym klientom jedzenie i napoje, a do mnie mawia: „Dosiadam autobus przez godzinę, żeby cały dzień w pracy wyrabiać rzeczy, których nienawidzam. Chcesz wiedzieć, po czemu? Działam to dla ciebie, Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną! Kiedyś to ty będziesz dla mnie wyrabiał rzeczy, których nienawidzasz. Na tym właśnie spolega życie rodzinne”. Czego ona nie załapia, to tego, że ja już teraz wyrabiam dla niej

rzeczy, których nienawidzam. Słucham, kiedy do mnie mówi. Wstrzymywał się od narzekań na swoje karłowate kieszenie. A czy już wzmiankowałem, że przyprawiam ją migreną dużo rzadziej, niż byłbym spragniony? Ale nie działałem tego wszystkiego po temu, że jesteśmy rodziną. Działam to po temu, że tak nakaża najwyklesza przyzwoitość. Tego idiomu nauczył mnie gieroj. Działam te rzeczy po temu, że nie jestem wielki pierdolony gnój. To jeszcze jeden idiom, którego się nauczyłem od gieroja.

Ojciec haruje w biurze wojaży popod nazwą Zwiedzanie Dziedzictwa. To biuro dla Żydów takich jak gieroj, którzy łakną opuścić Amerykę, ten uszlachcony kraj, i odwiedzić pokorne miasta w Polsce i Ukrainie. Ojcowskie biuro staluje tłumacza, przewodnika i szofera dla Żydów, którzy próbują wypodziemić miejsca, gdzie ongiś istniały ich rodziny. OK, nigdy nie spotkałem żydowskiego persony aż do ta podróż. Ale to była ich wina, nie moja, bo ja zawsze byłem chętny, można by nawet napisać letni, spotkać kogoś takiego. Znowu będę prawdopodobny i zawzmiankuję, że poprzed tą podróżą byłem zdania, jakoby Żydzi mieli gównno pomiędzy mózgami. No bo zapłacają Ojcu mnóstwo waluty, żeby wyjechać na wakacje z Ameryki w Ukrainę. Ale potem poznałem Jonathana Safrana Foera i pogadam ci, on wcale nie ma gówna pomiędzy mózgami. To pomysłowiecki Żyd.

Obnośnie Niezdary, którego zanigdy zresztą nie przezywam Niezdarą, tylko zawsze Igorkiem, to z niego

jest pierwszorzędny chłopic. Mam już jasność, że wyrośnie na bardzo mocarnego i rozplodnego mężczyznę o nader muskularnym mózgu. Nie gaworzemy w obfitości, bo taki to już z niego cichy persona, ale jestem pewien, że jesteśmy przyjacielmi, i chyba nie zakłamałbym, gdybym napisał, że jesteśmy przyjacielmi kapitalnymi. Wyuczyłem Igorka, jak być światowiec. I tak na ów przykład o trzy dni onegdaj eksponowałem mu jeden świniacki magazyn, żeby był powiadomiony o tych wielu pozycjach, w których się ucieleśniam. „To jest sześćdziesiąt dziewięć” – powiedziałem mu, prezentując poprzed nim magazyn. Położyłem palce – równo dwa – na akcji, żeby jej nie przeoczył. „A po czemu to się przeżywa sześćdziesiąt dziewięć?” – zagadnął, bo jest on taki persona, co pała ognistą ciekawością. „Wynaleziono tą pozycję w sześćdziesiątym dziewiątym roku. Mój przyjaciel Gregory zna przyjaciela bratanka wynalazcy”. „A co ludzie działali poprzed sześćdziesiątym dziewiątym rokiem?” „Zwykłe obciążanie i przeżuwanie puzdra, ale nigdy chórem”. Będzie jeszcze z niego VIP, jeśli mam w tej sprawie coś do pogadania.

I tu właśnie poczyna się fabuła.

Najpierw jednakowszem mam obowiązek wyrecytować swoją dobrą prezencję. Otóż jestem jednoznacznie wysoki. Nie znam żadnych kobiet wyższych ode mnie. Te kobiety, które znam, co są wyższe ode mnie, są lesbijki i dla nich 1969 był bardzo doniosły rok. Mam przystojne włosie, rozłupione poprzez środek. To po temu, że Matka dawniej rozłupiała je z boku, jak byłem mały,



więc żeby ją przyprawić migreną, teraz rozłupiam je pośrodku. „Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną! – powiedziała. – Wyglądasz mentalnie rozbalansowany, jak masz włosie rozłupione tak, jak masz”. Wcale tego nie intencjowała, wiem. Matka bardzo często wymawia rzeczy, których wiem, że nie intencjuje. Mam arystokratyczny uśmiech i lubię rozdawać ludziom fangi. Mój brzuch jest bardzo mocny, chociaż obecnie bryka mu mięśniów. Ojciec to tołsty mężczyzna i Matka też. Wcale mnie to nie bezpokoi, bo mój brzuch jest bardzo mocny, chociaż wygląda bardzo tołstym. Jeszcze opiszę swoich oczu i zaraz pocznę fabułę. Moje oczy są niebieskie i przepyszne. A teraz już pocznę fabułę.

Ojciec otrzymał telefon z amerykańskiego biura Zwiedzania Dziedzictwa. Wymagali szofera, przewodnika i tłumacza dla jednego młodego człowieka, który przyjeżdża w Łuck w zaraniu miesiąca lipca. Była to kłopotliwa suplika, bo w zaraniu lipca Ukraina miała obchodzić pierwsze urodziny swojej ultranowoczesnej konstytucji, co zbudza w nas bardzo nacjonalistyczne czucia, toteż wiadomo było, że wielu ludzi powyjeżdża na wakacje w cudzoziemskie strony. Była to niemożliwa sytuacja, coś jak olimpiada w 1984 roku. Ale Ojciec to zastraszający mężczyzna i zawsze otrzymuje to, czego jest spragniony. „Szapka – powiedział telefonem do mnie, który siedziałem w domu, rozkoszując się najwspanialszym ze wszystkich filmów dokumentalnych, utytułowanym *Jak kręcono Thriller* – jaki język studiowałeś w tym roku w szkole?” „Przestań mnie przezywać

Szapka” - odparłem. „Aleks - powiedział - jaki język studiowałeś w tym roku w szkole?” „Język angielski” - powiedziałem mu. „Jesteś w nim dobry i świetny?” - zagadnął mnie. „Jestem ciekły” - powiedziałem mu z nadziei, że uczyni się dosyć dumny, żeby mi pokupić pokrowce na siedzenia z zebrzej skóry, moje wymarzone. „Znakomicie, Szapka” - powiedział. „Przestań mnie tak przezywać” - odparłem. „Znakomicie, Aleks. Znakomicie. Musisz unicestwić wszelkie plany, jakie u ciebie są na pierwszy tydzień miesiąca lipca”. „U mnie nie ma nijakich planów” - powiedziałem mu. „Owszem, są” - wyrzekł.

Teraz nadciąga stosowna pora, żeby zawzmiankować Dziadka, który też jest tołsty, i to jeszcze bardziej niżli moi rodzice. OK, zawzmiankuję go. Ma złote zęby i hoduje bujne włosie sobie na twarzy, żeby je czesać ku zmierzchowi każdego dnia. Pięćdziesiąt lat harował w rozmaitych zatrudnieniach, głównie rolniczych, a potem manipulował maszynami. Jego finalne zatrudnienie było w Zwiedzaniu Dziedzictwa, gdzie począł harować w 1950 roku i wytrwał aż do niedawno. Ale teraz jest zreumerytowany i żyje na naszej ulicy. Moja Babka zmarła o dwa lata onegdaj na raka w mózgu i Dziadek uczynił się bardzo melancholiczny, a także, jak twierdzi, ślepy. Ojciec jemu nie wierzy, ale pokupił mu jednakowszem Sammy Davis, Junior, Junior, bo Przewodnia Suka jest nie tylko dla ślepic, ale i dla takich, co usychają z tęsknoty za negatywem samotności. (Nie powinien byłem pisać „pokupił”, bo w całej prawdzie Ojciec wcale

Sammy Davis, Junior, Junior nie pokupił, tylko ją pozyskał z domu dla zapominalskich psów. I po temu ona nie jest prawdziwa Suka Przewodnia, a na dodatek jest mentalnie obłąkańcza.) Dziadek rozprasza większość dnia u nas w domu, widokując telewizję. Często na mnie wrzeszczy. „Sasza! – wrzeszczy. – Sasza, nie bądź z ciebie taki leń! Nie bądź taki do niczego! Rób coś! Rób coś godnego!” Zanigdy mu nie repliczę ani go z intencją nie przyprawiam migreną i nigdy nie rozumiem, co znaczy „godnego”. Nie miał tego bezapetycznego zwyczaju, żeby wrzeszczeć na Igorka i na mnie, dopóty Babka nie zmarła. Właśnie stąd jesteśmy pewni, że on tego wcale nie intencjuje, i po temu potrafimy mu wybaczać. Raz go odkryłem, jak rozplącał poprzód frontem telewizora. (Jonathan, ta partia o Dziadku musi pozostać pośród tobą a mną, tak?) Akurat wystawiali prognostyk pogody, więc byłem pewien, że to nie żadne coś melancholiczne w telewizji tak go rozplączyło. Zanigdy tego nie wzmiankowałem, bo najzwyczajniejsza przyzwoitość zakazała to wzmiankować.

Imię Dziadka też jest Aleksandr. Nawiasowo Ojca też. Wszyscy jesteśmy pierworodkie dzieci w swoich rodzinach, co wnosi nam ogromny honor, na skalę sportu w baseball, który wynaleziono w Ukrainie. Swoje pierwsze dziecko też przezwę Aleksandr. Jeśli chcesz znać, co się wydarzy, jeśli moje pierwsze dziecko będzie dziewczyna, otóż ci powiem. On nie będzie dziewczyna. Dziadka spłodzono w Odessie w roku 1918. Nigdy się nie wydalil z Ukrainy. Najodleglej jak w życiu wojażo-

wał, to w Kijów, poprzez to, że mój stryj akurat ślubił się z Krową. Jak byłem mały, Dziadek nauczał, że Odesa to najpiękniejsze miasto świata, bo wódka tu tania i kobiety też. Zanim Babka zmarła, wytwarzał z nią śmieszności o tym, jak to zakochuje się z innymi kobietami, które nie są Babką. Wiedziała, że to tylko śmieszności, bo śmiała się obficie. „Anna – mawiał – poślubię tą w różowym kapeluszu”. A ona na to: „Komu ją poślubisz?” No to on: „Sobie”. Śmiałem się bardzo na zadnim siedzeniu, a ona mówiła do niego: „Przecież nie jesteś pop”. A on jej: „Dzisiaj jestem”. Na co ona: „Dzisiaj wierzysz w Boga?” A on: „Dzisiaj wierzę w miłość”. Ojciec skomenderował mi zanigdy nie wzmiankować Dziadku o Babce. „Uczyni się poprzez to melancholiczny, Szapka” – powiedział Ojciec. „Przestań mnie tak przezywać” – ja na to. „Uczyni się poprzez to melancholiczny, Aleks, i będzie myślał, że jest jeszcze ślepsy. Niech zapomni”. No więc zanigdy nie wzmiankuję o Babce, bo zawsze działał, co Ojciec kazi, chyba że akurat mi się nie chce. On zresztą pierwszorzędnie rozdaje fangi.

Kiedy Ojciec już natelefonował do mnie, zatelefonował Dziadku, żeby mu powiadomić, że będzie szofer naszej podróży. Jeśli chcesz znać, kto miał być przewodnik, odpowiedź brzmi, że nie miało być żaden przewodnik. Ojciec powiedział, że przewodnik to nie jest coś nieodzowne, bo Dziadek posiada sutą wiedzę po tylu latach harówki w Zwiedzaniu Dziedzictwa. Ojciec przezwał go ekspertem. (Wtedy brzmiało to bardzo

sensownie. Ale co ty teraz na to, Jonathan, w świetłości wszystkiego, co się wydarzyło?)

Kiedy tamtego wieczoru wszystka trzej, trzej mężczyźni imieniem Aleks, zebraliśmy się w domu Ojca, żeby obzwozić wojaż, Dziadek powiedział: „Nie chcę tej roboty. Jestem zreumerytowany i nie po to przelałem na reumeryturę, żebym musiał wyczyniać takie zasaństwo. Skończyłem z tym”. „Nie obchadza mnie twoje chcenie” – powiedział mu Ojciec. Dziadek dał fangę w stół z wielkim gwałtem i krzyknął: „Nie zapominaj, kto jest kto!” Myślałem, że to będzie koniec konwersacji. Ale Ojciec powiedział coś dziwaczne. „Proszę”. A potem dodał coś jeszcze dziwaczniejsze. Powiedział: „Ojczę”. Muszę zeznać, że tylu jest rzeczy, których nie rozumiem. Dziadek zawrócił na swoje krzesło i powiedział: „To już finalny raz. Zanigdy więcej tego nie zdziałam”.

No więc poknuliśmy zamysły, żeby sprokurować gieroja na lwowskim dworcu kolejnym drugiego lipca o godzinie 1500 po południu. Potem dwa dni mieliśmy przepędzić w okolicy Łucka. „Łuck? – powiedział Dziadek. – Nic nie mówiłeś, że to Łuck”. „To Łuck” – przytwierdził Ojciec. Dziadek uczynił się cały w myślach. „On szuka za miastem, z którego wyszedł jego dziadek – powiedział Ojciec – i za jedną taką, mówi na nią Augustyna, co wyłowiła jego dziadka z wojny. Spragniony jest napisać książkę o wiosce swojego dziadka”. „O – powiedziałem – znaczy jest inteligentny?” „Nie – skorygował Ojciec. – Ma niskiej klasy mózg. Amerykańskie biuro powia-

damia mi, że on codziennie do nich telefonuje i wytwarza liczne niespełna rozumne dociekania co do tego, żeby znaleźć odpowiedzialne jedzenia”. „Na pewno będzie kołbasa” – przetrąciłem. „Oczewidno – zgodził się Ojciec. – On jest rozumny tylko niespełna”. Tu przywtórzę, że gieroj to bardzo pomysłowiecki Żyd. „Gdzie jest to miasto?” – zagadnąłem. „Nazywa się ono Trachimbrod”. „Trachimbrod?” – przywtórzył Dziadek. „Prawie pięćdziesiąt kilometry od Łucka – zaprecyzował Ojciec. – On posiada mapę i jest ufny we współrzędne. Powinno się powieźć bez problemów”.

Kiedy Ojciec spoczął, Dziadek i ja jeszcze poprzez kilkoro godzin widokowaliśmy telewizję. Obaj jesteśmy tacy ludzie, co zostają świadomi do wielce późna. (Mało brykło, a byłbym wypisał, że obaj lubimy zostać świadomi do wielce późna, ale to nie jest nawierne.) Widokowaliśmy amerykański program telewizyjny z rosyjskimi słowami na dnie ekranu. O jednym Chińczyku, co był zaradny z panzerfaustem. Widokowaliśmy też prognostryk pogody. Prognostryk zapowiedział, że pogoda w nazajutrz będzie bardzo anormalna, ale w nazajutrz po nazajutrz wynormalnieje. Pośród Dziadkiem a mną władało takie milczenie, że można by je krajać jataganem. Nikt się nie odzywał, tylko raz Dziadek zwyobracał się w moją stronę, jak pokazywali reklamy McPorkburgerów McDonald’sa, i powiedział: „Nie chcę jechać dziesięciu godzin w jakieś brzydkie miasto, żeby nadślugać jakiemuś bardzo zepsutemu Żydu”.

BYŁ OSIEMNASTY marca 1791 roku, kiedy ośmiokółowy wóz Trachima B. przygwoździł go albo i nie przygwoździł do dna rzeki Brod. Młode bliźniaczki W. pierwsze zauważyły wypływające na powierzchnię osobliwe drobiazgi: rozpełzłe węże białego sznurka, wyprostowane palce rękawiczki z wygniatanego aksamitu, ogołoczone szpulki, binokle o zapaćkanych szklach, maliny i jeżyny, fekalia, falbanki, okruchy stłuczonego rozpylacza do perfum, krwawiące czerwonym atramentem litery oświadczenia: *Chcę... Chcę...*

Hanna zaczęła rozpaczliwie zawodzić. Chana weszła do zimnej wody, podciągnąwszy wyżej kolan zwisające u nogawek pantalonów troczki z przędzy, rozgarnęła odpadki czyjegoś życia, których coraz więcej wypływało na powierzchnię, i weszła jeszcze głębiej. *Co ty tam robisz!* – zawołał zhańbiony lichwiarz Jankiel D., kuśtykając w stronę dziewcząt z takim pośpiechem, że nadržeczne błoto tryskało mu spod stóp. Wyciągnął do Chany rękę, drugą (jak zwykle) zastaniając kompromitujące kółko z liczydeł, które zgodnie z proklamacją sztetla musiał

nosić na szyi, przewleczone sznurkiem. *Nie wchodź do wody! Źle się to skończy!*

Pocziwy handlarz *gefiltetisz*, Bicl Bicl R., śledził to zamieszanie ze swojej łódki, która stała przy jednym z jego wścierzy, przywiązana szpagatem. *Co się tam wyprawia?* – zawołał w stronę brzegu. *To ty, Jankiel? Dzieje się coś złego?*

*Bliźniaczki Rabina Wielce Poważanego bawią się w wodzie!* – odkrzyknął Jankiel. *A ja się boję, że któregoś stanie się krzywda!*

*Najprzedziwniejsze rzeczy wypływają na wierzch!* – zawołała ze śmiechem Chana, z pluskiem rozgarniając zbieraninę różnych różności, która wyrastała wokół niej jak ogród. Wyciągnęła z wody ręce lalki naguska i wskazówki zegara ściennego. Szkielet parasola. Wytrych. Różne przedmioty wypływały, unosząc się na całych koronach bąbelków, które natychmiast pękały, wyłoniwszy się na powierzchnię. Nieco młodsza z dwóch bliźniaczek – i mniej ostrożna – przeczesywała palcami wodę, za każdym razem wydobywając z niej nowe znalezisko: żółty dziecinny wiatraczek, zabłocone ręczne lusterko, płatki zatopionej niezapominajki, muł i spękane ziarna czarnego pieprzu, paczkę nasion...

Ale jej nieco starsza i ostrożniejsza siostra, Hanna – pod każdym zresztą innym względem identyczna, pominawszy zrosnięte brwi – patrzyła na to z brzegu i płakała. Zhańbiony lichwiarz Jankiel D. objął ją, przytulił jej głowę do piersi, szepnął: *No... no...*, i krzyknął na Bicla Bicla: *Płyn do Rabina Wielce Poważanego i przywieź go tu*



*swoją łódką. Zabierz też lekarza Menaszę i Izaaka, znowcę praw. Spiesz się!*

Szalony szlachetka Sofijówka N., pod którego imieniem sztetl miał później figurować na mapach i w mormońskich spisach ludności, wyszedł z za drzewa. *Dokładnie widziałem, co się stało* – rzekł histerycznym tonem. *Każdy szczegół, na własne oczy. Wóz jechał za szybko, jeśli wziąć pod uwagę stan tej błotnistej drogi – a jedyne, co może być gorsze od spóźnienia na własny ślub, to zbyt późno zjawić się na ślubie swojej niedoszłej żony – i nagle się przewrócił, a jeśli ten opis niezupełnie odpowiada prawdzie, to owszem, wóz nie przewrócił się sam, lecz od uderzenia wiatru wiejącego z Kijowa, z Odessy czy skądinąd, a jeśli i ta wersja brzmi nie całkiem przekonująco, to w rzeczywistości zdarzyło się – klnę się własnym, jak lilia nieskalanym imieniem – że z kamiennym szumem swych nagrobnych skrzydeł anioł zstąpił z niebios, aby porwać w nie Trachima, albowiem Trachim za dobry był jak na ten świat. Bo i kto nie jest? Każdy z nas jest przecież taki dobry, że inni nie są go warci.*

*Trachim?* – spytał Jankiel, pozwalając Hannie pomać kompromitujący krążek z liczydeł. *Czy to aby nie ten szewc z Łucka, który pół roku temu zmarł na zapalenie płuc?*

*Patrzcie no!* – zawołała Chana i chichocząc, podniosła wysoko rękę, a w niej kartę ze świńskiej talii: waleta z koloru minet.

*Nie* – odparł Sofijówka. *Tamtemu było Trachum na imię, przez „u”. A ten tutaj pisał się przez „i”. No i tamten umarł w Noc Najdłuższą Spośród Nocy. Nie, zaraz. Nie, zaraz. Umarł na artyzm.*

*Albo i to!* – przenikliwie zabrzmiał radosny okrzyk Chany, która właśnie podniosła do góry wypełzłą mapę wszechświata.

*Wyłaź z wody!* – wrzasnął na nią Jankiel, choć byłby wołał nie zwracać się tak podniesionym tonem do córki Rabina Wielce Poważanego, ani zresztą do żadnej młodej dziewczyny. *Jeszcze ci się coś stanie!*

Chana pobiegła w stronę brzegu. Zielona toń zakryła zodiak, gdy gwiazdna mapa osunęła się na dno rzeki, aby spocząć niby woal na końskim czole.

Mieszkańcy sztetla zaczęli otwierać okiennice, zaintrygowani harmidrem (ciekawość była bowiem jedyną wspólną im wszystkim własnością). Wypadek zdarzył się nieopodal małego wodospadu – w miejscu, w którym biegła ówczesna granica między dwiema dzielnicami sztetla: Kwartałem Żydowskim i Trzema Ludzkimi Kwartałami. Wszystko, co uchodziło za święte – studia religijne, koszerne rzeźnictwo, dobijanie targu itp. – uprawiano w Kwartale Żydowskim. Natomiast czynności związane z pospolitością codziennego bytowania – studia świeckie, komunalny wymiar sprawiedliwości, kupno i sprzedaż – odbywały się w Trzech Ludzkich Kwartałach. Na granicy stała Synagoga Strzelista. (Arkę ustawiono dokładnie wzdłuż linii uskoku, żeby w każdej z dwóch dzielnic spoczywał jeden zwój Tory.) W miarę jak zmieniały się proporcje między świętością a świeckością – choć zazwyczaj bywały to wahnięcia za ledwie o włos w jedną lub w drugą stronę, jeśli pominąć ten wyjątkowy moment z roku 1764, tuż po Pogromie

Bitych Piersi, kiedy to sztetl na bitą godzinę zupełnie ześwieczał – przemieszczała się też linia uskoku, narysowana kredą od Lasu Radziwiłłów aż do rzeki. Przy każdej takiej okazji podnoszono i przesuwno synagogę. W roku 1783 przyprawiono jej koła, dzięki czemu pilnowanie wiecznie chwiejnej równowagi między Żydowskością a Ludzkością stało się dla sztetla mniejszym mozołem.

*Rozumiem, że zdarzył się wypadek* – sapnął Szloim W., skromny handlarz antyków, który trzymał się przy życiu wyłącznie dzięki cudzej dobroczynności, bo odkąd żona przedwcześnie go odumarała, nie umiał się rozstać z choćby jednym kandelabrem, figurynką czy klepsydrą.

*Skąd wiesz?* – zdziwił się Jankiel.

*Bicl Bicl krzyknął do mnie z łódki, kiedy płynął po Rabina Wielce Poważanego. Idąc tutaj, zastukałem do tyłu drzwi, do ilu tylko zdołałem.*

*To dobrze* – powiedział Jankiel. *Sztetl będzie musiał wydać proklamację.*

*Czy on aby na pewno nie żyje?* – spytał ktoś.

*Niewątpliwie* – zaręczył Sofijówka. *Nie żyje tak samo, jak nie żył, zanim jego rodzice się spotkali. A może jeszcze bardziej, bo wtedy był przynajmniej pestką w chuju swojego ojca i pustką w brzuchu matki.*

*Próbowaliście go ratować?* – spytał Jankiel.

*Nie.*

*Zastoń im oczy* – polecił Jankielowi Szloim, wskazując gestem dziewczęta. Szybko się rozebrał, obnażając kałdun, okazalszy niż większość brzuchów, oraz plecy,

porośnięte spilśnioną gęstwą czarnych kędziorów, i dał nura do wody. Na skrzydłach wezbranych fal przemknęły po nim pióra. Perły z rozerwanego sznura i wybite zęby. Przepłynęły krwawe skrzepy, merlot i pęknięty wiśiorek z żyrandola. Wznoszące się ku górze pokłosie katastrofy coraz bardziej gęstniało, aż w końcu pływak nie widział przed sobą nawet własnych dłoni. *Gdzie? Gdzie?*

*Znalazłeś go?* – spytał Izaak, znawca praw, kiedy Szloim wreszcie z powrotem się wynurzył. *Wiadomo, jak długo już leży pod wodą?*

*Jechał sam czy z żoną?* – spytała nieutulona w żalu Szanda T., wdowa po filozofie Pinchasie T., który w swoim jedynym zasługującym na uwagę artykule, pod tytułem *Do pyłu: z człowiekaś powstał i w człowieka się obrócisz*, twierdził, że – teoretycznie rzecz biorąc – życie i sztuka mogłyby zamienić się rolami....

Przez sztetl przebiegł podmuch wiatru tak potężny, że aż zaświszczało. Ci, co w słabo oświetlonych izbach studiowali niejasne pisma, podnieśli głowy znad ksiąg. Kochankowie, uwikłani we wzajemne przeprosiny i obietnice, błędów naprawianie i wymówek szukanie, zamilkli. Samotny świeczarz Mordechaj C. zanurzył dłonie w kadzi ciepłego, niebieskiego wosku.

*To prawda, że miał żonę* – wtrącił Sofijówka, wbijając lewą rękę głęboko do kieszeni spodni. *Dobrze ją pamiętam. Miała takie przepyszne cycki. Boże, jakie wspaniałe cyce! Któż mógłby je zapomnieć? Były, o mój Boże, jakie one były wspaniałe! Oddałbym wszystkie słowa, jakich od tamtej pory się nauczyłem, bylebym tylko mógł z powrotem odmłodzić,*

*och, tak, tak, i do syta sobie possać te jej cycuszki. Oddałbym! Oddałbym, a jakże!*

*Skąd wiesz to wszystko?* – spytał ktoś.

*W dzieciństwie pojechałem raz do Równego, ojciec wystął mnie tam w jakiejś sprawie. Właśnie do domu tego Trachima. Jego nazwisko czmycha mi z języka, ale całkiem wyraźnie pamiętam, że pisał się przez „i” – Trachim – i miał młodą żonę z dwojgiem wspaniałych cycków, małe mieszkanko pełne bibelotów i bliznę od oka do ust, a może od ust do oka. Jedno z dwojga.*

*WIDZIAŁEŚ JEGO TWARZ, KIEDY MIJAŁ CIĘ WOZEM?!* – gromko spytał Rabin Wielce Poważany, do którego właśnie podbiegły córki, żeby skryć się pod przeciwnymi końcami jego szala modlitewnego. *I TĘ BLIZNĘ?*

*A potem, aj jaj jaj, znów go zobaczyłem, kiedy jako młody człowiek byłem na praktyce we Lwowie. Trachim przyjechał akurat wtedy z dostawą brzoskwiń, jeśli mnie pamięć nie myli, a może śliwek, do stancji dla uczennic, która mieściła się po drugiej stronie ulicy. A może był listonoszem? Tak, roznosił listy miłosne.*

*To oczywiście, że nie mógł już być żywy – powiedział lekarz Menasza, otwierając swoją torbę medyka. Wyjął z niej kilka kartek z wypisanymi aktami zgonu, a kolejny podmuch wiatru porwał je i rzucił w korony drzew. Niektóre spadły wraz z liśćmi jeszcze tego samego roku, we wrześniu. Inne spadły, gdy runęły drzewa, po upływie całych pokoleń.*

*A choćby nawet żył, i tak nie zdotalibyśmy go oswobodzić – dodał Szloim, wycierając się do sucha za wielkim*

głazem. *Nie da rady dostać się do wozu, póki cały bagaż nie wypłynie.*

*SZETEL MUSI WYDAĆ PROKLAMACJĘ!* – proklamował Rabin Wielce Poważany, zdobywszy się na jeszcze bardziej niż przedtem władczy okrzyk.

*No więc jak on się właściwie nazywał?* – spytał Menasza, przytykając do języka gęsie pióro.

*Czy możemy z całą pewnością twierdzić, że miał żonę?* – zatroskała się nieutulona w żalu Szanda, kładąc dłoń na sercu.

*Czy dziewczęta coś widziały?* – zapytał Awrum R., szlifierz drogich kamieni, który sam nie nosił pierścionków (choć Rabin Wielce Poważany zaręczył mu, że wie o pewnej młodej kobiecie z Łodzi, która może go uszczęśliwić [na zawsze]).

*Dziewczęta nic nie widziały* – odparł Sofijówka. *Widziałem, że nic nie widziały.*

Bliźniaczki – tym razem obie jednocześnie – wybuchnęły płaczem.

*Ale przecież nie możemy w tej sprawie polegać wyłącznie na jego słowach* – rzekł Szloim, gestem wskazując Sofijówkę, który ze swej strony też znalazł odpowiedni gest, żeby zrewanżować się Szloimowi za tę uprzejmość.

*Nie pytajcie dziewcząt* – powiedział Jankiel. *Dajcie im spokój. Dostyc już przeszły.*

Tymczasem prawie wszyscy obywatele sztetla, w sumie trzysta ileś osób, zgromadzili się, żeby debatować nad czymś, o czym nic nie wiedzieli. Im mniej kto wiedział, tym zapalczywiej dowodził swojej racji. Nie była

to żadna nowość. Zaledwie miesiąc wcześniej wyłoniła się kwestia, czy nie wywarłoby to lepszego wpływu na dzieci, gdyby tak wreszcie zaszpuntować dziurę w bajg-lu. Przed dwoma miesiącami odbyła się okrutna, a zarazem komiczna dysputa w kwestii pracy zecera, przedtem zaś roztrząsano kwestię polskiej tożsamości, co wiele osób doprowadziło do łez, wiele innych rozśmieszyło, a wszystkich dyskutantów skłoniło do podnoszenia dalszych kwestii. W przyszłości miano jeszcze rozważać inne kwestie, a po nich jeszcze inne: kwestie wyłaniające się od zarania czasu, który nie wiadomo kiedy zaczął płynąć, aż po jego kres, który nie wiedzieć kiedy nastąpi. *Z popiołu? W popiół?*

*AMOŻE* – zaproponował Rabin Wielce Poważany, jeszcze wyżej podnosząc ręce, jeszcze bardziej podnosząc głos – *WCALE NIE MUSIMY ROZSTRZYGAĆ TEJ SPRAWY. A GDYBYŚMY TAK W OGÓLE NIE WYPEŁNILI AKTU ZGONU? GDYBYŚMY TYLKO POCHOWALI CIAŁO JAK NALEŻY, SPALILI WSZYSTKO, CO RZEKA WYRZUCI NA BRZEG, I POZWOLILI ŻYCIU TOCZYĆ SIĘ DALEJ W OBLICZU TEJ OTO ŚMIERCI?*

*Ale przecież musimy wydać proklamację* – sprzeciwiła się Froida J., co robiła cukierki.

*Chyba że sztetl proklamuje zbędność proklamacji* – sprostował Izaak.

*Może powinniśmy porozumieć się z jego żoną* – powiedziała nieutulona w żalu Szanda.

*Może powinniśmy zacząć zbierać szczątki* – powiedział dentysta Eliezar Z.

Wśród splotu sprzecznych zdań mało kto usłyszał, co powiedziała młoda Hanna, wyrzawszy głowę spod frędzli, którymi obszyte było skrzydło ojcowskiego tałesu.

*Coś widzę.*

CO? – zapytał ojciec, uciszając pozostałych. CO WIDZISZ?

*Tam* – rzekła, wskazując palcem spienioną wodę.

W kłębowisku sznurków i piór, wśród świec i przemoczonych zapalek, krewetek, krawatek i jedwabnych kutasów kucających jak meduzy, leżała maleńka dziewczynka, wciąż jeszcze lśniąca od śluzu, wciąż jeszcze różowa niczym wnętrze śliwki.

Bliźniaczki skryły się jak widma pod ojcowskim tałesem. Na dnie rzeki koń pod całunem zatopionych nocnych niebios zamknął ciężkie powieki. Prehistoryczna mrówka w pierścieniu Jankiela, znieruchomiała w miodobarwnym bursztynie już na długo przedtem, zanim Noe przybił pierwszą deskę, skryła głowę w gęstwie własnych odnóży, zawstydzona.



BICL BICL R. zdołał po kilku dniach wydobyć wóz przy pomocy grupy silnych mężczyzn z Kołek, a w jego więcierzach panował większy ruch niż kiedykolwiek. Lecz gdy ratownicy przeszukali szczątki, nie znaleźli topielca. Odtąd przez sto pięćdziesiąt lat w sztetlu odbywały się coroczne zawody „poławiaczy Trachima”, chociaż w roku 1793 na mocy proklamacji zaniechano fundowania nagrody dla zwycięzcy, przychylając się do zdania Menaszy, który twierdził, że każdy normalny trup zacząłby się rozkładać, gdyby przeleżał dwa lata w wodzie, toteż dalsze poszukiwania nie tylko są bezcelowe, ale w dodatku mogą zaowocować dosyć odrażającymi znaleziskami lub – co gorsza – spowodować konieczność wypłacenia kilku równorzędnych nagród. Zawody zmieniły odtąd charakter, stając się czymś w rodzaju festynu, z okazji którego kolejne generacje porywczych piekarzy P. przygotowywały szczególnie smakowite ciasta, a dziewczęta ze sztetla ubierały się tak, jak owe go fatalnego dnia ubrane były bliźniaczki: w wełniane pantalone z troczkami z przędzy i płócienne bluzki

z szerokimi kołnierzami w kształcie motyli, obszytymi niebieską lamówką. Z odległych stron zjeżdżali się mężczyźni, żeby nurkować za płóciennymi workami: Królowa Tratw ciskała je do Brodu, a wszystkie prócz jednego – tego ze złotem – wypełnione były ziemią.

Niektórzy twierdzili, że Trachima nigdy nie uda się odnaleźć, bo rzeczny nurt namiótł na jego ciało grubą warstwę mułu i sprawił mu pod nią należyty pochówek. Ilekroć ludzie ci ruszali w comiesięczny obchód cmentarza, kładli na brzegu rzeki kamienie i mówili na przykład:

*Biedny Trachim, niezbyt dobrze go znałem, ale przecież  
mogłem znać go lepiej.*

Albo:

*Tęsknię za tobą, Trachimie. Chociaż nigdy się nie  
spotkaliśmy, brak mi ciebie.*

Czy wreszcie:

*Spoczywaj, Trachimie, spoczywaj. I spraw, żeby nasz młyn  
był bezpieczny.*

Jeszcze inni podejrzewali, że Trachim wcale nie leży przygwożdżony własnym wozem do dna rzeki, lecz wypłynął z jej prądem ku pełnemu morzu, na zawsze unosząc w sobie sekrety swojego życia, niby list miłosny, który podróżuje w butelce, i pewnego dnia jakaś niczego nie podejrzewająca para znajdzie go podczas romantycznej przechadzki wzdłuż plaży. Całkiem możliwe, że

wyrzuciło go – lub jakąś jego część – na piaszczysty brzeg Morza Czarnego albo w Rio, a może dotarł aż na Ellis Island.

Możliwe też, że znalazła go i przygarnęła jakaś wdowa: kupiła mu szeslong, co rano zmieniała sweter, goliła brodę i wąsy, póki nie przestały odrastać, co noc wiernie zabierała go ze sobą do łóżka, szeptała słodkie bajdurki w ogryzek ucha, śmiała się wraz z nim przy czarnej kawie, płakała wraz z nim nad żółtymi fotografiami, opowiadała zielone historyjki o tym, że sama też chciałaby urodzić dzieci, zaczęła za nim tęsknić, nim jeszcze się rozchorowała, zapisała mu wszystko w testamencie, umierając myślała wyłącznie o nim, zawsze wiedziała, że jest zmyślony, lecz mimo to w niego wierzyła.

Istniał też pogląd, jakoby żadnych zwłok nigdy nie było. Trachim chciał umrzeć, nie umierając, szachraj jeden. Cały dobytek załadował na wóz i przyjechał do bezbarwnego, bezimiennego sztetla – który miał jednak niebawem zasłynąć na całą wschodnią Polskę dzięki dorocznemu festynowi, Dniowi Trachima, i niczym osieroczone niemowlę nosić jego imię (wszędzie z wyjątkiem map i mormońskich spisów ludności, tam bowiem funkcjonował jako Sofijówka) – ostatni raz poklepał swojego bezimiennego konia i pognał go prosto w przeciwną stronę. Czy uciekał przed wierzycielami? Przed niefortunnie zaaranżowanym małżeństwem? Przed kłamstwami depczącymi mu po piętach? Czyżby własna śmierć stanowiła w jego życiu ważny etap pośredni?

Oczywiście są i tacy, co podkreślają szaleństwo Sofijówki, zwracając uwagę, że potrafił on nago przesiadywać w fontannie z syreną na płask rozciągniętą, pieszcząc niby ciemiączko noworodka jej łuskowaty tuches, pieszcząc własną lepszą połowę, jakby nie było nic a nic złego w tym, że człowiek wali kapucyna na każdym miejscu i o każdej porze. A kiedy pewnego razu na trawniku przed domem Rabina Wielce Poważanego znaleziono go całego omotanego białym sznurkiem, wyjaśnił, że najpierw obwiązał sobie palec wskazujący, bo chciał zapamiętać coś strasznie ważnego, a z obawy, że zapomni o wskazującym, oplątał też mały palec, po czym przeciągnął sznurek od pasa do szyi, a żeby nie zapomnieć o tym konkretnym odcinku, poprowadził następnym: od ucha do zęba i dalej przez mosznę aż do pięty, i w ten sposób posłużył się własnym ciałem, aby własne ciało zapamiętać, w końcu jednak pamiętał tylko o sznurku. Czy zatem opowieść kogoś takiego zasługuje na wiarę?

A niemowlę? Moja praprapraprababka? Trudniejszy to problem, względnie łatwo jest bowiem wydedukować, w jaki sposób ktoś mógł w rzece postradać życie, ale niby jak miałyby się ono z niej wyłonić?

Chaim W., największy w całym sztettlu logik, a zarazem miejscowy zboczeniec – ten, co od niewyobrażalnie wielu lat i z niewyobrażalnie małym powodzeniem pracował nad swoim *magnum opus*, zatytułowanym *Występny zastęp*, w którym obiecał zawrzeć najściślejszy ze ścisłych dowodów logicznych na to, że Bóg niewybredną miłością ukochał niewybrednego kochanka – przedsta-

wił długą argumentację na rzecz obecności drugiej osoby w pechowym wozie: otóż miałyby nią być żona Trachima. Może - dowodził Chaim - wody jej odeszły, podczas gdy ona i jej mąż zajadali faszerowane jajka na łące między dwoma sztetlami, lub też Trachim niebezpiecznie rozpędził wóz, żeby dowieźć ją do doktora, zanim dziecko wywinie się niby trzepocząca flądra z garści rybaka. Kiedy fale pływowych skurczów jęły rozstępować się nad głową kobiety, mąż obrócił się ku niej i może złożył na jej delikatnej twarzy sękatą dłoń, może oderwał spojrzenie od pokancerowanej drogi, może całkiem niechcący wjechał do wody. Możliwe, że wóz przekoziołkował w niej, swoim ciężarem spychając małżonków na dno rzeki, i że gdzieś między ostatnim tchnieniem matki a ostatnim zrywem ojca, który usiłował wydostać się spod wozu, urodziło się dziecko. Lecz nawet Chaim w żaden sposób nie umiał wyjaśnić braku pępowiny.

Smudzy z Ardiszt - rzemieślniczy klan namiętnych palaczy z Równego, którzy tyle kopcili, że nawet wtedy, kiedy zdarzało im się akurat chwilowo nie kopać, i tak z nich się kopciło, aż sztetl wydał w końcu proklamację, nakazującą im pędzić na dachach żywot dekarzy i kominiarzy - wierzyli, że moja praprapraprababka jest kolejnym wcieleniem Trachima. Gdy w zaświatach odbywał się nad nim sąd, gdy jego z każdą chwilą coraz bardziej rozmiękłe ciało zaprezentowano Strażnikowi chwalebnych i kolczastych Bram, coś poszło nie tak. Wyłoniła się jakaś niedopięta sprawa. Dusza nie była

gotowa wzbić się w wyższe rejony, odesłano ją więc z powrotem, dając jej szansę naprawienia szkód wyrządzonych przez wcześniejsze pokolenie. Oczywiście nijak nie trzyma się to kupy. Ale co się trzyma?

Przejęty większą troską o przyszłość aniżeli o przeszłość dziecka, Rabin Wielce Poważany nie przedstawił żadnej oficjalnej wykładni jego pochodzenia – ani na użytek sztetla, ani gwoli wpisowi do *Księgi antecedensów* – lecz przygarnął maleństwo, biorąc za nie odpowiedzialność, póki nie zapadnie decyzja, gdzie dziewczuszkę ulokować na stałe. Zaniósł ją do Synagogi Strzelistej – klął się bowiem, że nawet niemowlę nie powinno przestąpić progu Synagogi Rozlazłej (niezależnie od tego, gdzie akurat mieściła się danego dnia) – i utknął prowizoryczną kołyskę w arce, podczas gdy mężczyźni w czarnych chałatach modlili się co sił w płucach. *ŚWIĘTY, ŚWIĘTY, ŚWIĘTY JEST PAN ZASTĘPÓW! ŚWŁAT CAŁY PRZEPEŁNIA CHWAŁA JEGO!*

Bywalcy Synagogi Strzelistej wrzeszczeli tak już od ponad dwustu lat, odkąd Rabin Wielebny oświecił, że nieustannie toniemy, a nasze modlitwy są jedynie błaganiami o wyratowanie z głębin, spod odmętów ducha. *A WIĘC SKORO LOS NASZ JEST TAK ROZPACZLIWY –* powiedział (zawsze bowiem zaczynał zdanie od „a więc”, jak gdyby wypowiedane słowa były logiczną kontynuacją jego najskrytszych myśli) – *CZY NIE POWINNIŚMY ZACHOWYWAĆ SIĘ JAK LUDZIE ZROZPACZENI? A WIĘC CZY W GŁOSACH NASZYCH NIE POWINNA*

*ROZBRZMIEWAC ROZPACZ?* Wrzasnęli zatem i przez lat dwieście wrzeszczeć nie przestali.

Teraz też wrzeszczeli, nie dając dziecku chwili wytchnienia, zwisając – z jedną dłonią na księdze modlitewnej, a drugą na sznurze – z bloczków przy paskach spodni, ocierając główkami czarnych kapeluszy o sufit. *A WIĘC SKORO PRAGNIEMY ZBLIŻYĆ SIĘ DO BOGA* – oświecił Rabin Wielebny – *CZY NIE POWINNIŚMY POSTĘPKAMI SWYMI DAĆ ŚWLADECTWA TEMU PRAGNIENIU? A WIĘC CZY NIE POWINNIŚMY RZECZYWIŚCIE DO BOGA SIĘ ZBLIŻYĆ?* Brzmiało to dosyć sensownie. A w wigilię Jom Kipur, najświętszego z dni świętych, mucha wleciała przez szparę pod drzwiami synagogi i zaczęła dokuczać wiszącym wiernym. Przelatywała z twarzy na twarz, brzęcząc, przysiadając na długich nosach, włącząc do włochatych uszu i znów z nich wyłażąc. *A WIĘC SKORO TO JEST PRÓBA* – oświecił Rabin Wielebny, usiłując ocalić spójność swojej kongregacji – *CZY NIE POWINNIŚMY JEJ SPROSTAĆ? A WIĘC NALEGAM: SPADNIJCIE NA ZIEMIĘ, ZANIM WYPUŚCICIE Z RĄK WIELKĄ KSIĘGĘ!*

Jakże jednak dokuczała im mucha, łaskocząc w najbardziej łaskotliwe z łaskotliwych miejsc. *A WIĘC TAK JAK BÓG POLECIAŁ ABRAHAMOWI, ŻEBY TEN POKAZAŁ IZAAKOWI OSTRZE NOŻA, TAK TERAZ ZABRANIA NAM DRAPAC SIĘ PO TYŁKACH! A WIĘC JEŚLI JUŻ KONIECZNIE MUSIMY, TO TYLKO LEWĄ RĘKĄ!* Połowa wiernych postąpiła zgodnie z oświeceniem Rabina Wielebnego i najpierw puściła sznur, a dopiero potem

Wielką Księgę. Od nich to właśnie wywodzili się ci spośród bywalców Synagogi Strzelistej, którzy przez następne dwieście lat ostentacyjnie utykali na jedną nogę, żeby nieustannie przypominać sobie – a zwłaszcza postronnym – jak zachowali się w obliczu Próby: tak mianowicie, że Święte Słowo zwyciężyło. (*PRZEPRASZAM, RABBI, O KTÓRYM DOKŁADNIE SŁOWIE TU MOWA?* Rabin Wielebny stuknął ucznia urzędowym końcem jadu: *A WIĘC SKORO MUSISZ PYTAĆ!...*) Niektórzy Strzełiści posunęli się aż do tego, że w ogóle odmawiali chodzenia, co miało sugerować jeszcze bardziej dramatyczny upadek. Skutkiem tego nie mogli, rzecz jasna, przyjść do synagogi. *MODLIMY SIĘ BRAKIEM MODLITWY* – twierdzili. *WYPEŁNAMY PRAWO WŁAŚNIE PRZEZ TO, ŻE JE ŁAMIEMY.*

Ci, co woleli upuścić księgę modlitewną aniżeli spaść, stali się protoplastami kongregacji z Synagogi Rozlazłej, której nazwę tę nadali Strzełiści. Rozlazli bawili się frędzlami przy mankietach koszul, przyszytymi tam gwoli przypomnienia – sobie, a zwłaszcza postronnym – jaką z Próby wynieśli naukę: tę mianowicie, że sznurki człowiek wszędzie nosi ze sobą, a zwyciężać zawsze powinien *duch* Świętego Słowa. (*Przepraszam, czy ktoś może wie, o co tu w ogóle chodzi z tym całym Świętym Słowem?* Postronni wzruszali ramionami i wracali do przerwanej dyskusji o tym, jak najlepiej podzielić trzynaście knyszów między czterdzieści trzy osoby.) Rozlazli przyjęli nowe obyczaje: bloczki zastąpili poduszkami, a hebrajską księgę modlitewną bardziej przystępnym



modlitewnikiem w języku jidysz; zrezygnowali też z rabina i odtąd całą grupą odprawiali nabożeństwo połączone z dyskusją, po którym – a zazwyczaj jeszcze podczas niego – jedli, pili i plotkowali. Członkowie kongregacji Strzelistych patrzyli z góry na Rozlazłych, ci bowiem sprawiali takie wrażenie, jakby gotowi byli poświęcić każde żydowskie prawo dla dobra tego, co określali niepewnym mianem *wielkiego i niezbędnego pogodzenia religii z życiem*. Strzełsi obrzucali ich wyzwiskami i straszili, że Rozlazłych czeka na tamtym świecie wiekuiste cierpienie – kara za skwapliwość, z jaką w życiu doczesnym dbają o własne wygody. Ale Rozlazli (w przeciwieństwie do Szmula S. – tego mleczarza, co miał niedrożność jelit) srali na to rzadkim gównem. Oni i Strzełsi widywali się tylko w tych rzadkich momentach, kiedy z przeciwnych stron napierali na synagogę – jedni po to, żeby sztetl bardziej uświęcić, a drudzy, żeby go bardziej zeświecczyć. W pozostałym czasie nauczyli się ignorować nawzajem.

Przez sześć dni obywatela sztetla – Strzełsi na równi z Rozlazłymi – wystawali w kolejkach przed Synagogą Strzelistą, pragnąc skorzystać z nadarzającej się okazji, żeby zobaczyć moją jakże zamierzchłą prababkę. Wielu wracało po wielekroć. Mężczyźni mogli obejrzeć dziecko, dotknąć go, mówić do niego, a nawet wziąć je na ręce. Kobiet oczywiście nie wpuszczano do Synagogi Strzelistej, Rabin Wielebny dawno już bowiem oświecił, co następuje: *A WIĘC JAK MAMY UMYSŁAMI I SERCAMI TRWAĆ PRZY BOGU, KIEDY INNA CZĘŚĆ KAŻDEGO*

*Z NAS WSKAZUJE NAM DROGĘ KU NIECZYSTYM  
MYŚŁOM O WŁADOMYCH SPRAWACH?*

Wyglądało na to, że osiągnięto rozsądny kompromis, gdy w roku 1763 pozwolono kobietom modlić się w wilgotnej i ciasnej izbie pod specjalnie zamontowaną podłogą ze szkła. Niebawem jednak dyndający pod sufitem mężczyźni oderwali spojrzenia od Wielkiej Księgi, aby napawać się widocznym w dole chórem śródpiersi. Czarne spodnie zrobiły się nagle opięte, a ich właściciele zaczęli się zderzać i huścić jak nigdy przedtem, bo owe *inne części* sterczały, nabrzmiałe fantazjami o *wiadomych sprawach*, do przenajświętszej zaś modlitwy mimowiednie wstawiono nadliczbowe słowo, brzmiała więc odtąd tak: *ŚWIĘTY, ŚWIĘTY, ŚWIĘTY, ŚWIĘTY, ŚWINTUCH JEST Z PANA ZASTĘPÓW! ŚWŁAT CAŁY PRZEPEŁNIA CHWAŁA JEGO!*

Rabin Wielebny zajął się tą niepokojącą sprawą w jednym z licznych kazań popołudniowych. *A WIĘC WSZYSTKIM NAM MUSI BYĆ ZNANA TA NAJDO-  
NIOŚLEJSZA SPOŚRÓD BIBLIJNYCH PRZYPOWIEŚCI,  
W KTÓREJ MOWA JEST O DOSKONAŁOŚCI NIEBA  
I PIEKŁA. A WIĘC, JAK WSZYSCY WIEMY, A PRZYNAJ-  
MNIJ POWINNIŚMY WIEDZIEĆ, DRUGIEGO DNIA BÓG  
A NASZ PAN STWORZYŁ PRZECIWSZTAWNE REJONY  
NIEBA I PIEKŁA, DO KTÓRYCH WYSŁANI ZOSTANIEMY  
ZARÓWNO MY (NA GÓRĘ), JAK I ROZLAŻLI (NA DÓŁ),  
I OBY ZAPAKOWALI TYLKO SWETRY. A WIĘC NIE WOL-  
NO NAM JEDNAK ZAPOMINAĆ O KOLEJNYM DNIU,  
CZYLI TRZECIM, KIEDY TO BÓG UJRZAŁ, ŻE NIEBO*

NIE JEST AŻ TAKIE NIEBIAŃSKIE, JAKIE CHCIAŁBY SOBIE WYMODLIĆ, A I PIEKŁO NIE WYDAJE SIĘ TAK ZNÓW CAŁKIEM PIEKIELNE. A WIĘC, JAK DOWLADUJEMY SIĘ Z POMNIEJSZYCH PISM, KTÓRE TRUDNIEJ JEST WYSZPERAĆ, ON, OJCIEC OJCA OJCÓW, USUNĄŁ ZASŁONĘ ROZDZIELAJĄCĄ OWE PRZECIWSTRAWNE REJONY, POZWALAJĄC, ABY ZBAWIENI I POTĘPIENI UJRZELI SIĘ NAWZAJEM. A WIĘC ZIŚCIŁA SIĘ NADZIEJA, JAKA MU PRZY TYM PRZYŚWIECAŁA, ZBAWIONYCH URADOWAŁA BOWIEM MĘKA POTĘPIEŃCÓW I O TYLEŻ UROŚLA ICH RADOŚĆ W OBLICZU CUDZEGO SMUTKU. A WIĘC POTĘPIEŃCY UJRZELI ZBAWIONYCH, UJRZELI OGONY HOMARÓW I SZYNKĘ PROSCIUTTO NA ICH TALERZACH, UJRZELI, CO ZBAWIENI WTYKAJĄ W TUCHESY MIESIĄCZKUJĄCYM SIKSOM, I ZARAZ O TYLEŻ GORZEJ SAMI SIĘ POCZULI. A WIĘC UJRZAŁ BÓG, ŻE JEST TO LEPSIEJSZE. A WIĘC POKUSA, JAKĄ STRĘCZYŁO OKNO, STAŁA SIĘ NIEBAWEM ZBYT SILNA. A WIĘC ZAMLAST CIESZYĆ SIĘ KRÓLESTWEM NIEBIESKIM, ZBAWIENI ULEGLI FASCYNACJI OKRUCIEŃSTWAMI PIEKŁA. A WIĘC ZAMLAST CIERPIEĆ OD TYCH OKRUCIEŃSTW, POTĘPIENI NAPAWALI SIĘ JAK GDYBY Z DRUGIEJ RĘKI NIEBIAŃSKIMI ROZKOSZAMI. A WIĘC Z CZASEM OWE PRZECIWSTRAWNE REJONY OSIĄGNĘŁY STAN WZAJEMNEJ RÓWNOWAGI, WPATRZONE KAŻDY W SWOJE VIS-À-VIS, A ZARAZEM W SIEBIE. A WIĘC OKNO LUSTREM SIĘ STAŁO, OD KTÓREGO ZARÓWNO ZBAWIENI, JAK I POTĘPIENI NIE MOGLI ANI ZRESZTĄ NIE

*CHCIELI SIĘ ODERWAĆ. A WIĘC BÓG Z POWROTEM  
SPUŚCIŁ ZASŁONĘ, NA WIEKI WIEKÓW ZAMYKAJĄC  
WROTA MIĘDZY DWOMA KRÓLESTWAMI, A WIĘC  
I MY W OBLICZU NASZEGO AŻ NAZBYT KUSZĄCEGO  
OKNA MUSIMY SPUŚCIĆ ZASŁONĘ MIĘDZY KRÓLES-  
TWEM MĘŻCZYZNY A KRÓLESTWEM KOBIETY.*

Do piwnicy napuszczono wody, którą specjalnie w tym celu doprowadzono z Brodu, a w tylnej ścianie synagogi wycięto otwór wielkości jajka, żeby kobiety mogły przez niego pojedynczo zaglądać, widziały jednak tylko arkę oraz stopy dyndających mężczyzn – niektóre (na domiar zniewagi) oblepione zaschniętym gównem.

I przy tym to właśnie otworze stawały jedna po drugiej kobiety ze sztetla, żeby przyjrzeć się mojej prapraprababce. Wiele z nich doszło do przekonania – być może z powodu zupełnie już dorosłych rysów jej twarzy – że nosi ona w sobie zło i jest znakiem od samego diabła. Owe mieszane uczucia prawdopodobnie wzbudzał w nich jednak sam otwór. Z tak dużej odległości – z dłońmi przyciśniętymi do ściany, z okiem w nieobecny jajku – nie mogły ani trochę zaspokoić swoich macierzyńskich zapędów. Przez mały otworek nie miały nawet szans zobaczyć całego dziecka naraz, musiały więc w wyobraźni kleić kolaże z fragmentarycznych migawek, łącząc palce z dłonią przytwierdzoną do nadgarstka, tkwiącego na końcu ręki wpasowanej drugim końcem w staw barkowy... Z czasem znieawi-

dziły dziewczynkę za tę jej niepoznawalność, niedosiężność – za to, że była kolażem.

Siódmego dnia Rabin Wielce Poważany dał cztery ćwierćkrajcary i garść szlifowanych niebieskich kulek z chryzoberylu za zamieszczenie w cotygodniowej gazecie Szymona T. następującego anonsu: otóż z nie całkiem ściśle wiadomych przyczyn trafiło do sztetla niemowlę, bardzo piękne i dobrze ułożone, bynajmniej też nie smrodliwe, rabin zaś postanowił – zarówno dla jej, jak i własnego dobra – oddać małą pierwszemu lepszemu porządnemu człowiekowi, który zgodzi się uznać ją za córkę.

Nazajutrz rano znalazł pod drzwiami Synagogi Strzelistej pięćdziesiąt dwie kartki, ułożone w wachlarz podobny do pawiego ogona.

Od wytwórcy bibelotów z miedzianego drutu, niejakiego Peszla S., który stracił żonę w czasie Pogromu Podartych Szat, zaledwie dwa miesiące po ślubie: *Jeśli nie ze względu na dziewczynkę, to ze względu na mnie. Jestem porządny człowiek i coś mi się w życiu należy.*

Od Mordechaja C. – samotnego świecarza, którego dłonie tkwiły w niezmywalnych rękawicach z wosku: *Tak mi doskwiera samotność, kiedy po całych dniach przesiaduję w swojej pracowni. Nie będzie już po mnie świecarzy. Czy nie jest to wyjście w jakiś sposób rozsądne?*

Od Rozlazłego Lumpla W., który był bezrobotny i wylegiwał się w Paschę wcale nie dlatego, że przestrzegał religijnego obyczaju, tylko po prostu nie widział powodu, żeby akurat ten jeden wieczór jakoś szczególnie wyróżniać spośród innych: *Nie jestem najwspanialszym*

*człowiekiem wszech czasów, ale byłbym dobrym ojcem i rabin też to wie.*

Od nieboszczyka filozofa Pinchasa T., który we młynie dostał w głowę spadającą belką: *Wrzućcie ją z powrotem do wody i niech zostanie ze mną.*

Rabin Wielce Poważany wprost niebywale znał się na wielkich, większych i najnajwiększych zagadnieniach żydowskiej wiary, potrafił odwoływać się do najbardziej zapoznanych i nieczytelnych pism, aby roztrząsać na pozór nierozwiązywalne dylematy religijne, lecz o życiu nie wiedział nic prawie i właśnie dlatego (ponieważ rodziny dziecka z wody nie miały w pismach żadnych precedensów, a on nikogo nie mógł spytać o radę – no, bo jak by to wyglądało, gdyby samo źródło rad wszelkich zaczęło nagle szukać cudzej rady?), właśnie dlatego, że dziecko pochodziło ze sfery życia i samo życiem było, nie umiał znaleźć wyjścia z sytuacji. *WSZYSTKO TO SĄ PORZĄDNI LUDZIE* – myślał. *WSZYSCY CO PRAWDA MOŻE TROCHĘ PONIŻEJ PRZECIĘTNEJ, ALE W GŁĘBI DUSZY CAŁKIEM ZNOŚNI. KTÓRY Z NICH JEST NAJMNIJ NIEGODNY?*

*NAJLEPSZA DECYZJA TO BRAK DECYZJI* – zdecydował w końcu i włożył wszystkie listy do kołyski, przysięgając oddać moją praprapraprababkę – a w pewnym sensie i mnie – autorowi tego, po który dziewczynka najpierw sięgnie. Ale ona nie sięgnęła po żaden. Nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. Przez dwa dni nie drgnęła, nie zapłakała ani nie otworzyła ust, domagając się pokarmu. Mężczyźni w czarnych kapeluszach wciąż wykrzykiwali modlitwy, zwisając z bloczków (*ŚWIĘTY,*

ŚWIĘTY, ŚWIĘTY...), wciąż huścali się nad przetransplantowaną rzeką Brod, wciąż mocniej trzymali się Wielkiej Księgi aniżeli sznura, modląc się, ażeby istniał jednak ktoś, kto słuchałby ich modłów, aż tu nagle w samym środku jednego z wczesnych późnowieczornych nabożeństw poczciwy handlarz *gefiltefis*z, Bicl Bicl R., wykrzyczał dokładnie to, co myśleli wszyscy członkowie kongregacji: *TEN SMRÓD JEST NIE DO ZNIESIENIA! JAK MAM SWOIM POSTĘPOWANIEM DAWAĆ ŚWLADEC-TWO BLISKOŚCI BOGA, SKORO TAK WYRAŹNIE ODCZUWAM BLISKOŚĆ SRAJDY!*

Rabin Wielce Poważany nie sprzeciwił się tej opinii. Zarządził przerwę w modlitwie, zjechał po sznurze na szklaną podłogę i otworzył arkę. Buchnął z niej najstraszliwszy odór – wszechogarniający fetor, którego nie sposób było zignorować, nieludzki, niewybaczalny smród, w najwyższym stopniu odrażający. Wydobył się z arki, zalał całą synagogę, potoczył się wszystkimi ulicami, wszystkimi zaułkami sztetla, wsączył się pod każdą poduszkę w każdej sypialni, wnikając w nozdrza śpiących, i zabawił tam dość długo, aby sprowadzić ich sny na manowce, zanim wydostał się wraz z kolejnym chrapnięciem – i wreszcie spłynął do Brodu.

Dziecko wciąż leżało w absolutnym milczeniu, w absolutnym bezruchu. Rabin Wielce Poważany postawił kołyskę na podłodze, wyciągnął z niej jedną jedyną przemoczoną karteczkę i zawrzaskał: *WYGLĄDA NA TO, ŻE DZIECKO WYBRAŁO SOBIE JANKIELA NA OJCA!*

Trafiliśmy w dobre ręce.

20 lipiec 1997

*Drogi Jonathan!*

*Łaknę ten list, żeby był dobry. Jak już sobie wiesz, nie jestem pierwszorzędny z angielskim. W rosyjskim moje pomysły utwierdzają się z anormalną jasnością, ale mój drugi język nie jest taki znowu prima sort. Przedsięwziąłem wkluczyć rzeczy, które mi wkluczyć konsyliowałeś, i zgodnie z twoim konsylium mozoliłem ten słownik synonimów, co go mam od ciebie, ilokrotnie moje słowa wydawały się nazbyt ubożniałe lub niewsamrażne. Jeśli nie jesteś szczęśliwy poprzez to, co zdziałalem, komenderuję ci zwrócić mi je wspan. Będę wytrwale harował, dopóty cię nie zasycę.*

*Do niniejszej koperty wprzągłem też obiekty, o których się pytałeś, wkluczając pocztówki z Łucka, wyniki spisu ludzkości z tych sześciu wiosk spoprzed wojny, jak tudzież fotografie, które kaziłeś mi zachować dla celów ostrożnościowych. To był bardzo, bardzo, bardzo dobry pomysł, nie? Muszę skonsumować ropuchę za to, co cię napotkało w pociągu. Wiem, jak domioste to pudełko było dla ciebie, dla nas obu, i że jego ingrediencje były niewymienialne. Kradzież to rzecz sromotnikowa, ale bardzo powtarzalnie napotyka ona podróżnych pociągami w Ukrainie. Skoro nie masz na podorędzi nazwisko tego*



strasznika, co zakradł pudełko, niemożliwie będzie je odzyskać, więc musisz zaznać, że jest dla ciebie zatracone na zawsze. Ale proszę, niech twoje doświadczenie w Ukrainie nie zrani twojego o niej obrazu, bo na pewno ją sobie teraz obrażasz jako totalnie przeokropną eksosowiecką republikę.

To mi jest okazja wymówić dziękuję tobie za twoją cierpliwość i stoicyzm z mną podówczas wojaży. Kalkulowałeś może na tłumacza, co miałby więcej wydolności, a ja jestem pewien, że spisałem się na byle jak. Muszę skonsumować ropuchę za nieznaidzenie Augustyny, ale chyba załapiasz, jakie to było sztywne. Może jakbyśmy mieli więcej dni, tobyśmy ją odkryli. Moglibyśmy wtedy przestudniować wszystkie sześć wioski i odpytać wielu ludzi. Moglibyśmy dźwignąć każdy głaz. Ale przecież tyle już to wszystko wymówiliśmy.

Dziękuję ci za duplikację fotografii Augustyny z jej rodziną. Myślałem bez końca o tym, co powiedziałaś obnośnie zakochania z nią. Prawdę zarzekłszy, nie od razu zgłębiłem, kiedy to wymówiłeś w Ukrainie. Ale jestem pewien, że teraz już to zgłębiam. Egzaminuję ją raz, kiedy jest rano, i potem jeszcze raz, zanim pójdę wytwarzać drzem, i za każdą okazją wywidzam coś nowe, jakąś manierę, jak jej włosie rzuca cienie albo usta streszczają się z zakątków.

Taki jestem szczęśliwy, że cię zasyciła pierwsza dywizja tego, co ci posiłem. Musisz wiedzieć, że wykonałem korekty, których domagałeś. Przepraszam za ostatnią frazę, jakoby jesteś bardzo zepsuty Żyd. Uległa zmianie i teraz pisze: „Nie chcęjechać dziesięciu godzin w jakieś brzydkie miasto, żeby nadstugiwać jakiemuś zepsutemu Żydu”. Bardziej rozwolekłem pierwszą partię o sobie i wygruziłem słowo „Murzyni”, jak mi kazileś, chociaż zaprawdę tak bardzo ich lubię. Szczęśliwi

*mnie, że spodobała ci się fraza: „Kiedyś to ty będziesz dla mnie działał rzeczy, których nienawidzasz. Na tym właśnie polega życie rodzinne”. Ale muszę ci się jednakowszem zagadnąć, co to takowe truizm?*

*Długo czasu przetrwałem nad tym, co mi powiedziałeś, żeby bardziej rozwlec partię o mojej Babce. Ponieważ czułem w tej sprawie bardzo serio, pomyślałem, że będzie OK, jak włączę te partie, które mi posiliłeś. Nie mogę powiedzieć, żebym rozmyślał nad tymi kwestii, ale powiedzieć owszem mogę, że pragnę być takim wariacją osoby, co by nad tymi kwestii owszem rozmyślał. Bardzo były piękne, Jonathan, i czułem ich prawdę.*

*I dziękuję ci, czuję się zadłużony wymówić, że nie wypomyknąłeś tej bezprawdy, rzekomo jestem wysoki. Myślałem, że to zdiada lepsze wyrażenie, jeśli będę wysokim.*

*Siliłem się wykonać następny oddział, jak mi kaziłeś, plasując na pierwszym miejscu pośród moich myśli wszystko, coś nauczał. Starłem się też unikować oczywistości albo zbędnej subtelności, zgodnie z twoją demonstracją. Jeśli się rozłazi o tę walutę, którą równolegle mi posiliłeś, musisz być powiadomiony, że wypisałbym to wszystko nawet w jej nieobecność. Pisać dla pisarza to dla mnie tytaniczny honor, zwłaszcza jeśli pisarz jest amerykański, taki jak Ernest Hemingway albo ty.*

*Jeśli się rozłazi o twoje pisanie, „Początek świata często nadchodzi” to był bardzo wzniosły początek. Nieskolkie partie nie rozumiem, ale domniemam, że to po temu, że były bardzo żydowskie, a tylko żydowski persona potrafią rozumieć coś tak żydowskie. Czy to po temu myślicie, że jesteście wybrani od Boga, bo tylko wy rozumiewacie śmieszności, co je wytwarzacie na samych siebie? Mam o tej sekcji jedno*

*małe zapytanie, a mianowicie, czy wiesz, że wielu z imion, które wyzyskujesz, nie są prawowite imiona jak na Ukrainę? Imię Jankiel owszem, słyszałem, tak jak i Hanna, ale reszta są bardzo dziwne. Sam je wynalazłeś? Dużo było takich potknięć, powiadamiam ci. Jesteś tu akurat pisarz humorystyczny czy niedowiadomiony?*

*Nie mam żadnych więcej świetlistych uwag, albowiem muszę posiąść większą partię powieści, zanim pocznę dalej świetlić. Póki teraz, bądź świadom, że jestem zachłystany. Dam ci konsylium, że nawet jak już mi zaprezentujesz więcej, mogę nie posiadać wielu inteligentnych rzeczy do wypowiedzi, ale może na jednakowszem coś się przydam. Może jak zaznam, że coś jest bardzo niespełna rozumne, to ci powiem, a wtedy będziesz mógł zdziałać, żeby było spełna rozumne. Tak już dużo mi o tym powiadomiłeś, że na pewno z radością przeczytam szcztąki i pocznę myśleć o tobie jeszcze wyniosłej, jeśli istnieje takowa ewentualność. Ach, racja, co to takowe mineta?*

*A teraz trochę sprawy osobiste. (Możesz rozreszyć nie czytać ta partia, jeśli stajesz się poprzez nią nudny persona. Zrozumiewałbym, chociaż proszę nie powiadamiaj mi.) Dziadek ostatnio nienazbyt jest zdrowotny. Przetaszczył się w naszą rezydencję na stale. Spoczął na łóżko Igorka wraz z Sammy Davis Junior, Junior, a Igorek spoczął na sofie. Wcale to Igor-ka nie przyprawia migreną, bo to dobry chłopiec i zrozumie-  
wa dużo więcej spraw, aniżeli ktośkolwiek podejrzewia. Posiadam opinię, że to z melancholii Dziadek przestał być zdrowotny i że to poprzez nią jest ślepy, chociaż oczywisto nie ślepy zaprawdę. Ogromnie mu się zgorszyło, odkąd wróciliśmy wspan od Łucka. Jak wiesz, był bardzo przegrany w kwestii Augustyny, bardziej nawet, aniżeli ty czy ja byliśmy przegrani.*

Szttywno jest nie mówić z Ojcem o Dziadka melancholii, bo obaj napotkaliśmy go, jak rozplaczał. Wczoraj wieczór grzędziliśmy się przy stole w kuchni. Jedliśmy czarny chleb i dysputowali o atletyce. Z góry dolazł jakiś odgłos. Akurat nad nami jest komnata Igorka. Byłem pewien, że to rozplacz Dziadka, i Ojciec także samo był pewien. Dołaziło też ciche rap-rap-rap poprzez sufit. (Po normalnemu rap jest znakomity, na ów przykład Załoga z Dniepropietrowska są całkiem w poco, ale tego akurat stylu sponad sufitu wcale nie lubowałem). Szttywno sililiśmy się go zaniebcać. Ten odgłos wzruszył Igorka z spoczynku i Igorek przylazł do kuchni. „Cześć, Niezdara” – powiedział Ojciec, bo Igorek znowu się upadł i znowu zdziałał sobie granatowe oko, tym razem lewe. „Też bym zjadł czarnego chleba” – wymówił Igorek, nie patrząc na Ojca. Chociaż ma dopiero trzymaście prawie czternaście lat, jest bardzo bystry. (Jesteś jedyny persona, komu to powierzam. Proszę nie powierzać to żadnemu innemu personie.)

Nadziwam się, że jesteś szczęśliwy, a twoja rodzina jest zdrowotna i prosperuje. Uczyniliśmy się jak przyjaciele, kiedy byłeś w Ukrainie, tak? W innym świecie moglibyśmy być prawdziwi przyjaciele. Będę w zawieszeniu poprzec twoim następnym listem i też w zawieszeniu będę poprzec nadchodzącą dywizją twojej powieści. Czuję się obwiązany znowu skonsumować ropuchę (oj, bo mi brzuch pęka) za tę nową sekcję, którą ci posilam, ale zrozumiej, że starałem się, jak mogłem, i działałem, co tylko moje najlepsze, i nic lepsze nie mogłem. Tak mi to sztywno lezie. Proszę, bądź prawdomówny, ale też, proszę, bądź dobroczynny, proszę.

Niewinnie,

Aleksandr

## UWERTURA DO NAPOTKANIA GIEROJA, A POTEM GIEROJA NAPOTKANIE

TAK JAK PRZEWIDYWAŁEM, moje dziewczyny bardzo zasmuciło, że nie będę z nimi na obchody pierwszych urodzin nowej konstytucji. „Cała Noc – powiedziała mi jedna z moich dziewczyn – niby jak mam się przyjemnić w próżni ciebie?” Otóż była u mnie pewna interpretacja. „Dzidzi – wymówiła druga dziewczyna. – To nic dobre”. Powiedziałem im wszystkim: „O ile możliwości, byłbym tu z tylko wami, na zawsze. Ale jestem człowiekiem harującym i muszę iść tam, gdzie muszę. Potrzeba nam waluty na sławne kluby nocne, racja? To dla was działam coś, co nienawidzam. Na tym właśnie polega być zakochanym. Więc nie przyprawiajcie mnie migreną”. Ale prawdę zarzekłszy, nie byłem ani odrobiny smutny, że jadę w Łuck tłumaczyć dla Jonathan Safran Foer. Jak już wzmiankowałem, przewodzę całkiem ordynarne życie. Nigdy nie zawitałem w Łuck ani w żadną z niezliczonych wioszczyn, co wciąż jeszcze trwają po wojnie. Byłem więc spragniony uwidzieć nowe rzeczy. Byłem spragniony obficie doświadczać. A już peksperytwa napotkania Amerykana całkiem mnie elektryfikowała.

„Musicie wziąć na drogę jedzenie, Szapka” – powiedział do mnie Ojciec. „Przestań mnie tak przezywać” – odparłem. „Picie i mapy też – dodał. – Prawie dziesięciu godzin będziecie jechali, zanim na dworcu kolejnym w Lwowie napotkacie tego Żyda”. „Ile waluty pouczę za swoje harówki?” – zagadnąłem, bo ten pytajnik ważył mi bardzo serio. „Mniej, niżli myślisz, że ci się należy – on na to – i więcej, niżli ci się należy”. Mocno mnie to przyprawiło migreną, więc rzekłem Ojcu: „No to może ja wcale nie chcę tego działać”. „Nie obchadza mnie twoje chcenie” – powiedział Ojciec i wyciągnął, żeby położyć mi rękę na ramię. W mojej rodzinie Ojciec jest mistrz świata w finalizowaniu konwersacji.

Była zgoda, że Dziadek i ja wyruszymy o północy w pierwszy lipca. Zofiarowałyby nam to piętnaście godzin. Była zgoda wszystkich prócz Dziadka i mnie, że mamy wojażować na Lwowski dworzec kolejny, jak tylko wkroczymy w miasto Lwów. Była zgoda Ojca, że Dziadek ma się mitrzyć z cierpiętnością w aucie, podczas gdy ja na szynach będę się mitrzyć na pociąg gieroja. Nie znałem, jaką będzie miał aparycję, a on nie znał, jaki będę wysoki i w ogóle arystokrat. Dużo o tym potem dowcapieliśmy. Powiedział, że był bardzo znerwowany. Powiedział, że z tych nerw to prosto wyrabiał do portek. Powiedziałem mu, że ja też wyrabiałem do portek, ale jeśli chcesz znać po czemu, to wcale nie po temu, że bałem go się nie poznać. Amerykana w Ukrainie rozpoznać jest całkiem gładko. Wyrabiałem do portek,

bo on był Amerykan, a ja chciałem mu okazać, że też mogę być Amerykan.

Przeświadczyłem anormalnie dużo myśli temu, żeby się na stałe przemieszkać w Amerykę, jak już bardziej postarzeję. Mają tam wielu, znam, znakomitych szkół dla księgowości. Znam to, albowiem mój kolega Gregory, który stowarzysza się z kolegą bratanka tego persony, co wynalazł sześćdziesiąt dziewięć, powiedział mi, że w Ameryce mają wielu znakomitych szkół dla księgowości, a on zna wszystko. Moi koledzy są zasyceni zostać w Odessie poprzez całe swoje życia. Są zasyceni starzeć się jak swoi rodzice i jak swoi rodzice zostać rodzicami. Nie pragną nic więcej niżli wszystko, co już znają. OK, ale to nie dla mnie i dla Igorka też nie będzie to.

Kilkoro dni, zanim gieroj miał się pojawić, zagadnąłem Ojca, czy będę mógł postąpić w Amerykę, kiedy udam skończyć uniwersytet. „Nie” – odparł. „Ale ja chcę” – powiadomiłem mu. „Nie obchadza mnie twoje chcenie” – powiedział, i na tym zwykle finalizuje się konwersacja, ale ta akurat się nie sfinalizowała „Po czemu?” – zagadnąłem. „Bo twoje chcenie dla mnie się nie rozlicza, Szapka”. „Nie – powiedziałem. – Po czemu nie mogę postąpić w Amerykę, kiedy skończę uniwersytet?” „Jeśli chcesz znać, po czemu nie możesz postąpić w Amerykę – odparł, odmykając lodówkę i studniując za jedzeniem – otóż po temu, że Pradziadek był z Odessy, Dziadek był z Odessy i Ojciec, czyli ja, był z Odessy, i twoi chłopcy też będą z Odessy. Poza tym, jak już będziesz magisteriowany, pójdiesz harować w Zwie-

dzaniu Dziedzictwa. To jest potrzebne zatrudnienie, dosyć prima sort dla Dziadka, dosyć prima sort dla mnie i dosyć prima sort dla tobie”. „A jeśli ja nie tego jestem spragniony? – powiedziałem. – Jeśli wcale nie chcę harować w Zwiedzaniu Dziedzictwa, tylko raczej gdzieś, gdzie będę mógł wyrabiać coś nieordynarne i utłuc bardzo dużo waluty zamiast tylko odrobinę? Jeśli nie chcę, żeby moi chłopcy tu dorosli, tylko raczej gdzieś znakomiciej, gdzie są znakomiciejsze rzeczy i więcej rzeczy? A jeśli mam dziewczyny?” Ojciec usunął z lodówki trzy gnatki lodu, zamknął lodówkę i podarował mi fangę. „Przyłóż je sobie na twarz – powiedział, ofiarując mi lód – żebyś nie wyglądał okropnie i nie wytworzył w Lwowie katastrofy”. I na tym sfinalizowała się konwersacja. Powinien byłem posiadać więcej rozumu.

Jeszcze nie wzmiankowałem, że Dziadek zażądał pobrać na drogę Sammy Davis Junior, Junior. To była odosobna sprawa. „Durak z ciebie” – powiadomił mu Ojciec. „Potrzebna mi, żebym lepiej widział drogę – uzasadnił Dziadek, pokazując palcem na oczy. – Jestem ślepy”. „Nie jesteś ślepy i nie pobierzesz suki”. „Jestem ślepy, a suka jedzie z nami”. „Nie – zanegował Ojciec. – To nieprofesjonalno dla suki, żeby jechała”. Byłbym coś powiedział w ujęciu za Dziadkiem, ale nie chciałem znowu się wydurnić. „Albo jadę z suką, albo nie jadę wcale”. Ojciec się zapędził w niezłą szkopolację. Nie jak na Łotewskiej Ostatniej Prostej, tylko jak pomiędzy skałę a hybrydę, co zresztą, prawdę zarzekłszy, trochę przypomina Łotewską Ostatnią Prostą. Był ogień pośród



nich obu. Widywałem już wcześniej takich scen i nic w świecie bardziej mnie nie wystrasza. Finalnie Ojciec uległ, chociaż zapadła zgoda, że Sammy Davis, Junior, Junior musi przywdziać specjalną koszulę, którą Ojciec miał dopiero sfabrykować, z wypisem: SŁUŻBISTA SUKA PRZEWODNIA ZWIEDZANIA DZIEDZICTWA. Po temu, żeby wyglądała profesjonalno.

Nie dość, że mieliśmy w aucie obłąkańczą sukę, która uczyniła sobie skłonność, żeby ciskać się ciałem o okna, to jazda była jeszcze i po temu sztywna, że to auto jest zupełnie gówniane, więc nie chciało jechać ani szybciej, niżli ja mogę biegać, czyli sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wielu aut nas rozmijało, więc czułem się drugorzędniczy, zwłaszcza jak te auta były ciężkie od rodzin albo jak one były rowery. Dziadek i ja nie wymawialiśmy słów obnośnie jazdy, co zresztą nie jest wcale anormalne, bo my w ogóle nigdy nie wymawiamy mnóstwo za bardzo. Siliłem, żeby go aby nie przyprawić migreną, ale tak i siak przyprawiłem. Na ów przykład zapomniałem wystudniować mapę, więc pogapiliśmy wjazd na superstradę. „Proszę, nie podaruj mi fangę – powiedziałem – ale spełniłem z mapą miniaturowy błąd”. Dziadek wierzgnął pedałem stop, a moja twarz powitała się z frontową szybą. Nic nie mówił przez większość minuty. „Prosiłem, żebyś prowadził auto?” – zagadnął. „Nie posiadam licencji na prowadzenie aut” – odparłem. (Zachowaj to w sekrecie, Jonathan.) „Prosiłem, żebyś mi spreparował śniadanie, kiedy tak się tu grzędzisz?” – zagadnął. „Nie” – zeznałem. „Prosiłem, żebyś wynalazł

nowy gatunek koła?” - zagadnął. „Nie - zeznałem. - Nie bardzo bym sobie z tym radził”. „Ilu rzeczy prosiłem, żebyś zdziałał?” - zagadnął. „Tylko jednej” - zeznałem, wiedząc, że jest już strasznie wyciekły, wyciekły na wszystkie strony, i będzie na mnie wrzeszczył poprzez sprolongowany czas, a może nawet mnie pogwałci, na co zresztą wysłużyłem, wciąż jedno i to samo. Ale nie pogwałcił. (Do twojej świadomości, Jonathan, Dziadek zanigdy nie pogwałca mnie ani Igorka.) Jeśli chcesz znać, co zdziałał, tak zawrócił autem dokooła i wróciliśmy wspak w miejsce, gdzie wytworzyłem błąd. Dwudziestu minut to pojmało. Kiedy zjawiliśmy się na lokalizacji, powiadomiłem mu, że to już. „Czy aby jesteś zadufany?” - zagadnął. Powiedziałem, że i owszem. Sunął autem na bok drogi. „Uczynimy tu stop i wyjemy śniadanie” - obświadczył. „Tu?” - zagadnąłem, bo lokalizacja była mało imponująca, zaledwo kilka metry piachu pośród drogą a betonowym murem, co rozgradzał drogę od rolnictwa. „Zauważam, że to lokalizacja prima sort” - powiedział Dziadek, a ja wiedziałem, że najwyklesza przyzwoitość zakaża z nim spierać. Ugrzędziliśmy się w trawie i jedliśmy, a Sammy Davis, Junior, Junior siliła się zlizać żółtych linii z superstrady. „Jeżeli znowu się skiksujesz - zgroził Dziadek, przeżuwając kołbasę - zastopuję auto i wysadzisz się z nogą w tyłku. Noga będzie moja. Tyłek będzie twój. Czy to jest zrozumiano?”

Zajechaliśmy w Lwów poprzez zaledwo jedenastu godzin, nie mniej jednak powędrowaliśmy na tych miast w dworzec kolejny, tak jak Ojciec komenderował.

Sztywno było go znaleźć i wielokrotnie czyniliśmy się ztraceni. Z tego wszystko Dziadek dostał rozgniewu. „Nienawidzam Lwów!” - obznajmił. Byliśmy tam od dziesięciorga minut. Lwów jest wielki i imponujący, ale nie jest jak Odessa. Odessa jest bardzo piękna, z wielu sławnymi plażami, gdzie dziewczyny leżą na wznakach i demonstrują swoje pierwszorzędną łona. Lwów to takie miasto jak miasto Nowy Jork w Ameryce. Nowy Jork, prawdę zarzekłszy, wyprojektowano na wzorec Lwowa. Ma bardzo wysokie domy (nawet sześciu poziome) i pojemne ulice (z dosyć aż miejsca na trzech aut) i wielu telefonów komórkowych. W Lwowie jest dużo pomników i dużo pustek po pomnikach. Nigdy przedtem nie widziałem miejsca, co by było wytworzone z tyła betonu. Wszystko było beton, wszędzie, i powiem ci, że nawet niebo, całkiem szare, wydawało się jak beton. Gieroj i ja gaworzyliśmy o tym później, kiedy brykło nam słów. „Pamiętasz ten cały beton w Lwowie?” - zagadnął. „Tak” - odparłem. „Ja też” - zeznał. Lwów to bardzo ważne miasto w historii Ukrainy. Jeśli chcesz znać po czemu, to ja sam nie znam, ale mój kolega Gregory na pewno zna.

Od środka dworca kolejnego Lwów nie bardzo imponuje. Tam właśnie mitrężyłem się na gieroja poprzez więcej niż czterech godzin. Jego pociąg był zapóźniony, więc wynikło godzin pięć. Przyprawiało mnie migreną, że muszę tam się mitrężyć bez nic do roboty, bez nawet hi-fi, ale byłem bardzo humorystyczny, że nie muszę grzędzić się w aucie z Dziadkiem, który prawdopodobnie

przerabiał się powoli na obłąkańczego personę, i z Sammy Davis, Junior, Junior, która już dawno była obłąkańcza. Dworzec nie był ordynarny, bo od sufitu zwisały niebieskie i żółte papiery. Z okoliczności pierwszych urodzin nowej konstytucji. Wcale mnie to tak znów bardzo nie napawiało dumą, ale byłem zasycony, że gieroj ich uwidzi, jak się wysadzi z pociągu od Pragi. To wtedy pozyska znakomity obraz naszego kraju. Może pomyśli, że te żółte i niebieskie papiery to na jego część, bo znam, że to żydowskie są kolory.

Kiedy jego pociąg nawreszcie się objawił, miałem obie nogi całe w igłach i gwoździach od przebywania pionowym personą poprzez taką długotrwałość. Byłbym się ugrzędził, ale na podłodze władał wielki brud, a ja przywdziałem swoje niezrównane sine džinsy, żeby uczynić gieroja pod wrażeniem. Znałem, z którego wozu się wysadzi, bo Ojciec mi zapowiedział, więc siłęm się pójść w tamtą stronę, kiedy pociąg się objawił, ale bardzo trudno było iść nogami, które całe były z igł i gwoździ. Poprzed swoim frontem niosłem tabliczkę z jego nazwiskiem i wiele raz upadałem się na nogach, i popatrywałem w oczu każdemu personie, co mnie rozmijał.

Kiedy się nawreszcie znaszliśmy, byłem bardzo zszokowany jego prezencją. To jest Amerykan? – pomyślałem. I jeszcze: To jest Żyd? Był srogo krótki. Nosił okulary i miał mikroskopijne włosie, które nigdzie nie było rozłupione, tylko leżało jemu na głowie jak Szapka. (Gdybym był jak Ojciec, może nawet przezwałbym go

Szapką.) Nie wydawał się ani jak Amerykanie, których widywałem w magazynach, ci z żółtym włosiem i z muskułami, ani jak Żydzi z historycznych ksiązek, ci całkiem bez włosia i z wystającymi kośćcami. Nie przywdział ani sinych dzins, ani uniformu. Prawdę żarzekłszy, w ogóle nie wydawał się na coś specjalne. Byłem rozwiedziony do maksymalności.

Musiał chyba uświadczyc tabliczkę, którą miałem w rękę, bo podarował mi fangę w ramię i zagadnął: „Aleks?” Przytwierdziłem. „Jesteś mój tłumacz, racja?” Poprosiłem, żeby spowolnił, bo nie rozumiem. Prawdę żarzekłszy, wyrabiałem do portek wręcz hurto. Siliłem się być flegmiczny. „Lekcja pierwsza. Cześć. Jak się dzisiaj miewasz?” „Co?” „Lekcja druga. OK, pogoda czyż nie jest rozkoszną?” „Jesteś mój tłumacz – powiedział, wytwarzając poruszenia. – Tak?” „Tak – przywtórzyłem, ofiarując mu rękę. – Jestem Aleksandr Perczow. Twój pokorny tłumacz”. „Niemiło byłoby cię pognać” – powiedział. „Że co?” – powiedziałem. „Powiedziałem – powiedział – że niemiło byłoby cię pognać”. „Aha – zaśmiałem się. – Ciebie też niemiło byłoby pognać. Błagam, wybac mi za moje mówienie angielskim. Nie jestem w tym taki znowu prima sort”. „Jonathan Safran Foer” – powiedział i zofiarował mi rękę. „Że co?” „Jestem Jonathan Safran Foer”. „Dżon-fen?” „Safran Foer”. „A ja jestem Aleks” – powiedziałem. „Wiem” – powiedział. „Czy ktoś cię uderzył?” – zagadnął, uświadczysz moje prawe oko. „Ojcu miło było mnie pognać” –

odpartem. Odewziałem mu walizki i wyruszyliśmy ku autu.

„Podróż kolejna cię zasyciła?” – zagadnąłem. „O Boże! – wytchnął. – Dwadzieścia sześć godzin ja pierdołę nie do wiary”. Te jakieś Niedowiary to muszą być bardzo majestatyczne dziewczyny – pomyślałem. „Udało ci się zwytwarzać drzem?” – zagadnąłem. „Co?” „Udało ci się pochrupać?” „Nie rozumiem”. „Spocząć”. „Co?” „Czy udało ci się spocząć?” „Aaa. Nie – odparł. – Nie spocząłem ani trochę”. „Że co?” „Nie... spocząłem... ani... trochę”. „A strasznicy na przejściu granicznym?” „Nie ma o czym gadać – powiedział. – Tyle się o nich nasłuchałem, jak to niby dadzą mi się w znaki, rozumiesz. A oni weszli, sprawdzili paszport i w ogóle nie zawracali mi głowy”. „Że co?” „Słyszałem, że to może być problem, ale nie było żadnego problemu”. „Słyszałeś o nich wcześniej?” „O tak, słyszałem, że to wielkie pierdolone gnoje”. Wielkie pierdolone gnoje. Wpisałem to sobie na mózg.

Prawdę zarzekłszy, byłem zoszołomiony, że gieroj nie miał żadnych prawniczych przesłuchań ani zmagañ z strasznikami na granicy. Oni posiadają ten niesmaczny zwyczaj, żeby zabierać rzeczy bez zapytania ludziom w pociągu. Ojciec w ramach harówki przy Zwiedzaniu Dziedzictwa zajechał raz w Pragę, a kiedy spoczywał, strasznicy usunęli mu z torby dużo rzeczy zaprawdę prima sort, i to jest straszne, bo on ma niewielu rzeczy prima sort. (Tak dziwno jest myśleć, że ktoś zaszkoził Ojca. Przeważniej myślę, że te role są nieprzeruszone.) Powiadamiano mi też różne fabuły o podróżnych, co

muszą ofiarować straszniakom walutę, żeby odzyskać wspaniałe swoje dokumenty. Amerykanu może to przejść albo najlepiej, albo najgorzej. Najlepiej, jak straszniak jest zakochany z Ameryką i chce Amerykanina zanieściami, jaki to niby z niego prima sort straszniak. Ten gatunek straszniaka myśli, że w pewien dzień znowu napotka Amerykanina w Ameryce i że Amerykanin zaoferuje pobrać go na mecz Chicago Bulls, pokupi mu sinich dżinsów i białego chleba, i delikatną toaletbumagę. Ten straszniak marzy, żeby mówić angielskim bez akcentu i pozyskać żonę z nieugiętym łonem. Ten straszniak zezna, że wcale nie kocha tej strony, gdzie zamieszkiwa.

Drugi gatunek straszniaka też kocha się z Ameryką, ale nienawidzi Amerykanina za to, że on jest Amerykanin. I to jest najbardziej gorzej. Ten straszniak wie, że nigdy nie pójdzie w Amerykę, i wie, że nigdy znowu nie napotka Amerykanina. Ukradnie Amerykaninowi i go styranizuje, tylko żeby mu nauczyć, że potrafi. To jest jedyna jemu w życiu okazja, żeby jego Ukraina była coś więcej aniżeli Ameryka i żeby on sam był coś więcej od Amerykanina. Ojciec mi to powiedział, a ja jestem pewien, że on jest pewien, że to jest prawdziwe.

Kiedy zjawiliśmy się przy aucie, Dziadek mitrzył się z cierpiętnością, tak jak mu Ojciec kazał. Był bardzo cierpiętny. Chrupał. Chrupał tak obficie, że gieroj i ja słyszeliśmy go, mimo że chociaż okna były podźwignięte, i grzmiało, jakby auto było w akcji. „To nasz szofer – powiedziałem. – On jest ekspert w szoferstwie”. Postrzegłem bezpokój w uśmiechu naszego gieroja. I to

już po drugi raz. W ciągu czterech minut. „Czy on jest OK?” – spytał. „Że co? – powiedziałem. – Nie wyrabiam zrozumiewać. Mów bardziej wolniej, proszę”. Mogłem pewnie wydać się gieroju jak jakiś inkompetent. „Czy... szo... fer... jest... zdro...wy?” „Z niewątpliwością – odparłem. – Ale muszę ci powiedzieć, jestem z tym szoferem bardzo familijny. To mój dziadek”. W tym momencie Sammy Davis, Junior, Junior uwidoczniła się, bo podskoczyła z zadniego siedzenia i obficie nahauczała. „O Jezu Chryste!” – powiedział gieroju, strasznie sterroryzowany, i odruszył się w dal od auta. „Niech cię głowa nie boli – powiadomiłem mu, podówczas kiedy Sammy Davis, Junior, Junior bębla łbem w okno. – To tylko Przewodnia Suka szofera”. Wykazałem koszulkę, którą była obdziana, ale Sammy Davis, Junior, Junior nadażyła tymczasem przeżuć jej maksimum, więc z wypisu zostało zaledwo: SŁUŻBISTA SUKA. „Jest obłąkańcza – poddałem – ale taka figlarna”.

„Dziadku – powiedziałem, ruszając go za rękę, żeby wzbudzić. – Dziadku, on tu jest”. Dziadek przekręcił głowę stąd tam. „On ciągle spoczywa” – powiedziałem gieroju z nadziei, że to go trochę obspokoi. „To musi być bardzo w rękach” – odparł gieroju. „Że co?” – spytałem. „Powiedziałem, że to musi pewnie być bardzo w rękach”. „Co to syngalezuje: bardzo w rękach?” „To znaczy, że się przydaje. Jest użyteczne, rozumiesz. Ale co z tym psem?” Teraz bardzo często wykorzystywał ten amerykański idiom. Powiedziałem dziewczynie w sławnym klubie nocnym: „Mam oczu bardzo w rękach,



kiedy obserwam twoje niezniwelowane łono”. I zaraz postrzegłem, że ona postrzegła, że jestem persona prima sort. Potem mocno się ucieleśniliśmy i ona wężała swoje kolana i moje kolana też.

Zdołało mi się ruszyć Dziadka z jego spoczynku. Jeśli chcesz znać, jak to działałem, umocowałem mu nos dwoma palcami, żeby nie mógł tchnąć. Nie znał, gdzie jest. „Anna?” – spytał. Tak miała na imię moja Babka, co zmarła o dwa lata onegdaj. „Nie, Dziadku – wyprostowałem. – To ja. Sasza”. Był strasznie zewstydzony. Postrzegłem to, bo odkręcił twarz ode mnie w dal. „Pozy-skałem Dżon-fen” – powiedziałem. „Hmm, właściwie to Jonathan” – przetrącił gieroj, napatrując się w Sammy Davis, Junior, Junior, która akurat wyliżała okna. „Po-zyskałem go. Jego pociąg się zjawił”. „O” – powiedział Dziadek, a ja uważyłem, że wciąż jeszcze odprawia się od snu. „Powinniśmy wymarszować w Łuck – podsugero-wałem – tak jak Ojciec kaził”. „Co?” – spytał gieroj. „Po-wiedziałem mu, że powinniśmy wymarszować w Łuck”. „Tak, do Łucka. Tak właśnie mi mówiono, że tam pój-dziemy. A stamtąd do Trachimbrodu”. „Że co?” – spyta-łem. „Najpierw Łuck, potem Trachimbrod”. „Popraw-nie” – potaknąłem. Dziadek położył ręce na kierownicę. Widokował na wprost siebie poprzez sprolongowany czas. Oddychał bardzo wielkie oddechy i trzął rękami. „Tak?” – spytałem go. „Cicho być” – powiadomił mi. „Gdzie będzie pies?” – spytał gieroj. „Że co?” „Gdzie... będzie... pies?” „Nie rozumiem”. „Boję się psów – powiedział. – Miałem z nimi fatalne doznania”.

Przywótoryłem to Dziadku, który wciąż tkwił jeszcze połową siebie w śnie. „Nikt się nie boi psów” - odparł. „Dziadek powiadamia mi, że nikt się nie boi psów”. Gieroj ruszył koszulą do góry, żeby mi eksponować resztki rany. „To ślad po ugryzieniu” - obznajmił. „Co ślad?” „To”. „Co?” „To tutaj”. „Gdzie tutaj?” „Tu. Wygląda jak dwie linie na skrzyż”. „Nie widzę”. „No tu” - powiedział. „Gdzie?” „Tu, przecież widzisz” - powiedział, a ja na to: „Ach, rzeczywiście”, chociaż, prawdę zarzekłszy, niczego a niczego nie mogłem uświadczyć. „Moja matka boi się psów”. „No więc?” „Więc i ja się ich boję. Nic na to nie poradzę”. I wtedy załapałem. „Sammy Davis, Junior, Junior musi się grzędzić od frontu wraz z nami” - powiedziałem Dziadku. „Wsiadaj, kurwa, w auto - odparł, bo tymczasem gdzieś już zawieruszył całą tę cierpiętność, co ją miał, dopóty chrupał. - Suka i Żyd podziela się zadnim siedzeniem. Jest dość ogromne dla nich dwojga”. Nie wzmiankował, że zadnie siedzenie jest za mało ogromne choćby nawet dla jednego z nich. „Co zrobimy?” - zagadnął gieroj, bojąc się ubliżyć ku autu, podówczas kiedy na zadnim siedzeniu Sammy Davis, Junior, Junior ukrwiła sobie pysk, przeżuwawszy własny ogon.

WIADOMOŚĆ o tym, jak mu się poszczęściło, dotarła do Jankiela D. w chwili, gdy Rozłaźli kończyli swoje cotygodniowe nabożeństwo.

*Najważniejsze, żebyśmy pamiętali* – rzekł cierpiący na narkolepsję hodowca kartofli, Didl S., do członków kongregacji, którzy leżeli na rozrzuconych po jego salonie poduszkach. (Rozłaźli stanowili kongregację wędrowną i w każdy szabas u kogo innego spośród swego grona wyznaczali sobie dom.)

*Co mianowicie pamiętali?* – spytał nauczyciel, Cadyk P., przy każdej sylabie puszczając z ust obłoczek żółtej kredy.

*Nie tyle* – odparł Didl – *ważne jest, co pamiętamy, ile samo pamiętanie. Sam akt pamiętania, proces zapamiętywania i wspomniania, rozpoznawanie własnej przeszłości... Rzec by można, że wspomnienia to małe modlitwy do Boga, gdybyśmy wierzyli w tego rodzaju rzeczy... Jest bowiem coś gdzieś powiedziane właśnie o tym albo o czymś całkiem takim jak właśnie to... Ledwie przed paroma minutami miałem na końcu języka... Jak na dłoni, przysięgam... Czy ktoś tu aby nie widział*

Księgi antecedenów? *Jeszcze sekundę temu miałem pod ręką jeden z wczesnych tomów... Kurwa!.. Czy ktoś potrafi powiedzieć, na czym to ja stanąłem? Całkiem już mi się pogmatwało, co za wstyd, że też zawsze muszę wszystko spierdolić, kiedy odbywa się u mnie w domu...*

*Pamięć* – przyszła mu z pomocą nieutulona w żalu Szanda T., lecz on tymczasem zdążył ulec niepohamowanemu napadowi senności. Wdowa obudziła go i szepnęła: *Pamięć*.

*No właśnie* – powiedział bez zająknięcia, przetrząsając stertę papierów na biurku, które tak naprawdę było kojcem dla kur. *Pamięć. Pamięć i reprodukcja. No i sny, oczywiście. Czym jest jawna, jeśli nie interpretowaniem snów, albo i śnienie, jeśli nie interpretowaniem jawy? Krąg kręgów! Sny, tak? Nie? Tak. Tak, mamy dziś pierwszy szabas. Pierwszy w tym miesiącu. A skoro jest pierwszy szabas miesiąca, musimy uzupełnić Księgę powracających snów. Tak? Niech mi ktoś zwróci uwagę, jeżeli coś popierdoliłem.*

*Od dwóch tygodni śni mi się bardzo ciekawy sen* – oświadczyła Lilla F., potomkini Rozlazłego, który pierwszy wypuścił z ręki Wielką Księgę.

*Znakomicie* – stwierdził Didl, wyciągając tom czwarty *Księgi powracających snów* z prowizorycznej arki, którą tak naprawdę był piec opalany drewnem.

*Mnie też* – zgłosił się Szloim. *I to nawet kilka.*

*Ja także mam sen, który raz po raz powraca* – przyznał Jankiel.

*Znakomicie* – powtórzył Didl. *Doprawdy znakomicie. Już niedługo zapełnimy kolejny tom!*

*Ale najpierw* – szepnęła Szanda – *musimy przejrzeć wpisy z zeszłego miesiąca.*

*Ale najpierw* – rzekł Didl, przybierając władczy ton rabina – *musimy przejrzeć wpisy z zeszłego miesiąca. Musimy się cofnąć, żeby pójść naprzód.*

*Tylko nie marudź za długo* – powiedział Szloim – *bo zapomnę. To i tak zdumiewające, że dotąd pamiętam.*

*Zamarudzi akurat tyle, ile będzie trzeba* – rzekła Lilla.

*Zamarudzę akurat tyle, ile będzie trzeba* – oświadczył Didl i zaraz uczernił sobie dłoń popiołem, który uzbierał się na okładce ciężkiej, w skórę oprawnej książki. Otworzył ją na jednej z ostatnich stron, wziął do ręki srebrny jad, a właściwie cynowy nóż, i podążając za ostrzem, które wykrawało sobie drogę przez sam matecznik życia, jakże Rozlaźli wiedli w snach, zaczął recytować:

4:512 – *Sen o seksie bez bólu.* Cztery noce temu śniły mi się wskazówki zegarów, spadające z kosmosu jak krople deszczu, śnił mi się księżyc jako zielone oko, śniły mi się lustra i owady, i miłość, która nigdy się nie wycofała. Potrzebowałam nie tyle uczucia pełni, ile pragnęłam nie czuć już, że jestem pusta. Sen skończył się, kiedy poczułam, że mój mąż wchodzi we mnie. 4:513 – *Sen o aniołach, którym śnią się ludzie.* W czasie popołudniowej drzemki przyśniła mi się drabina. Po jej szczeblach wchodzi-li i schodzili z zamkniętymi oczami

aniołowie lunatycy, dysząc ciężko, tępo, z obwisłymi wzdłuż boków skrzydłami. Akurat mijałem pewnego starego anioła, gdy wtem zderzyłem się z nim, a on wzdrygnął się i zbudził. Wyglądał całkiem jak mój dziadek, zanim umarł w zeszłym roku, kiedy to co wieczór modlił się, żeby śmierć zabrała go podczas snu. O, powiedział do mnie anioł, właśnie mi się śniłeś. 4:514 – *Sen – chociaż to głupio zabrzmiało – o fruwaniu.* 4:515 – *Sen o tym, jak ucztą, głód i ucztą tańczy walca.* 4:516 – *Sen o odcieleśnionych ptakach (46).* Nie wiem, czy uznalibyście to za sen, czy za wspomnienie, bo rzecz wydarzyła się naprawdę, ale kiedy zasypiam, widzę pokój, w którym opłakiwałem śmierć syna. Ci spośród was, co wtedy ze mną byli, przypomną sobie, jak siedzieliśmy bez słowa, jedząc tylko tyle, ile musieliśmy. Przypomnicie sobie tę chwilę, gdy jakiś ptak przebił szybę w oknie i spadł na podłogę. Przypomnicie sobie – wy, którzyście tam ze mną byli – jak trzepotał skrzydłami, zanim skonał, a kiedy go zabrano z podłogi, zostawił na niej plamę krwi. Ale kto z was pierwszy zauważył pozostawiony w oknie negatyw ptaka? Kto pierwszy

spostrzegł pozostały po ptaku cień, co wytaczał krew z każdego palca, który śmiał musnąć jego kontur; cień, a zarazem pewniejszy od samego ptaka dowód, że ptak ten kiedykolwiek naprawdę istniał? Kto był ze mną, kiedy opłakiwałem śmierć syna, kiedy przeprosiłem was na chwilę i wyszedłem, żeby ptaka własnoręcznie pochować? 4:517 - *Sen o zakochaniu, małżeństwie, śmierci, miłości.* Ten sen trwa jakby całe godziny, chociaż zawsze mieści się w pięciu minutach między moim powrotem z pola a chwilą, kiedy budzą mnie na kolację. Śni mi się, jak poznałem swoją żonę, będzie już pięćdziesiąt lat temu, i we śnie wszystko dzieje się tak samo, jak działo się w rzeczywistości. Śni mi się nasze małżeństwo i nawet widzę łzy dumy mojego ojca. Wszystko po kolei, tak jak było. Potem jednak śni mi się moja własna śmierć, aczkolwiek słyszałem, że coś takiego śnić się człowiekowi nie może, ale musicie mi wierzyć. Śni mi się, że leżę na łożu śmierci, a żona mówi mi, że mnie kocha, i chociaż myśli, że jej nie słyszę, ja owszem, słyszę każde słowo, i jeszcze mówi, że niczego z naszej przeszłości nie chciałaby zmienić. Czu-

ję się, jakbym zdążył już przeżyć tę chwilę tysiąc razy, wszystko wydaje się znajome aż do momentu mojej śmierci, i jeszcze czuję, że cała ta historia będzie się w nieskończoność powtarzać: nieskończenie wiele razy spotkamy się, pobierzemy, spłodzimy dzieci, powiedzie nam się tak samo jak w tym życiu i porażki też przeżyjemy te same, wszystko powtórzy się co do joty i w żadnej powtórce nie uda się zmienić ani jednego szczegółu. Znowu tkwię u podstawy koła, którego zatrzymać nie sposób, a kiedy czuję, że zamykają mi się oczy, bo oto nadchodzi śmierć, tak jak przedtem zamykały się tysiąc razy i potem jeszcze tysiąc razy się zamkną, budzę się. 4:518 – *Sen o wiecznym ruchu*. 4:519 – *Sen o niskich oknach*. 4:520 – *Sen o bezpieczeństwie i spokoju*. Śniło mi się, że urodziłem się z ciała obcej kobiety. Urodziła mnie w potajemnym domostwie, z dala od wszystkiego, co później poznałem, dorastając. Natychmiast po porodzie, dla zachowania pozorów, oddała mnie mojej matce, a moja matka powiedziała: Dziękuję, dałaś mi syna, dar życia. I właśnie dlatego, że wziąłem się z ciała obcej kobiety, nie czułem obawy przed



ciałem matki i mogłem obejmować je bez wstydu, a jedynie z miłością. Ponieważ nie wziąłem się z ciała swojej matki, moje pragnienie powrotu do domu nigdy nie kierowało się ku niej, mogłem więc swobodnie mówić: Matko, tak żeby słowo to wyłącznie Matkę oznaczało. 4:521 – *Sen o odcieleśnionych ptakach* (47). Zmierzch panuje w tym śnie, który miewam co noc, i kocham się z żoną, to znaczy z moją prawdziwą żoną, jesteśmy trzydzieści lat po ślubie, a wszyscy wiecie, jak ją kocham, kocham ją tak bardzo. Miętoszę jej uda, a potem sięgam dłońmi wyżej, do jej talii i brzucha, dotykam piersi. Moja żona to taka piękna kobieta, wszyscy wiecie, a we śnie jest taka sama, równie piękna. Patrząc na spoczywające na jej piersiach własne dłonie (sękaty, zniszczone przedmioty, męskie dłonie, żyłaste, drżące, trzępczące) i przypominają mi się – nie wiem, czemu, ale powtarza się to każdej nocy – przypominają mi się dwa białe ptaki, które matka przywozła mi z Warszawy, gdy byłem dzieckiem. Pozwalaliśmy im fruwać po całym domu i siadać wszędzie, gdzie chciały. Pamiętam, że widziałem plecy matki, kiedy

smażyła mi jajka, i jeszcze pamiętam, że ptaki siadały jej na ramionach, podnosząc dzioby, jakby za chwilę miały powiedzieć matce na ucho jakiś sekret. Sięgała prawą ręką do kredensu i po omacku szukała na górnej półce przyprawy, łowiąc coś nieuchwytnego, trzepoczącego, pilnując, żeby nie przypaliło się przeznaczone dla mnie jedzenie.

4:522 – *Sen o spotkaniu z młodszym sobą.*  
4:523 – *Sen o zwierzętach, parami.* 4:524 – *Sen, że nie mam zamiaru się wstydzić.*  
4:525 – *Sen, że jesteśmy własnymi ojcami.*

Poszedłem nad Brod, nie wiedząc po co, i spojrzałem we własne odbicie. Nie mogłem od niego wzroku oderwać. Cóż to za obraz tak mnie za sobą wciągał? Cóż tak ukochałem? Nagle poznałem go. To było takie proste. W wodzie widziałem twarz ojca, a ona z kolei widziała twarz swojego, i tak dalej, i tak dalej, odbite wstecz aż do początku czasu, do twarzy Boga, na którego podobieństwo zostaliśmy stworzeni. Płonęliśmy miłością do samych siebie, my wszyscy, krzesiciele ognia, w którym cierpieliśmy – nasza miłość była chorobą, a zarazem jedynym na nią lekarstwem...

Recytację przerwało walenie do drzwi. Zanim ktokolwiek z wiernych zdążył wstać, do pokoju wkuśtykali dwaj mężczyźni w czarnych kapeluszach.

*PRZYCHODZIMY W IMIENIU KONGREGACJI STRZELISTYCH!* – wrzasnął wyższy.

*KONGREGACJI STRZELISTYCH!* – jak echo powtórzył niski krępy.

*Cśśśś!* – syknęła Szanda.

*JANKIEL OBECNY?!* – wrzasnął wyższy jakby w odpowiedzi na jej prośbę.

*NO WŁAŚNIE, JANKIEL OBECNY?!* – jak echo powtórzył niski krępy.

*Jestem. Jestem tutaj* – rzekł Jankiel, wstając z poduszki. Przypuszczał, że Rabin Wielce Poważany pragnie skorzystać z jego usług jako finansisty, co zresztą wiele już razy się zdarzało, pobożność była bowiem w tamtych czasach nader kosztowna. *Czym mogę służyć?*

*BĘDZIESZ OJCEM DZIECKA Z RZEKI!* – wrzasnął wyższy.

*BĘDZIESZ OJCEM!* – jak echo powtórzył niski krępy.

*Znakomicie!* – powiedział Didl, zamykając czwarty tom *Księgi powracających snów*, z której buchnęła chmura kurzu, gdy obie części okładki trzepnęły o pierwszą i ostatnią stronę. *Doprawdy znakomicie! Jankiel będzie ojcem!*

*Mazeł tow!* – zaśpiewali członkowie kongregacji. *Mazeł tow!*

Jankielem owładnął nagle strach przed śmiercią – większy niż wtedy, gdy jego rodzice z naturalnych

przyczyn dokonali żywota, większy niż wtedy, gdy jego jedyny brat zginął, zabity we młynie, albo gdy umierały mu dzieci, większy nawet niż wtedy, gdy sam Jankiel był jeszcze dzieckiem i po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że musi postarać się zrozumieć, co by też to mogło znaczyć: nie być żywym – nie tkwić w ciemności, nie trwać w nieczuciu – być niebytem, nie być.

Rozlaźli winszowali mu, a gdy go klepali po plecach, nawet nie zauważyli, że płacze. *Dziękuję* – powtarzał raz po raz, ani przez moment nie zastanawiając się, komu właściwie składa podziękowanie. *Dziękuję wam bardzo*. Dano mu dziecko, a mnie – prapraprapraprapradziadka.

ZHAŃBIONY LICHWIARZ Jankiel D. jeszcze tego samego wieczoru zabrał dziewczuskę do siebie. *Teraz wchodzimy* – powiedział – *na schodek przed frontowymi drzwiami. No i jesteśmy na miejscu. To są twoje drzwi. Ta klamka, którą właśnie naciskam, też jest twoja. Tu stawiamy buty po wejściu do domu. A tutaj wieszamy kurtki.* Mówił do niej tak, jakby rozumiała, nigdy piskliwie ani monosylabami, nigdy też nie używał nonsensownych słowolągów. *To, co ci teraz daję pić, nazywa się mleko. Bierzemy je od mleczarza Mordechaja, którego kiedyś poznasz. Mordechaj bierze je z krowy, co w sumie jest bardzo dziwne i niepokojące, jeśli się nad tym zastanowić, więc się nad tym nie zastanawiaj...* *To, co cię głaszcze po twarzy, to moja ręka. Jedni ludzie są leworęczni, a inni praworęczni. Chwilowo nie wiemy, do których cię zaliczyć, bo na razie nic, tylko leżysz, a mnie pozostawiasz wszystkie zabiegi...* *To jest pocałunek. Polega na tym, że usta składa się w ciup i do czegoś przyciska, czasem do drugich ust, czasem do policzka, czasem jeszcze gdzie indziej. To zależy...* *A tutaj jest moje serce. Dotykasz go lewą ręką, nie żebyś była leworęczna, chociaż owszem, może i jesteś, tylko dlatego, że*

*akurat trzymam ją przy swoim sercu. To, co czujesz, jest biciem mojego serca. Dzięki niemu wciąż żyję.*

Wymościł pogniecionymi gazetami głęboką brytfannę i delikatnie wstawił ją do pieca, żeby leżącej w tym pośłaniu dziewczynce nie zakłócał spokoju hałas małego wodospadu, który płynął za oknem. Drzwiczki zostawił otwarte i odtąd przesiadywał przy nich godzinami, wpatrując się w małą jak w rosnący bochenek chleba. Patrzył, jak jej pierś wznosi się i opada, poruszana szybkim rytmem, podczas gdy dłonie zaciskają się w pięści i znów rozluźniają, a oczy mrużą bez zauważalnego powodu. *Czyżby coś jej się śniło?* – zastanawiał się. *A jeśli tak, cóż może śnić się niemowlęciu? Pewnie życie w przedświatach, tak jak mnie śni się życie zaświatowe.* Kiedy wyjmował ją z pieca, żeby nakarmić albo tylko potrzymać na rękach, cała była wytatuowana gazetowym drukiem. CZAS FARBOWANYCH DŁONI NARESZCIE DOBIEGŁ KOŃCA! MYSZ ZADYNDĄ! Albo dla odmiany: SOFIJÓWKA, OSKARŻONY O GWAŁT, TWIERDZI, ŻE DAŁ SIĘ OPĘTAĆ PER-SWAZJI PENISA I „WYMKNĄŁ SIĘ SOBIE Z GARŚCI”. Lub też, AWRUM R. ZGINĄŁ TRAGICZNĄ ŚMIERCIĄ NA SKUTEK WYPADKU WE MŁYNIU. ZOSTAŁ PO NIM ZABŁĄKANY KOT SYJAMSKI W WIEKU CZTERDZIESTU OŚMIU LAT, PŁOWY, PULCHNY, ALE NIE ZAPASIONY, DOBREJ PREZENCJI, MOŻE JEDNAK ODROBINĘ ZAPASIONY, WABI SIĘ MATUZALEM, NO DOBRA, ZAPASIONY JAK JASNA CHOLERA. ZNALAZCA NIECH GO SOBIE MA. Czasem trzymał ją w ramionach, póki nie ukołysał do snu, i czytał z lewa na prawo, zdobywając

w ten sposób wszystkie potrzebne wiadomości o świecie. Co nie było wypisane na jej skórze, nie miało dla niego znaczenia.

Jankiel stracił dwoje dzieci: jedno zabrała febra, a drugie młyn, który, odkąd go uruchomiono, odbierał życie jednemu mieszkańcowi sztetla rocznie. Stracił też żonę, ale nie na rzecz śmierci, tylko innego mężczyzny. Wrócił kiedyś do domu, spędziwszy całe popołudnie w bibliotece, i zobaczył, że napis SZALOM! na wycieracze zasłania kartka z wiadomością: *Musiałam to zrobić dla siebie.*

Lilla F. dłubała palcami w ziemi wokół jednej ze swoich stokrotek. Bicl Bicl stał przy oknie w kuchni i udawał, że szoruje blat. Szloim W. patrzył przez górną bańkę jednej z tych klepsydr, z którymi już nie potrafił się rozstać. Nikt nie powiedział ani słowa, gdy Jankiel czytał wiadomość, i potem też nigdy o tym nie mówiono, jak gdyby zniknięcie jego żony było czymś najzupełniej zwyczajnym albo jakby ludzie nie zauważyli, że w ogóle miał kiedyś żonę.

*Czemu nie wsunęła jej pod drzwi? – zastanawiał się. Czemu nie złożyła w kilkoro?* Kartka wyglądała jak pierwsza lepsza z tych, które żona czasem mu zostawiała, na przykład: *Spróbowałbyś naprawić zepsutą kołatkę?* albo *Zaraz wracam, nic się nie martw.* Nie mógł się nadziwić, że kartka o tak zupełnie innej treści – *Musiałam to zrobić dla siebie* – wygląda identycznie jak tamte: banalnie, przyziemnie, nijako. Inny na jego miejscu znienawidziłby żonę za to, że zostawiła kartkę na widoku, a także za

pospolitość tej kartki, tej wiadomości niczym nieprzybranej, bez choćby najdrobniejszego znaku, że owszem, idzie tu o coś ważnego, tak, to najboleśniejże słowa, jakie w życiu napisałam, tak, wolałabym raczej umrzeć, gdybym musiała jeszcze raz je napisać. Gdzież były zaschnięte łyzy? Gdzie rozedrganie liter?

Ale żona była jego pierwszą i jedyną miłością, a mieszkańcy maleńkiego sztetla byli z natury wyrozumiali wobec swoich pierwszych i jedynych miłości, nakazał więc sobie wyrozumiałość, a przynajmniej udawał, że rozumie. Ani razu nie pozwolił sobie czynić nieobecnej wyrzutów za to, że uciekła do Kijowa z wędrownym wąsatym urzędasem, którego wezwano, żeby pomógł uporządkować bezładne postępowanie związane z haniebnym procesem, jaki wytoczono Jankielowi; urzędas mógł jej obiecać dostatnią przyszłość, mógł wyrwać ją z tego wszystkiego, zabrać w jakieś miejsce, gdzie będzie panował spokój – bez żadnego myślenia, zeznań ani adwokackich przetargów. Nie, to nie o to szło. Bez Jankiela. Chciała być bez Jankiela.

Przez kilka następnych tygodni usiłował nie myśleć o tym, jak urzędas pierdoli jego żonę. Na podłodze, wśród rozrzuconych przypraw i innych kuchennych ingrediencji. Na stojąco, i to jeszcze w skarpetkach. W trawie na podwórku ich nowego, ogromnego domiszcza. Wyobrażał sobie, że kobieta wydaje odgłosy, jakimi jego nigdy nie uraczyła, i doznaje rozkoszy, jakich nigdy nie zdołał jej dać, bo urzędas był mężczyzną – w przeciwieństwie do Jankiela. *Czy ona ssie jego penis?* – zastanawiał się.



*Wiem, że to głupia myśl, która sprawi mi wyłącznie ból, ale nie umiem się od niej uwolnić. A kiedy ona ssie jego penis, bo przecież na pewno ssie, co on wtedy robi? Chwyta ją za włosy i odciąga jej głowę do tyłu, żeby popatrzeć? Dotyka jej piersi? Myśli o innej? Zabiję go, jeżeli myśli o innej.*

Na oczach sztetla, który wciąż się przyglądał – chociaż Lilla dalej grzebała w ziemi, Bicl Bicl szorował blat, a Szloim udawał, że piaskiem odmierza czas – Jankiel złożył kartkę w kształt łyży, wsunął ją za klapę płaszcza i wszedł do domu. *Nie wiem, co robić* – pomyślał. *Pewnie należałoby się zabić.*

Życie było nie do zniesienia, ale śmierć też. Nieznośna była myśl, że jego żona kocha się z innym, ale nieobecność tej myśli też była nie do zniesienia. Co się tyczy kartki z wiadomością od żony, to dalsze jej przechowywanie było nieznośne, lecz z drugiej strony nie mógł zdobyć się na to, żeby ją zniszczyć. Próbował więc zgubić. Zostawiał kartkę obok świeczników ociekających woskowymi łzami, w każdą Paschę wkładał ją między mace, nieuważnie upuszczał na biurko, w kłębowisko zmiętych papierzysek, z nadzieją, że po powrocie już jej tam nie znajdzie. Ale zawsze na niego czekała. Usiłował wygnieść ją sobie z kieszeni, siedząc na ławce przed fontanną z syreną na płask rozciągniętą, lecz gdy sięgał po chusteczkę, znajdował kartkę. Wsuwał ją jak zakładkę do jednej ze swoich najbardziej zniechęconych powieści, ale po kilku dniach odnajdywała się między stronkami książki przygodowej z Dzikiego Zachodu – jednej z tych, które w całym sztetlu czytał tylko on, jednej

z tych, które fatalna kartka na zawsze mu zatrzymała. Za nic w życiu nie mógł jednak jej się pozbyć, tak jak i nie mógł pozbyć się życia. Wciąż do niego wracała. Trwała przy nim, jakby była jego częścią, wrodzonym znamieniem, kończyną – była u niego, w nim, była nim samym, była jego hymnem: *Musiałam to zrobić dla siebie*.

Tyle w życiu potracił rozmaitych karteluszków, kluczy, piór, koszul, okularów, zegarków, sztucców. But, ulubione spinki do mankietów, te z opalami (rozlaźle frędzle przy rękawach jego koszul wicherzycielsko rozkwitły), trzy lata z dala od Trachimbrodu, miliony pomysłów, które zamierzał zanotować (ten i ów całkiem własny, ten i ów pełen głębokiego znaczenia), włosy, figurę, dwoje rodziców, dwoje dzieci, żonę, cały majątek w bilonie i więcej szans, niż dałoby się zliczyć. Ba, nawet własne imię: przed ucieczką ze sztetla brzmiało ono Safran, Safran od urodzenia aż do jego pierwszej śmierci. Wyglądało na to, że nie ma na świecie rzeczy, której nie umiałby stracić, zgubić, zawieruszyć. Lecz ten skrawek papieru uparcie nie chciał zniknąć, przenigdy, podobnie jak wizja żony na płask rozciągniętej, a także myśl, że gdyby tylko potrafił na to się zdobyć, jego życie wielce by zyskało dzięki raptownemu zakończeniu.

Przed procesem Jankiel, wtedy jeszcze Safran, cieszył się bezwarunkowym poważaniem. Był prezesem (a zarazem skarbnikiem, sekretarzem i jedynym członkiem) Komitetu na rzecz Sztuk Zacznych i Pięknych, jak również założycielem i przez wiele semestrów rektorem, a także jedynym wykładowcą Szkoły Wznioślejszego

Kształcenia, która prowadziła u niego w domu zajęcia z nim samym w roli jedyne go słuchacza. Nieraz się zdarzało, że jakaś rodzina wydawała na cześć (acz niekoniecznie w obecności) Jankiela proszony obiad z wielu dań lub że któryś z zamożniejszych członków miejscowej społeczności zamawiał u wędrownego artysty jego portret. A portrety te zawsze wypadały pochlebnie. Był człowiekiem przez wszystkich podziwianym i lubianym, ale nikomu nieznanym. Był jak książka, którą przyjemnie jest wziąć do ręki, o której można mówić, chociaż nigdy jej się nie czytało, i którą można polecić.

Za radą adwokata, Izaaka M., który przy każdej sylabie każdego swojego słowa kreślił dłońmi w powietrzu znaki zapytania, Jankiel przyznał się do wszystkich zarzucanych mu nieprawidłowości w praktyce lichwiarskiej, licząc na łagodniejszy wymiar kary. Utracił jednak licencję. I nie tylko ją. Utracił też dobre imię, a jest to podobno jedyna strata cięższa od utraty zdrowia. Przechodnie szydlerzo na niego spoglądali albo szeptem miotali takie obelgi, jak „łajdak”, „oszust”, „kundys”, „piździelec”. Nie znienawidzono by go tak, gdyby go przedtem tak nie kochano. Był jednak obok Rabina Ogrodowego i Sofijówki jednym z wierzchołków wspólnoty – tym niewidzialnym – gdy więc okrył się hańbą, powstało wrażenie zakłóconej równowagi, próżni.

Wędrował po okolicznych wsiach, znajdując w nich pracę jako nauczyciel teorii i praktyki gry na klawesynie, konsultant do spraw perfum (symulował przy tym głuchotę i ślepotę, żeby mimo braku referencji zyskać jaką

taką wierzytelność), a nawet podjął niefortunną próbę zrobienia kariery w roli najgorszego wróżbity świata – *Nie zamierzam okłamywać pana, jakoby przyszłość wyglądała szczególnie obiecująco...* Ilekroć budził się rano, czuł, że pragnie żyć w sposób prawy, być człowiekiem dobrym i znaczącym, że chce – jakkolwiek prosto to brzmi i jakkolwiek niemożliwe okazywało się w rzeczywistości – być szczęśliwy. Lecz każdego dnia serce zstępowało mu z piersi do żołądka. Zaraz po południu ogarniało go przemożne wrażenie, że wszystko jest nie tak albo że tylko dla niego wszystko jest nie takie, jakie być powinno, a wrażeniu temu towarzyszyło pragnienie samotności. Do wieczora osiągał spełnienie: samotny w bezmiarze swojego żalu, samotny w swojej bezcelowej winie, samotny nawet w swoim osamotnieniu. *Nie jestem smutny* – powtarzał w duchu raz po raz. *Nie jestem smutny*. Jak gdyby miał szansę pewnego dnia na dobre to sobie wmówić. Albo siebie okłamać. Lub wmówić to innym – bo gorsze niż smutek może być tylko to, że o naszym smutku wiedzą właśnie inni. *Nie jestem smutny. Nie jestem smutny*. Jego życie kryło bowiem w sobie bezkresne perspektywy szczęścia, a to z tej przyczyny, że było pustym białym pokojem. Zasypiał z sercem w nogach łóżka, jakby to było udomowione zwierzę, a nie część jego własnego ciała. Co rano budził się i stwierdzał, że wróciło do kredensu klatki piersiowej – troszkę cięższe, troszkę słabsze, wciąż jednak biło. Po południu zaś znów ogarniało go przemożne pragnienie, żeby być gdzie indziej, kim innym, kim innym gdzie indziej. *Nie jestem smutny*.

Po trzech latach wrócił do sztetla – a ja jestem rozstrzygającym dowodem na to, że wszyscy obywatele, którzy ruszają na obczyznę, prędzej czy później wracają – i wiódł odtąd cichy żywot, niby frędzla w rozlazłym stylu przyszyta do rękawa Trachimbrodu, zmuszony nosić na szyi to okropne kółko z liczydeł jako znak swojej hańby. Wyrzekł się własnego imienia i kazał się nazywać Jankielem: stał się w ten sposób imiennikiem urzędasza, który uciekł z jego żoną. Prosił, żeby nikt już nigdy nie mówił mu „Safran” (choć chwilami miewał wrażenie, że słyszy, jak ktoś mamrocze to imię za jego plecami). Wielu dawnych klientów wróciło do niego, a chociaż nie chcieli płacić takiego procentu jak w czasach jego największej świetności, zdołał jednak od nowa urządzić się w rodzinnym sztetlu – co zresztą prędzej czy później próbują uczynić wszyscy wygnańcy.

Kiedy mężczyźni w czarnych kapeluszach dali mu dziecko, poczuł, że sam też jest tylko dzieckiem i ma szansę pożyć bez wstydu, nie pragnąc pociechy po źle przeżytym życiu, ma szansę znów być niewinny, po prostu i niemożliwie szczęśliwy. Wybrał dla niej imię Brod – od rzeki, z której w tak osobliwy sposób się narodziła – i podarował jej maleńkie kółko z liczydeł, zawieszane na sznurku, żeby miała własny naszyjnik i nigdy nie czuła się obco w tym gronie, które miało się stać jej rodziną.

Moja praprapraprababka rosła, ale nic oczywiście nie pamiętała i nikt jej niczego nie opowiadał. Jankiel zmyślił bajeczkę o tym, jak jej matka przedwcześnie

umarła – *bezbolesnie, w czasie porodu* – a na liczne pytania dziewczynki odpowiadał tak, żeby (wedle swoich wyobrażeń) sprawić jej jak najmniej bólu. Właśnie po matce miała te piękne, duże uszy. Właśnie po matce odziedziczyła poczucie humoru – przedmiot zachwytu wszystkich chłopców. Mówił jej o wakacjach, na które jeździł z żoną (w Wenecji wyciągnęła mu drzazgę z pięty, a w Paryżu naszkicował czerwonym ołówkiem jej portret na tle wysokiej fontanny), pokazywał listy miłosne, jakie sobie nawzajem posyłali (te, których autorką miała rzekomo być matka Brod, sam pisał lewą ręką), a na dobranoc opowiadał historyjki o tym, jak romansowali.

*Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia, Jankielu?*

*Zakochałem się w twojej matce, zanim ją choćby ujrzałem: pokochałem jej zapach!*

*Powiedz mi jeszcze raz, jak wyglądała.*

*Tak samo jak ty. Była piękna i miała takie same jak ty oczy nie do pary. Jedno niebieskie, drugie piwne, całkiem jak twoje. Do tego wydatne kości policzkowe i delikatną skórę, tak jak ty.*

*Jaka była jej ulubiona książka?*

*Księga Rodzaju, rzecz jasna. Genesis.*

*Wierzyła w Boga?*

*Nigdy nie chciała mi tego powiedzieć.*

*Jak długie miała palce?*

*O, takie.*

*A nogi?*

*Takie.*

*Opowiedz mi jeszcze raz, jak przed pocałunkiem dmuchała ci w twarz.*

*Co tu opowiadać: zanim mnie pocałowała, zawsze najpierw lekkim podmuchem studziła moje usta, jakbym był gorącą potrawą, którą zamierzała zjeść!*

*Była zabarwna? Zabarwniejsza ode mnie?*

*Była najzabarwniejszą osobą na świecie. Całkiem tak samo jak ty.*

*A czy była piękna?*

To się musiało tak skończyć: Jankiel zakochał się w swojej niebyłej żonie. Nocami budził się zżerany tęsknotą za ciężarem, pod którym nigdy nie ugięła się druga połowa łóżka, i całkiem serio wspominał wagę gestów, których ani razu nie wykonała, tęsknił za nieważkością jej nieręki, leżącej w poprzek jego aż nazbyt rzeczywistej piersi, przez co owe wdowieńcze wspominki stawały się tym bardziej przekonujące, a ból tym prawdziwszy. Czuł, że ją stracił. Bo też istotnie ją stracił. Po nocach na nowo czytał listy, których nigdy do niego nie napisała.

Najdroższy Jankielu!

Już niedługo znów będę z Tobą w domu, więc nie musisz tak się rozwodzić nad tym, jak za mną tęsknisz, chociaż słodko się to czyta. Taki jesteś niemądry. Zdajesz sobie sprawę? Wiesz, jaki jesteś niemądry? Może właśnie za to tak bardzo Cię kocham, bo ja też jestem niemądra.

Cudownie mi tu. Okolica bardzo piękna: ani trochę nie przesadziłeś, opowiadając o niej. Lu-

dzie są mili, a mnie dopisuje apetyt, o czym wspominaam tylko dlatego, że wciąż się martwisz, czy aby wystarczająco dbam o siebie. Otóż dbam, więc już się nie martw.

Strasznie za Tobą tęsknię. Prawie nie do zniesienia. Nie ma chwili, żebym nie myślała o Twojej nieobecności, a ta myśl nieomal mnie zabija. Ale oczywiście niedługo do Ciebie wrócę i nie będę już musiała za Tobą tęsknić, nie będę musiała znosić świadomości, że czegoś – a raczej wszystkiego – mi brak i jest tu tylko to, czego tu nie ma. Przed zaśnięciem całuję poduszkę i wyobrażam sobie, że to Ty. Owszem, wiem, to gest trochę w Twoim stylu. Pewnie właśnie dlatego tak robię.

Prawie mu się udało. Tyle razy opisywał każdy detal, że w końcu ledwie potrafił odróżnić je od faktów. Ale prawdziwa kartka z wiadomością raz po raz do niego wracała, a nie wątpił, że właśnie ona odcina mu drogę do tej najprostszej, najniemożliwszej rzeczy, jaką jest szczęście. *Musiłam to zrobić dla siebie*. Brod miała raptem kilka lat, kiedy dowiedziała się o istnieniu kartki, która jakimś sposobem trafiła do jej prawej kieszeni – jak gdyby obdarzona była własnowolnym umysłem, jak gdyby tych pięć nagryzmoonych słów mogło chcieć komuś zadać rzeczywistość. *Musiłam to zrobić dla siebie*. Dziewczynka albo wyczuła niezmierną doniosłość kartki, albo uznała, że to zupełnie nieważny śmieć, bo nigdy o niej nie wspomniała Jankielowi, lecz położyła mu ją na szafce



nocnej i tam też znalazł kartkę jeszcze tego samego wieczoru, przeczytawszy kolejny list, którego nie napisała matka Brod, którego nie napisała jego żona. *Musiałam to zrobić dla siebie.*

*Nie jestem smutny.*

RABIN WIELCE POWAŻANY dał pół piekarskiego tuzina jaj i garść czarnych jagód za zamieszczenie w cotygodniowej gazetce Szymona T. następującego anonsu: otóż pewien krewki urzędnik z magistratu we Lwowie zażądał, aby bezimiennemu dotąd sztetłowi nadano nazwę, którą wpisze się na nowe mapy i do spisów ludności; nie powinna ona urażać subtelnych uczuć szlachty ukraińskiej ani polskiej, nie powinna też być nazbyt trudna w wymowie, no i należy ją wybrać do końca tygodnia.

*GŁOSOWANIE!* – proklamował Rabin Wielce Poważany. *PODDAMY SPRAWĘ POD GŁOSOWANIE!* Jak bowiem pewnego razu oświecił Rabin Wielebny: *A WIĘC SKORO UWAŻAMY, ŻE KAŻDY ZDRÓW NA UMYŚLE, ŚCIŚLE PRZESTRZEGAJĄCY ZASAD MORALNYCH, PONADPRZECIĘTNY, MAJĘTNY, POBOŻNY I DOROSŁY ŻYD PŁCI MĘSKIEJ RODZI SIĘ OBDARZONY GŁOSEM, KTÓREMU NALEŻY SIĘ POSŁUCH, CZYŻ NIE WYSŁUCHAMY ICH WSZYSTKICH?*

Nazajutrz rano przed Synagogą Strzelistą postawiono urnę, po czym uprawnieni do głosowania obywatele

stanęli w ogonku wzdłuż linii uskoku, dzielącej strefę żydowską od ludzkiej. Bicl Bicl R. głosował za Gefilteville; nieboszczyk filozof Pinchas T. opowiedział się za Czasolotną Kabiną z Pyłu i Sznurka. Rabin Wielce Poważany oddał głos na *SZTETL POBOŻNYCH MĘŻÓW, ZWANYCH STRZELISTYMI, I ROZLAZŁYCH, CHOĆBY WZMLANKI NIEGODNYCH, Z KTÓRYMI ŻADEN SZANUJĄCY SIĘ ŻYD NIE POWINIEN SIĘ ZADAWAĆ, CHYBA ŻE PIEKŁO TO DLA NIEGO WAKACJE.*

Szalony szlachetka Sofijówka N., mając nadmiar czasu i niewiele zajęć, podjął się pilnować urny przez całe popołudnie, a wieczorem dostarczyć ją do lwowskiego magistratu. Nim nastał ranek, problem oficjalnie rozstrzygnięto. Dwadzieścia trzy kilometry na południowy wschód od Lwowa, cztery kilometry na północ od Kołek, okraczając granicę polsko-ukraińską niby gałązka, która spadła akurat na płot, leżał sztetl Sofijówka. Nowa nazwa – ku rozpaczy tych, którzy musieli ją dźwigać – została oficjalnie i nieodwołalnie zatwierdzona. Miała towarzyszyć sztetlowi aż do jego śmierci.

Oczywiście nikt z mieszkańców Sofijówki nie nazywał jej Sofijówką. Póki nie otrzymała tak wstrętnego oficjalnego miana, nikt nie czuł potrzeby, żeby ją w ogóle jakkolwiek nazywać. Odkąd jednak spadła na nich ta zniewaga, że ich rodzinna miejscowość stała się imienniczką znanego popaprańca, obywatele sztetla zyskali miano, wobec którego musieli się dystansować. Niektórzy wręcz mówili o sztetlu „Nie-Sofijówka” i nie przestali nawet wtedy, gdy wybrano już nową nazwę.

Rabin Wielce Poważany wezwał wszystkich do ponownego głosowania. *OFICJALNEJ NAZWY ZMIENIĆ SIĘ NIE DA* - oświadczył - *ALE MUSIMY MIEĆ JAKIEŚ ROZSĄDNE NAZWANIE DLA NASZYCH WŁASNYCH CELÓW*. Nikt wprawdzie nie był pewien, o jakich właściwie celach tu mowa - *Bo czy przedtem mieliśmy cele? I jaki, ściśle rzecz biorąc, jest mój własny cel wśród naszych wspólnych celów?* - ale powtórne głosowanie wydawało się bezsprzecznie potrzebne. Urnę postawiono przed Synagogą Strzelistą i tym razem pilnowały jej bliźniaczki Rabina Wielce Poważanego.

Ślusarz Icyk W., co miał artretyzm, głosował za Poganiczem. Izaak, znawca praw, oddał głos na Sztetltroztropność. Lilla F., potomkini Rozlazłego, który jako pierwszy wypuścił z ręki księgę, namówiła bliźniaczki, żeby pozwoliły jej przemycić do urny kartkę podpisaną „Pinchas”. (Córki rabina także głosowały: Hanna podpisała się „Chana”, a Chana - „Hanna”).

Wieczorem Rabin Wielce Poważany policzył głosy. Wynik był remisowy - po jednym głosie na każdą nazwę: Łuck Mniejszy, STRZELISTOWO, Nowa Obietnica, Linia Uskoku, Jozue, Pod Kluczem... Ponieważ jego zdaniem seria niepowodzeń trwała już wystarczająco długo, rabin postanowił - uznawszy, że sam Bóg w podobnej sytuacji postąpiłby nie inaczej - na chybił trafił wyciągnąć z urny papierek i nadać sztetlowi wylosowaną w ten sposób nazwę.

Skinął głową, czytając znajome już pismo. *JANKIEL ZNOWU WYGRAŁ* - oświadczył. *JANKIEL NAZWAŁ NAS „TRACHIMBROD”*.

23 wrzesień 1997

*Drogi Jonathan!*

*Ogromnie mile mnie to podłechtalo, że dostalem twój list i dowiedziałem się żeń, że jesteś wspanak usytuowany w uniwersytet na definitywny rok studiów. Co się mnie dotycza, to zostały mi wciąż jeszcze dwa lata pośród ostatków. Nie wiem, co potem zdziałam. Wielu z tych rzeczy, które mi powiadomiłeś w lipcu, dalej są dla mnie doniosłe, na ów przykład to, co mawiałeś o szukaniu za marzeniami i że jeśli masz dobre i znaczące marzenie, to jesteś obwiązany za nim szukać. Muszę powiedzieć, że dla ciebie to może być lżejsza betka aniżeli dla mnie.*

*Wcale nie łaknąłem tego wzmiankować, ale zawzmiankuje. Niebawem posiądę dosyć waluty, żeby kupić kwit na samolot w Amerykę. Ojciec tego nie wie. Myśli, że wszystko, co posiadam, rozsiewam po sławnych dyskotekach, ale ja per procura dyskotek często schadzam na plażę i gnieźdźę się tam godzinami, żeby nie musieć rozsiewać waluty. Kiedy tak się gnieźdźę na plaży, myślę o tym, jaki z ciebie szczęściara.*

*Wczoraj były czternaste urodziny Igorka. Igorek o jeden dzień onegdaj połamał sobie rękę, bo znowu się upadł, tym*

razem z płotu, na który się wspinaczkował, jeśli potrafiasz w to uwierzyć. Wszyscy bardzo nieugięcie staraliśmy się go obścześnie, a Matka upiekła ciasto prima sort, takie z wielu sufity, i mieliśmy nawet mały festyn. Dziadek też oczywiście był obecny. Ciekawił się, co u tobie, więc powiedziałem mu, że cofniesz się na uniwersytet w wrześniu, czyli teraz. Nie powiadomiłem mu, że strasznik skradł pudełko Augustyny, bo wiedziałem, że Dziadek byłby o to zewstydzony, a tak to się zeszczęśliwił, że o tobie słyszy, chociaż nigdy się nie szczęśliwił. Chciał, żebym dociekł, czy podobałbyś posilić mu jeszcze jedną duplikację zdjęcia Augustyny. Obiecywał zofiarować ci walutę za każdy wydatek. Bardzo się nim bezpokoję, jak ci już zresztą powiadomiłem w poprzednim liście. Jego zdrowie ulega klęsce. Bryka mu energii, żeby się często wyprawiać migreną, więc najprzeważniej milczy. Prawdę zarzekłszy, już bym wołałbym, gdyby na mnie wrzeszczył albo i czasem podarował mi fangę.

Igorek pozyskał od Ojca na urodziny nowy rower – spaniały podarek, bo wiem, że Ojciec nie posiada dosyć waluty na takowe podarki. „Biedny Niezdara – powiedział, wyciągając, żeby położyć Igorku rękę na ramię. – Powinien się szczęśliwić w własnych urodzinach”. Obrazek roweru wprzągłem w mniejszą kopertę. Powiedz mi, czy jest druzgocący. Proszę, bądź prawdomówny. Nie pozgniewam się, jeśli mi powiesz, że wcale nie jest druzgocący.

Wczoraj wieczór powziąłem decyzję nie iść w żadne sławne miejsce. Zamiast to gnieździłem się na plaży. Ale nie byłem w swoim normalnym samotnieniu, bo pobrałem ze sobą zdjęcie Augustyny. Muszę tobie zeznać, że studniuję je bardzo

*powtarzalnie i wytrwalam w myśleniu o tym, co powiedziałeś obnośnie zakochania z nią. Jest piękna. Masz rację.*

*No, ale dosyć już mojego gada-gada. Czynisz się poprzezze mnie strasznie nudny persona. Teraz przejdę do interesu opowieści. Postrzegłem, że drugą dywizją byłeś mniej zasycony. Zajadam za to kolejną ropuchę. Ale twoje korekty były takie łatwe. Dziękuję, żeś mi powiadomił, że mówi się „robić w portki” i „poręcznie”. Bardzo jest dla mnie przydatne znać poprawnych idiomów. Bardzo to jest nieobchodzone. Wiem, że prosileś mnie nie okrawać błędów, bo one brzmią humorycznie, a tylko z humorem da się nawiernie opowiedzieć smutną fabułę, ale chyba jednakowszem je okroję. Proszę, nie zniechęcaj mnie.*

*Na to miast wszystkie pozostałe korekty, które zakomenderowałeś, owszem, wymodelowałem. Wcisnąłem to, co mi kazileś, w partię o naszym pierwszym napotkaniu. (Czy naprawdę myślisz, że jesteśmy porównalni?) Na twoją komendę amputowałem frazę „Był srogo krótki” i zamiast jej wszczepiłem „Podobnie jak ja był niewysoki”. Na tych miast po zdaniu „O», powiedział Dziadek, a ja uważylem, że wciąż jeszcze odprawia się od snu” dodałem, tak jak mi kazileś, „O Babce?”*

*Jestem zadufany, że z tymi zmianami druga partia fabuły jest per fekt. Byłem niewydolny zignorować obserwację, że znowu posilileś mi walutę. Za to ci znowu dziękuję. Ale niniejszym papuguję, co wymówiłem już wcześniej: jeśli nie jesteś zasycony tym, co ci posilam, i chciałbyś, żebym twoją walutę posilił ci wspak, posilę ci ją wspak niezewłocznie. Pod jaką inną kondycją nie mógłbym odczuwać się dumny.*

*Nad tym oddziałem, co nastąpi, bardzo się zmozoliłem. Jest jak dotąd z wszystkich najszywny. Staralem się odgadnąć nieskolkie detale, które kazilbyś mi okrajac, i pozawczasu sam je okrajalem. Na ów przyklad nie uzylem zawrotu „przyprawiac migrenę” z taką jak dotenczas nawykliwoscia, bo postrzeblem, ze on ci robi na nerwach. Postrzeblem to z tej frazy w twoim liście, gdzie mówisz: „Przestaań używac zwrotu «przyprawiac migrenę». To mi dziala na nerwy”. Powynalazlem zarówniez rzeczy, które myslalem, ze cię zasycą, śmieszne rzeczy i smutne tez. Jestem pewien, ze mi powiadomisz, gdzie się zapodrózowalem nazbyt dalece.*

*Co się dotycza twojego pisania, posililes mi wielu stronic, ale muszę ci powiedziec, ze czytam je co do jednej. Księga powracajacych snów byla bardzo piekna i powiem, ze sen o tym, ze jesteśmy swoi własni ojce, przetracil mnie w melancholiję. O to właśnie ci szlo, tak? Oczewidno nie jestem Ojciec, wiec moze jestem w twojej fabule rzadki ptak. Kiedy widokuje w odbicie, nie Ojca widzę, tylko jego negatyw.*

*Jankiel. To dobry czelowiek, tak? Po czemu, jak myslisz, oszwindlil tego czelowieka poprzed laty? Moze byc, waluty srogo potrzebował. Sam wiem, jak to bywa, chociaż zanigdy bym nie oszwindlil nijakiego persony. Orzezwilo mnie to, ze wyrzadziles jeszcze jednq loterie – tym razem, zeby przezwac sztettl. Kazilo mi to pomyslec, jak bym przezwal Odessę, gdyby mi dano tę moc. Chyba moglbym ja przezwac Alekssem, bo wtedy wszyscy by wiedzieli, ze jestem właśnie Aleks, a skoro miasto Aleks się nazywa, to widać ze mnie jest persona bardzo prima sort. Moglbym ja tez nazwac Igorkiem, bo wtedy ludzie mysliliby, ze mój bratek jest persona prima sort, no bo właśnie taki*



*on już jest, ale byłoby dobrze, jakby ludzie tak o nim myśleli. (Dziwaczne, że jestem spragniony swojemu bratku to wszystko, co jestem spragniony samemu sobie, tylko że jemu jestem spragniony jeszcze sztywniej.) A może nazwałbym ją Trachimbrod, bo wtedy Trachimbrod by istniał, no i wszyscy pokupiliby twoją książkę i mógłbyś się pokryć osławą.*

*Jestem rozżalony finalizować ten list. To najbliższa zamiastka rozmowy pośród nami. Nadziewam się, że cię zasycił trzeci oddział, i jak zawsze proszę u ciebie wybaczenia. Sililem się być prawdomówny i piękny, tak jak mi kazałeś.*

*Ach, racja. Jest jeszcze przydatkowy punkt. Nie amputowałem z tej opowieści Sammy Davis, Junior, Junior, chociaż konsyliowałeś, żebym ją amputował. Wymówiłeś, że z jej nieobecnością cała ta fabuła zrobiłaby się bardziej „subtelna”, a ja wiem, że subtelność znaczy coś jak ogłada, polor i dobre przyrodzenie, ale muszę ci powiadomić, że Sammy Davis, Junior, Junior to bardzo dystygowana osobistość o nader zrozumiaconych apetytach i siedliskach namiętności. Niech się przyjrzymy na jej rozwój i potem rozstrzygniemy.*

*Niewinnie,*

*Aleksandr*

SAMMY DAVIS, JUNIOR, JUNIOR przedyrygowała swoją uwagę i zamiast przeżuwać własny ogon, spróbowała wylizać gieroju do czysta okulary, które zresztą, powiadam ci, zaprawdę potrzebowały czystki. Piszę, że próbowała, bo gieroj zachował się nietowarzystko. „Zabierzcie, proszę, ode mnie tego psa – powiedział, czyniąc swoje ciało w kulkę. – Proszę. Ja naprawdę nie lubię psów”. „Ona tylko wyczynia z tobą gierki – odparłem mu, kiedy ułożyła się ciałem na jego ciele i poczęła go wierzgać zadnimi łapami. – To syngalezuje, że lubi ciebie”. „Proszę – powtórował, siląc się ją usunąć. Teraz już mu kicała w górę i w dół po twarzy. – Naprawdę jej nie lubię. A na żadne gierki nie mam ochoty. Jeszcze mi stłucze okulary”.

Zawzmiankuję obecnie, że Sammy Davis Junior, Junior jest bardzo często towarzyska ze swoimi nowymi przyjaciółmi, ale niczego podobnego nigdy przedtem jeszcze nie uświadczyłem. Wyrozumowałem, że zakochała się z gierojem. „Czy jesteś przywdziany perfumą?” – spytałem. „Co?” „Czy jesteś przywdziany jakąś

perfumą?” Zwyobrażał swoje ciało tak, że twarzą ulgnał w siedzenie jak najdalej od Sammy Davis, Junior, Junior. „Może trochę” – zeznał, oburącz obraniając potylicę. „Bo ona uwielbia perfumę. Seksownie się do niej podnieca”. „Jezu”. „Ona stara się zdziałać tobie seks. To dobry znak. Syngalezuje, że nie będzie zagryźć”. „Ratunku!” – powiedział geroj, bo Sammy Davis Junior, Junior właśnie zwyobrażała się, żeby skutecznie sześćdziesiąt dziewięć. Podówczas tego wszystko Dziadek wciąż jeszcze powracał ze spoczynku. „On jej nie lubi” – obznajmiłem mu. „Właśnie, że lubi” – zatwierdził Dziadek i to była kropka. „Sammy Davis Junior, Junior! – zawołałem. – Siad!” I wiesz co? Usiadła. Na geroju. W pozycji sześćdziesiąt dziewięć. „Sammy Davis Junior, Junior! Siadaj po swojej stronie zadniego siedzenia! Złaż z geroja!” Chyba mnie wyrozumiała, bo usunęła się z geroja i znowu poczęła bębnić twarzą w szybę naprzeciwko. A może już zlizwała z niego całą perfumę i nie był już dłużej dla niej interesny seksownie, tylko tak po przyjaciela. „Czujecie, jak tu coś okropnie cuchnie?” – zaciekał się geroj, obdzierając wilgoć z własnego karku. „Nie” – odparłem. Nader stosowna bezprawda. „Coś cuchnie po prostu okropnie. Jakby ktoś umarł w tym aucie. Skąd ten smród?” „Nie wiem” – powiedziałem, chociaż cośkolwiek domyślałem się, skąd.

Nie posądzam, że chociaż jeden persona w samochodzie był zadumiony, kiedy pozabłądziliśmy pośród lwowskim dworcem kolejnym a superstradą ku Łucku. „Nienawidzam Lwów” – zwyobrażał się Dziadek, żeby

obznajmić gieroju. „Co on mówi?” – spytał mnie gieroj. „Mówi, że już niedługo” – odparłem jeszcze jedną nader stosowną bezprawdą. „Co mianowicie niedługo?” – zaciekał się gieroj. Powiedziałem Dziadku: „Dla mnie nie musisz być łagodny, tylko aby się nie zacwałuj z Żydem”. „Mogę mu mówić, co mi się zachce – Dziadek na to. – I tak nie wyrozumie”. Zwyobrażałem głowę w pionie ku pożytkowi gieroja. „Mówi, że już niedługo wjedziemy na superstradę ku Łucku”. „A stamtąd? – spytał gieroj. – Jak długo będziemy jeszcze potem jechali do Łucka?” Utkwił całą swoją uwagą na Sammy Davis Junior, Junior, która wciąż bębiła łbem w okno. (Ale muszę wzmiankować, że była z niej bardzo grzeczna suczka, bo bębiła wyłącznie we własne okno, a podówczas jazdy autem każdy – suka czy nie suka – może wyrabiać, co tylko jest spragniony, póki wytrwale siedzi po swojej stronie. No i nie nazbytńio pierdziała.) „Powiedz mu, niech się zamknie – zarządził Dziadek. – Nie dają rady prowadzić, jak on tyle gada”. „Nasz szofer mówi, że w Łucku jest dużo domów – obznajmiłem gieroju. – Zapłacają nam fenomenalne wygnarodzenie za to, że słuchamy jego gadaniny” – obznajmiłem Dziadku. „Mnie tam nic nie zapłacają” – odparł Dziadek. „Ani mnie też – powiedziałem – ale komuś jednakowszem zapłacają”. „Co?” „On mówi, że z superstrady będzie już tylko dwie godziny ku Łucku, tam zaś znajdziemy sobie na noc okropny hotel”. „W jakim sensie okropny?” „Że co?” „Pytam, w... jakim... sensie... ten... hotel... będzie... okropny”. „Powiedz mu, niech się zamknie”. „Dziadek

mówi, że powinieneś wypatrywać przez okno, jeśli chcesz cośkolwiek zobaczyć”. „Ale co to właściwie za historia z tym okropnym hotelem?” „Och, błagam cię, zapomnij, że to wyrzekłem”. „Nienawidzam Lwów. Nienawidzam Łuck. Nienawidzam ten Żyd, co siedzi na zadnim siedzeniu tego auta, które też nienawidzam”. „Jak się tak zachowiesz, to się z tego wszystkiego wcale nie czyni lżejsza betka”. „Jestem ślepy. Należą mi się przywileje reumeryta”. „O czym wy tam między sobą rozmawiacie? I skąd ten cholerny smród?” „Że co?” „Powiedz mu, niech się zamknie, bo inaczej wjadę w rów”. „O... czym... wy... tam... między... sobą... rozmawiacie?” „Żyda trzeba uciszyć. Bo jak nie, to nas wszystkich zabije”. „Mówiliśmy o tym, że wycieczka może pojąć dłużej, aniżeliśmy byli spragnieni”.

Pojmała pięciu bardzo długich godzin. Jak chcesz wiedzieć po czemu, otóż po temu, że Dziadek jest najpierw Dziadek, a dopiero potem szofer. Często nas zabłądzał i był cały na nerwach. Musiałem jego gniew tłumaczyć geroju na przydatne informacje. „Kurwa” – mówił Dziadek. A ja wtedy: „On mówi, że jak wido-kujesz na pomniki, to widzisz, że nieskolkie już nie trwają. Taki widok widać tam, gdzie dawniej stały pomniki komunistyczne”. „Kurewskie kurewstwo, kurwa!” – skrzyczał Dziadek. „O – ja na to – on ci powiadamia, że ten gmach, tamten gmach i jeszcze ten to wszystko są bardzo ważne gmachy”. „Czemu?” – spytał geroj. „Kurwa!” – powiedział Dziadek. „Nie pamięta po czemu” – odparłem.

„Moglibyście włączyć klimatyzację?” – zakomenderował gieroj. Uczyniłem się upokorzony do maksymalności. „W tym samochodzie klimatyzacji niet – zeznałem. – Zajadam ropuchę”. „To może byśmy otworzyli okna? Strasznie tu gorąco, no i śmierdzi, jakby coś zdechło”. „Sammy Davis Junior, Junior wyskoczy”. „Kto?” „Suka. Wabi się Sammy Davis Junior, Junior.” „To jakiś żart?” „Nie, ona zaprawdę wyekspediuje się z auta”. „Pytam o jego imię”. „*Jej* imię” – naprostowałem go, bo jestem pierwszorzędnym z zaimkami. „Powiedz mu, niech sobie zarzepi usta” – powiedział Dziadek. „On mówi, że suce dał na imię po swoim ulubionym śpiewaku, który był Sammy Davis, Junior”. „Żyd” – powiedział gieroj. „Że co?” „Sammy Davis, Junior był Żydem”. „To nie jest możliwe” – zatwierdziłem. „Nawróconym. W pewnym momencie odnalazł żydowskiego Boga. Zabawna historia”. Przetłumaczyłem to wszystko Dziadku. „Sammy Davis, Junior nie był żaden Żyd! – wyrzasnął Dziadek. – On był Murzyn ze Szczurzej Paczki!” „Żyd jest o tym zapewniony”. „Czełowiek-Muzyka miałby być Żyd? To nie jest możliwość!” „Kiedy on mi właśnie tak powiadamia”. „Dean Martin, Junior! – wyrzasnął Dziadek ku zadniemu siedzeniu. – Chodź no tu! Rusz się, mała!” „Bardzo proszę, czy nie mogliśmy otworzyć okna? – zagadnął gieroj. – Już nie wytrzymuję w tym smrodzie”. I tutaj zjadłem ostatnią ropuchę ze stawu. „To tylko Sammy Davis, Junior, Junior. Zawsze dostaje strasznej pierdliwości w aucie, bo ono nie ma amortyzatory ani zastrzały, ale jeżeli

otworzymy okno, ona wyskoczy, a jest nam potrzebna jako Suka Przewodnia dla naszego ślepego szofera, który jest mój zarazem Dziadek. Czego jeszcze nie rozumiasz?”

Właśnie podówczas tej pięciugodzinnej jazdy autem z lwowskiego dworca kolejnego ku Łucku gieroj wytłumaczył mi, po czym przyjechał w Ukrainę. Wydzwignął ze swojej bocznej torby kilkoro artefaktów. Najpierw eksponował mi fotografię. Była żółta, cała poskładana i sklajstrowana wielu kawałkami klajsterplastru, żeby się nie rozlazła. „Widzisz? – spytał. – Ten tutaj to mój dziadek Safran”. Wykazał palcem młodego człowieka, który rzeczywiście wydawał się bardzo jak gieroj i mógł nawet nim całkiem być. „Zdjęli go w czasie wojny”. „Skąd zdjęli?” „Nie, nie w tym sensie. Zrobili mu zdjęcie”. „Rozumiem”. „Ci ludzie obok niego to ta rodzina, która uratowała go przed nazistami”. „Że co?” „Uratowali... go... przed... nazistami”. „W Trachimbrodzie?” „Nie, gdzieś w okolicy. Udało mu się uciec, kiedy naziści zrobili najazd na Trachimbrod. Wszyscy inni zginęli. Postradał żonę i dziecko”. „Postradał?” „Zabili ich naziści”. „Ale jeśli to się nie zadziało w Trachimbrodzie, to po czemu jedziemy w Trachimbrod? I jak odnajdziemy tą rodzinę?” Wytłumaczył mi, że wcale nie szukamy za rodziną, tylko za dziewczyną. Ona jedna może jeszcze żyć.

Kiedy wzmiankował o dziewczynie, posunął palcem po jej twarzy na zdjęciu. Stała na prawo w dół od jego dziadka. Mężczyzna, co na pewniaka był jej ojciec, stał

obok niej, a kobieta, co na pewniaka była jej matka, stała za nią. Jej rodzice wydawali się bardzo na Rosjan, ale nie ona. Wydawała się na Amerykankę. Była młoda, mogła mieć piętnaście lat. Ale możliwe, że miała więcej wieku. Mogła być stara jak gieroj i ja, i jak dziadek gieroja. Widkowałem tę dziewczynę dużo minut. Była taka piękna. Miała włosie jak szatynka, co spoczywało jej tylko do ramion. Jej oczy wydawały się smutne i inteligentne.

„Chcę zobaczyć Trachimbrod – obznajmił gieroj. – Zobaczyć, jak tam jest, w jakich warunkach wychował się mój dziadek i gdzie byłbym teraz ja sam, gdyby nie wojna”. „Byłbyś Ukrainiec”. „Racja”. „Tak samo jak ja”. „Chyba tak”. „Ale nie jak ja, bo byłbyś wieśniak w nieimponującym miasteczku, a ja mieszkam w Odessie, która jest całkiem jak Miami”. „I chcę zobaczyć, jak tam teraz jest. Nie sądzę, żeby został jeszcze ktoś z Żydów, ale może jednak trochę ich ocalało. Zresztą w sztetlach mieszkali nie tylko Żydzi, więc powinni tam być inni ludzie, z którymi da się pogadać”. „W czym?” „W sztetlach. Sztetl to coś jakby wioska”. „Po czemu prosto nie przeżywasz jej wioską?” „To żydowskie słowo”. „Żydowskie słowo?” „Żydowskie. Tak jak szmuk”. „Co znaczy szmuk?” „Jak ktoś robi coś, z czym się nie zgadzasz, to jest szmuk”. „Naucz mnie jeszcze jedno”. „Buc”. „Co to znaczy?” „Coś jak szmuk”. „Naucz mnie jeszcze jedno”. „Szmendryk”. „Co to znaczy?” „Też coś jakby szmuk”. „A znasz w ogóle jakieś słowa, co nie są jak szmuk?” Rozważał poprzez chwilę. „Szalom – powiedział – ale to są właściwie trzy słowa i w dodatku po



hebrajsku, a nie w jidysz. Wszystko, co mi przychodzi na myśl, w zasadzie znaczy szmuk. Eskimosi mają czterysta określeń na śnieg, a Żydzi tyle samo na szmuk”. Co to takowe Eskimos? – zastanowiłem się.

„No więc zwiedzimy sztetl?” – spytałem gieroja. „Moim zdaniem tam właśnie najlepiej będzie zacząć poszukiwania”. „Poszukiwania?” „Augustyny”. „Kto to Augustyna?” „Dziewczyna ze zdjęcia. Ona jedna może jeszcze żyć”. „Ach. Więc poszukamy za Augustyną, która, jak myślisz, uratowała twojego dziadka od nazistów”. „Tak”. Było bardzo cicho poprzez chwilę. „Chciałbym ją znaleźć” – powiedziałem. Postrzegłem, że to zasyciło gieroja, ale wcale nie wymówiłem tego po to, żeby go zasycić, tylko po temu, że zaprawdę tak czułem. „A co dalej? – dodałem. – Jeśli już ją znajdziemy?” Gieroj był persona melancholicznie zadumany. „Nie wiem, co dalej. Chyba jej podziękuję”. „Że uratowała ci dziadka”. „Tak”. „To będzie bardzo dziwaczne, tak?” „Co?” „Jak ją znajdziemy”. „Nie jak, tylko jeżeli”. „Znajdziemy ją”. „Nie sądzę”. „No to po co szukamy? – spytałem, ale zanim nadażył odpowiedzieć, przerwałem sam sobie innym zapytaniem: A skąd wiesz, że na imię jej Augustyna?” „Tak naprawdę to nie wiem. Na odwrocie... o, tutaj, widzisz?... jest kilka słów w jidysz napisanych chyba ręką mojego dziadka. Chociaż może to wcale nie jego pismo. W każdym razie sens jest taki: «To ja z Augustyną, dwudziesty pierwszy lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku»”. „Bardzo ciężko czytelne”. „Tak”. „Jak myślisz, po czemu on wzmiankuje tylko Augustynę,

a nie tych innych dwoje na zdjęciu?” „Nie wiem”. „Dziwaczne, tak? Dziwaczne, że tylko ją wzmiankuje. Myślisz, że ją kochał?” „Co?” „No bo tylko ją wzmiankuje”. „Czyli?” „Czyli może ją kochał”. „Ciekawe, że ci to przyszło do głowy. Widocznie podobnie myślimy”. (Dziękuję ci, Jonathan.) „Tak naprawdę to wiele się nad tym zastanawiałem, bez wyraźnego powodu. Dziadek miał osiemnaście lat, a ona... czekaj... pewnie jakieś piętnaście. Dopiero co stracił żonę i córkę podczas najazdu nazistów na sztetl”. „Na Trachimbrod?” „Zgadza się. Ten napis na odwrocie równie dobrze może nie mieć nic wspólnego ze zdjęciem. Bardzo możliwe, że dziadek sięgnął po nie jak po pierwszy lepszy świstek”. „Świstek?” „Byle jaki kawałek papieru do pisania”. „O”. „Więc tak naprawdę to nie mam pojęcia. Wydaje się takie nieprawdopodobne, że mógł ją kochać. Ale czy nie uważasz, że jest w tym zdjęciu coś dziwnego, jakaś bliskość między nimi, chociaż wcale na siebie nie patrzą? Nie patrzą na siebie jakoś tak *dziwnie*. Z dystansem. To bardzo mocne, nie sądzisz? A jeszcze te jego słowa na odwrocie”. „Tak”. „No i że obaj pomyśleliśmy, że mógł ją kochać. To też jest dziwne”. „Tak” – powiedziałem. „Z jednej strony chciałbym, żeby ją kochał, a z drugiej nie cierpię tak myśleć”. „Z której strony nie cierpisz, żeby ją kochał?” „Widzisz, miło jest mieć poczucie, że istnieją rzeczy niezastąpione”. „Nie rozumiem. Przecież ożenił się z twoją bieżącą babką, więc coś widać uległo zastępstwu”. „Ale to inna historia”. „Po czemu?” „Bo to moja babka”. „Augustyna też mogła być twoja babka”.

„Nie, mogła być babką kogoś innego. Całkiem spokojnie może teraz być czyjąś babką. Kto wie, może miał z nią dzieci”. „Nie pomawiaj tak o swoim dziadku”. „Przecież wiem, że przedtem miał inne dzieci, więc co za różnica?” „A jeśli ujawnimy twojego brata?” „Wykluczone”. „A jak pozyskałeś tą fotografię?” – spytałem, podnosząc ją ku oknu. „Babka dała ją mojej matce dwa lata temu i powiedziała, że właśnie ta rodzina uratowała dziadka przed nazistami”. „Po czemu dopiero dwa lata?” „O co ci chodzi?” „Po czemu tak niedawno dała zdjęcie twojej matce?” „A, teraz rozumiem, o co pytasz. Ma swoje powody”. „Jakie?” „Nie wiem”. „A czy spytałeś jej o to pismo na odwrociu?” „Nie. Nie mogliśmy jej o nic pytać w związku z tą sprawą”. „Po czemu?” „Trzymała to zdjęcie pięćdziesiąt lat. Gdyby chciała coś nam o nim powiedzieć, sama by powiedziała”. „Teraz rozumiem, co mówisz”. „Nie mogłem jej nawet powiedzieć, że jadę na Ukrainę. Jest przekonana, że dalej siedzę w Pradze”. „A to po czemu?” „Wyniosła z Ukrainy nie najlepsze wspomnienia. Jej sztetl, Kołki, leży raptem parę kilometrów od Trachimbrodu. Tam też pewnie pojedziemy. Ale cała jej rodzina została zamordowana, wszyscy co do jednego, matka, ojciec, siostry, dziadkowie”. „Uratował ją jakiś Ukraińiec?” „Nie, uciekła jeszcze przed wybuchem wojny. Była młoda i zostawiła swoją rodzinę na pastwę losu”. Zostawiła swoją rodzinę na pastwę losu. Wpisałem to sobie na mózg. „Zadumiewa mnie, że nikt jej rodziny nie uratował” – powiedziałem. „Nic w tym dziwnego. W tamtych czasach Ukraińcy

okropnie traktowali Żydów. Niewiele lepiej niż Niemcy. To był inny świat. Na początku wojny wielu Żydów chciało szukać u nazistów ochrony przed Ukraińcami”. „To bezprawda”. „Owszem, prawda”. „Nie mogę wierzyć w to, co mówisz”. „Sprawdź w książkach o historii”. „W książkach o historii tak nie pisze”. „Ale tak było. Ukraińcy byli znani z tego, że okropnie traktują Żydów. Polacy też. Słuchaj, nie chcę cię obrażać. Ciebie to nie dotyczy. Mówimy o wydarzeniach sprzed jakichś pięćdziesięciu lat”. „Myślę, że się mylisz” – obznał mi gieroju. „Nie wiem, co powiedzieć”. „Powiedz, że się mylisz”. „Nie mogę”. „Musisz”.

„Oto są moje mapy” – powiedział, dźwigając z torby nieskolnie bumagi. Wskazał palcem tą, co była mokra od Sammy Davis Junior, Junior. Nadziewałem się, że mokra od jej języka. „To Trachimbrod – powiedział. – Na niektórych mapach nazywa się Sofijówka. To Łuck. A to Kołki. Ta mapa jest stara. Większość tych miejscowości, których szukamy, na nowych mapach nie występuje. O – dodał, prezentując mi bumagę. – Widzisz, dokąd musimy jechać. To wszystko, co mam. Tylko te mapy i fotografia. W sumie niewiele”. „Mogę ci obiecywać, że znajdziemy Augustynę” – obiecywałem. Postrzegłem, że to go zasyciło. Mnie też zasyciło. „Dziadku” – powiedziałem, z powrotem zwyobracając się do przodu. Wytłumaczyłem mu wszystko, co geroj poprzed chwilą mi wymówił. Powiadomiłem Dziadku o Augustynie, o mapach i o babce geroja. „Kołki?” – spytał Dziadek. „Kołki” – powiedziałem. Zadbałem, żeby wpleść każdy detal

i nawet parę nowych detaliów wynalazłem, żeby Dziadek lepiej wyrozumiał całą tę historię. Zobserwałem, że zapędziła go ona w głęboką melancholię. „Augustyna” – powiedział i spchnął na mnie Sammy Davis Junior, Junior. Wypatrywał się w fotografię, podówczas gdy ja dzierżyłem kółko. Przyłgął ją sobie blisko ku twarzy, jakby chciał obwąchać albo dotknąć oczami. „Augustyna”. „To właśnie za nią szukamy” – powiedziałem. Przekręcił głowę stąd tam. „Znajdziemy ją” – powiedziałem. „Wiem” – odparł. Ale ja wcale tego nie wiedziałem i Dziadek też nie wiedział.

Kiedy dotarliśmy w hotel, poczyniała już ściemność. „Musisz pozostać w aucie” – obznał mi gieroju, albowiem właściciel hotelu pozałapałby się, że gieroj to Amerykan, a Ojciec uprzedził mi, że Amerykanom każą zapłacać z nadwyżką. „Czemu?” – spytał. Powiedziałem mu czemu. „Skąd będą wiedzieli, że jestem Amerykanin?” „Powiedz mu, niech siedzi w aucie – skomenderował Dziadek – bo jak nie, to każą mu zapłacić dwójnasób”. „Czynię wysiłki” – odparłem. „Chciałbym wejść razem z wami – powiedział gieroj – żeby rzucić okiem na ten hotel”. „Po co?” „Po prostu żeby się rozejrzeć. Zobaczyć, co to za miejsce”. „Zobaczysz, jak już załatwię komnaty”. „Wolałbym teraz” – powiedział i muszę zeznać, że poczynął mi robić na nerwach. „O czym on, kurwa mać, jeszcze gada?” – spytał Dziadek. „Chce wejść wraz z mną”. „Po czemu?” „Bo jest Amerykan”. „Czy będzie OK, jeżeli tam wejdę?” – znowu spytał gieroju. Dziadek skręcił się ku niemu i powiedział mi: „On zapłaca.

Jak chce płacić z nadwyżką, to jego sprawa”. No więc zawiąłem go z sobą, kiedy wszedłem w hotel, żeby zapłacić za dwie komnaty. Jeśli chcesz znać, po czemu dwie, to po temu, że jedna była dla Dziadka i mnie, a druga dla gieroja. Ojciec powiedział, że właśnie w takiej manierze mamy to załatwić.

Kiedy weszliśmy w hotel, zakaziłem gieroju się odzywać. „Nie odzywaj się” – powiedziałem. „Czemu?” – spytał. „Później ci nauczę. Cśś”. Ale on wciąż zapytywał, po czemu ma nie się odzywać, no i tak jak byłem pewien, właściciel hotelu go usłyszał. „Będę musiał przegłądać pańskich dokumentów” – obznał. „On musi przegłądać twoich dokumentów” – przetłumaczyłem gieroju. „Po co?” „Daj mi je”. „Czemu?” „Jeśli mamy uzyskać komnatę, on musi przegłądać twoich dokumentów”. „Nie rozumiem”. „Tu nie ma co wyrozumiać”. „Jest jakiś problem? – spytał mnie właściciel. – Bo ten hotel jako jedyny w Łucku wciąż jeszcze posiada wolne komnaty o ta pora nocy. Jesteście spragnieni zaprobować szczęścia na ulicy?”

Wydolałem wreszcie wymłóc na gieroju, żeby dał dokumentów. Magazynował ich w takim czymś na pasku u spodni. Potem mi powiedział, że takie coś nazywa się wombat i że w Ameryce wombaty nie są stylowi, a on swój nosi tylko po temu, że w przewodniku turystycznym konsyliują go nosić, żeby przetrzymywać dokumenty poblisko własnemu pępku. Tak jak byłem pewien, właściciel hotelu zaszarżował gieroja specjalną zagraniczną taryfą. Nie oświeciłem tego gieroju, bo

wiedziałem, że zaraz by zaczął wytwarzać zapytania, aż wreszcie musiałyby zapłacać nie tylko dwój, ale i czwórnasób, albo i w ogóle nie byśmy uzyskali komnaty na noc i byśmy musieli spoczywać w aucie, całkiem tak jak spoczywać znalazł się Dziadek.

Kiedy zawróciliśmy ku autu, Sammy Davis Junior, Junior przeżuwała własny ogon na zadnim siedzeniu, a Dziadek znowu wytwarzał drzem. „Dziadku – powiedziałem, korygując mu ramię – uzyskaliśmy komnatę”. Musiałem ruszyć go z wielkim gwałtem, zanim się obudził. Kiedy otworzył oczu, nie znał, gdzie jest. „Anna?” – spytał. „Nie, Dziadku – powiedziałem. – To ja, Sasza”. Był bardzo zewstydzony i ukrył ode mnie twarz. „Uzyskaliśmy komnatę” – przywtórzyłem. „On się czuje OK?” – spytał mnie gieroj. „Tak, jest zaledwie sfatygowany”. „A na jutro będzie OK?” „Oczewidno”. Ale prawdę zarzekłszy, Dziadek nie był sobą samym w normie. A może właśnie był. Nie znałem, jaki jest sobie sam. Wspomniałem coś, co raz mówił mi Ojciec. Jak byłem mały, Dziadek powiedział, że wyglądam jak skrzyżowanie Ojca, Matki, Breźniewa i siebie samego. Zawsze uważałem, że to bardzo zabawna anegdota, aż do tej chwili w aucie poprzed hotelem w Łucku.

Kaziłem gieroju nie zostawiać w aucie żaden bagaż. Ludzie w Ukrainie mają ten zły i popularny nawyk, że biorą rzeczy bez zapytania. Czytywałem, że Nowy Jork jest bardzo niebezpieczne miasto, ale muszę zeznać, że Ukraina jest niebezpieczniejsza. Jeśli chcesz znać, kto ciebie ochrania poprzed ludźmi, co biorą bez zapytania,

otóż ochrania cię policja. Jeśli chcesz znać, kto ciebie ochrania poprzód policją, otóż ochraniają cię ludzie, co biorą bez zapytania. I bardzo często są to jedni i tożsami ludzie.

„Zjedzmy coś” – obznajmił Dziadek i rozruszył samochód. „Jesteś głodny?” – spytałem gieroju, który znowu był obiekt seksowny dla Sammy Davis Junior, Junior. „Zabierzcie ją ze mnie” – powiedział. „Jesteś głodny?” – przywtórzyłem. „Proszę!” – zabłagał. Zawołałem do niej, a kiedy nie zarespodowała, podarowałem jej fangę w twarz. Sunęła się na swoją stronę siedzenia, bo już wyrozumiała, co to znaczy wydurniać się z niewłaściwym personą, i poczęła rozpłaczać. Czy czułem się okropnie? „Kiszki marsza mi grają” – obznajmił gieroju, unosząc głowę z kolan. „Że co?” „Owszem, jestem głodny”. „Czyli że jesteś głodny”. „Tak”. „To dobrze. Nasz szofer...” „Możesz o nim mówić Dziadek. To mi nie wadzi”. „Co minie Wandzi?” „Wadzi, powiedziałem. Wadzi”. „Co znaczy wadzi?” „Irytuje”. „Co znaczy irytuje?” „Przeszkadza”. „Znam przeszkadza”. „Czyli możesz o nim mówić Dziadek, tyle tylko chciałem powiedzieć”.

Uczyniliśmy się bardzo zajęci gadaniem. Kiedy zwoobraçałem się wspank ku Dziadku, zobaczyłem, że znowu egzaminuje Augustynę. Pośród nim a fotografią pano-szył się smutek i nic na świecie bardziej mnie nie przestraszało. „Będziemy jeść” – powiedziałem mu. „Dobrze” – odparł, trzymając fotografię tuż blisko przy swojej twarzy. Sammy Davis Junior, Junior rozpłaczała z uporczywością. „Jest jedna sprawa...” – począł gieroju.



„Jaka?” „Powinniście wiedzieć...” „Tak?” „Jestem... jak by to powiedzieć...” „Co jesteś?” „Jestem...” „Jesteś bardzo głodny, tak?” „Jestem wegetarianinem”. „Nie wyrozumiam”. „Nie jem mięsa”. „Po czemu nie?” „Po prostu nie jem, i już”. „Jak możesz nie jeść mięsa?” „Po prostu nie jem”. „On nie je mięsa” – powiadomiłem Dziadku. „Właśnie, że je” – odparł. „Właśnie, że jesz” – powiadomiłem gieroju. „Nie. Nie jem”. „Po czemu nie?” – spytałem go powtórnie. „Po prostu nie jem. Nic z mięs”. „Wieprzowiny?” „Nie”. „Mięsa?” „Żadnego mięsa”. „Stęku?” „Nie”. „Kury?” „Nie”. „A cielęcinę jesz?” „O Boże. Cielęciny ani kęsa”. „A kołbasy?” „Kiełbasy też nie”. Przywodziłem Dziadku to wszystko, a on sprezentował mi bardzo wadliwą minę. „Co mu jest?” – spytał. „Co ci jest?” – spytałem gieroju. „Taki już jestem” – odparł. „A hamburger?” „Nie”. „Ozór?” „Co on mówi, że co mu niby jest?” – zaciekał się Dziadek. „Prosto taki już jest”. „A kołbasę jada?” „Nie”. „Nie je kołbasy!” „Nie. Mówi, że nie je kołbasy”. „Zaprawdę?” „Tak mówi”. „Ale kołbasa...” „Wiem”. „Zaprawdę nie jesz kołbasy?” „Ani plasterka”. „Ani plasterka” – przywodziłem Dziadku. Dziadek zamknął oczu i spróbował otoczyć sobie rękami brzuch, ale nie było miejsca z powodu kółka. Wydał się, jakby cały aż zachorzał po temu, że gieroju nie chce zjeść kołbasy. „No to niech sam wydedukuje, co będzie jadł. Pójdziemy w najbliższą restaurację”. „Jesteś szmuk” – powiadomiłem gieroju. „Niepoprawnie używasz tego słowa” – odparł. „Właśnie, że poprawnie” – zaprostowałem.

„Co znaczy nie je mięsa?” – zadumiała się kelnerka, a Dziadek włożył głowę w ręce. „Co mu jest?” – zagadnęła. „Komu? Temu, co nie je mięsa, temu z głową w rękach czy tej suce, co sobie przeżuwa własny ogon?” „Temu, co nie je mięsa”. „Prosto taki już jest”. Gieroj zaciekawiał się, o czym zmawiamy. „Nie mają tu nic bez mięsa” – objaśniłem. „On nie je mięsa w ogóle nic a nic?” – ponownie zagadnęła mnie kelnerka. „Zwyczajnie taki już jest” – odparłem. „A kołbasę?” „Nie je kołbasy” – objaśnił kelnerkę Dziadek, zwyobracając głowę stąd tam. „Może mógłbyś zjeść trochę mięsa – pod sugerowałem gierojowi – bo oni tu nie posiadają nic bezmięsne”. „A nie mają kartofli czy czegoś w tym rodzaju?” – spytał. „Macie kartofli? – spytałem kelnerki. – Czy czegoś w tym rodzaju?” „Kartofel klient może pozyskać wyłącznie z mięsem” – objaśniła. Przetłumaczyłem to gierojowi. „A nie mógłbym dostać po prostu talerza samych kartofli?” „Że co?” „Nie mógłbym dostać dwóch czy trzech kartofli, bez mięsa?” Spytałem kelnerki, a ona na to, że pójdzie do szefa kuchni i go zagadnie. „Zagadnij go, czy je wątrobę” – powiedział Dziadek.

Kelnerka wróciła i objaśniła: „Kazali powiedzieć, że możemy drogą ustępstwa dać mu dwóch kartofli, ale tak jak zawsze ich się podaje, znaczy się na talerzu z kawałkiem mięsa. Szef kuchni mówi, że to nie ulega dyskusji. Klient będzie musiał zjeść mięso”. „Dwa kartofli OK?” – spytałem gierojowi. „O, wspaniale”. Dziadek i ja obaj zamówiliśmy po stęku wieprzowym i jeszcze jeden

dla Sammy Davis Junior, Junior, która już się stowarzyszała z nogą gieroja.

Kiedy zawitało jedzenie, gieroj poprosił, żebym usunął mięso mu z talerza. „Wolałbym go nie dotykać” – powiedział. Weszło mi to na nerwy aż do maksymalności. Jeśli chcesz znać po czemu, otóż po temu, że postrzegalem, że gieroj postrzega, jakoby był za dobry na nasze jedzenie. Wziąłem mięso z jego talerza, bo wiedziałem, że Ojciec byłby spragniony, żebym tak działał, i nie odezwałem ani słowa. „Powiedz mu, że jutro poczniemy bardzo wcześnie z same rano” – powiedział Dziadek. „Wcześnie?” „Żeby mieć jak najdłużej dnia na szukanie. W nocy będzie sztywno”. „Jutro poczniemy bardzo wcześnie z same rano” – powiadomiłem gieroju. „To dobrze” – odparł, wierzgając nogą. Byłem ciężko wstrząśnięty, że Dziadek jest spragniony wymarszować wcześnie z same rano. Nie cierpiał nie spoczywać do spóźna. W ogóle nie cierpiał nie spoczywać. Nie cierpiał też Łucka, auta i gieroja, a ostatnio i mnie. Wczesny z samego rana wymarsz miał go wyposażyć w większą porcję jawy z nami wszystkimi wraz. „Daj mi przestudniować te mapy” – zarządził. Poprosiłem gieroja o mapy. Kiedy sięgał do swojego wombata, znowu wierzgnął nogą, więc Sammy Davis Junior, Junior poczęła się stowarzyszać z stołem, a talerze rozjeżdżać po blacie. Jeden z kartofli gieroja zstąpił do podłogi. Kiedy w nią uderzył, nadał dźwięk. PLASK! Poturlał się i znieruchomiał. Dziadek i ja nawzajemno się zegzaminowaliśmy. Nie wiedziałem, co działać. „Stało się coś straszne” – powiedział

Dziadek. Gieroj nadal przyglądał się kartoflu na podłodze. Podłoga była brudna, a kartofel był jeden z dwóch kartofli gieroja. „Coś okropne” – cicho wymówił Dziadek i odsunął na bok swój talerz. „Okropne”. Miał rację.

Kelnerka wróciła ku naszemu stołu i przyniosła zamówione cole. „Panowie życzy...” – poczęła, ale nagle uświadczyła na podłodze kartofel i odeszła z błyskawiczną prędkością. Gieroj dalej wyświadczał kartofel na podłodze. Nie wiem na pewno, ale zwyobrażam sobie, że zwyobrażał sobie, że mógłby go podźwignąć, położyć sobie wspaniał na talerz i zjeść, albo mógłby też pozostawić go na podłodze, symulować, jakoby cała ta niefortuna nigdy się nie zdarzyła, zjeść swój jedyny kartofel i pozorować zadowolenie, albo jeszcze też mógłby pchnąć go nogą w stronę Sammy Davis Junior, Junior, która była dosyć arystokratka, żeby go nie jeść, kiedy tak się wylegiwał na tej brudnej podłodze, a zarównoż mógłby powiedzieć kelnerce o jeszcze jednego, ale wtedy dostałby jeszcze jeden kawałek mięsa dla mnie do usuwania z talerza, bo on sam mięsem się zbrzydza, a także mógłby prosto zjeść ten kawałek mięsa, który już pozawcześniej z talerza mu usunąłem, i prawdę zarzekłszy, nadziewałem się, że tak też właśnie postąpi. Ale on nie zdziałał nic z tych rzeczy. Jeśli chcesz znać, co zdziałał, otóż nie zdziałał nic. Wciąż milczeliśmy i tylko uświadczaaliśmy kartofel. Dziadek wbił w niego widelec, podźwignął go z podłogi i położył sobie na talerz. Rozkrajał kartofel na cztery kawałki i jeden dał Sammy Davis, Junior, Junior pode stołem, jeden dał mnie, a jeden gieroju. Ze swojego kawałka

odkrywał kawałek i zjadł. Potem spojrzał na mnie. Nie chciałem, ale wiedziałem, że muszę. Powiedzieć, że nie był przepyszny, byłaby emfaza. Potem spojrzeliśmy na gieroja. Gieroj spojrzał na podłogę, a potem na swój talerz. Odkrywał kawałek ze swojego kawałka i na niego też spojrzał. „Witamy w Ukrainie” – powiedział mu Dziadek i dał mi fangę w plecy, co mnie bardzo urajcowało. Potem Dziadek począł się śmiać. „Witamy w Ukrainie” – przetłumaczyłem. I też począłem się śmiać. Następnie począł się śmiać gieroj. Śmialiśmy się bardzo gwałtownie poprzez długi czas. Posiedliśmy uwagę każdego osoby w restauracji. Śmialiśmy się z gwałtem, a potem z jeszcze większym gwałtem. Uświadczyłem, że każdy z nas wytwarza w oczach łzy. Dopiero dużo później wyrozumiałem, że każdy śmiał się z inny powód, z swój własny powód, i że żaden ten powód nie miał nic a nic wspólne z kartoflem.

Jest jeszcze coś, czego dotąd nie wzmiankowałem, a co będzie teraz stosownie wzmiankować. (Proszę, Jonathan, błagam, zanigdy nie eksponuj tego ani żywej duszy. Nie wiem, po czemu to tu piszę.) Kiedyś w nocy wróciłem się w dom z jednego sławnego klubu nocnego i byłem spragniony przegłądać telewizję. Z wielkim zadumieniem usłyszałem, że telewizor już gra, bo było ogromnie późno. Domyśliłem się, że to Dziadek. Jak już wcześniej iluminowałem, bardzo często przychodził ku nam w dom, kiedy nie mógł spocząć. To było jeszcze, zanim się ku nam na stałe przemieszkał. No i przydarzało się, że począł spoczywać, widokując telewizję, ale

po kilku godzinach powstawał i wracał się w swój dom. Czasem tak się akurat składało, że nie mogłem spocząć i po temu, że nie mogłem spocząć, słyszałem, jak Dziadek widokuje telewizję, bo inaczej wcale bym w naza-jutrz nie wiedział, czy w nocy u nas był. Mógł nawet przychodzić co noc. Ale ja nigdy nie wiedziałem, czy przychodzi, więc myślałem o nim jak o duchu.

Jak Dziadek widokował telewizję, nigdy mu nie mówiłem dzień dobry ani wieczór, bo nie chciałem mu wtrącać. Więc tamtej nocy szedłem pomale i bez hałasu. Zaszedłem już na czwarty schod, kiedy usłyszałem coś dziwaczne. Coś nie całkiem jak rozpłacz. Z wielką powolnością zdołowałem się z tych czterech schód. Na palcach przeszedłem kuchnię i począłem obserwować zza rogu pośród kuchnię a komnatą telewizyjną. Najpierw uświadczyłem telewizor. Akurat wystawiał mecz futbolesny. (Nie pamiętam, kto rywalizował, ale jestem pewien, że wygrywaliśmy.) Uświadczyłem rękę na krześle, z którego Dziadek lubi widokować telewizję. Ale to nie Dziadka była ręka. Staralem się zobaczyć więcej i mało brykło, żebym się upadł. Wiem, że powinien byłem od razu rozeznać ten dźwięk, co był nie całkiem jak rozpłacz. To Igorek tak dźwięczył. (Jaki ze mnie głupi durak.)

Jak tylko to wyrozumiałem, zaraz mianowało mnie cierpiącym personą. Powiem ci po czemu. Wiedziałem, o co Igorek tak nie całkiem rozpłacza. Wiedziałem doskonale i chciałem przystąpić ku niemu i powiedzieć mu, że ja dawniej też tak nie całkiem rozpłaczałem,

całkiem jak on, i że choćby mu się nie wiadomo jak wydawało, że nigdy nie wyrośnie na takiego jak ja osobę prima sort, co ma dużo dziewczyn i tylu sławnych miejsc, żeby w nie iść, to jednakowszem wyrośnie. Będzie całkiem jak ja. A popatrz na mnie, Igorek, sińce bledną i twoja nienawiść też blednie, jak również to uczucie, że na wszystko, co pouczasz od życia, sam zaharowałeś.

Ale nie mogłem mu powiedzieć żadnej z tych rzeczy. Zagnieździłem się na podłodze kuchni, w zaledwo kilkorgu metrów oddalenia od niego, i począłem się śmiać. Nie wiedziałem, po czemu się śmieję, ale nie mogłem poprzestać. Przyprasowałem sobie rękę do ust, żeby nie wytworzyć żaden hałas. Mój śmiech się rozrastał, aż mnie rozboleł brzuch. Próbowałem wstać i pójść w swoją komnatę, ale bałem się, że za trudno będzie kontrolować śmianie. Pozostałem tam poprzez wielu, wielu minut. Mój bratek wytrwale nie całkiem rozplącał, od czego mój bezgłośny śmiech czynił się jeszcze bardziej. Teraz już pojmam, że to był ten sam śmiech, co się nabawiłem w Łuckiej restauracji, ten śmiech tak samo mroczny jak śmiech Dziadka i śmiech gieroja. (Upraszam wyrozumiałości, że tak napisałem. Może to usunę, zanim ci posilę tą partię. Przepraszam.) Co się dotyczy Sammy Davis, Junior, Junior, to ona nie zjadła swój kawałek kartofla.

Geroj i ja mówiliśmy bardzo dużo przy kolacji, głównie o Ameryce. „Powiedz mi o rzeczach, które w Ameryce macie” – uprosiłem. „O czym chcesz wie-

dzieć?” „Mój kolega Gregory powiadomia mi, że w Ameryce jest dużo dobrych szkół dla księgowości. Czy to prawda?” „Pewnie tak. Dokładnie się nie orientuję. Mogę się dowiedzieć i dać ci znać, kiedy już tam wrócę”. „Dziękuję – powiedziałem, bo oto nawreszcie miałem koneksję w Ameryce i nie byłem w samotnieniu, a potem spytałem: – Co chcesz z siebie zdziałać?” „Co chcę zdziałać?” „Tak. Czym zostaniesz?” „Nie wiem”. „Na pewno wiesz”. „Tym i owym”. „Co znaczy tym i owym?” „Po prostu jeszcze nie jestem pewien”. „Ojciec powiadomia mi, że piszesz książkę o tej podróży”. „Lubię pisać”. Dałem mu fangę w plecy. „No to jesteś pisarz!” „Cśś”. „Ale to dobra kariera, tak?” „Co?” „Pisanie. To bardzo szlachetne”. „Szlachetne? Sam nie wiem”. „Masz już jakieś książki wypublikowane?” „Nie, ale jestem przecież jeszcze bardzo młody”. „Masz wypublikowane jakieś opowiadania?” „Nie. No, tak naprawdę to kilka”. „A jak je przeżywasz?” „Mniejsza o to”. „Pierwszorzędny tytuł”. „Nie, mniejsza o całą tę sprawę”. „Bardzo bym uwielbiał przeczytać twoich opowiadań”. „Pewnie ci się nie spodobają”. „Po czemu tak mówisz?” „Bo nawet mnie się nie podobają”. „O”. „To tylko wprawki”. „Co syngalezuje wprawki?” „To nie są prawdziwe opowiadania. Pisarskie ćwiczenia i tyle”. „Ale kiedyś nawreszcie się wyćwiczysz i zaczniesz zaprawdę pisać”. „W tym cała nadzieja”. „Jak w posadzie księgowego”. „Może”. „Po czemu chcesz pisać?” „Nie wiem. Dawniej uważałem, że właśnie po to się urodziłem. Nie, tak naprawdę to nigdy tak nie myślałem. To tylko takie



gadanie”. „Nie, bezprawda. Ja szczerze czuję, że urodziłem się na księgowego”. „Szczęściarz z ciebie”. „No to może ty urodziłeś się na pisarza?” „Nie wiem. Możliwe. To okropnie brzmi. Tandetnie”. „Wcale nie brzmi ani nie okropnie, ani nie tandetnie”. „Tak trudno jest wyrazić własne wnętrze”. „Rozumiem”. „A ja właśnie chcę je uzewnętrznić”. „To tak samo jak ja”. „Szukam własnego głosu”. „Masz go w ustach”. „Chcę robić coś, czego nie będę się wstydził”. „Coś, co cię napawi dumą, tak?” „Nawet nie to. Po prostu nie chcę się wstydzić”. „Jest dużo rosyjskich pisarzy prima sort, tak?” „Och, oczywiście. Całe mnóstwo”. „Tołstoj, tak? Napisał *Wojnę*, a także *Pokój*, książki prima sort, oraz pouczył Pokojową Nagrodę Nobela za pisanie, jeśli nie zanadto błądzę”. „Tołstoj. Biely. Turgieniew”. „Jedno pytanie”. „Tak?” „Piszesz, bo masz jakieś coś do powiedzenia?” „Nie”. „A jeśli wolno mi zakosztować innego tematu: ile waluty pouczyłby księgowy w Ameryce?” „Nie jestem pewien. Chyba bardzo dużo, jeżeli byłby to dobry księgowy albo księgowa”. „Księgowa!” „Albo księgowy”. „A czy są też księgowi Murzyni?” „Są księgowi pochodzenia afroamerykańskiego. A tamtego słowa lepiej nie używaj, Aleks”. „I homoseksualni księgowi?” „Homoseksualiści pracują we wszystkich możliwych zawodach. Są na przykład homoseksualni śmieciarze”. „A ile waluty pouczyłby księgowy Murzyn homoseksualist?” „Nie powinienś używać tego słowa”. „Którego?” „Tego przed homoseksualistą”. „To znaczy?” „Tego na «m». Wprawdzie nie jest czteroliterowe, ale...” „Murzyn?” „Cśś”. „Kiedy mnie

rajcują Murzyni”. „Naprawdę nie powinieneś tak mówić”. „Ale oni mnie zaprawdę rajcują. Są prima sort”. „Ale chodzi o to słowo. Ono nieelegancko brzmi”. „Murzyni?” „Proszę cię”. „No to co, że Murzyni?” „Cśś”. „Ile w Ameryce kosztuje filiżanka kawy?” „No, to zależy. Może dolara”. „Dolara! To darmo! W Ukrainie jedna filiżanka kawy kosztuje pięć dolarów!” „No, nie miałem na myśli cappuccino. One potrafią kosztować nawet pięć czy sześć dolarów”. „Cappucciny – przywtórzyłem, windując ręce nad głowę. – Prosto niet maksimum!” „A czy macie w Ukrainie café latte?” „Co to jest latte?” „No bo w Ameryce to teraz bardzo stylowy napój. Wszyscy go piją”. „A macie w Ameryce mochę?” „Oczywiście, ale ją piją tylko dzieci. W Ameryce jest niezbyt modna”. „To mniej więcej tak samo jak tutaj. Mamy też mochacciny”. „Taaa, jasne. My też je mamy w Ameryce. Potrafią kosztować siedem dolarów”. „Są bardzo uwielbiane?” „Mochaccinos?” „Tak”. „Najbardziej chyba gustują w nich ludzie, którzy chcą się napić czegoś w rodzaju kawy, ale równocześnie bardzo lubią gorącą czekoladę”. „Rozumiem to. A jak jest z dziewczynami w Ameryce?” „W jakim sensie?” „W ogóle się nie cegierelą ze swoimi puzdami, tak?” „Słyszysz się o takich, ale nikt z moich znajomych nigdy żadnej nie spotkał”. „Często się ucieleśniasz?” „A ty?” „Ja pierwszy spytałem. Często?” „A ty?” „Ja spytałem najsampierwej. Często?” „Nie bardzo”. „Co zamyślasz przez nie bardzo?” „Nie jestem księdzem, ale Johnem Holmesem też nie”. „Wiem o tym Johnie Holmesie. – Dźwignąłem ręce do boków. – Tym,

co ma penis prima sort”. „O nim mowa” – powiedział i rozśmiał się. Rozśmiałem go swoim żarceniem. „W Ukrainie każdy ma taki penis”. Znowu się rozśmiał. „Nawet kobiety?” – spytał. „Żarcisz?” – spytałem. „Tak” – powiedział. No to się rozśmiałem. „Miałeś kiedyś dziewczynę?” – spytałem gieroja. „A ty?” „To ja ciebie spytałem”. „Poniekąd” – odparł. „Co syngalezuje poniekąd?” „Tak naprawdę to nie było nic wiążącego. Parę razy poszedłem na randkę. Nie chcę się wiązać”. „Ze mną także samo rzeczy się miewają – obznajmiłem. – Ja też nie chcę się wiązać. Nie chcę się przykuć do jednej jedynej dziewczyny”. „No właśnie” – przytwierdził. „To znaczy owszem, zabawiałem się z dziewczynami”. „No jasne”. „W obciążanie”. „Tak, oczywiście”. „Ale jak już masz własną dziewczynę, no to sam wiesz”. „Wiem bardzo dobrze”.

„Jedno pytanie – powiedziałem. – Uważasz, że kobiety w Ukrainie są pierwszorzędne?” „Niewiele ich widziałem od przyjazdu”. „A macie takich kobiet w Ameryce?” „W Ameryce wszystkiego jest przynajmniej po jednym egzemplarzu”. „Słyszałem to. Macie w Ameryce dużo motocykli?” „Oczywiście”. „I faksów?” „Na każdym kroku”. „A ty masz własny faks?” „Nie. Są bardzo *passé*”. „Co znaczy *passé*?” „Są przestarzałe. Papier jest taki marudny”. „Marudny?” „Nudny”. „Rozumiem, co mi mówisz, i harmonizuję. Zanigdy w życiu nie wykorzystałbym papier. On robi ze mnie śpiącego personę”. „I tyle z nim bałaganu”. „Tak, racja, papier czyni bałagan, a człowiek przez niego śpi. Jeszcze jedno pytanie. Czy

większość młodych ludzi ma w Ameryce imponujące auta? Takie jak Lotus Esprit V8 Twin Turbo?” „Raczej nie. W każdym razie nie ja. Jeżdżę naprawdę gównianą Toyotą”. „Brązową?” „Nie, to tylko takie wyrażenie”. „Jak może samochód być wyrażenie?” „Mój samochód jest do gówna podobny. Rozumiesz, śmierdzi jak gówno i ma gówniany wygląd, no po prostu jest jak gówno”. „A jak ktoś jest dobry księgowy, to zostać go na imponujące auto?” „Niewątpliwie. Dobry księgowy może sobie chyba kupić mniej więcej wszystko, co zechce”. „A jaką żonę miałby dobry księgowy?” „Kto to może wiedzieć”. „Miałaby sztywne cyce?” „Nie mogę zagwarantować”. „Ale raczej tak, jednakowszem?” „Chyba”. „To mnie rajcuje. Rajcąją mnie sztywne cyce”. „Ale zdarzają się też księgowi, i to nawet dobrzy, którzy mają brzydkie żony. Po prostu czasem tak się akurat układa”. „Gdyby John Holmes był dobrym księgowym, to mógłby powziąć za żonę każdą jedną kobietę, jaką by zachciał, tak?” „Prawdopodobnie”. „Posiadam bardzo duży penis”. „OK”.

Po obiedzie w restauracji zajechaliśmy z powrotem w hotel. Tak jak wiedziałem, nie był to hotel imponujący. Brykło w nim obszaru do pływania ani sławnej dyskoteki. Kiedy rozkluczyliśmy drzwi do komnaty gieroja, uważyłem, że się zbezpokoił. „Miło tu – powiedział, gdyż postrzegł, że postrzegłem jego bezpokój. – Tak naprawdę chodzi tylko o to, żeby było gdzie się przespać”. „Nie macie w Ameryce takich hotelów!” – zażarciłem. „Nie” – odparł i się rozśmiał. Byliśmy jak dwóch przyjacieli. Po pierwszy raz, odkąd pamiętam,

poczułem się całkiem dobrze. „Pamiętaj dokładnie za-  
tworzyć drzwi, jak już się oddalimy do swojej komnaty  
– nauczyłem mu. – Wcale nie chcę z ciebie uczynić ska-  
mieniałego persony, ale jest dużo niebezpiecznych lu-  
dzi, którzy lubią brać od Amerykanów rzeczy bez zapy-  
tania, a także ich kidnapować. Dobra noc”. Gieroj zno-  
wu się rozśmiał, ale tylko po temu, że nie znał, że tym ra-  
zem wcale nie żarcę. „Chodź, Sammy Davis, Junior,  
Junior!” – zawołał Dziadek na sukę, ale ona nie zachcia-  
ła ustąpić od drzwi. „No, chodź”. Nieskutecznie.  
„Chodź nawreszcie!” – zaryknął, ale ona ani nie drygnę-  
ła. Próbowałem jej zaśpiewać, bo ona bardzo to lubi,  
zawłaszcza jak śpiewam *Billie Jean* Michaela Jacksona.  
„To tylko taka dziewczyna, co twierdzi, że jestem jej wy-  
branym”. Ale nic z tego. Tylko przypchnęła łeb ku  
drzwiom komnaty gieroja. Dziadek starał się usunąć ją  
siłą, ale poczęła rozplącać. Zastuczyłem do drzwi, a gie-  
roj miał w ustach szczoteczkę od zębów. „Sammy Davis,  
Junior, Junior będzie dzisiaj wieczorem u ciebie  
wytwarzać drzem” – obznajmiłem, chociaż wiedziałem,  
że ta akcja nie poniesie sukcesu. „Nie” – odparł, i to była  
kropka. „Ona nie chce się zdystansować od twoich  
drzwi” – przedłożyłem. „No to niech śpi w korytarzu”.  
„To by było od twojej strony bardzo dobroczynnie”.  
„Nie jestem zainteresowany”. „Tylko na jedną noc”.  
„O jedną za dużo. Zabije mnie”. „To jakże mało prawdo-  
podobne”. „Przecież to wariatka”. „Owszem, nie dyspu-  
tuję, ona jest wariatka. Ale jest zarazem współczuła”.  
Wiedziałem, że go nie przemogę. „Słuchaj – zapowie-

dział gieroj – jeżeli ona chce spać w moim pokoju, to ja z przyjemnością prześpię się w korytarzu. Ale jeśli mam zostać w pokoju, to tylko pod warunkiem, że będę w nim sam”. „Może obydwaj moglibyście spać w korytarzu” – pod sugerowałem.

Kiedy już zostawiliśmy gieroja i sukę na spoczynek – jego w komnacie, ją w korytarzu – Dziadek i ja zeszliśmy w hotelowy bar napić się wódki. To była Dziadka idea. Prawdę zarzekłszy, byłem odrobinę przerażony zostać z nim sam na sam. „Dobry z niego chłopiec” – powiedział Dziadek. Nie postrzegałem, czy mnie zapytywa, czy mi naucza. „Na to wygląda” – odparłem. Dziadek sunął ręką po twarzy, która poprzez dzień mocno owłosiała. Dopiero wtedy uważyłem, że ręce wciąż jeszcze mu się trzęsą, tak jak trzęsły się poprzez cały dzień. „Powinniśmy bardzo nieugięcie postarać się mu pomóc”. „Powinniśmy” – przytwierdziłem. „Bardzo chciałbym odnajść Augustynę” – powiedział. „Ja też”.

I to było już na tą noc całe gadanie. Wypiliśmy po trzy wódki każdy i obejrzelśmy prognozy pogody w telewizorze za bufetem. Pogoda w nazajutrz miała być normalna. Zasyciło mnie to, że pogoda ma być normalna. Jak tak, to szukać będzie lżejsza betka. Po wódce wjechaliśmy ku naszej komnacie, której sąsiadała z komnatą gieroja. „Ja spocznę na łóżko, a ty spoczniesz na podłogę” – obznajmił Dziadek. „Oczewidno” – powiedziałem. „Nastroję budzik na szóstą rano”. „Szóstą?” – spytałem. Jeśli chcesz znać, po czemu tak spytałem, otóż po temu, że szósta to dla mnie wcale nie takie

znowu wcześniej rano, szósta to dla mnie bardzo zapóźniona noc. „Na szóstą” – przywtórzył Dziadek, a ja wiedziałem, że to kres konwersacji.

Podówczas gdy Dziadek umywał zęby, poszedłem upewnić, czy z komnatą gieroją wszystko jest do przyjęcia. Nasłuchałem pod drzwiami, żeby zdetektywić, czy gieroj może wytwarzać drzem, i nie słyszałem nic nie-normalne, nic, tylko wiatr penetrujący okna i wydźwięk owadów. Dobrze – powiedziałem swojemu mózgu – gieroj spoczywa bez skłóceń. Rano nie będzie sfatygowany. Zapróbowałem odkluczyć drzwi, żeby upewnić, czy są zakluczone. Odemknęły się o mały procent, a wtedy Sammy Davis, Junior, Junior, która jeszcze była przytomna, weszła w środek. Widokowałem, jak pokłada się obok łóżka, w którym gieroj spoczywał we spokoju. To jest do przyjęcia – pomyślałem i z ciszą zamknąłem drzwi. Poszedłem z powrotem do komnaty Dziadka i swojej. Światła były już ugaszone, ale postrzegłem, że Dziadek jeszcze nie spoczywa. Jego ciało zwyobrażało się raz zarazem. Pościel wzruszała się, a poduszka wyrybiała hałas, kiedy tak się co i raz to zwyobrażał stąd tam i jeszcze raz na obrót. Słyszałem jego wielki oddech. Słyszałem, jak wzrusza ciałem. Tak było poprzez całą noc. Wiedziałem, po czemu Dziadek nie może spocząć. Nie mógł spocząć z ten sam powód, z który i ja spocząć nie mogłem. Oboje rozmyślaliśmy to samo pytanie: co on działał podówczas wojny?

TRACHIMBROD różnił się cokolwiek od bezimien- nego sztetla, którego zajął miejsce. Interesy kręciły się jak zwykle. Strzełści dalej wrzeszczeli, zwisali i kuleli, wciąż tak samo spoglądając z góry na Rozlazłych, którzy po dawnemu bawili się frędzlami przy mankietach koszul i jedli ciastka oraz knysze po nabożeństwach, a jeszcze częściej podczas nabożeństw. Nieutulona w żalu Szanda dalej żałowała swojego męża nieboszczyka, filozofa Pinchasa, on zaś nadal brał czynny udział w wewnętrznych rozgrywkach politycznych sztetla. Jankiel wciąż usiłował żyć w sposób prawy, wciąż sobie powtarzał, że wcale nie jest mu smutno, ale tak samo jak dawniej zawsze w końcu jednak smutniał. Synagoga nadal przetaczała się z miejsca na miejsce, nadal starając się ustawić na ruchomej linii uskoku między dzielnicą żydowską a ludzką. Sofijówka, po dawnemu szalony, starym zwyczajem onanizował się pełną garścią i tak jak dawniej omotywał się sznurkiem, usiłując posłużyć się własnym ciałem, żeby je zapamiętać, lecz wciąż pamiętał tylko sznurek. Odkąd jednak sztetl został nazwany, zyskał zarazem



całkiem nową, krępującą samoświadomość, której przejawy często bywały żenujące.

Kobiety ze sztetla na widok mojej praprapraprababki zadzierały swoje imponujące nosy i szeptem rzucały za nią takie wyzwiska, jak „brudaska z Brodu” czy „wodziewka”. Zbyt przesądne, aby zdradzić jej, skąd naprawdę się wzięła, dopilnowały jednak, żeby nie miała przyjaciół wśród rówieśników (wmówiły swoim dzieciom, że Brod wcale nie jest aż taka zabawna jak zabawy, do których ją dopuszczają, ani tak dobra, jak jej dobre uczynki), lecz przestawała wyłącznie z Jankielem i z tymi mężczyznami ze sztetla, którzy nie bali się zaryzykować, że przyłapią ich żony. A mężczyzn takich było niemało. Nawet najbardziej pewnym siebie jegomościom w jej obecności plątały się nogi. Skończywszy za ledwie dziesięć lat, była najbardziej upragnioną istotą w całym sztetlu, a jej sława rozprzestrzeniła się po okolicznych wioskach niby cieknąca strużkami woda.

Wiele razy ją sobie wyobrażałem. Jest dość niska, nawet jak na swój wiek, lecz ten niepozorny wzrost nie ma w sobie nic milusińskiego, przywodzi raczej na myśl mizerną posturę niedożywionego dziecka. To samo da się powiedzieć o jej chudości. Zanim Jankiel położy dziewczynkę spać, co wieczór liczy jej żebra, jakby chciał się upewnić, czy jedno przypadkiem nie zniknęło w ciągu dnia, aby stać się ziarnem i glebą, z których wyrośnie jakiś nowy towarzysz, co ją Jankielowi ukradnie. Brod ją da nie najgorzej i jest zdrowa, a przynajmniej nigdy nic jej nie dolega, ale takie ciało mogłaby mieć dziewczynka

chronicznie chora, wciśnięta w jakieś biologiczne imadło, albo głodująca, po prostu skóra i kości – dziewczynka wiecznie skrępowana. Włosy ma gęste i czarne, wargi wąskie, jasne, zbielełe. Jakżeby inaczej?

Jankiel bardzo się zmartwił, kiedy postanowiła własnoręcznie ściąć te gęste czarne włosy.

*To niekobiece – powiedział. Z takimi krótkimi wyglądasz jak chłopczyk.*

*Nie bądź głupi – odparła.*

*Ale czy ci to nie przeszkadza?*

*Oczywiście, że mi przeszkadza, kiedy jesteś głupi.*

*Mówię o twoich włosach – sprostował.*

*Uważam, że są bardzo ładne.*

*Czy mogą być ładne, jeśli nikt ich za takie nie uważa?*

*Ja akurat uważam, że są ładne.*

*A jeśli nikt nie podziela twojego zdania?*

*To dopiero ładna historia!*

*A chłopcy? Nie chcesz im się podobać?*

*Nie chciałabym podobać się chłopcu, jeśli sam z siebie nie uważałby, że jestem ładna.*

*A mnie się podobają – odparł. Uważam, że są bardzo piękne.*

*Powtórz to jeszcze raz, to je z powrotem zapuszczę.*

*Wiem – odrzekł ze śmiechem i pocałował ją w czoło, palcami przyciskając jej uszy.*

Kiedy nauczyła się szyć (z książki, którą przywiózł ze Lwowa), nie chciała już nosić żadnych ubrań prócz tych własnej roboty, a gdy kupił jej książkę o fizjologii zwierząt, podtykała mu ilustracje pod nos i pytała: *Nie dziwi cię to Jankielu, że je zjadamy?*

*Nigdy w życiu nie zjadłem obrazka.*

*Nie obrazki, tylko zwierzęta. Nie dziwi cię to. Wprost nie do wiary, że nigdy dotąd mnie nie dziwiło. To tak jak z własnym imieniem: najpierw przez długi czas go nie zauważasz, ale kiedy wreszcie zauważysz, nie możesz się powstrzymać, żeby go w kółko nie powtarzać, zachodząc w głowę, czemu nigdy nie wydało ci się dziwne, że masz akurat to imię i że przez całe życie wszyscy tak właśnie do ciebie się zwracali.*

*Jankiel. Jankiel. Jankiel. I co w tym dziwnego.*

*Nie będę ich jadła, przynajmniej póki nie przejdzie mi to zdziwienie.*

Brod wszystkimu stawiała opór, nikomu nie ulegała, nie reagowała ani na prowokacje, ani na ich brak.

*Wcale nie uważam, że jesteś uparta* – powiedział jej Jankiel pewnego popołudnia, kiedy nie chciała zjeść obiadu przed deserem.

*A właśnie, że jestem!*

I za to ją kochano. Kochali ją wszyscy – nawet ci, co jej nienawidzili. Osobliwy splot okoliczności, z którego się poczęła, rozniecał męskie intrygi, lecz dopiero jej sprytnie manipulacje, skromne gesty i frazeologiczne piruety, dopiero upór, z jakim wzbraniała się zarówno okazać, że w ogóle dostrzega mężczyzn, jak i zignorować ich istnienie, dopiero ten sposób bycia sprawiał, że chodzili za nią ulicami, wpatrywali się w nią z okien, śnili o niej (zamiast o swoich żonach czy choćby o sobie samych) po nocach.

*Tak, Josku. Robotnicy z młyna są bardzo silni i odważni.*

*Tak, Terwlu. Tak, dobra ze mnie dziewczyna.*

*Tak, Saulu. Tak, tak, uwielbiam słodczyce.*

*Tak. Och, tak, Icku. Och, tak.*

Jankiel nie miał serca wyznać Brod, że nie jest jej ojcem, a ona w Dniu Trachima gra rolę Królowej Tratw nie tylko dlatego, że jest bezsprzecznie najpowszechniej ukochaną dziewczyną w całym sztetlu, lecz i z tej przyczyny, że na dnie rzeki, noszącej to samo co ona imię, spoczywa jej rodzony ojciec – jej tata, za którym nurkują śmiałkowie. Wymyślał więc coraz to nowe historyjki – szalone, pełne nieobłąskawionych wizji i barwnych postaci. Tworzył zmyślenia tak fantastyczne, że musiała w nie wierzyć. Była wszak tylko dzieckiem, które nie zdążyło jeszcze otrzepać się z pyłu swojej pierwszej śmierci. Jaki więc miała wybór? On zaś obrastał już pyłem śmierci drugiej. Jaki więc miał wybór?

Dzięki pomocy chutliwych mężczyzn i zajadle niechętnych kobiet ze sztetla moja jakże zamierzchła prababka wrastała w siebie, pielęgnując osobiste zainteresowania: tkala, uprawiała ogród, czytała, cokolwiek wpadło jej w ręce – czyli mniej więcej wszystko, co mieściło się w nieprzebrane bogatej, od podłogi po sufit wypełnionej książkami bibliotece Jankiela, która miała kiedyś posłużyć Trachimbrodowi za pierwszą bibliotekę publiczną. Będąc najbystrzejszą obywatelką Trachimbrodu, wzywana, ilekroć należało rozwiązać trudny problem matematyczny lub logiczny (*ŚWIĘTE SŁOWO, ŚWIĘTE SŁOWO* – spytał ją kiedyś w ciemnościach Rabin Wielce Poważany – *KTÓRE TO WŁAŚCIWIE JEST, BROD?*), była zarazem najbardziej samotna i smutna. Była geniuszem

samotności: pogrążała się w niej, rozwikływała jej rozliczne włókna i kosztowała subtelnym niuansów. Była pryzmatem, w którym smutek mógł się rozłamać na nieskończone mnóstwo barw.

*Jesteś smutny, Jankielu?* – spytała kiedyś przy śniadaniu.

*Oczywiście* – odparł, wkładając jej drżącą łyżką do ust plasterki melona.

*A dlaczego?*

*Dlatego, że mówisz, zamiast jeść śniadanie.*

*A czy przedtem bywałeś już smutny?*

*Oczywiście.*

*A czemu?*

*Bo jadłaś, zamiast mówić, a mnie ogarnia smutek, kiedy nie słyszę twojego głosu.*

*A kiedy patrzysz, jak ludzie tańczą, czy też robi ci się smutno?*

*Oczywiście.*

*Mnie też. Jak myślisz, czemu taniec tak działa?*

Pocałował ją w czoło i dotknął dłonią jej podbródka. *Naprawdę powinnaś jeść* – powiedział. *Robi się późno.*

*Wydaje ci się, że Bicl Bicl jest wyjątkowo smutnym człowiekiem?*

*Nie wiem.*

*A nieutulona w żalu Szanda?*

*Owszem, Szanda jest wyjątkowo smutna.*

*To oczywisty przykład, prawda? A czy Szloim jest smutny?*

*Kto to może wiedzieć?*

*A bliźniaczki?*

*Bardzo możliwie. Nie nasza sprawa.*

*A czy Bóg jest smutny?*

*Musiałby najpierw istnieć, żeby się smucić, prawda?*

*Wiem – odrzekła i lekko trzepnęła go w ramię. Właśnie po to cię spytałam, żeby w końcu ustalić, czy w Niego wierzysz!*

*Zadowolmy się stwierdzeniem, że jeśli Bóg istnieje, to miałby wiele powodów do smutku. A jeśli nie istnieje, to także mocno by go pewnie smuciło. Czyli na twoje pytanie odpowiadam, że Bogu musi być smutno.*

*Jankielu!* Objęła go rękami za szyję, jakby usiłowała w niego wpełznąć albo wciągnąć go w siebie.

Brod odkryła sześćset trzynaście rodzajów smutku, a każdy był jedyną w swoim rodzaju, odrębną emocją, nie bardziej podobną do któregośkolwiek spośród pozostałych smutków niż do gniewu, ekstazy, poczucia winy czy bezsilności. Był zatem Smutek Lustrzany. Smutek Udomowionych Ptaków. Smutek Zasmuconego w Obecności Ojca lub Matki. Smutek Humoru. Smutek Miłości bez Ujścia.

Była jak tonący, który miota się, próbując chwycić się czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za deskę ratunku. Jej życie było pospieszną, rozpaczliwą walką o uzasadnienie własnego życia. Uczyła się grać na skrzypcach nieprawdopodobnie trudne tematy, spoza granic tego, co we własnym przekonaniu mogła znać, i za każdym razem przybiegała do Jankiela, z płaczem wołając: *Tej melodii też się nauczyłam! Okropność! Muszę wreszcie napisać coś, czego nawet ja zagrać nie zdołam!* Wieczory spędzała nad

albumami, które Jankiel kupował jej w Łucku, i co rano przy śniadaniu skarżyła się: *To były dobre i udane prace, ale nie piękne. Nie, nie mogę ich tak nazwać, jeśli mam być wobec siebie uczciwa. Są zaledwie najlepsze ze wszystkiego, co istnieje.* Kiedyś przez całe popołudnie siedziała wpatrzona w drzwi wejściowe.

*Czekasz na kogoś?* – spytał Jankiel.

*Jakiego one są koloru?*

Stał przy samych drzwiach i pochylił się, aż czubkiem nosa dotknął dziurki od klucza. Polizał drewno i zażartował: *Wyraźnie smakują czerwienią.*

*No właśnie, są czerwone, prawda?*

*Na to wygląda.*

Ukryła głowę w dłoniach. *Ale czy nie mogłyby być chociaż odrobinę czerwiejsze?*

Jej życie było powolnym uświadamianiem sobie, że świat nie jest dla niej, a ona z jakiegoś niewiadomego powodu nigdy nie będzie jednocześnie szczęśliwa i uczciwa. Czuła się przepelniona, jakby nieustannie wytwarzała i gromadziła we własnym wnętrzu coraz to nowe zasoby miłości. Ale miłość ta nie znajdowała ujścia. Stół, amulet z kości słoniowej, tęcza, cebula, fryzura, mięczak, szabas, przemoc, naskórek, melodramat, rów, miód, serwetka pod kieliszek... Nic z tych rzeczy jej nie wzruszało. Podchodziła do swojego świata uczciwie, szukając czegoś, co zasługiwałoby na te bezmiary miłości, o których wiedziała, że je w sobie nosi, lecz wszystkiemu po kolei musiała oświadczać: *Nie Kocham cię.* Korobrunatna sztacheto w płocie: *Nie Kocham cię.* Wierszu zbyt

długi: *Nie kocham cię*. Południowy posiłku w misce: *Nie kocham cię*. Fyzyko, sama ideo fizyki, prawa fizyczne: *Nie kocham was*. Każde poszczególne zjawisko odczuwała tak, jakby było tylko sobą i niczym więcej. Każda rzecz była jedynie rzeczą, bez reszty ugrzęzłą we własnej rzeczywistości.

Gdybyśmy na chybił trafił otworzyli jej dziennik (który niewątpliwie prowadziła i prowadziła się z nim wszędzie – wcale nie z obawy, że go zgubi albo że ktoś go wyszpera i przeczyta, lecz z lęku, że pewnego dnia natknie się może na tę jedyną rzecz godną wreszcie opisu i zapamiętania, a wtedy okaże się, że nie ma na czym pisać), znaleźlibyśmy tam w ten czy inny sposób wyrażone uczucie: *Nie jestem zakochana*.

Musiała więc zadowolić się *wyobrażeniem* miłości – kochać własne ukochanie rzeczy, których istnienie było jej najzupełniej obojętne. Sama miłość stała się dla niej obiektem miłości. Brod kochała siebie zakochaną, kochała kochać kochanie, tak jak kochanie kocha kochać, i potrafiła dzięki temu pogodzić się ze światem, tak bardzo nie dorastającym do jej nadziei. To nie świat był wielkim, zbawiennym kłamstwem, lecz jej własna chęć uczynienia go pięknym i sprawiedliwym, jej zgoda na życie o krok od rzeczywistości, w świecie o krok odległym od tego, w którym najwidoczniej żyli wszyscy inni ludzie.

Chłopcy, młodzieńcy, dojrzały mężczyźni i starcy ze sztetla o każdej porze dnia i nocy czuwaliby pod oknem Brod, pytając, czy mogą pomóc jej w nauce (z którą



oczywiście radziła sobie sama, a zresztą i tak przecież nie zdołaliby jej pomóc, choćby nawet pozwoliła im spróbować) lub w ogrodzie (który rósł jak zaczarowany, w rozkwicie czerwonych tulipanów i róż oraz pomarańczowych, narwanych niecierpków), a jeśli nie, to może miałyby ochotę przejść się nad rzekę (do której znakomicie potrafiła dojść bez asysty, piękne dzięki). Nigdy nie mówiła „nie” ani „tak”, lecz na przemian skracała i luzowała wodze swojej władzy.

Ilekczo chciała je skrócić, mawiała na przykład: *Najbardziej marzy mi się teraz mrożona herbata w wysokiej szklance*. Mężczyźni rzucali się na wyścigi, żeby przynieść jej napój. Tego, który wrócił pierwszy, mogła nagrodzić cmoknięciem w czoło (wodze poluzowane) albo (wodze skrócone) obietnicą spaceru (do spełnienia kiedyś, później) lub wreszcie (wodze poluzowane) zwyczajnie powiedzieć: *Dziękuję, do widzenia*. Utrzymywała pod swoim oknem skrupulatną równowagę, nigdy nie dopuszczając mężczyźni za blisko, ale też nie pozwalając im zanadto się oddalić. Rozpaczliwie ich potrzebowała – nie tylko ze względu na drobne przysługi czy z uwagi na przedmioty, które mogli sprawić Jankielowi i jej, zbyt drogie dla Jankiela, lecz i dlatego, że pomagali zatkać wyrwę w tamie, chroniącej ją przed dobrze znaną prawdą: przed świadomością, że nie kocha życia. Nie istniał żaden przekonujący powód, żeby żyć.

Jankiel już w dniu, kiedy wóz wjechał do rzeki, miał siedemdziesiąt dwa lata, a jego dom lepiej przygotowany był do pogrzebu niż do narodzin. Brod czytała przy

stłumionym, kanarkowym świetle lampek oliwnych, przykrytych koronkowymi chustami, i kąpała się w wannie wyłożonej papierem ściernym dla ochrony przed poślizgnięciem. Jankiel wprowadzał ją w literaturę i w podstawy matematyki, póki nie zaczęła wyraźnie przewyższać go wiedzą; śmiał się razem z nią, nawet gdy nie działo się nic śmiesznego, czytał jej na dobranoc, a potem patrzył, jak ona zasypia, i był jedynym człowiekiem, którego mogła uważać za przyjaciela. Przejęła od niego nierówny chód, mówiła z jego starczym akcentem, a nawet gładziła się po twarzy, choć tej nigdy przecież, o żadnej porze żadnego spośród dni jej żywota, nie ocieniał popołudniowy zarost.

*Kupiłem ci w Łucku parę książek* – rzekł Jankiel, zamykając drzwi przed nosem wczesnemu zmierzchowi i reszcie świata.

*Nie stać nas na nie* – odparła, biorąc od niego ciężką torbę. *Jutro będę musiała je zwrócić.*

*Ale na to, żeby ich nie mieć, też nie możemy sobie pozwolić. Na co więc bardziej nas nie stać? Żeby je zatrzymać czy oddać? Tak jak ja to widzę, w każdym wypadku przegrywamy. Moim zdaniem lepiej już przegramy, zatrzymując książki.*

*Jesteś śmieszny, Jankielu.*

*Wiem* – odparł – *bo kupiłem ci też kompas od zaprzyjaźnionego architekta i kilka tomików francuskiej poezji.*

*Przecież ja nie mam pojęcia o francuskim.*

*Znasz lepszy sposób, żeby się nauczyć?*

*Znam. Z podręcznika do francuskiego.*

*No tak, wiedziałem, że nie bez powodu go kupiłem!* – odrzekł, wyciągając z dna torby gruby tom w brązowej oprawie.

*Jesteś niemożliwy, Jankielu!*

*Jestem całkiem możliwie możliwy.*

*Dziękuję ci* – powiedziała, całując go w czoło – jedyne miejsce, w jakie kiedykolwiek kogoś pocałowała czy też ją samą pocałowano, i gdyby nie naczytała się tytułu powieści, trwałaby w przekonaniu, że ludzie nigdzie indziej się nie całują.

Musiała potajemnie zwracać wiele rzeczy, które kupował jej Jankiel. A on nie zauważał, jak znikają, bo już nie pamiętał, że je w ogóle kupił. To Brod wpadła na pomysł, żeby z ich prywatnej biblioteki zrobić publiczną i pobierać drobną opłatę za wypożyczanie książek. I właśnie dzięki tym pieniądzom – oraz temu, co zdołała wydobyć od mężczyzn, którzy w niej się kochali – udało im się jakoś przetrwać.

Jankiel robił, co mógł, żeby Brod nie czuła się obco, żeby nie dostrzegąca dzielącej ich różnicy wieku i płci. Zostawiał drzwi otwarte, ilekroć oddawał mocz (zawsze na siedząco i zawsze potem się podcierał), a czasem wylewał sobie wodę na spodnie i mówił: *Popatrz, mnie też się to zdarza*, nieświadom, że Brod pierwsza zaczęła oblewać sobie spodnie wodą, bo chciała go w ten sposób pocieszyć. Kiedy w parku spadła z huśtawki, specjalnie tarł kolanami o papier ścierny na dnie wanny, a potem rzekł: *Ja też upadłem*. Kiedy zaczęły jej rosnać piersi, podciągnął

koszulę, żeby pokazać swoje starcze, obwisłe sutki, i powiedział: *Nie tobie jednej.*

I w takim to świecie ona rosła, a on się starzał. Odcięli się od Trachimbrodu, urządziwszy sobie bezpieczną ostoję, siedlisko ani trochę niepodobne do reszty świata. W tym ich azylu nigdy nie padały słowa nienawiści i nikt na nikogo nie podnosił ręki. Co więcej, nigdy nie padło żadne słowo gniewne i nikt nigdy nie spotkał się z odmową. Mało tego: nigdy nie padło ani jedno słowo wyzute z miłości, a każda rzecz była kolejnym przyczynkiem do dowodu, że może być właśnie tak, wcale nie musi być siak; jeśli na świecie nie istnieje miłość, stworzymy nowy świat, wyposażymy go w grube ściany, wnętrza umeblujemy miękko i czerwono, zaczynając przebudowę od środka, i powiesimy kołatkę, która brzmieć będzie jak brylant spadający na jubilerski filc, żebyśmy nigdy nie słyszeli jej stuku. Kochaj mnie, bo miłości nie ma, a próbowałem już wszystkiego, co istnieje.

Ale moja wielce zamierzchła i samotna prababka nie kochała Jankiela, a przynajmniej nie kochała go prosto i niemożliwie. Tak naprawdę ledwie go znała. On też zresztą prawie jej nie znał. Każde z nich było blisko spoufalone z pewnymi odcieniami siebie w tym drugim, ale drugiego nie znało. Czy Jankiel mógł odgadnąć, o czym śni Brod? Czy Brod mogła odgadnąć, czy w ogóle chciałoby jej się zgadywać, dokąd nocami podróżuje Jankiel? Byli sobie nawzajem obcy, tak jak moja babka i ja.

Ale...

Ale dla każdego z nich to drugie było najlepszą możliwą namiastką godnego obiektu miłości. Dawali więc sobie nawzajem całą miłość. On obcierał sobie kolano i mówił: *Ja też upadłem*. Ona chlustała sobie wodą na spodnie, żeby nie czuł się osamotniony. On dał jej kółko z liczydeł. Ona nosiła je na szyi. A gdy Jankiel twierdził, że gotów byłby dla niej umrzeć, niewątpliwie mówił serio, chociaż, ściśle rzecz biorąc, nie chciał umierać za samą Brod, lecz za miłość, którą ją darzył. Gdy zaś ona mówiła: *Ojczy, Kocham cię*, nie była naiwna ani nieuczciwa; wręcz przeciwnie: była dość mądra i prawdomówna, aby kłamać. Wzajemnie obdarowywali się tym wielkim, zbawiennym kłamstwem, jakobyśmy kochali obiekty naszej miłości bardziej niż swoją miłość do nich – z rozmysłem grając role, które sami dla siebie napisali, z rozmysłem tworząc i darząc wiarą niezbędne do życia fikcje.

Ona miała dwanaście lat, on co najmniej osiemdziesiąt cztery. Choćby nawet dożył dziewięćdziesiątki – myślał – ona zdąży tymczasem skończyć zaledwie osiemnaście. A wiedział, że dziewięćdziesiątki dożyć mu się nie uda. Potajemnie słabował, potajemnie cierpiał ból. Kto zaopiekuje się nią po jego śmierci? Kto będzie jej śpiewał, kto będzie łaskotał ją w plecy tym szczególnym, jej ulubionym sposobem, gdy ona dawno już zaśnie? Skąd dowie się o swoim prawdziwym ojcu? Jak on, Jankiel, może być pewien, że ominie ją powszednia przemoc, zarówno niezamierzona, jak i zamierzona? Jak może być pewien, że Brod nigdy się nie zmieni?

Robił, co mógł, żeby powstrzymać swoje błyskawiczne podupadanie. Zawsze starał się porządnie najeść, choćby nie był głodny, a między posiłkami wypić trochę wódki, nawet gdy czuł, że żołądek mu się od niej zawęźli. Codziennie po południu szedł na długi spacer, wiedząc, że ten akurat ból w nogach jest dobrym bólem, i każdego ranka rąbał jedno polano na opał, świadom, że ramiona bołą go nie od choroby, lecz na zdrowie.

Zaniepokojony częstymi lukami w pamięci, zaczął notować fragmenty swojego życiorysu na suficie sypialni, pisząc szminką do ust – jedną z kilku szminek Brod – którą znalazł w szufladzie jej biurka, zawiniętą w skarpetkę. Mógł dzięki temu oglądać własne życie co dzień rano zaraz po przebudzeniu i co wieczór tuż przed zaśnięciem. *Byłeś dawniej żonaty, ale ona cię rzuciła* – to nad sekretarzykiem. *Nie cierpisz zielonych warzyw* – w najdalszym kącie sufitu. *Jesteś Rozlazłym* – tam gdzie sufit stykał się z drzwiami. *Nie wierzysz w życie przyszłe* – kołście wypisane wokół górnej lampy. *Za nic w świecie nie chciał, żeby Brod połapała się, jak bardzo jego umysł upodobnił się do szklanej tafli: jak szyba ta mętnieje pod oparem oszołomienia, jak odskakują od niej myśli, jak nie sposób zrozumieć wielu rzeczy, które mówi córka, i że często zdarza mu się zapomnieć własnego imienia, a nawet – i wtedy czuje się, jakby jakąś drobną częścią siebie umierał – imienia Brod.*

4:812 - *Sen o wiecznym życiu z Brod.* Śni mi się co noc. Nawet gdy rano nie mogę go sobie przypomnieć, i tak wiem, że był, jak dołek, który zostawia obok na poduszce głowa kochanki, chociaż sama kochanka już odeszła. Nie śni mi się, że razem z nią się starzeję, tylko że nie starzeję się wcale i ona też wciąż jest młoda. Nigdy mnie nie opuszcza, ani ja jej. Owszem, boję się śmierci. Boję się, że świat bez mnie dalej będzie się toczył, że moja obecność przejdzie niezauważona lub, co gorsza, odegra rolę jakiejś siły przyrody, popychającej życie naprzód. Czy to egoizm? Czy taki zaraz ze mnie łotr, skoro marzę o świecie, który skończy się razem ze mną? Nie mówię o tym, że świat skończy się dla mnie samego: chodzi mi o to, żeby wszystkie pary oczu zamknęły się równocześnie z moimi. Mój sen o wiecznym życiu z Brod przybiera czasem postać snu o wspólnej z nią śmierci. Wiem, że nie istnieje życie przyszłe. Nie jestem durniem. I wiem, że Boga też nie ma. Nie potrzebuję jej towarzystwa, tylko chciałbym wiedzieć, że ona nie będzie potrzebowała mojego - albo że nie będzie go nie potrzebowała. Wyobrażam sobie

różne sceny z jej udziałem, ale beze mnie, i robię się strasznie zazdrosny. Wyjdzie za mąż, urodzi dzieci i dotknie rzeczy, do jakich nigdy nie zdołałem choćby się zbliżyć – wszystkiego, co powinno mnie uszczęśliwić. Oczywiście nie mogę jej opowiedzieć tego snu, chociaż rozpaczliwie pragnę. Ona jedna dla mnie się liczy.

Poczytał jej trochę, kiedy leżała już w łóżku, a później słuchał, jak Brod rozumie tę historyjkę, i ani razu jej nie przerwał – nawet żeby powiedzieć, jaki jest z niej dumny i jaka ona jest bystra i piękna. Pocałował ją na dobranoc i pobłogosławił, poszedł do kuchni, wypił tych kilka łyčzków wódki, którym mógł podołać jego żołądek, i zdmuchnął lampę. Ruszył ciemnym korytarzem w stronę ciepłego blasku, bijącego spod drzwi jego sypialni. Potknął się o stertę książek Brod, które leżały na podłodze przed jej drzwiami, a potem jeszcze raz, o torbę dziewczynki. Wchodząc do swojego pokoju, wyobraził sobie, że tej nocy umrze we własnym łóżku. Wyobraził sobie, jak Brod znajdzie go rankiem. Wyobraził sobie, w jakiej będzie leżał pozycji i z jakim wyrazem twarzy. Wyobraził sobie, jak będzie się czuł – albo nie czuł. *Późno już* – pomyślał – *a rano muszę wcześniej się obudzić, żeby przygotować śniadanie dla Brod, zanim pójdzie do szkoły.* Ostrożnie położył się na podłodze, zrobił trzy pompki, bo akurat na tyle starczało mu sił, i dźwignął się z powrotem. *Już późno* – pomyślał – *a ja powiniennem*



*być wdzięczny za wszystko, co mam, i pogodzony ze wszystkimi poniesionymi i nieponiesionymi stratami. Bardzo się dzisiaj starałem być dobrym człowiekiem, robić wszystko tak, jak Bóg by sobie życzył, gdyby istniał. Dziękuję ci za te dwa dary, za życie i za Brod - myślał dalej - a tobie, Brod, dziękuję, bo gdyby nie ty, nie miałbym po co żyć. Nie jestem smutny. Wślizgnął się pod kołdrę z czerwonej wełny i spojrzął na sufit wprost nad głową: Jesteś Jankiel. Kochasz Brod.*

KIEDY JANKIEL przykrył zegar czarnym całunem, był to sekret. Kiedy Rabin Wielce Poważany, zbudziwszy się pewnego ranka, miał na języku gotowe słowa: *ALE JEŻELI?* – to także był sekret. Podobnie jak wtedy, gdy najbardziej wygadana ze wszystkich Rozlazłych, Rachela F., obudziła się z pytaniem: *Ale jeżeli?* Nie był to zaś żaden sekret, gdy Brod nie pomyślała, żeby powiedzieć Jankielowi, że znalazła w swoich majtkach czerwone plamy, a skoro tak, to na pewno umiera i ten rodzaj śmierci wydaje jej się bardzo poetyczny. Był to natomiast sekret, kiedy potem jednak chciała mu o tym powiedzieć, ale w końcu nie powiedziała. Kiedy Sofijówka się onanizował, przynajmniej za co którymś razem był to sekret, wobec czego wypada go uznać za największego w Trachimbrodzie – a może zawsze i wszędzie – skrupulanta, jeśli idzie o dochowywanie sekretów. Ilekroć nieutulona w żalu Szanda przestawała żałować, był to sekret. Tak jak i wtedy, gdy bliźniaczki rabina dawały do zrozumienia, że nic nie widziały ani też nic nie wiedzą o tym, co wydarzyło się osiemnastego maja 1791 roku,

kiedy to wóz Trachima B. przygwoździł go albo i nie przygwoździł do dna Brodu.

Jankiel roznosi po domu czarne płachty. Jedną przykrywa zegar stojący, a swój srebrny zegarek kieszonkowy owija kawałkiem czarnego płótna. Już nie przestrzega szabasu, bo nie chce w żaden sposób zaznaczać, że skończył się kolejny tydzień, i unika słońca, ponieważ cienie to także zegary. *Chwilami miewam ochotę uderzyć Brod* – myśli sobie – *nie żeby robiła coś nie tak jak trzeba, tylko dlatego, że strasznie ją kocham*. I to także jest sekret. Czarną tkaniną zasłania okno swojej sypialni. Zawija kalendarz w czarny papier, jakby pakował prezent. Kiedy Brod się kąpie, on czyta jej pamiętnik, i to jest sekret, to jest okropna rzecz, sam dobrze o tym wie, ale do niektórych okropnych rzeczy ojciec ma przecież prawo, nawet przyszywany.

*18 marca 1803*

*...Przytłacza mnie to wszystko. Do jutra muszę skończyć czytać pierwszy tom biografii Kopernika, bo już pora oddać książkę człowiekowi, od którego Jankiel ją kupił. A tu jeszcze trzeba jakoś się rozeznać w greckich i rzymskich bohaterach, poszukać sensu w opowieściach biblijnych, no i – tak jakby mogło na to starczyć godzin dnia – odrobić matematykę. Sama się tym obarczam...*

*20 czerwca 1803*

*..., „W głębi duszy młodzi są bardziej samotni od starych”. Przeczytałam to w jakiejś książce i utkwiliło mi w głowie.*

*Może to prawda. A może nie. Już raczej chyba młodzi i starzy są samotni na różne sposoby, po swojemu...*

*23 września 1803*

*...Dziś po południu uzmysłowiłam sobie, że najbardziej na świecie lubię pisać pamiętnik. On nigdy mnie źle nie rozumie i ja jego też nie. Jesteśmy jak idealni kochankowie, jak jedna osoba. Czasem biorę go ze sobą do łóżka i tulę, zasypiając. Czasem całuję jego kartki, wszystkie po kolei. Przynajmniej na razie musi mi to wystarczyć...*

I to też oczywiście jest sekret, ponieważ Brod trzyma własne życie w sekrecie przed sobą. Podobnie jak Jankiel powtarza każde zdanie, aż stanie się ono prawdą, a przynajmniej do chwili, kiedy sama już nie wie – prawda to czy nieprawda. Doszła do mistrzostwa w myleniu *tego, co jest, z tym, co było, a tego, co było, z tym, co być powinno, a znów tego, co być powinno, z tym, co być mogło*. Unika luster i podnosi mocny teleskop, żeby się odnaleźć. Celuje nim w niebo i sięga wzrokiem – tak jej się w każdym razie wydaje – dalej niż błękit, dalej niż czerń, dalej nawet aniżeli gwiazdy, z powrotem w inną czerń i inny błękit, zakreślając łuk, który zaczyna się w jej oku, a kończy przed jakimś wąskim domkiem. Badawczo wpatruje się w fasadę, widzi, gdzie wypaczyła się i splowiała drewniana futryna drzwi, gdzie kapiąca z dziurawej rynny deszczówka zostawiła białe zacieki, a potem kolejno zagląda do okien. W lewym dolnym kobieta wyciera szmatą talerz. Chyba coś nuci pod nosem, a Brod wyobraża sobie, że to właśnie ta kołysanka, którą usypiałaby ją matka,

gdyby nie umarła, bezboleśnie, w czasie porodu, jak zaręczył jej Jankiel. Kobieta szuka w talerzu własnego odbicia, po czym odstawia talerz na stos. Odgarnia włosy z twarzy, żeby Brod mogła ją zobaczyć (tak przynajmniej dziewczynka rozumie ten gest). Ma za dużo skóry jak na swoje kości i zbyt wiele zmarszczek jak na swoje lata, jak gdyby jej twarz była odrębnie istniejącym zwierzęciem, które powoli spęta z czaszki, co dzień niżej, aż wreszcie zwiśnie uczezione żuchwy, a jeszcze później całkiem odpadnie i wyląduje w dłoniach kobiety, żeby mogła dokładnie się przyjrzeć i powiedzieć: *Tę właśnie twarz całe życie nosiłam*. W prawym dolnym oknie widać tylko biurko zawalone książkami, papierami i fotografiami; fotografie przedstawiają mężczyznę i kobietę, dzieci oraz dzieci tych dzieci. *Jakie cudowne portrety* – myśli Brod. – Takie malutkie, takie dokładne! Nastawia soczewki na jedną z fotek: zdjęcie dziewczynki, która trzyma się matczynej ręki. Rzecz dzieje się na plaży – tak przynajmniej się wydaje z tej wielkiej dali. Dziewczynka, chodzący ideał małej dziewczynki, spogląda gdzieś w bok, jakby ktoś spoza kadru stroił do niej miny, żeby się uśmiechnęła, a matka – jeśli to istotnie matka – patrzy na dziewczynkę. Brod robi jeszcze większe zbliżenie i wykadrowuje oczy matki. Są zielone, tak w każdym razie przypuszcza, i głębokie – trochę jak rzeka, jej imienniczka. *Czyżby płakała?* – zastanawia się, opierając podbródek o parapet. *A może artysta chciał po prostu, żeby wydawała się jeszcze piękniejsza?* Bo dla niej kobieta z fotografii rzeczywiście była piękna. Wyglądała dokładnie tak, jak Brod zawsze wyobrażała sobie matkę.

*Wyżej... wyżej...*

Zagląda do sypialni na piętrze i widzi puste łóżko. Poduszka ma kształt idealnego czworoboku. Pościel jest gładka jak woda. *Bardzo możliwe, że nikt nigdy nie spał w tym łóżku* – myśli Brod. *A może rozegrała się w nim jakaś niestosowna scena i gdy w pośpiechu starano się usunąć dowody rzeczowe, niechcący stworzono nowy dowód. Choćby Lady Makbet zdołała nawet zetrzeć przeklętą plamę, od tego całego tarcia wciąż miałyby przecież czerwone ręce, prawda?* Na szafce nocnej stoi kubek z wodą, a Brod ma wrażenie, że widzi, jak jej powierzchnię marszczy drobna fala.

*W lewo... w lewo...*

Zagląda do kolejnego pokoju. Gabinet? Pokoik dziecinny? Nie wiadomo. Odwraca się, a po chwili znów spogląda, jakby podczas tej krótkiej pauzy mogła odkryć nowy punkt widzenia, ale pokój wciąż pozostaje zagadką. Próbuje go poskładać jak łamigłówkę. Na krawędzi popielniczki balansuje wypalony do połowy papieros. Na parapecie wilgotna ścierka. Na biurku strzępek papieru z notatką napisaną jakby ręką Brod: *To ja z Augustyną, 21 lutego 1943.*

*Wyżej, jeszcze wyżej...*

Ale na strychu nie ma okna. Brod zagląda więc przez ślepą ścianę, co zresztą wcale nie jest takie trudne, bo ściany są cienkie, a teleskop ma wielką moc. Na podłodze leżą chłopak i dziewczyna, zwrócenii twarzami w stronę pochyłości dachu. Brod celuje teleskopem w chłopca, który z tej odległości wygląda na jej rówieśnika. A ona nawet z takiego oddalenia widzi, że książka, z której on jej czyta, to *Księga antecedensów*.

*Aha – myśli. Więc to Trachimbrod oglądam!*

Jego usta, jej uszy. Jego oczy, jego usta, jej uszy. Ręka skryby, oczy chłopca, jego usta, uszy dziewczyny. Brod podąża wstecz za łańcuszkiem przyczyn aż do twarzy tej, której skryba zawdzięczał natchnienie, do ust kochanka i dłoni rodziców wcielonego natchnienia skryby, do ust ich kochanków, do dłoni ich rodziców, do kolan sąsiadów, do wrogów, do kochanków ich kochanków, do rodziców ich rodziców, do sąsiadów ich sąsiadów, do wrogów ich wrogów, póki się nie przekona, że dziewczynie na strychu czyta nie tylko chłopak, ale wszyscy – każdy, kto kiedykolwiek żył na świecie. Brod czyta wraz z nimi:

#### PIERWSZE ZGWAŁCENIE BROD D.

Pierwsze zgwałcenie Brod D. zdarzyło się pośród obchodów, które nastąpiły po trzynastym festynie z okazji Dnia Trachima, osiemnastego marca 1804 roku. Brod szła do domu, wracając z błękitnie ukwieconej platformy, na której stała przez tyle godzin, ascetycznie piękna, machając swoim syrenim ogonem tylko w stosownych momentach, a ciężkie worki cisnęła w głęboką toń rzeki–imienniczki dopiero wtedy, kiedy rabin nieodzownym skinieniem dał znak... aż tu raptem zastąpił jej drogę szalony szlachetka Sofijówka N., pod którego imieniem nasz sztetl figuruje dziś na mapach i w mormońskich...

Chłopiec zasypia, a dziewczyna składa głowę na jego piersi. Brod chce czytać dalej - ma ochotę krzyknąć: *CZYTAJCIE MI! MUSZĘ SIĘ DOWIEDZIEĆ!* - ale nie słyszą jej z daleka, a ona z tej odległości nie może przewrócić kartki. Z tej wielkiej dali kartka - jej cienka jak papier przyszłość - wydaje się nieskończenie ciężka.



ZANIM MOJA PRAPRAPRAPRABABKA skończyła dwanaście lat, dostała przynajmniej jedną propozycję małżeństwa od każdego obywatela Trachimbrodu: od mężczyzn już żonatyh, od starców życiem złamanymi, co siedząc na schodkach przed domami, spierali się o rzeczy, które może wydarzyły się dziesiątki lat wcześniej, a może nie, od chłopców bez włosów pod pachami, od kobiet o owłosionych pachach i od nieboszczyka filozofa Pinchasa T., który w swoim jedynym godnym uwagi artykule, zatytułowanym *Do pyłu: z człowiekaś powstał i w człowieka się obrócisz*, twierdził, że – teoretycznie rzecz biorąc – życie i sztuka mogłyby zamienić się rolami. Za każdym razem rumieniła się siłą woli, trzepotała długimi rzęsami i odpowiadała konkurentowi: *Może jednak nie. Jankiel mówi, że jestem jeszcze za młoda. Ale to taka kusząca propozycja.*

*Jacy oni niemądrzy* (odwraca się z powrotem do Jankiela).

*Zaczekaj, aż odejdę* (zamyka książkę, którą właśnie czytał). *Potem możesz sobie wybierać spośród nich. Ale nie za mojego życia.*

*Żadnego z nich bym nie chciała (całuje go w czoło). Nie są dla mnie. A zresztą (ze śmiechem) mam już przecież najprzystojniejsze mężczyznę z całego Trachimbrodu.*

*Kto to taki? (przyciąga ją i sadza sobie na kolanach). Zabiję go.*

*Łaskocze go w nos małym palcem. To ty, głuptasie.*

*Ojej! Czyli muszę sam się zabić?*

*Na to wygląda.*

*A nie mógłbym być odrobinę mniej przystojny? Gdybym miał ująć dzięki temu przed zabójczym ciosem z własnej ręki? Nie mógłbym być chociaż odrobinę brzydkie?*

*No dobrze (ze śmiechem), masz chyba trochę krzywy nos. A przy bliższych oględzinach wychodzi na jaw, że temu twojemu uśmiechowi też sporo brakuje do przystojności.*

*Teraz to ty mnie zabijasz (ze śmiechem).*

*To i tak lepsze, niż gdybyś miał sam się zabić.*

*Pewnie masz rację. W ten sposób nie będę musiał potem czuć się winny.*

*Wyświadczam ci wielką przystugę.*

*Skoro tak, dziękuję ci, moja droga. Jak mogę się odwdzięczyć?*

*Nie żyjesz. Nic już nie możesz.*

*Wrócę z za grobu, żeby zrobić ci tę jedną uprzejmość. Tylko powiedz, co to ma być.*

*Chyba musiałabym cię poprosić, żebyś mnie zabił. I uratował przed poczuciem winy.*

*Zrobione.*

*Czy nie poszczęściło nam się ogromnie, że mamy siebie nawzajem?*

Tuż po tym, jak oświadczył jej się syn syna Bicla Bicla – *Tak mi przykro, ale Jankiel uważa, że powinnam jeszcze poczekać* – włożyła kostium Królowej Tratw, szykując się do trzynastego dorocznego festynu z okazji Dnia Trachima. Jankiel słyszał, co kobiety mówią o jego córce (nie był przecież głuchy), i widział, jak mężczyźni ją obmacują (nie był przecież ślepy), lecz gdy pomagał Brod wciągnąć kostium syreny i zawiązywał na jej kościstych ramionach paski, wszystko inne wydawało się łatwe (był przecież tylko człowiekiem).

*Nie musisz tak się stroić, jeżeli nie masz ochoty* – powiedział, wsuwając jej szczupłe ręce w długie rękawy syreniego kostiumu, który przez ostatnie osiem lat co roku na nowo projektowała. *Nie musisz być Królową Tratw, wiesz przecież.*

*Ależ oczywiście, że muszę* – odparła. *Jestem najpiękniejszą dziewczyną w Trachimbrodzie.*

*Zdawało mi się, że wcale nie chcesz być piękna.*

*Nie chcę* – odrzekła, wyciągając przez dekolt kostiumu zawieszony na sznurku koralik z liczydeł. *To takie brzemię. Ale cóż mogę poradzić? Cięży na mnie klątwa.*

*Wcale nie musisz tego robić* – powiedział Jankiel, chowając koralik z powrotem pod kostium. *Mogliby w tym roku wybrać inną dziewczynę. Mogłabyś innej dać szansę.*

*To do mnie niepodobne.*

*Ale i tak mogłabyś ustąpić.*

*Mowy nie ma.*

*Przecież zgodziliśmy się co do tego, że wszelkie ceremonie i rytuały są głupie.*

*Ale zgodziliśmy się też, że głupie są tylko dla osób z zewnątrz. A ja tkwię w samym środku tej akurat ceremonii.*

*Zakazuję ci tam iść – powiedział, doskonale wiedząc, że to nic nie da.*

*Zakazuję ci zakazywać – odparła.*

*Mój zakaz jest ważniejszy.*

*Dlaczego?*

*Bo jestem starszy.*

*Tak mówi głupiec.*

*No to dlatego, że ja pierwszy ci zakazałem.*

*Wciąż słyszę ten sam głos.*

*Ale żebyś ty chociaż lubiła te obchody – powiedział. Przecież zawsze potem narzekasz.*

*Wiem – odrzekła, poprawiając ogon obszyty łuską z niebieskich cekinów.*

*No to po co?*

*Lubisz myśleć o Mamie?*

*Nie.*

*A kiedy o niej myślisz, boli cię potem?*

*Tak.*

*No to czemu nie przestajesz o niej myśleć? – zapytała. I dlaczego – zadała sobie w duchu pytanie, wspomniawszy opis gwałtu – tak uczepiliśmy się tej sprawy?*

Jankiel pogrzyżył się w zadumie, ale co pewien czas bezskutecznie usiłował się wysłowić.

*Jak znajdziesz odpowiedź, która będzie do przyjęcia, zrzekną się swojego tronu.* Pocałowała go w czoło i wyszła z domu, kierując się w stronę rzeki-imienniczki.

Jankiel stał w oknie i czekał.

W owo wiosenne popołudnie 1804 roku, tak jak w każdym Dniu Trachima od trzynastu lat, nad wąskimi, niebrukowanymi arteriami Trachimbrodu porozpiwane były baldachimy z cienkiego białego sznurka. Nie kto inny, tylko Bicl Bicl wymyślił, żeby w ten właśnie sposób upamiętnić to, co pierwsze wypłynęło z zatopionego wozu. Jednym końcem białego sznurka obwiązano do połowy opróżnioną butelkę starego wermutu, która leżała na podłodze zataczającej się chałupy pijaka Omelera S., a drugim – szerniały srebrny świecznik na stole w jadalni u Rabina Znośnego, w jego ceglany domu, który miał cztery sypialnie i stał po drugiej stronie błotnistej ulicy Szelistera; cienki biały sznurek ciągnął się jak sznur z praniem od lewej tylnej nogi łóżka ladacznicy z drugiego piętra do zimnej miedzianej klamki przy drzwiach chłodni w piwnicy zakładu balsamowania Kermana K., tego goja; biały sznurek łączył rzeźnika ze swatem ponad rozwartą dłońią rzeki Brod, która spokojnie (acz z zapartym tchem) oczekiwała dalszych wydarzeń; biały sznurek biegł od stolarza do wytwórcy figur woskowych i dalej do akuszerki, tworząc trójkąt nierównoboczny nad fontanną z syreną na płask rozciągniętą, pośrodku rynku.

Wzdłuż brzegu zgromadzili się przystojni mężczyźni, a korowód platform, gwoli zadośćuczynienia wodnistej tradycji tratwami zwanych, ruszył od małego wodospadu w stronę straganów z zabawkami i ciastkami, ustawionych nieopodal tablicy upamiętniającej miejsce,

gdzie wóz może przekoziółkował i poszedł na dno,  
a może nie.

TA OTO TABLICA UPAMIĘTNIA MIEJSCE  
(ALBO MIEJSCE W POBLIŻU MIEJSCA)  
GDZIE WÓZ NIEJAKIEGO  
TRACHIMA B.  
(JAK SĄDZIMY)  
ZATONAŁ

*Proklamacja Sztetla, rok 1791*

Pierwsza minęła okno Rabina Znośnego, który z tegoż okna nieodzownym skinieniem wyraził zgodę, trawą z miejscowości Kołki. Zdobiły ją tysiące pomarańczowych i czerwonych motyli: obsiadły ją całym rojem, ponieważ zawieszono pod nią specjalnie dobrany zestaw zwierzęcych trucheł. Rudy chłopak w pomarańczowych portkach i wieczorowej koszuli stał na drewnianym podium, nieruchomy jak posąg. Nad nim umieszczono transparent z napisem: MIESZKAŃCY KOŁEK ŚWIĘTUJĄ WRAZ ZE SWOIMI SĄSIADAMI Z TRACHIM-BRODU! Chłopak ten miał posłużyć za temat wielu obrazów w owej dalekiej przyszłości, gdy dzieci, które przyglądały się paradzie, zdążyły już się zestarzeć i z kompletami akwarel zasiadły na gankach przed domami. Nie wiedział tego jednak, kiedy tak stał na platformie, i dzieci też nie wiedziały, a już na pewno nikt z wszystkich tych ludzi nie przewidywał, że kiedyś napiszę te oto słowa.

Druga przejechała tratwa z Równego, od krawędzi po krawędź obsiadła rojem zielonych motyli. Za nią ciągnęły tratwy z Łucka, z Saren, z Kiwerców, z Sokiereczów i z Kowla. Każdą pokrywała warstwa koloru – tysiące motyli, które znęcił zapach krwawych truchel: motyli brązowych, fioletowych, żółtych, różowych, białych. W krzyku tłumy, zgromadzonego wzdłuż trasy, było tyle podniecenia i tak niewiele człowieczeństwa, że wznosił się z niego nieprzenikniony mur zgiełku – pospólne wycie, tak przy tym wszechobecne i nieustanne, że można by je wziąć za pospólne milczenie.

Tratwę z Trachimbrodu obsiadły niebieskie motyle. Brod siedziała na podwyższeniu w samym jej środku, w gronie trachimbrodzkich księżniczek-tratwianek: były one młode, odziane w niebieskie koronki i wymachiwały rękami, naśladując ruch fal. Na ustawionej z przodu platformy estradzie czterech skrzypków grało polskie pieśni narodowe, podczas gdy z tyłu drugi kwartet grał tradycyjną muzykę ukraińską, a interferencja tych dwóch orkiestr tworzyła trzecią, dysonującą pieśń, którą słyszały tylko księżniczki-tratwianki oraz Brod. Jankiel wyglądał przez okno, obracając w palcach koralik z liczydeł, który wydawał mu się o tyleż cięższy, o ile on sam schudł przez ostatnie sześćdziesiąt lat.

Kiedy tratwa z Trachimbrodu znalazła się na wysokości straganów z zabawkami i ciastkami, Rabin Znośny dał znak Brod, żeby rzuciła worki do wody. *Wyżej, wyżej...* Łuk gremialnego spojrzenia, biegnący od dłoni Brod aż po dłoń rzeki, był w owej chwili jedyną rzeczą,

jaka istniała we wszechświecie, scalony w niezmaływalną tęczę. *W dół, w dół...* Dopiero gdy Rabin Znośny nabrał względnej pewności, że worki spoczęły na dnie, kolejnym dramatycznym skinieniem pozwolił mężczyznom nurkować za nimi.

Zrobiła się taka chlapanina, że w ogóle nie było wiadać, co właściwie dzieje się w rzece. Kobiety i dzieci zajadle dopingowały mężczyzn, którzy równie zajadle rozgarniali wodę, chwytając i szarpiąc rywali za ręce i nogi, żeby wysforować się przednich. Wyłaniali się spośród fal, niekiedy z workami w zębach lub w dłoniach, i znów dawali nura, z całą energią, jaką potrafili z siebie wykrzesać. Woda tryskała w górę, drzewa kołysały się, pełne oczekiwania, a niebo z wolna podciągało niebieską sukienkę, aby odsłonić noc.

I nagle:

*Mam go!* – krzyknął któryś z tych, co odpłynęli najdalej. *Mam go!* Pozostali nurkowie westchnęli z rozczarowaniem, po czym jedni popłynęli stylem grzbietowym ku brzegowi, a inni położyli się na wodzie, wszyscy zaś przeklinali wyjątkowe szczęście zwycięzcy. Mój prapraprapradziadek dopłynął do brzegu, wymachując nad głową workiem złota. Na oczach liczego tłumu padł na kolana i wysypał w błoto zawartość worka. Osiemnaście złotych monet. Półroczny zarobek.

*JAK CI NA IMIĘ?* – spytał Rabin Znośny.

*Jestem Szalom* – odparł nurek. *Jestem z Kołek.*

*KOŁKER GÓRA!* – proklamował rabin, a tak się przy tym podniecił, że aż mu spadła jarmułka.



Kiedy szmer świerszczy jął przyzywać ciemność, Brod pozostała na platformie, bo chciała popatrzeć, jak zaczyna się festyn, i nie narazić się przy tym na męskie zaczepki. Uczestnicy parady i mieszkańcy sztetla byli już pijani: brali się w ramiona, obmacywali dłońmi, sondowali palcami, wpuszczali między uda. Wszyscy zaś myśleli tylko o niej. Sznurki stopniowo obwisały (uginają się w samym środku pod ciężarem przysiadających ptaków; niby fale kołysały się z boku na bok w powiewach wiatru), a księżniczki dawno już wybiegły na brzeg, żeby zobaczyć złoto i opierać się o przyjezdnych mężczyzn.

Najpierw nadciągnęła delikatna mgła, a potem deszcz tak powolny, że spadające krople można było śledzić wzrokiem. Mężczyźni i kobiety wciąż tańczyli po obmacu w takt klezmerskich orkiestr, które wlewały swoją muzykę w ulice. Młode dziewczyny siatkami z gazy chwytaly świetliki. Rozłupywały je i substancją fosforującą malowały sobie powieki. Chłopcy miażdżyli w palcach mrówki, nie wiedząc, czemu to robią.

Deszcz się wzmagają, a uczestnicy parady aż do mdłości upijali się bimbrem i domowym piwem. Kochali się dziko, pospiesznie, w ciemnych kątach u styku domów i pod zwisającymi baldachimami wierzb płaczących. Kaleczyli sobie plecy o muszle, gałązki i kamyki na płycznach Brodu. Szamotali się w trawie: bezczelni młodzieńcy nagleni żądzą, zużyte kobiety, mniej wilgotne niż oddech na szkle, młodziutcy prawiczkowie o ruchach młodziutkich ślepców i wdowy, które unosiły

welony, rozkraczały nogi, przedkładając swoją sprawę – komu?

Astronauci widzą kochających się ludzi jako punkciki światła. Właściwie nie tyle światła, ile łagodnego blasku, który można przez pomyłkę wziąć za światło – koitalnego promieniowania, które potrzebuje całych pokoleń, żeby jak miód przepłynąć przez ciemność i dosięgnąć oczu astronauty.

Za jakieś półtora stulecia – kiedy kochankowie, którzy skrzესali ten blask, dawno już na wieki wieków legną na wznak – z kosmosu widać będzie ogromne metropolie. Będą one pałać tym blaskiem przez cały rok. Mniejsze miasta też da się wypatrzeć, ale z wielkim trudem. Sztetle staną się, praktycznie rzecz biorąc, niedostrzegalne. Pojedyncze pary – zupełnie niewidoczne.

Blask ten rodzi się z sumy wielotysięcznych miłości: z nowożeńców i nastolatków, iskrzących się jak zapalniczki, w których skończył się gaz; z par męskich, które płoną szybko i jasno; z par kobiecych, które całymi godzinami jarzą się wielością subtelnych iluminacji; z orgii, podobnych skałkowym zabawkom jarmarczonym; z par, które daremnie usiłując dorobić się dzieci, wypalają na powierzchni kontynentu swój niespełniony wizerunek, przypominający ślad, jaki zakwita na gałce ocznej, gdy przestajemy patrzeć w źródło ostrego światła.

W niektóre noce pewne miejsca świecą trochę jaśniej. Trudno jest patrzeć na Nowy Jork w noc Świętego Walentego albo na Dublin w noc Świętego Patryka.

Okolona murami stara Jerozolima w każdą z ośmiu chanukowych nocy płonie jak świeca. Dzień Trachima to jedyny moment w roku, kiedy Trachimbrod, tę małą wioskę, widać z kosmosu, ponieważ tylko wtedy wytwarza się tam dosyć woltów kopulacyjnego napięcia, żeby polsko-ukraińskie niebo naelektryzować seksem. *Jesteśmy tu* – powie blask z roku 1804 za półtora stulecia. *Jesteśmy tu, jesteśmy żywi.*

Ale Brod nie była jednym z punktów emanujących tym osobliwym światłem, nie dodawała swojego prądu do gremialnego woltażu. Zeszła z platformy (w kanałkach między żebrami zebrały jej się jeziorka deszczówki) i wzdłuż linii uskoku między żydowską a ludzką częścią sztetla ruszyła w stronę domu, żeby dopiero stamtąd, z oddalenia, obserwować cały ten zgiełk i rozpasanie. Kobiety szydziły z niej, a mężczyźni pod pretekstem, że są pijani, zderzali się z nią, ocierali i nachylali dość blisko ku jej twarzy, aby ją powąchać lub pocałować w policzek.

*Brod, ty wstrętna wodziewko!*

*Nie chcesz potrzymać mnie za rękę, Brod?*

*Twój ojciec jest zhańbiony, Brod.*

*No, dalej. Przecież umiesz. Jeden jedyny okrzyk rozkoszy.*

Ignorowała ich wszystkich. Ignorowała, kiedy pluli jej pod nogi albo szczypali w siedzenie. Ignorowała, kiedy przeklinali ją i całowali, i przeklinali swoimi pocałunkami. Ignorowała ich nawet wtedy, gdy zrobili z niej kobietę, ignorowała tak samo, jak nauczyła się

ignorować wszystko na świecie, co nie było o krok oddalone od rzeczywistości.

*Jankielu!* – zawołała, otwierając drzwi. *Jankielu, wróciłam. Chodźmy na dach przyglądać się tańcom i jeść ananasa palcami!*

Krokiem mężczyzny sześciokrotnie starszego od siebie przeszła przez gabinet, a potem przez kuchnię, ściągając syreni kostium, i wreszcie przez sypialnię, rozglądając się za ojcem. Dom pełen był fetoru wilgoci i rozkładu, jak gdyby ktoś zostawił otwarte okno, zapraszając w ten sposób wszystkie duchy wschodniej Europy. Lecz to tylko woda przesączyła się przez szczeliny między dachówkami, jak oddech między zębami w zamkniętych ustach. I jeszcze odór śmierci.

*Jankielu!* – zawołała, wyciągając z syreniego ogona chude nogi i odsłaniając gęsto skędzierzawione włosy łonowe, tak niedawno wyrosłe, że wciąż jeszcze tworzyły ostro zarysowany trójkąt.

A na dworze: Usta pieczętowały usta na sianie w stodołach palce napotykały uda napotykały usta napotykały uszy napotykały wnętrza kolan na kołdrach na cudzych trawnikach, a wszyscy myśleli o Brod, każdy myślał tylko o Brod.

*Jankielu? Jesteś w domu?* – wołała, chodząc nago z pokoju do pokoju; sutki stwardniały jej i zsiniały z zimna, ciało pobladło i pokryło się gęsią skórką, a końców rzęs trzymały się perły deszczu.

A na dworze: Piersi ugniatano sękatymi dłońmi. Rozpięto mnóstwo guzików. Ze zdań zostawały słowa,

ze słów westchnienia, z westchnień jęki, z jęków stękanie, ze stękania – światło.

*Jankielu? Obiecałeś, że popatrzymy z dachu.*

Znalazła go w bibliotece. Wbrew jej podejrzaniom nie spał jednak w ulubionym fotelu, z niedoczytaną książką, skrzydłato rozłożoną na piersi. Leżał na podłodze, skulony jak embrion, ściskając w dłoni zgnieciony w kulkę papier. W pokoju panował skądinąd nieskazitelny ład. Jankiel starał się nie nabałaganić, odkąd poczuł przebiegający po ciemieniu pierwszy błysk gorąca. Gdy ugięły się pod nim nogi, ogarnęło go zakłopotanie, a potem wstyd, kiedy zdał sobie sprawę, że umrze na podłodze, samotny wobec ogromu swojego żalu, oto bowiem zrozumiał, że umrze, zanim zdąży powiedzieć Brod, jaka tego dnia była piękna i że ma dobre serce (więcej warte niż dobry mózg), a on nie jest jej prawdziwym ojcem, ale przy każdym błogosławieństwie, co dzień i co noc pragnął nim być; a teraz umrze, zanim zdąży jej opowiedzieć swój sen o tym, żeby żyć z nią wiecznie, z nią umrzeć albo nie umrzeć nigdy. Umarł ze zgniecionym strzępkiem papieru w jednej ręce, z koralikiem od liczydeł w drugiej.

Woda przeciekała między dachówkami, jakby dom był jaskinią. Szminkowa autobiografia Jankiela złuszczała się z sufitu sypialni, prosząc łagodnie jak skrwa-wiony śnieg na łóżko i na podłogę. *Jesteś Jankiel... Kochasz Brod... Jesteś Rozlazłym... Byłeś dawniej żonaty, ale ona cię rzuciła... Nie wierzysz w życie przyszłe...* Brod bała się, że jeśli jeszcze i ona się rozplacze, ściany starego domu nie

wytrzymają naporu, więc zatamowała łzy niby powódź na dnie oczu, wygnała je w jakieś głębsze, bezpieczniejsze miejsce.

Wyjęła Jankielowi z dłoni papier, zmoczony deszczem, strachem przed śmiercią i śmiercią samą. Dziecięcym pismem nagryzmołone: *Wszystko dla Brod.*

Mgnienie błyskawicy iluminowało okno, a w nim Kołkera. Był to silny mężczyzna o brwiach nawistłych nad oczami o barwie kory klonu. Brod widziała podczas parady, jak wypłynął na powierzchnię z workiem monet, a w chwilę później wylał je z worka na brzeg niby złote wymiociny, ale niezbyt ją to wtedy zajęło.

*Idź precz!* – krzyknęła, zasłaniając dłońmi nagie piersi i znów odwracając się w stronę Jankiela, żeby siebie i jego uchronić przed spojrzeniem Kołkera.

Ale Kołker nie odszedł.

*Idź precz!*

*Bez ciebie nie odejdę!* – zawołał do niej przez okno.

*Idź precz! Idź precz!*

Z górnej wargi kapwały mu krople deszczu. *Tylko z tobą.*

*Zabiję się!* – wrzasnęła.

*No to zabiorę ze sobą twoje ciało* – powiedział, opierając dłonie o szybę.

*Idź precz!*

*Nie pójdę!*

Jankiel wzdrygnął się, bo ogarniało go już pośmiertne stężenie, i wyrzucił lampkę oliwną, która sama się zdmuchnęła, spadając na podłogę, a wtedy w pokoju

zapanowała zupełna ciemność. Policzki zmarłego ściągnęły się w napiętym uśmiechu, prezentując wyrugowanym cieniem kontentą minę. Ręce Brod musnęły jej skórę, gdy bezwolnie je opuściła, po czym obróciła się przodem do mojego praprapraprapradziadka.

*Skoro tak, musisz coś dla mnie zrobić* – oświadczyła.

Jej brzuch zapłonął jak latarnia świetlika – jaśniej niż sto tysięcy dziewczek kochających się po raz pierwszy w życiu.

\*

*Choź no tu!* – woła moją matkę moja babka. *Szipko!* Matka ma dwadzieścia jeden lat. Tyle samo mam ja, kiedy piszę te słowa. Mieszka z rodzicami, chodzi do szkoły wieczorowej, pracuje na trzech posadach, chce znaleźć i poślubić mojego ojca, chce tworzyć, kochać, śpiewać i umierać wiele razy dziennie, dzień w dzień dla mnie. *Popacz no* – mówi babka prosto w snop promieni z telewizora. *Popacz.* Kładzie dłoń na dłoni mojej matki i czuje w jej żyłach własną krew zmieszaną z krwią dziadka (który umarł już w pięć tygodni po przyjeździe do Stanów, zaledwie pół roku po tym, jak urodziła się moja matka), z krwią mojej matki i z moją, a także z krwią moich dzieci i wnuków. Trzaskliwy komunikat: *To tylko jeszcze jeden mały kroczek w dziejach ludzkości...* Patrzą na niebieską kulkę, która unosi się w próżni – powrót do domu z tak daleka. Babka mówi, starając się zapanować nad głosem: *Tfuj ojciec bilbi zachficoni na ten fidok. Za-*

miast niebieskiej kulki pojawia się prezenter: zdjął okulary i trze oczy. *Panie i panowie, dziś wieczorem Ameryka postawiła człowieka na Księżycu.* Babka – już wtedy stara – z trudem wstaje i mówi z oczami pełnymi wielorakich łez: *To sudofne!* Całuje moją matkę, wsuwa dłonie w jej włosy i powtarza: *To sudofne!* Matka też płacze, a każda jej łza jest jedyna w swoim rodzaju. Płaczą razem, policzek przy policzku. I żadna nie słyszy, że astronauta szepcze: *Coś widzę,* gdy ponad księżycowym horyzontem spogląda na małą wioskę zwaną Trachimbrodem. *Niewątpliwie coś tam jest.*



28 październik 1997

*Drogi Jonathan!*

*Luksusowo było odebrać twój list. Zawsze tak na tych miast mi odpisywasz. To będzie bardzo dochodliwe, kiedy już poczniesz pisać zaprawdę, a nie tylko wyprawki. Mazet tow!*

*Dziadek kazał mi ci dziękować za duplikację fotografii. Bardzo to było dobroczynnie od twojej strony, że mu ją posiliłeś i nie żądałeś odeń za to nijakiej waluty. Prawdę zarzekłszy, niewiele on posiada. Byłem pewien, że Ojciec nie posieje mu ani trochę na wojaż, bo Dziadek często wzmiankuje, że nie ma waluty, a ja dobrze znam, jaki Ojciec potrafia być w takich sprawkach. Bardzo mnie to zagniewało (nie zaś przyprawiło migrenę ani mi nie weszło na nerwy, ponieważ już mi powiadomiłeś, że te słowa są niekorekt w takich sensach, w jakich częstokrotno ich wyzyskiwam), więc poszedłem ku Ojcu. „USILIŁEM POSLAĆ DZLADKU WALUTĘ, ALE NIE ZACHCIAŁ JĄ POWZIĄĆ” - zaryknął na mnie. Powiedziałem mu, że nie wierzę, a on mnie pchnął i kazał odpytać Dziadka w tej sprawie, ale tego oczewidno zdziałać nie mogę. Kiedy byłem na podłodze, powiedział mi jeszcze, że wcale nie wszystko znam, chociaż tak mi się zdawa. (Ale powiem ci, Jonathan,*

*mnie wcale się nie zdarza, że znam wszystko.) Poczuję się jak najostatni szmendryk poprzez to, że pouczyłem walutę. Ale byłem przymuszony ją powziąć, bo jak ci już powiadomiłem, mam takie marzenie, żeby się przenieść w Amerykę. Dziadek nie ma żadnych takich marzeń, więc nie potrzebuje waluty. A potem chwyciła mnie straszna żółć na Dziadka, no bo po czemu było mu niesposobna powziąć od Ojca walutę, a później mi ją zofiarować?*

*Nie powiadom ani duszy, ale przetrzymuję całe swoje rezerwy waluty w puszcze na ciastka, co stoi w kuchni. Nikt jej nigdy nie studniuje, bo to już dziesięć lat, odkąd Matka ostatni raz wytworzyła ciastko. Rozumuję, że jak puszka na ciastka się dopełni, będę miał dosyć waluty, żeby się przenieść w Amerykę. Jestem ostrożny persona, bo pragnę być zadufany, że mam dosyć na luksusowe mieszkanie przy Times Square, wystarczająco ogromne dla mnie i zarówno Igorka. Będziemy mieli telewizor z wielkim ekranem do widokowania baseball, i jacuzzi, i takie hi-fi, że naprawdę warto by o nim w dom napisać, chociaż już wtedy będziemy u siebie w domu. Igorek musi oczywiście wymarszować wraz z mną, w cokolwiek by nie stało.*

*Wyglądało, że nie miałeś nazbyt wielu kontrowersji z poprzednim oddziałem. Upraszam wyrozumiałości, jeśli cię ten oddział w jakiejś manierze pozgniewał, ale chciałem być prawdomówny i humoryczny, tak jak mi konsyliowałeś. Myślisz, że jestem humoryczny persona? Znaczący się humoryczny z rozmysłem, a nie humoryczny po temu, że wyrabiam głupstw. Matka raz powiedziała, że jestem humoryczny, ale to było, jak ją upraszałem, żeby pokupiła Ferrariego Testarossę*

na mój benefit. Nie pragnąc być wysmiewianym z błędnych cap-strzyków, przetransponowałem swoją ofertę na same dekle.

Wyczyniłem te bardzo powściągliwe zmiany, któreś mi posilił. Przeinaczyłem oddział o hotelu w Łucku. Teraz zapłacasz tylko raz. „Nie dam się traktować jak obywatela drugiej klasy” – obświadczasz hotelarzu, a chociaż jestem obowiązany (dziękuję, Jonathan) powiadomić ci, że wcale nie jesteś obywatel drugiej, trzeciej ani czwartej klasy, to jednakowszem brzmi to bardzo potężnie. Hotelarz mówi: „Wygrał pan. Wygrał pan. Próbowaliśmy pana na przedce otankować (co syngalezuje otankować?), ale wygrał pan. OK. Zapłaci pan tylko raz”. To jest teraz znakomita scena. Rozmyślałem, żeby dać ci mówić po ukraiński i zdziałać jeszcze więcej takich scen, ale wtedy ja sam byłbym zbędny persona, bo gdybyś mówił po ukraiński, wciąż potrzebowałbyś szofera, ale już nie tłumacza. Roztrząsałem też eksterminację Dziadka z całej tej fabuły, żebym to ja był szofer, ale gdyby Dziadek kiedykolwiek się o tym utwierdził, jestem pewien, że byłby kontuzjowany, a żaden z nas nie jest tego spragniony, tak? No i u mnie nie ma prawo jazdy.

No i nawreszcie przeinaczyłem oddział o tym, jak Sammy Davis Junior, Junior za tobą przepada. Przywtórzę ponownie, że moim zdaniem stosowny kompromis nie ulegałby na tym, żeby całkiem ją amputować z fabuły albo tak urządzić, żeby „zginęła w tragikomicznym wypadku, idąc przez jezdnię w stronę hotelu”, jak to konsyliowałeś. Żeby cię zasycić, zmodyfikowałem tą scenę i teraz wy oboje wydajecie się raczej jak przyjaciele, a mniej jak kochanki czy fatumy. Na ów przykład, ona już się nie zwyobraża, żeby skutecznie z tobą sześćdziesiąt dziewięć. Teraz to już tylko zwykłe obciążanie.

Bardzo mi jest trudno pisać o Dziadku, tak samo jak powiedziałeś, że bardzo trudno ci jest pisać o babce. Spragniony jestem znać o niej więcej, jeśliby cię to nie udręczyło. Może dzięki temu byłoby mi mniej sztywno mówić o Dziadku. Nie oświeciłeś jej o naszej wojaży, prawda? Jestem pewien, że byłbyś mi powiedział, gdybyś jej oświecił. Znasz moje rozmyśły w tej ropie.

Co się dotycza Dziadka, on zawsze się pogarsza. Kiedy myślę, że już jest najbardziej pogorszony, czyni się jeszcze pogorszejszy. Coś musi się zdarzyć. Dziadek już bez mistrzostwa ukrywa swoją melancholię. W tym tygodniu trzy razy uświadczyłem go, jak rozplącał, za każdy raz bardzo późno w noc, jak wracałem z gnieźdzenia na plaży. Powiem ci (bo jesteś jedyną osobą, jakiego posiadam, żeby mu to powiedzieć), że czasem kagiebuje go zza rogu pośród kuchni a komnatą telewizyjną. Pierwszej nocy, kiedy uświadczyłem, że rozpląca, akurat egzaminował postarzałą skórą torbę, przepelnioną fotografiami i kawałkami papieru, tak jak przepelnione są pudła Augustyny. Fotografie były żółte i papiery też. Jestem pewien, że naszły go wspomnienia z czasów, jak był dopiero mały chłopiec, a nie stary. Drugiej z tych nocy, co rozplącał, miał w rękach fotografię Augustyny. W telewizorze laźł akurat prognostyk pogody, ale było już tak spóźno, że tylko prezentowali mapę Ziemi bez nijakiej pogody na niej. „Augustyna - słyszałem, jak mówi Dziadek. - Augustyna”. Trzeciej nocy, co rozplącał, miał w rękach twoją fotografię. Jedyną możliwość, że zabezpieczył ją sobie z mojego biurka, gdzie przetrzymuję wszystkie zdjęcia, które mi posiliłeś. I znów mówił: „Augustyna”, chociaż nie rozumiem po czemu.

Igorek chciał, żebym posilił ci od niego cześć. On ciebie oczywiście nie zna, ale mnóstwo mu o tobie powiadomiłem. Na ów przykład to, jaki jesteś zabawny i jaki inteligentny, i jeszcze że możemy ze sobą mówić o doniosłych sprawach zarówno jak i o pierdach. Powiadomiłem mu nawet o tym, jak paczkowałeś worki ziemi, kiedy byliśmy w Trachimbrodzie. Wszystko, co tylko pamiętam o tobie, to mu powiadomiłem, bo chcę, żeby cię znał, i jeszcze po temu, że wtedy czuję, jakbyś był poblisko i wcale jeszcze nie wyjechany. Będziesz się śmiał, ale zofiarowałem mu jedno z naszych wspólnych zdjęć, które mi posiliłeś. To bardzo dobry chłopiec, jeszcze lepszy niż ja, i wciąż ma szansę być dobry człowiek. Jestem pewien, że by cię zasycił.

Ojciec i Matka są tacy jak zawsze, ale pokorniejsi. Matka przestała gotować Ojcu kolację za karę, że on nigdy do domu na kolację nie powraca. Chciała go zeżółcić, ale on na to ani sra (tak? ani sra?), bo i tak nigdy nie powraca do domu na kolację. Zjada z przyjaciółmi bardzo często w restauracjach i też poi się wódką w klubach, ale nie w tych sławnych. Jestem pewien, że Ojciec posiada więcej przyjacieli niż cała nasza reszta rodziny podsumowana razem. Jak wraca do domu późno w nocy, to dużo rzeczy przewraca. Igorek i ja uprzątamy rzeczy wspak w ich stosowne ulokowanie. (Przy takich okazjach przetrzymuję Igorka przy sobie.) Lampa mieszka tu. Obraz ze ściany mieszka tu. Talerz mieszka tu. Telefon mieszka tu. (Kiedy Igorek i ja będziemy mieć własne mieszkanie, wszystko utrzymamy ekskluzywnie czyste. Bez ani kawałka kurzu.) Prawdę powiadając, wcale nie tęsknię Ojca, kiedy tak dużo jest za domem. Mógłby co noc egzystować ze swoimi przyjaciółmi, a ja tak a tak byłbym kontent. Muszę ci powiadomić, że zeszłej

nocy obudził Igorka, jak powrócił z przyjacielskiej wódki. To była moja wina, bo nie nalegałem, żeby Igorek wytwarzał drzem w mojej komnacie ze mną, tak jak to teraz robi. Miałem może imitować spanie? Albo może Matka miała je imitować? Leżałem w łóżko i to było coś całkiem kosmiczne, bo akurat czytałem oddział o śmierci Jankla. „Wszystko dla Brod” – on pisze, a ja pomyślałem: „Wszystko dla Igorka”.

Obnośnie twojej powieści, jestem bardzo podupadły na duchu ze względu na Brod. To dobra persona w złym świecie. Wszyscy jej kłamią. Nawet ojciec, który nie jest jej prawdziwy. Oboje zachowują po przed sobą sekrety. Myślałem o tym, kiedy powiedziałeś, że Brod „nigdy nie może być jednocześnie szczęśliwa i uczciwa”. Ty właśnie tak czujesz?

Rozumiem, co piszesz, kiedy piszesz, że Brod nie kocha Jankla. To nie znaczy, że ona dla niego nie czuje mnóstwo albo że nie podupadnie w melancholię, jak on już wyzionie. To chodzi o coś inne. Miłość w twoim pisaniu to nieporuszonosc prawdy. Brod z niczym nie jest prawdomówna. Ani ze sobą, ani z Janklem. Wszystko jest o jeden świat oddalone od rzeczywistego świata. Czy to wytwarza jakiśkolwiek sens? Jeżeli wyśłowiam się jak myśliciel, jest to hołd wobec twojego pisania.

Ten finalny oddział, który mi dałeś, ten o Dniu Trachima, był z niewątpliwością finalizujący. Prosto bryka mi słów, żeby go zakomentować. Kiedy Brod pyta Jankla, po czemu on myśli o jej mamie, chociaż go to boli, a on odpowiada, że nie wie po czemu, jest to doniosłe zapytanie. Po czemu my to robimy? Czemu to, co bolesne, zawsze działa jak elektromagnet? Po pod względem tej partii, gdzie piszesz o seksownym świetle, muszę ci powiedzieć, że sam kiedyś coś takie widziałem. Raz jak

ucieleśniałem się z dziewczyną, to zobaczyłem filigranową błyskawicę pomiędzy jej tyłkami. Pojmam, że trzeba by wielu, żeby dało się to postrzec z kosmosu. W ostatniej partii mam sugestię, że możesz powinieneś zaprowadzić rosyjskiego kosmonauta zamiast Mister Armstrong. Zaprobuuj Jurija Aleksiejewicza Gagarina, który w roku 1961 jako pierwszy człowiek odbył przelot kosmiczny po orbicie.

No i nawreszcie, jeżeli posiadasz jakieśkolwiek magazyny albo artykuły, którymi się cieszysz, byłbym szczęśliwy, gdybyś mógł mi je posilić. Wynadgrodzę ci wszelkie wydatki, i to z precyzją. Mam na pomysleniu artykuły o Ameryce, rozumiesz. Artykuły o amerykańskich sportach albo amerykańskich filmach, albo amerykańskich dziewczynach, oczywiście, albo amerykańskich szkołach księgowości. Więcej na ten temat już nie wymówię. Nie znam, ile jeszcze twojej powieści istnieje w obecnie terażniejszej chwili, ale żądam ją uwidzieć. Tak bardzo jestem spragniony dowiedzieć się, co się słuczy z Brod i z Kolkerem. Czy ona z nim się zakocha? Powiedz, że tak. Nadziewam się, że powiesz tak. Coś by mi to udowodniło. No i może dalej będę mógł cię wspomagać w twoim dalszym pisaniu. Ale nie bezpokój się. Nie wymogę, żeby moje nazwisko było na okładce. Możesz udawać, że to wszystko tylko twoje.

Proszę, pozdrów ode mnie rodzinę, oczywiście z wyjątkiem babki, bo ona przecież jest bezwiedna o moim istnieniu. Gdybyś był spragniony powiadomić mi cośkolwiek o swojej rodzinie, słuchałbym tego z bardzo dobrym humorem. Na ów przykład, powiadom mi więcej o swoim miniaturowym bratku, którego wiem, że kochasz tak, jak ja Kocham Igorka. I jeszcze powiadom mi o swoich rodzicach. Matka wczoraj o ciebie

pytała. „A co słyhać u tego utrapionego Żyda?” - powiedziała. Powiadomiłem jej, że wcale nie jesteś utrapiony, tylko dobry persona, i nie jesteś Żyd przez „Ż” king-size, tylko żyd, jak Albert Einstein albo Jerry Seinfeld.

Wyczekiwam z gęsią na skórze twój następujący list wraz z następującym oddziałem twojej powieści. W międzyczasie nadziewam się, że uwielbisz ten mój kolejny oddział. Proszę łaskawie, bądź łaskaw.

Niewinnie,  
Aleksandr



BUDZIK zahłasował szósta rano, ale hałas był to bezkoncewntny, bo Dziadek i ja we dwóch nie wytworzyliśmy ani odrobinę drzemu. „Idź po Żyda – wyrzekł Dziadek. – Ja będę się mitrężył na dole”. „Śniadanie?” – spytałem. „A – powiedział. – Zstąpmy w restaurację i zjedzmy śniadanie. Dopiero potem pójdziesz po Żyda”. „A co z jego śniadaniem?” „Nie będą mieli nic bezmięsne, więc nie powinniśmy czynić go niewygodnym personą”. „Bystry z siebie” – zeznałem.

Opuszczaliśmy się z naszej komnaty bardzo przezwornie, żeby nie wytworzyć ani hałas. Niechby lepiej gieroj był bezwiedny, że jemy. Kiedy zagnieździliśmy się w restauracji, Dziadek powiedział: „Najedz się mnóstwo. To będzie długi dzień i kto wie, kiedy znów coś zjemy”. Po temu zamówiliśmy trzy śniadania na nas dwóch i zjedliśmy dużo kołbasy, która jest przepyszne jedzenie. Kiedy już zakończyliśmy, kupiliśmy od kelnerki gumę do żucia, żeby gieroj nie poczuwał śniadania z naszych ust. „Idź po Żyda – przywtórzył Dziadek. – A ja będę z cierpiętlivością mitrężył się w aucie”.

Jestem pewien, że gieroj nie spoczywał, bo zanim zdążyłem drugi raz bębnać w drzwi, on już je odkluczył. Tkwił już w ubraniu i widziałem, że przywdział nawet ten swój wombat. „Sammy Davis, Junior, Junior zjadła mi wszystkie dokumenty”. „To niemożliwe” – odparłem, chociaż, prawdę zarzekłszy, wiedziałem, że to całkiem możliwe. „Przed zaśnięciem położyłem je na szafce nocnej, a kiedy rano się obudziłem, właśnie międlila je w pysku. Tylko tyle zdołałem jej wyrwać”. Eksponował mi na pół przeżuty paszport i kilka kawałki map. „Fotografia!” – powiedziałem. „Z fotografią wszystko OK. Mam mnóstwo odbitek. Zdążyła rozprawić się tylko z kilkoma, zanim ją powstrzymałem”. „Tak mi wstyd”. „Co mnie niepokoi – zapodał – to że nie było jej w pokoju, kiedy przed pójściem spać zamykałem drzwi”. „Wyjątkowo bystra z niej suka”. „Najwidoczniej” – odparł, prześwietlając mnie tym swoim rentgenialnym spojrzeniem. „Jest taka bystra, bo jest Żydówka”. „Dobrze, że przynajmniej nie zjadła mi okularów”. „Nie zjadłaby ci okulary”. „Zjadła mi prawo jazdy. Zjadła mi legitymację studencką, kartę kredytową, trochę papierosów i trochę pieniędzy...” „Ale okulary by ci nie zjadła. Nie jest zwierzę”.

„Słuchaj – wyrzekł – co byś powiedział na małe śniadanie?” „Że co?” „Śniadanie” – przywótoczył, kładąc sobie ręce na brzuch. „Nie – odparłem. – Moim zdaniem będzie najbardziej per fekt, jeżeli od razu rozpoczniemy poszukiwać. Chcemy przeszukać jak najwięcej, dopóty istnieje światło”. „Ale przecież jest dopiero pół do

siódmej”. „Tak, ale nie zawsze będzie pół do siódmej. Patrz – powiedziałem, wykazując swój zegarek, który jest Rolex prosto z Bułgarii – już jest szósta trzydzieści jeden. Zawieruszamy czas”. „No to może chociaż mała przekąska?” – powiedział. „Że co?” „Chociaż jeden krakers. Jestem bardzo głodny”. „To nie ulega negocjacji. Moim zdaniem najlepiej...” „Możemy tu zostać jeszcze parę minut. Czym ty tak chuchasz?” „Wypijesz w restauracji na dole jedno mochaccino i niech to będzie kres konwersacji. A i to tankuj na prędcie”. Począł coś mówić, ale położyłem palce sobie na usta. Syngalezowało to: CICHÓ BYĆ!

„Panowie po dokładkę?” – zagadnęła kelnerka. „Ona mówi: dzień dobry, czy posiada pan ochotę na mochaccino?” „A – powiedział. – Powiedz jej, że chętnie. I może jeszcze trochę chleba czy coś”. „To Amerykan” – objaśniłem. „Wiem” – odparła. „Ale on nie je mięsa, więc pani mu da tylko same mochaccino”. „Nie je mięsa!” „Ekspresowe postępowanie jelit” – wyrzekłem, bo nie chciałem go ambarasować. „Co jej mówisz?” „Powiedziałem jej, żeby kawa nie była nazbyt wodnista”. „Dobrze. Nie cierpię wodnistej”. „Więc jedno mochaccino będzie w sam raz odpowiedzialne” – obznałmiłem kelnerce, która była bardzo piękna i posiadała najwięcej piersi, jak w życiu widziałem. „Kiedy nie mamy”. „Co ona mówi?” „No to proszę mu dać cappuccino”. „Cappuccino też nie mamy”. „Co ona mówi?” „Ona mówi, że na mochacciny jest dzisiaj obniżka, bo one są kawa”. „Co?” „Chciałaby pani skutecznie ze mną dzisiaj

wieczorem Elektryczny Zjazd w jakiejś sławnej dyskotecie?” – spytałem kelnerki. „A przyprowadzisz Amerykana?” – zagadnęła. Och, jak mnie to rozsierściło! „On jest Żyd” – powiedziałem, i wiem, że nie powinien byłem tego wymówić, ale zaczynałem już czuć się strasznie na swój własny temat. Tyle że jak już to wymówiłem, to poczułem się jeszcze straszniej. „O – powiedziała kelnerka. – Jeszcze nigdy nie widziałam Żyda. Mogę zobaczyć jego ogon?” (Jest możliwość, że myślisz, że ona wcale tak nie zagadnęła, Jonathan, ale otóż właśnie zagadnęła. Ty bez powątpienia nie posiadasz nijakiego ogona, więc kaziłem jej piłować własnych spraw i zwyczajnie przynieść kawę Żydu i dwa zamówienia kołbasy suce, no bo kto mógł być pewien, kiedy suka znów będzie miała okazję coś zjeść.)

Kiedy kawa się pokazała, gieroj wypił tylko niewielką liczbę. „Smakuje okropnie” – obznajmił. Jak nie je mięsa, to jeszcze wytrzymam, i jak poprzez niego Dziadek musi się mitrzyć na drzemiaćco w aucie, to też jeszcze jakoś wydzierzę, ale jak szkaluje naszą kawę, to już nie ma pomijać. „WYPIJESZ TĘ KAWĘ, DOPÓTY W DNIE KUBKA NIE UŚWIADCZĘ WŁASNĄ TWARZ!” Wcale nie chciałem zaryknąć. „Przecież to gliniany kubek”. „WSZYSTKO MI RÓWNO!” Wypił całą kawę. „Nie musiałeś jej całej wypić” – powiedziałem, bo uważyłem, że już wyrabia do portek, i to tak gęsto, że można by odbudować Wielki Chiński Mur. „OK – odparł i odstawił kubek na stół. – To była bardzo dobra kawa. Pyszna. Nic więcej nie zmieszczę”. „Że co?” „Możemy jechać, kiedy

tylko chcesz”. Durak – zatwierdziłem w duchu. Ociemniały na umyśle.

Pojmało kilkoro minut, zanim odzyskaliśmy Dziadka ze snu. Zakluczył się w aucie i zapieczętował wszystkie okna. Musiałem dawać szybie gwałtowne fangi, żeby go odespać. Byłem zadumiony, że szkło się nie spękało. Kiedy Dziadek nawreszcie otworzył oczy, nie wiedział, gdzie przebywa. „Anna?” „Nie, Dziadku – odparłem poprzez okno – to ja, Sasza”. Zamknął dłonie i oczy też. „Myślałem, że jesteś kto inny”. Dotknął kółka głową. „Jesteśmy w sam raz do drogi – obznajmiłem poprzez okno. – Dziadku?” Uskutecznił wielki oddech i odkluczył drzwi.

„Jak mamy tam trafić?” – spytał Dziadek mnie, który siedziałem na frontowym siedzeniu, albowiem kiedy jadę autem, to zawsze usiadam z przodu, chyba że to auto akurat jest motocykl, bo nie znam, jak operować motocyklem, ale już bardzo niedługo się poznam. Gieroj siedział z tyłu wraz z Sammy Davis, Junior, Junior i każde piłowało swego nosa: gieroj przeżuwał sobie paznokcie u palców, a suka przeżuwała sobie ogon. „Nie wiem” – odparłem. „Zagadnij Żyda” – skomenderował mi, no więc zagadnąłem. „Nie wiem” – powiedział Żyd. „On nie wie”. „Co znaczy nie wie? – zaciekał się Dziadek. – Siedzimy w aucie. Jesteśmy w sam raz do drogi. Jak on może nie wiedzieć?” Głos miał już znowu obfity, więc Sammy Davis, Junior, Junior złąkła się i zahauczała. HAU. „Co znaczy nie wiesz?” – spytałem gieroja. „Powiedziałem wam wszystko, co wiedziałem. Myślałem, że

jeden z was jest przeszkolonym, dyplomowanym przewodnikiem z Dziedzictwa. Zapłaciłem za dyplomowanego przewodnika, wiesz”. Dziadek bębnął w klakson, który zaraz nadał dźwięk. TRUTUTU. „Dziadek jest dyplomowany!” – powiadomiłem Żydu, HAU, i to było wiernie nawierne, chociaż tak zaprawdę to Dziadek miał dyplom operowania autem, a nie znachodzenia zaginionej historii. TRUTUTU. „Proszę! – powiedziałem do Dziadka. HAU. TRUTUTU. – Proszę! Wyrabiasz niemożliwą sytuację!” TRUTUTU! HAU! „Zamknij się – powiedział Dziadek – i jeszcze zamknij sukę, i Żyda też!” HAU. „Proszę!” TRUTUTU! „Jesteś pewien, że on ma dyplom?” „Oczewidno – odparłem. TRUTUTU! – Przecież bym nie oszukiwał. – HAU! – Zrób coś – powiedziałem Dziadku. TRUTUTU! – Nie to!” – wyrzekłem obfitym głosem. HAU! Dziadek począł jechać autem, którym był w pełni dyplomowany kierowca. „Gdzie my właściwie jedziemy?” Gieroj i ja wytworzyliśmy to zapytanie w tej samej chwili. „MORDY W KUBEŁ!” – powiedział Dziadek i tego już nie musiałem tłumaczyć gieroju.

Zajechał nas na stację benzynną, którą rozminęliśmy, jadąc ku hotelowi onegdajszej nocy. Aresztowaliśmy się poprzód frontem benzomatu. Jakiś czelowiek przystąpił do okna. Był bardzo wysmuklony i miał benzynę w oczach. „Tak?” – spytał. „Szukamy za Trachimbrodem” – powiedział Dziadek. „Nie prowadzimy” – odparł tamten. „To takie miejsce. Próbuujemy je znaleźć”. Człowiek obrócił się do grupy mężczyzn, co stali poprzód frontem stacji. „Mamy tu cośkolwiek marki

Trachimbrod?” Wszyscy dźwignęli ramiona do góry i kontynuowali mówić do siebie. „Stukrotnie przepraszam – wyrzekł tamten – nie prowadzimy”. „Nie – powiedziałem – to nazwa miejscowości, za którą szukamy. Chcemy odnajść dziewczynę, co uratowała jego dziadka od nazistów”. Wykazałem palcem gieroja. „Że co?” – spytał czełowiek. „Co?” – zagadnął gieroj. „Zamknij się” – kaził mi Dziadek. „Mamy mapę – powiadomiłem czełowieku. – Zaprezentuj mi mapę” – skomenderowałem gieroju. Przystudniował swoją torbę. „Sammy Davis, Junior, Junior ją zjadła”. „To niemożliwość” – za twierdziłem, chociaż znowu wiedziałem, że to całkiem możliwość. „Wzmiankuj mu parę innych miast, to może któraś nazwa zabrmi poufale”. Czełowiek ze stacji pochylił głowę w środek auta. „Kowel” – powiedział gieroj – Kiwerce, Sokiercze”. „Kołki” – zapodał Dziadek. „Tak, tak – powiedział czełowiek ze stacji – słyszałem o tych wszystkich miastach”. „I mógłby pan nas do nich wykierować?” – spytałem. „Oczewidno. Są bardzo pobliskie. Może trzydzieści kilometrów odległości. Nie więcej. Tylko wojażujecie ku północy superstradą, a potem ku wschodowi poprzez rolnictwo”. „Ale nigdy pan nie słyszał o Trachimbrodzie?” „Pan powie jeszcze raz”. „Trachimbrod”. „Nie słyszałem, ale wielu miast posiada nowe nazwy”. „Jonfen – powiedziałem, zwyobróciwszy się ku tyłowi. – Jaka była ta druga nazwa Trachimbrodu?” „Sofijówka”. „Wie pan o Sofijówce?” – spytałem czełowieku ze stacji. „Nie – odparł – ale to brzmi podobnie na coś, co jest podobniejsze na coś inne, o czym

jednakowszem słyszałem. W tej okolicy jest dużo wsi. Może aż dziewięć albo i więcej. Jak już będziecie poblisko, możecie spytać kogo bądźkolwiek i każdy wam powiadomi, gdzie znaleźć to, za czym śledzicie”. (Jonathan, ten człowiek mówił nie za dobrze po ukraiński, ale w swoim tłumaczeniu tej fabuły kaziłem mu wysłować się z nienormalnym wykwentem. Gdyby cię to miało zasycić, podrobiłbym jego zaniżone wypowiedzenia.) Człowiek ze stacji wyczynił mapę na kawałku papieru, co go Dziadek wydzwignął z przychówka obok tablicy rozdzielczej, w którym będę przetrzymywał nawilżone prezerwatywy king-size, jak już pozyskam swój wymarzony samochód. (Wcale nie będą żebrowane dla jej przyjemności, bo nie zajdzie taka potrzeba, jeśli rozumiesz, co mam na przemyśleniu.) Poprzez wielu minut konwersowali o mapie. „Proszę” – powiedział gieroj. Celował do człowieka ze stacji paczką papierosów Marlboro. „Co on, do diabła, wyprawia?” – zaciekał się Dziadek. „Co on, do diabła, wyprawia?” – zaciekał się człowiek ze stacji. „Co ty, do diabła, wyprawiasz?” – zaciekałem się i ja. „Za to, że pomógł – objaśnił gieroj. – Czytałem w przewodniku, że trudno tu o papierosy Marlboro i że dobrze jest zawsze mieć przy sobie kilka paczek i dawać je jako napiwek”. „Co to takie napiwek?” „Coś, co dajesz komuś w zamian za pomoc”. „OK, ale chyba przecież ci powiadomiono, że za tę wojaż zapłacasz w walucie, tak?” „To co innego – powiedział. – Napiwek daje się za drobne przysługi, na przykład za wskazanie drogi albo podprowadzenie auta”. „Znaczy, dajesz



napiwek złodziejom?” „On nie je mięsa” – objaśnił Dziadek człowieku ze stacji. „Aha”. „Nie – powiedział gieroj – boyowi w hotelu”. Ameryka na każdym rozkroku okazuje się wspanialsza, niż myślałem.

Było już dziesięć po siódmej, kiedy pojechaliśmy dalej. Pojmało tylko kilkoro minut, zanim znaszliśmy superstradę. Muszę zeznać, że dzień był piękny, mnóstwo słońca. „Pięknie, co?” – powiedziałem do gieroja. „Co pięknie?” „Dzień. Piękny dzień”. Zaniżył szybę w swoim oknie, co było zresztą do przyjęcia, bo Sammy Davis, Junior, Junior akurat spała, i wyłożył głowę poza auto. „Tak – powiedział. – Przepiękny”. Odczułem się poprzez to dumny i przywtórzyłem Dziadku, co powiedział gieroj, a Dziadek uśmiechnął się i postrzegłem, że on także odczuł się bardzo dumnym personą. „Powiadom mu o Odessie – wyrzekł Dziadek. – Powiadom mu, jak tam pięknie”. „W Odessie – powiedziałem, zwyobrażając się ku gieroju – jest piękniej niż jeszcze tutaj. Nigdy ani nie uświadczyłeś rzeczy podobnej na Odessę”. „Chętnie o niej posłucham” – odparł gieroj i otworzył swój dziennik. „On chce słyszeć o Odessie” – powiedziałem Dziadku, bo chciałem, żeby lubił gieroja. „Powiadom mu, że piasek na plaży jest miękciejszy niż włosie u kobiety, a woda jest jak wewnątrz kobiety ust”. „Piasek na plaży jest jak u kobiety usta”. „Powiadom mu – zapodał Dziadek – że Odessa to najcudowniejsze miejsce, żeby się z kimś zakochać i też żeby zdziałać rodzinę”. No więc powiadomiłem gieroju. „Odessa – powiedziałem – to najcudowniejsze miejsce, żeby się z kimś zako-

chać i też żeby działać rodzinę”. „Zakochałeś się już kiedyś?” – spytał mnie, co brzmiało jak bardzo dziwaczne zapytanie, więc mu odwzajemniłem. „A ty?” „Właściwie sam nie wiem” – zeznał. „Ja też nie wiem” – zeznałem. „Czasem niewiele już brakowało”. „Tak”. „Naprawdę niewiele, prawie, prawie”. „Prawie”. „Ale nigdy... nie, raczej nie”. „Nie”. „Może powinienem pojechać do Odesy – powiedział. – A nuż właśnie tam się zakocham. Na zdrowy rozum to rozsądniejsze niż ta cała wyprawa do Trachimbrodu”. Obaj się rozśmialiśmy. „Co on mówi?” – spytał Dziadek. Powiedziałem mu i on też się rozśmiał. Wszystko to razem czyniło mi takie cudowne uczucie. „Pokaż mi mapę” – zarządził Dziadek. Przystudniowałam ją podówczas jazdy, a jego ślepotą, muszę zeznać, wydała mi się poprzez to jeszcze mniej godna poufania.

Uskuteczniliśmy zjazd z superstrady. Dziadek przywrócił mi mapę. „Przejedziemy jakieś dwadzieścia kilometrów, a potem dociekniemy kogoś o Trachimbrod”. „To roztropne” – odparłem. Dziwacznie zabrzmiało, ale nigdy nie wiedziałem, co powiedzieć Dziadku, tak żeby nie zabrzmiało dziwacznie. „Wiem, że roztropne – powiedział. – Oczewidno, że roztropne”. „Mogę jeszcze raz przegłębnać Augustynę?” – zapytałem gieroja. (Tu muszę zeznać, że byłem spragniony ją przegłębnać, odkąd gieroj po pierwszy raz mi ją eksponował. Ale wstydzilem to opublikować.) „Oczywiście – powiedział i wydzwignął swój wombat. Miał dużo duplikacji, jak całą kibić kart, i jedną dla mnie wysunął. – Proszę”.

Obserwałem fotografię, podówczas gdy on obserwował piękny dzień. Augustyna miała takie piękne włosie. Bardzo cienkie. Nie musiałem go dotknąć, żeby się zapewnić. Oczy miała niebieskie. Chociaż fotografia była czarno-biała, posiadałem pewność, że Augustyna ma niebieskie oczy. „Popatrzcie na te pola – powiedział gieroj z palcem pozewnątrz auta. – Jakie zielone”. Przywttórzyłem Dziadku, co wyrzekł gieroj. „Powiedz mu, że to prima sort ziemia wyprawna”. „Dziadek jest spragniony, żebym ci powiedział, że to bardzo prima sort ziemia wyprawna”. „I powiedz mu, że duża część tej ziemi zniszczała, jak przyszli naziści, ale przedtem była jeszcze przepiękniejsza. Bombardowali samolotami, a potem sunęli się w czołgach”. „Na oko w ogóle się nie wydaje”. „Po wojnie wszystko zdziałali na nowo. Przedtem było inaczej”. „Byłeś tu poprzed wojną?” „Patrzcie na tych ludzi, co pracują w polu w samej bieliźnie” – powiedział gieroj z zadniego siedzenia. Docieknąłem o to Dziadka. „Nie ma w tym nic nienormalne – odparł. – Rano jest strasznie gorąc. Za gorąc, żeby się przejmować ubraniem”. Przywttórzyłem to gieroju. Pokrywał wielu stron w swoim dzienniku. Chciałem, żeby Dziadek kontynuował zapoprzednią konwersację i powiedział mi, kiedy był w tym terenie, ale uważyłem, że konwersacja już się sfinalizowała. „Tacy starzy ludzie tu pracują – powiedział gieroj. – Niektóre z tych kobiet muszą mieć sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt lat”. Docieknąłem Dziadka, bo mnie także nie wydało się to samowite. „To całkiem samowite – odparł. – W polu człowiek haruje,

dopóty poradzi harować. Twój Pradziadek umarł w polu”. „A czy Prababcia też pracowała w polu?” „Pracowała wraz z nim, kiedy umarł”. „Co on mówi?” – dociekł gieroj i znowu uniemożliwił Dziadku kontynuować, a ja, spojrzawszy na Dziadka, znowu postrzegłem, że już po konwersacji.

Pierwsze wtedy słyszałem, jak Dziadek mówi o swoich rodzicach, i zachciałem wiedzieć o nich dużo więcej. Co działali podówczas wojny? Kogo uratowali? Ale czułem, że najzwyczajsza przyzwoitość nakaża mi o tej sprawie milczeć. Dziadek sam powie, jak go przypili, a dopóty co, wytrwam w milczeniu. Robiłem więc to samo co gieroj, czyli wypatrywałem poprzez okno. Nie wiem, ile czasu się przeturlało, ale przeturlało się mnóstwo. „Pięknie tu, tak?” – powiedziałem, nie zwyobracając się w stronę gieroja. „Tak”. Poprzez kilkoro następujących minut byliśmy bez słów, lecz tylko świadczyliśmy rolę wyprawną. „Byłaby rozsądna pora zagadnąć kogoś o drogę w Trachimbrod – powiedział Dziadek. – Chyba jesteśmy najwyżej dziesięć kilometrów odeń w oddali”.

Ruszyliśmy samochód na zboczenie drogi, chociaż bardzo ciężko było postrzec, gdzie zakańcza się droga, a poczyna zboczenie. „Idź zagadnij kogoś – powiedział Dziadek. – I weź Żyda ze sobą”. „Pójdiesz ze mną?” – spytałem. „Nie” – odparł. „Proszę”. „Nie”. „Chodź” – powiadomiłem gieroju. „Dokąd?” Wykazałem palcem trzode mężczyzn w polu, którzy spalali papierosy. „Chcesz, żebym z tobą poszedł?” „Oczewidno” – wyrzekłem, bo byłem spragniony, żeby gieroj czuł się

zamieszany w każdym aspekcie podróży. Ale, prawdę zarzekłszy, bałem się też tych polnych mężczyzn. Nigdy nie mówiłem do takich ludzi jak oni, do takich biednych wsiaków, a na dodatek, podobnie na większość ludzi z Odessy, mówię fuzją rosyjskiego z ukraińskim, a oni jedynie po ukraiński, a chociaż rosyjski i ukraiński brzmią tak analogicznie, ludzie, którzy mówią jedynie po ukraiński, czasem nienawidzą tych, co mówią fuzją rosyjskiego z ukraińskim, po temu bo ludzie, co mówią fuzją rosyjskiego z ukraińskim, często wywodzą się z miast i myślą, że są primsza sort niż ci, co mówią jedynie po ukraiński i często wywodzą się spośród pól. My zresztą tak myślimy, bo zaprawdę jesteśmy primsza sort, ale to już dylemat na inną fabułę.

Komenderowałem gieroju nie odzywać się, bo ci, co mówią jedynie po ukraiński i nienawidzą tych, co mówią fuzją rosyjskiego z ukraińskim, nienawidzą również tych, co mówią po angielski. Z identyczny powód zawiąłem z nami Sammy Davis, Junior, Junior, chociaż ona nie mówi ani po ukraiński, ani fuzją rosyjskiego z ukraińskim, ani po angielski, tylko hauczy. „Czemu?” „Co po czemu?” „Czemu nie mogę się odezwać?” „Nieskołkich strasznie to bezpokoi, jak słyszą angielski. Prędeż sprokurujemy wsparcie, jeżeli zakluczysz usta na łódkę”. „Co takiego?” „Cicho być”. „Powtórz jeszcze raz to słowo, co przed chwilą”. „Które?” „To na «s»”. Napawiło mnie to wielką dumą, bo oto znałem angielskie słowo, którego gieroju, chociaż rodowaty Amerykan, nie znał. „Sprokurujemy. Coś jak pozyskamy, zdobyjemy,

pouczymy, załatwimy, zapewnimy sobie, wystaramy się. A teraz cicho być, ty bucu”.

„Pierwsze słyszę” – powiedział jeden z polnych, z papierosem w zakątku ust. „Ja też” – dodał drugi i zaraz wystawili nam plecy. „Dziękuję” – powiedziałem. Gieroj bębnał mnie w bok zakolem ręki. Próbował coś mi powiedzieć bez słów. „Że co?” – wyszepnąłem. „Sofijówka” – powiedział bez fonii, chociaż, prawdę zarzekłszy, było wszystko równo. Wszystko było równo, albowiem polni w ogóle sobie nami nie zwracali uwagi. „Ach, racja” – wyrzekłem do nich. Nie zwyobracali się, żeby na mnie spojrzeć. „Nazywają go też Sofijówka. Wiecie o tym mieście?” „Pierwsze słyszymy” – powiedział jeden bez dyskusji z ostalnymi. Rzucił papieros na glebę. Zwyobrałem głową stąd tam, żeby powiadomić gieroju, że polni nie wiedzą. „Może widzieliście kiedyś tą kobietę” – powiedział gieroj, wyjmując ze swojego wombata duplikację zdjęcia Augustyny. „Schowaj to!” – skomenderowałem mu. „Co wy tu zamyślacie?” – zagadnął jeden polny i też rzucił papieros na glebę. „Co on mówi?” – spytał gieroj. „Szukamy za miastem Trachimbrod” – powiadomiłem im i zaraz uważyłem, że to u nich niechodliwa nowina. „Mówiłem już, że nie ma takie miasto”. „Więc nie zwracajcie głowy” – powiedział jeden z ostalnych. „Chcecie podpalić Marlboro?” – spytałem, bo nic inne nie przyszło mi w myśl. „Zjeżdżajcie stąd” – zarządził jeden polny. „Wracajcie w Kijów”. „Ja z Odessy” – objaśniłem i to ich rozśmiało do rozpluku. „No to wracajcie w Odessę”. „Mogą nam pomóc? -

’

dociekł gieroj. - Wiedzą coś?" „Chodź” - powiedziałem, pobrałem go za rękę i wróciliśmy się wspak ku autu. Byłem upokorniały do maksymalności. „Chodź, Sammy Davis, Junior, Junior!” Ale ona nie zachciała przyjść, chociaż polni byli wobec niej uciemiężliwi. Pozostała jedynie jedyna opcja. „Billie Jean to nie moja kochanka. To tylko taka dziewczyna, co twierdzi, że jestem jej wybranym”. Maksymalność mojego upokornienia uczyniła się jeszcze maksymalsza.

„Po kiego diabła odezwałeś się po angielski! - wyrzekłem. - Przecież ci skomenderowałem, że masz się po angielski nie odzywać! Wyzrozumiałeś mnie, tak?” „Tak”. „No to po co żeś się odezwał po angielski?” „Nie wiem”. „Nie wiesz! Prosiłem, żebyś spreprował śniadanie?” „Co?” „Prosiłem, żebyś wynalazł nowy gatunek koła?” „Ja nie...” „Nie, prosiłem cię tylko o jedno, a ty nawet z tego jedna zdziałałaś katastrofę! Taki byłeś du-rak!” „Po prostu wydawało mi się, że może to coś da”. „Ale nic nie dało. Tylko bardzo zgniewało tych ludzi!” „Przez mój angielski?” „Skomenderowałem ci nie mówić, a ty mówiłaś. Bardzo możliwe, że wszystko skala-łeś”. „Przepraszam, ja tylko myślałem, że zdjęcie”. „Od tych pór ja się zatrudnię myśleniem, a ty milczeniem!” „Przykro mi”. „To mnie jest przykro! Przykro mi, że cię w ogóle zawzięłem ze sobą w tę wojaż!”

Byłem strasznie powstydzony, że ci polni mówili do mnie w takowej manierze, i nie chciałem powiadomić Dziadku, co się wydarzyło, bo wiedziałem, że jego też to powstydzi. Ale po powrocie ku autu zatwierdziłem,

że nic a nic nie muszę Dziadku powiadamiać. Jeśli chcesz znać po czemu, otóż po temu, że najsampierwej musiałem go wzruszyć ze snu. „Dziadku – powiedziałem, dotykając go w rękę. – Dziadku, to ja, Sasza”. „Śniło mi się” – powiedział i to mnie bardzo zadumiało. Tak niesamowito jest zwyobrazić sobie, że któremuś z twoich rodziców czy dziadków coś się śniwa. Bo skoro tak, to znaczy, że oni wtedy myślą o czymś, przy czym ciebie nie ma, i myślą o czymś, co nie jest tobą. No i jeżeli śnią, to znaczy, że miewają sny, a to jeszcze jeden dylemat do zastanowienia. „Nie wiedzieli, gdzie Trachimbrod”. „No, wkraczaj w auto – powiedział. Sunął rękami po oczach. – Będziemy wytrwale jeździć i szukać za innym personą, żeby go spytać”.

Odkryliśmy dużo innych personów do spytania, ale, prawdę zarzekłszy, każdy utraktował nas w tej samej manierze. „Poszli won” – powiedział jeden stary. „Po czemu teraz?” – zagadnęła kobieta w żółtej sukience. Żadne nie znało, gdzie Trachimbrod, i żadne nigdy o nim nie słyszało, ale wszyscy się gniewali albo milkli, kiedy pytałem. Żałowałem, że Dziadek nie chce mi pomóc, ale on nie wieszował sobie ewakuować się z auta. Wytrwale jeździliśmy, teraz już po podrzędowych drogach bez żadnych obeznaczeń. Domy były coraz mniej poblisko jeden przy drugim i czyniło się nienormalne widzieć w ogóle kogośkolwiek. „Przeżyłem tu całe życie – powiedział jeden stary, nie usuwając się z siedzenia pod drzewem – i mogę wam powiadomić, że nie ma tu żadne miejsce, co się nazywa Trachimbrod”. Inny stary, który



eskortował krowę w poprzek bitej drogi, powiedział: „Przestańcie szukać. Obręczam wam, że nic nie znajdziecie”. Nie powiedziałem tego gieroju. Może po temu, że jestem dobry persona. A może po temu, że zły. Jako zamiastka prawdy powiedziałem mu, że każdy po kolei kazi nam jechać dalej, bo jak pojedziemy dalej, to koniec końców napotkamy kogoś, kto będzie znał, gdzie Trachimbrod. No więc będziemy jeździć, aż go znajdziemy i aż znajdziemy Augustynę. Jechaliśmy więc dalej, bo byliśmy srogo zabłądzeni, i jeszcze po temu, że nie wiedzieliśmy, co by tu inne począć. Nieskolkimi drogami autu bardzo ciężko było jechać, bo sterczały z nich kamienie i dziury. „Nie bezpokój się – powiedziałem gieroju. – Coś znajdziemy. Jeżeli będziemy dalej jechać, to na pewno znajdziemy Trachimbrod, a potem Augustynę. Wszystko jest w harmonii z projektem”.

Przeminęło już centrum dnia. „Co zdziałamy? – dobiegłem Dziadka. – Jeździmy tak już wielu godzin i nie jesteśmy ani bliżej niż o wielu godzin onegdaj”. „Nie wiem” – zeznał Dziadek. „Jesteś sfatygowany?” – zagadnąłem go. „Nie”. „Jesteś głodny?” „Nie”. Pojechaliśmy jeszcze kawałek, coraz dalej i dalej w jedno i to samo kółko. Samochód wielu razy ugrzęzał w glebę, więc gieroj i ja musieliśmy wysiadywać, żeby wyposażyć go w bodźce motywacji. „To niełatwe” – powiedział gieroj. „Nie, niełatwe – ustąpiłem. – Ale chyba powinniśmy jechać dalej. Nie uważasz? Skoro ludzie tak nam radzą”. Widziałem, że wciąż napełnia swój dziennik. Im mniej widzieliśmy, tym więcej pisywał. Przejechaliśmy poza

wielu z tych miast, które gieroj nazwał czełowiekę ze stancji benzynnej. Kowel. Sokiereczce. Kiwerce. Ale nigdzie nie było nijakich ludzi, a jeśli czasem nawet ktoś bywał, to nie mógł nam dopomóc. „Idźcie”. „Nie ma tu żaden Trachimbrod”. „Nie wiem, o czym mówicie”. „Zabłądziliście”. Podług wszelkich pozorów byliśmy w pomyłonym kraju albo w pomyłonym stuleciu, albo jakby Trachimbrod zanikł, a wraz z nim wszelakie po nim wspomnienie.

Podążaliśmy drogami, którymiśmy już przedtem przedążyli, uświadczaliśmy okolice, które już przedtem zdążyliśmy uświadczyc, i Dziadek zarówno jak i ja był spragniony, żeby gieroj tego sobie nie uświadomił. Wspomniałem, że jak byłem mały, to jak Ojciec mnie bębnał, potem mówił: „Nie boli. To nic nie boli”. A im więcej to wymawiał, tym bardziej to było nawierne. Wierzyłem mu w pewnym szczebłu po temu, że był przecież Ojciec, a w pewnym szczebłu, bo sam też nie chciałem, żeby bolało. Tak właśnie czułem się z gierojem, kiedy wytrwale jeździliśmy. Jakbym mu wmawiał: „Znajdziemy ją. Znajdziemy”. Oszukiwałem mu i jestem pewien, że on pragnął być oszuknięty. Więc wkreślaliśmy w bite drogi coraz więcej błędnych kół.

„Tam” – powiedział Dziadek, wykazując palcem personę, co grzędziła się na stopniach miniaturyzowanego domku. To była pierwsza od wielu minut persona, jaką uświadczaliśmy. A czy już przedtem zdążyliśmy ją uświadczyc? Czy już ją odpytnęliśmy bez nijakiego owocu? Dziadek aresztował auto. „Idź”. „Pójdziesz ze mną?”

- spytałem. „Idź”. Ponieważ nie wiedziałem, co inne powiedzieć, powiedziałem: „OK”, a ponieważ nie wiedziałem, co inne zdziałać, amputowałem się z auta. „Chodź” - rzekłem do gieroja. Ale nie doczekałem repliki. „Chodź” - przywtórzyłem i zaraz zwyobrałem się w tył. Gieroj wytwarzał drzem, analogowo jak Sammy Davis, Junior, Junior. Nie ma nieobchodzimości, że bym ich wzruszał ze snu - powiedziałem do swojego mózgu. Wziąłem ze sobą duplikację zdjęcia Augustyny i uważając, żeby nie zakłócić obojga drzemiących, zamknąłem drzwiczka.

Dom był z białego drewna, które samo ze siebie spadało. Miał czterech okien, jedno przełamane. Kiedy się do niego ubliżyłem, postrzegłem, że ta persona, co się grzędzi na stopniach, to kobieta. Była bardzo postarzała i obdzierała ze skóry kukuruzę. Na podwórku leżało wielu ubrań. Zapewnie wysuszały się po upraniu, ale leżały w nienormalnych aranżacjach i wydawały się jak ubrania niewidzialnych zwłok. Wyrozumowałem, że w małym domku mieszka dużo ludzi, bo na podwórku leżały ubrania męczyznye, kobiece, dziecinne, a nawet niemowlacze. „Pomiłowania - rzekłem, dopóty pozostawałem jeszcze w niej jakim dystansie, bo nie chciałem spowodować jej przerażoną personą. - Mam dla pani zagadnienie”. Przywdziana była w białą koszulę i białą sukienkę, ale obie pobrudzone, a miejscami zaschłe w płamy z cieczy. Postrzegłem, że to kobieta uboga. Wszyscy ludzie w małych miastkach są ubogi, ale ona była ubożejsza. Widziałem to precyzyjnie po tym, jaka

jest wysmukłona i jakie załamane są wszystkie jej do-  
bytki. Musi być kosztownie – pomyślałem – opiekac się  
tyłu ludźmi, ilu ona ma pod opieką. Postanowiłem  
wtedy, że jak już zostanę bogatym personą w Ameryce,  
dam tej kobiecie trochę waluty.

Uśmiechnęła się, kiedy się do niej ubliżyłem, i uwi-  
działem, że nie posiada wcale zębów. Włosie miała białe,  
na skórze brązowe znamia, a oczy niebieskie. Nie na-  
zbyttno pokazała z niej była kobieta, poprzez co chcę  
wypowiedzieć, że była bardzo krucha i wydawała się,  
jakby można ją było uniczożyć jednym palcem. Pod-  
chodząc, słyszałem, że nuci. (To się nazywa nucić, tak?)  
„Pomiłowania – powiedziałem. – Nie chcę być pani na  
utrapienie”. „Jak mogłoby cośkolwiek być mi utrapie-  
niem w taki piękny dzień?” „Owszem, bardzo piękny”.  
„Tak – ustąpiła. – Wy odkąd?” – spytała. To mnie ze-  
wstydziło. Zwyobrażałem w głowie, co by tu powiedzieć,  
i w końcu wybrałem prawdę. „Z Odessy” – zeznałem.  
Odłożyła jeden kawałek kukuruzy i podjęła drugi.  
„Nigdy nie byłam w Odessie” – wyrzekła i włosie, które  
miała poprzód twarzą, przeruszyła poza ucho. Dopiero  
wtedy uważylem, że jej włosie jest również długie jak ona  
sama przez się. „Powinna pani tam pojechać” – powie-  
działem. „Wiem. Wiem, że powinnam. Na pewno jest  
wiele rzeczy, które powinnam zrobić”. „Podobnie jak  
wielu rzeczy, których pani robić nie powinna”. Staralem  
się ją uczynić spokojną personą i to mi się udało. Roz-  
śmiała się. „Miły z was chłopiec”. „Słyszała pani kiedyś  
o mieście, co się przeżywa Trachimbrod? – zagadnąłem.

- Powiadomiono mi, że ktoś gdzieś tutaj w pobliżu będzie o nim wiedział". Odłożyła kukuruzę na podolek i spojrzała dociekliwie. „Nie chcę być pani na utrapienie – przywodziłem – ale czy słyszała pani kiedyś o mieście, co się przeżywa Trachimbrod?” „Nie” – odparła, podejmując kukuruzę i usuwając z niej skórę. „A słyszała pani kiedyś o mieście, co się przeżywa Sofijówka?” „O nim też nie słyszałam”. „Przepraszam, że ukradłem pani czas – powiedziałem. – Miłego dnia”. Sprezentowała mi smutny uśmiech, który wydawał się, jakby mrówka w pierścieniu Jankla ukryła twarz – a ja wiedziałem, że to symbol, ale nie wiedziałem, czego by miał symbolizować.

Kiedy począłem odchodzić, usłyszałem, że znowu nuci. I cóż miałem powiadomić gieroju, jeśli już przestał wytwarzać drzem? Cóż miałem powiadomić Dziadku? Jak długo mogliśmy jeszcze prokurować fiasko, zanim skapitulujemy? Czułem, jakby całe brzemię rezydowało na mnie. To tak samo jak z Ojcem, kiedy tylko ileś razy można powiedzieć: „To nie boli”, zanim rozboli jeszcze bardziej niż samo bolenie. Czetowieka nagle oświeca, że jest zbolały, a to oświecenie, jestem pewien, odczuwa się jeszcze gorzej niż ból zaistniały nawiernie. Bezprawdy wisały przede mną jak owoce. Którą miałem zerwać dla gieroja? Którą zerwać dla Dziadka? A którą dla siebie? Czy dla Igorka? Potem wspomniałem, że wziąłem zdjęcie Augustyny i chociaż do tych pór nie wiem, co mnie właściwie nakłoniło, zwyobrałem się dokooła i ekspozowałem tej kobiecie fotografię.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?”

Egzaminowała ją poprzez kilkoro chwil. „Nie”.

Sam nie znam, po czemu, ale znowu dociekłem.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?”

„Nie” – przywtórzyła, ale to drugie *nie* wcale nie brzmiało jak spapugowane po pierwszym, tylko jak całkiem inna jego wariacja.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?” – zagadnąłem i tym razem przytrzymałem zdjęcie w pobliżu jej twarzy, tak jak przedtem Dziadek w pobliżu swojej.

„Nie” – przywtórzyła i to zabrzmiało jak jeszcze trzecia wariacja pierwszego *nie*.

Wsunąłem jej zdjęcie w ręce.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?”

„Nie” – powiedziała, ale w tym jej zaprzeczeniu byłem pewien, że słyszę: Proszę, nie dawaj za przegraną. Zagadnij mnie znowu. No więc zagadnąłem.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?”

Przesunęła kciukami po twarzach, jakby próbowała je wymazać. „Nie”.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?”

„Nie” – odparła i położyła sobie fotografię na pośladek.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?” – dociekleń.

„Nie” – odpowiedziała, wciąż ją egzaminując, ale tylko z zakątków oczu.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?” – dociekleń.

„Nie”. Znowu nuciała, obfitym głosem.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?”

„Nie – powiedziała. – Nie”. Uwidziałem, że na jej białą sukienkę zstępuje łza, która z czasem też wyschnie i pozostawi trop.

„Czy kiedykolwiek uświadczyła pani kogośkolwiek z tej fotografii?” – dociekleń i czułem się jak jakiś okrutny, jak okropny persona, ale byłem pewien, że działałem, co należy.

„Nie – powiedziała. – Nigdy. Wydają mi się obcy”.

Zahazardowałem wszystko na jedną kartę.

„A czy ktośkolwiek z tej fotografii kiedykolwiek panią uświadczył?”

Zstąpiła jeszcze jedna łza.

„Tak długo was czekałam”.

Pokazałem palcem na samochód. „Szukamy za Trachimbrodem”.

„Och – westchnęła, uwalniając całą rzekę łez. – Jesteście na miejscu. Trachimbrod to ja”.

KCIUKAMI ODCIĄGNĘŁA od talii gumkę koronkowych majtek, żeby uraczyć przekrwione, opite genitalia wilgotnymi łaskotkami letnich prądów wstępującego powietrza, które niosły ze sobą zapach burzanów, brzoź, płonących butów i bulionu z baraniny, teraz zaś miały posłać na północ, ku tamtejszym nosom, jej szczególną zwierzęcą woń, niby wiadomość podawaną wzdłuż szeregu uczniaków, tak że ten, kto by ją zwęszył ostatni, mógłby zadrzeć głowę i powiedzieć: *Barszcz?* Ściągnęła majtki z niestychanym rozmysłem, jakby ten jeden uczynek zdolny był usprawiedliwić jej narodziny, każdą godzinę mozołu jej rodziców oraz to, że ona sama przy każdym oddechu zużywa tlen. Jakby mógł usprawiedliwić potoki łez, którymi jej dzieci opłakałyby jej właściwą śmierć, gdyby nie zginęła w wodzie razem z resztą sztetla - zbyt młoda, tak jak i reszta sztetla - zanim zdążyła urodzić choćby jedno. Złożyła majtki we dwoje, we czworo i tak dalej, w sumie sześć razy, nadając im kształt łyzy, i wsunęła je do kieszonki jego czarnego garnituru



ślubnego: do połowy wystawały spod klapy, rozkwitłe u góry fałdkami płatków, tak jak każda porządna chusteczka.

*To po to, żebyś o mnie myślał* – powiedziała – *póki...*

*I bez tego bym pamiętał* – odparł, całując wilgotną dłoń nad jej górną wargą.

*Pospiesz się* – zachichotała, jedną ręką poprawiając mu krawat, a drugą powróz między nogami. *Spóźnisz się. Biegnij już do Zegara.*

Pocałunkiem stłumiła coś, co zamierzał powiedzieć, i popchnęła go, żeby sobie wreszcie poszedł.

Było już lato. Bluszczowi, który czepiał się spękane go portyku synagogi, zaczynały ciemnieć klapki. Gleba po dawnemu oblała się bujnym kawowym rumieńcem i znów na tyle zmiękła, że mogły w niej rosnąć pomidory i mięta. Krzewy bzu zalotnie wspięły się do połowy balustrad otaczających werandy, balustrady zaczynały sypać drzazgami, a drzazgi unosił letni wiatr. Mężczyźni ze sztetla zdążyli stłoczyć się wokół Zegara, zanim przybiegł tam mój dziadek, zdyszany, zlany potem.

*Przybył Safran!* – oznajmił Rabin Strzelisty, a zgromadzeni na placu odpowiedzieli radosnymi okrzykami. *Jest pan młody!* Gdy septet skrzypków zagrał tradycyjnego Walca Zegarowego, starsi sztetla klaskali przy każdej akcentowanej nucie, a dzieci odgwisdywały każde ra-ra.

REFREN WALCA ZEGAROWEGO  
DLA TYCH, CO MAJĄ NIEBAWEM SIĘ ŻENIĆ

*Ooooooo, zbierzmy się, [wstaw imię pana młodego] przybył już,*

*Oby naprawdę był młody, bo jego ślub tuż-tuż.*

*Trafiła mu się niezła passa,*

*Przy [wstaw imię panny młodej] popuści sobie pasa.*

*Oj, dana, dana, wączhaj mu kolana,*

*Niech nie zemdleje do jutra ra-ra rana.*

*Weźcie wreszcie ten ślub*

*I do łóżka - hop, siup! Ooooooo...*

*[Jeszcze raz od początku i tak w kółko]*

Mój dziadek opanował się, dotknął suwaka spodni, sprawdzając, czy rozporek zapięty, i wmaszerował w długi cień Zegara. Miał oto wypełnić święty rytuał, który przed nim wypełniali wszyscy młodzi żonkosie w Trachimbrodzie, odkąd jego praprapradziadkowi zdarzył się we młynie tragiczny wypadek. Miał oto swój stan kawalerski, a teoretycznie również i seksualne podboje, rzucić na wiatr. Lecz tym, co go najbardziej uderzyło, gdy podszedł do Zegara (długim, zdecydowanym krokiem), nie było ani piękno ceremonii, ani właściwa wszystkim zorganizowanym obrzędowi przejścia nie-szczerość, ani nawet jego własne gorące pragnienie, żeby Cyganka mogła mu teraz towarzyszyć, bo w ten sposób ta prawdziwie ukochana przeżyłaby wraz z nim jego zaślubiny; otóż najbardziej uderzyło go to, że przestał

być chłopcem. Przybywało mu wieku, upodobił się już z wyglądu do swojego praprapradziadka: te same zmarszczone brwi ocieniały delikatne oczy o łagodnie kobiecym wyrazie, podobnym garbkiem wypiętrzał się nos, a wargi w jednym kąciku tworzyły skośne U, w drugim zaś V. Bezpieczeństwo i głęboki smutek: oto wrastał w swoje miejsce w rodzinie; wyglądem niewątpliwie przypominał ojca ojca ojca ojca swojego ojca i z tej właśnie przyczyny, właśnie dlatego, że dołek w podbródku zdradzał obecność tego samego gulaszu skundlonych genów (w którym mieszały tacy kuchmistrzowie, jak wojny, choroby, okazje, miłość oraz miłość fałszywa), miał zagwarantowane miejsce w długim szeregu – rękomię statecznego bytowania, a jednocześnie uciążliwe skrępowanie swobody ruchów. Nie był całkiem wolny.

Był natomiast świadom swojego miejsca wśród żonatyh mężczyzn – wszystkich, którzy ślubowali niegdyś wierność, klęcząc tu, gdzie on teraz klęczał. Każdy modlił się o błogosławieństwo w postaci roztropnego umysłu, dobrego zdrowia, przystojnych synów, zawyżonych zarobków i obniżonego popędu. Każdemu tysiąc razy opowiedziano dzieje Zegara – w jak tragicznych powstał okolicznościach i jak wielką posiada moc. Każdy słyszał, jak prapraprababka Brod mówiła dopiero co poślubionemu mężowi: *Nie idź*, bo aż nazbyt dobrze wiedziała o cięższej nad młynem kłątwie, za sprawą której zniecka pozbawiał on życia swoich młodych robotników. *Proszę cię, znajdź inną pracę albo nie pracuj w ogóle. Tylko obiecaj mi, że tam nie pójdziesz.*

Każdy wiedział też, że Kołker odparł: *Nie bądź głupia, Brod* – i poklepał ją po brzuchu, który w ósmym miesiącu wciąż jeszcze dawał się ukryć pod luźną sukienką. *To bardzo dobra robota, a ja będę bardzo ostrożny, i tyle.*

Każdy pan młody słyszał również, jak Brod płakała, jak w przeddzień wieczorem schowała Kołkerowi robocze ubranie, a potem co kilka minut ostrym szarpnięciem budziła go ze snu, żeby nazajutrz zmęczenie zatrzymało go w domu, i wreszcie rano oznajmiła mężowi, że nie zrobi mu kawy, a nawet próbowała zabronić pójścia do młyna.

*To chyba jest miłość – myślała – prawda? Kiedy zauważy się czyjąś nieobecność i nienawidzi się jej jak niczego na świecie? Bardziej nawet niż kocha się obecność tego kogoś?* Każdy pan młody słyszał, jak codziennie czekała przy oknie na Kołkera, jak dokładnie zaznajomiła się z szybą, tak że w końcu wiedziała, gdzie jej powierzchnia jest lekko nadtopiona, gdzie przebarwiona, a gdzie zmatowiała. Wymacywała jej drobniuteńkie zmarszczki i bąbelki. Jak niewidoma podczas nauki języka sunęła palcami po szkle i podobnie jak niewidoma podczas nauki języka czuła, że ją to oswobadza. Framuga okienna była murami więzienia, które ją wyzwalało. Kochała to, co czuła, czekając na Kołkera, kochała to uczucie, że całe jej szczęście zależy wyłącznie od niego, a ona – jakkolwiek zawsze dotąd śmieszyło ją to określenie – jest czyjąś żoną. Kochała swoje nowe słownictwo, zgodnie z którym bardziej niż samą miłość kochało się przedmiot miłości, i kochała bezbronność wynikłą stąd, że żyje się

w świecie, a nie o krok od świata. *Nareszcie* – myślała – *nareszcie, i gdyby jeszcze Jankiel wiedział, jaka jestem szczęśliwa.*

Kiedy miała koszmary sen i budziła się zapłakana, Kołker był przy niej, dłońmi rozczesywał jej włosy, a łyż zbierał do naparstków, żeby rano mogła je wypić (*Smutek można przezwyciężyć tylko pod warunkiem, że się go spożyje* – twierdził); mało tego: gdy zamykała oczy i z powrotem zasypiała, zostawał sam na sam z brzemieniem bezsenności. Następowало całkowite przekazanie ról, jakby rozpędzona kula bilardowa uderzyła w nieruchomą. Jeśli Brod ogarniało przygnębienie – a przygnębiona była przecież nieustannie – Kołker siedział przy niej, póki jej nie przekonał, że wszystko jest w porządku. Jest i już. Naprawdę. A kiedy ruszała do swoich zajęć, zostawał w tyle, sparaliżowany żalem, którego nie umiał nazwać, który nie był jego własny. Ilekroć chorowała, kładł się złożony chorobą, zanim tydzień dobiegł końca. A jeśli zaczynała ją nudzić to, że zna za dużo języków, za dużo faktów, że ma zbyt wielką wiedzę, aby mogła być szczęśliwa, całą noc ślęczał nad jej książkami, studiując ich treść i ilustracje, żeby nazajutrz prowadzić błąhą pogawędkę w stylu, który lubiła jego młoda żona.

*Brod, czy to nie dziwne, że pewne wzory matematyczne z jednej strony mają całą kupę znaków, a z drugiej tyle co nic? Fascynujące, prawda? Ile można się z tego nauczyć o życiu!...* Brod, znowu robisz tę swoją minę, jak ten człowiek, co to gra na takim jednym instrumencie, skręconym w wielgachną spiralę... Brod – mówił, wskazując palcem Kastora, gdy

leżeli na wznak na pokrytym cynową blachą dachu swojego domku – *to, co się tam świeci, to gwiazda. Tak samo jak ta* – dodawał, wskazując Polluksa. *Na pewno. I tamte też. Tak, to swojskie gwiazdy. Co do reszty nie jestem na sto procent pewien. Nie znam ich za dobrze.*

Zawsze umiała przejrzeć go na wylot jak jeszcze jedno okno. Zawsze czuła, że wie o nim wszystko, co w ogóle wiedzieć można – nie żeby był prostakiem, tylko dlatego, że był poznawalny jak lista spraw do załatwienia, jak encyklopedia. Na trzecim palcu lewej stopy miał znamię. Nie umiał oddać moczu w zasięgu czyjegoś słuchu. Uważał, że świeże ogórki są niezłe, ale korniszony – po prostu pyszne, tak niesamowicie pyszne, że aż wątpił, czy rzeczywiście robi je się ze zwykłych ogórków, które są przecież zaledwie niezłe. Nie słyszał o Szekspirze, ale imię Hamlet brzmiało mu znajomo. Lubił kochać się, biorąc ją od tyłu. Tak było jego zdaniem najprzyjemniej. Nigdy nie pocałował nikogo prócz własnej matki i Brod. Dał nura po wór ze złotem tylko dlatego, że chciał jej zaimponować. Nieraz godzinami przeglądał się w lustrze, strojąc miny, napinając mięśnie, puszczając do siebie oko, uśmiechając się, składając usta w ciup. Nigdy w życiu nie widział nagiego mężczyzny, więc nie miał pojęcia, czy ma normalne ciało. Na dźwięk słowa „motyl” oblewał się rumieńcem, chociaż nie wiedział dlaczego. Nigdy nie wyjechał poza granice Ukrainy. Był niegdyś przekonany, że Ziemia jest środkiem wszechświata, ale z czasem zmądrzał. Odkąd poznał sekrety magicznych sztuczek, tym bardziej podziwiał magów i magików.

*Taki z ciebie uroczy mąż* – mawiała, ilekroć przynosił jej prezenty.

*Chcę tylko być dla ciebie dobry.*

*Wiem* – odpowiadała – *i taki też jesteś.*

*Ale tylu rzeczy nie mogę ci dać.*

*Ale tyle rzeczy dać mi możesz.*

*Nie jestem bystry...*

*Przestań* – mówiła wtedy. – *Przestań i już.* Bystrość była ostatnią cechą, jakiej sobie u niego życzyła. Wiedziała, że to by wszystko popsulo. Chciała tylko mieć kogoś, za kim może tęsknić, kogo może dotykać, z kim może rozmawiać jak z dzieckiem i sama też przy nim dziecinieć. Do tego akurat świetnie się nadawał. A ona była zakochana.

*To ja nie jestem bystra* – mówiła.

*W życiu nie słyszałem nic głupszego, Brod.*

*No właśnie* – odpowiadała, opasując się jego ramieniem i w pierś wtulając mu twarz.

*Brod, ja usiłuję poważnie z tobą porozmawiać. Chwilami wydaje mi się, że wszystko, co chcę powiedzieć, wyjdzie na opak.*

*No więc, co robisz?*

*Nie mówię tego wszystkiego.*

*To dowodzi, jaki jesteś jednak bystry* – stwierdzała, bawiąc się luźną skórą jego podgardla.

*Brod* – mówił, odsuwając się – *nie traktujesz mnie poważnie.* Wtulala się w niego jeszcze głębiej i jak kot zamykała oczy. *Wiesz, prowadzę taką jedną listę* – dodawał, cofając ręce, którymi się oplotała.

*To cudownie, kochanie.*

*Nie spytasz, co to za lista?*

*Myślałam, że gdybyś chciał, żebym wiedziała, sam byś mi powiedział. A skoro nie powiedziałeś, uznałam, że to nie moja sprawa. Mam spytać?*

*Spytaj.*

*No dobrze. Cóż to za listę prowadzisz w takim sekrecie?*

*Podliczam wszystkie nasze dyskusje, począwszy od dnia ślubu. Masz ochotę zgadnąć, ile ich dotąd było?*

*Czy to naprawdę konieczne?*

*Dyskutowaliśmy tylko sześć razy, Brod. Sześć razy przez blisko trzy lata.*

*Czy tę obecną też uwzględniasz?*

*Nigdy nie traktujesz mnie poważnie.*

*Ależ skąd!*

*Nie, zawsze żartujesz albo ucinasz rozmowę, zanim zdążymy cokolwiek powiedzieć.*

*Przykro mi, jeśli rzeczywiście tak robię. W ogóle tego nie zauważyłam. Ale czy naprawdę akurat w tej chwili musimy rozmawiać? Przecież cały czas rozmawiamy.*

*Nie chodzi mi o rozmawianie, Brod, tylko o dyskutowanie. O coś, co trwa dłużej niż pięć minut.*

*Postawmy sprawę jasno. Nie mówisz teraz o mówieniu? Chcesz, żebyśmy dyskutowali o dyskutowaniu? Dobrze cię zrozumiałam?*

*Odbyliśmy w życiu sześć dyskusji. Wiem, że to żałosne, ale je policzyłem. Poza tym rzucaamy tylko słowa bez wartości. Rozmawiamy o ogórkach i o tym, że wolę korniszony. Rozmawiamy o tym, jak się rumienię, kiedy słyszę to słowo... no, sama*



wiesz które. Rozmawiamy o nieutulonej w żalu Szandzie i o Pinchasie, i o tym, że sińce czasem widać dopiero po kilku dniach. Gadu gadu gadu. Gadamy o niczym. O ogórkach, motylach, siniakach. Jedno wielkie nic.

Skoro tak, to co byłoby czymś? Chcesz chwilę porozmawiać o wojnie? Albo może o literaturze. Powiedz mi tylko, co nie jest niczym, to zaraz o tym czymś porozmawiamy. Bóg? Możemy porozmawiać o Bogu.

Znowu to robisz.

Co robię?

Nie traktujesz mnie poważnie.

Na ten przywilej musisz dopiero zasłużyć.

Staram się.

Postaraj się jeszcze bardziej – powiedziała, a potem rozpięła mu spodnie, wylizała szyję od nasady aż po podbródek, wyciągnęła koszulę ze spodni i wreszcie ściągnęła same spodnie, tym sposobem ucinając w załączku siódmą dyskusję. Chciała od niego tylko przytulankę i szczebiotów. Szeptów. Zapewnień. Obietnic wierności i prawdy, które raz po raz kazała mu składać: że nigdy nie pocałuje innej kobiety, nigdy nawet nie pomyśli o innej, nigdy nie zostawi jej samej.

Powtórz.

Nie zostawię cię samej.

Jeszcze raz.

Nie zostawię cię samej.

Jeszcze.

Nie zostawię.

Czego?

*Ciebie samej.*

Pracował mniej więcej od półtora miesiąca, gdy do jej drzwi zastukali dwaj ludzie ze młyna. Nie musiała pytać, co ich sprowadza, tylko natychmiast runęła na podłogę.

*Idźcie sobie!* – krzyknęła, sunąc dłońmi w tę i z powrotem po dywanie, jakby to był kolejny język do wyuczenia, kolejne okno.

*Nie czuł bólu* – powiedzieli jej. *Właściwie nic nie poczuł.* To usłyszawszy, znowu zapłakała, jeszcze okropniej niż dotąd. Śmierć jest w życiu jedyną rzeczą, którą koniecznie trzeba sobie uzmysławiać, gdy akurat się zdarza.

Ostrze piły tarczowej spadło z łożysk, wyleciało z łuszczarki i pomknęło na przelaj przez młyn, odbijając się od ścian i belek, więc ludzie czym prędzej kryli się, gdzie kto mógł. Kołker właśnie jadł kanapkę z serem, siedząc na workach z mąką, zatopiony w myślach o czymś, co o czymś powiedziała Brod, i w ogóle nie zauważał dookolnego chaosu, gdy wtem piła odskoczyła rykoszetem od żelaznego pręta (przez nieuwagę zostawił go na podłodze pewien robotnik, którego później raził piorun) i utkwiała mu, zachowując idealny pion, w samym środku czaszki. Spojrzał w górę, upuścił kanapkę – naoczni świadkowie przysięgali potem, że kromki chleba w powietrzu zamieniły się miejscami – i zamknął oczy.

*Zostawcie mnie!* – wrzasnęła Brod na przybyszów, którzy wciąż stali w jej drzwiach, oniemiaли. *Idźcie stąd!*

*Ale kazano nam...*

*Idźcie!* – powtórzyła, bijąc się w pierś. *Idźcie!*

*Szef powiedział...*

*Sukinsyny!* – krzyknęła. *Dajcie żałobnicy pogrzyź się w żałobie!*

*Ale on przecież nie zginął* – sprostował grubszy postanec.

*Co takiego?*

*Nie zginął.*

*Nie zginął?* – spytała, podnosząc głowę z podłogi.

*Nie* – powiedział drugi. *Jest pod opieką lekarza, ale wygląda na to, że trwałe obrażenia odniósł niewielkie. Może go pani odwiedzić, jeśli pani chce. On wcale nie budzi odrazy. No, najwyżej lekką, ale krwawił mało, tyle co z nosa i z uszu, a ostrze chyba trzyma wszystko w kupie i na swoim miejscu, tak mniej więcej.*

Płacząc jeszcze bardziej rozdzierająco niż wtedy, gdy usłyszała nowinę o mniemanej śmierci nowo poślubionego męża, Brod uściskała obu zwiastunów, a potem każdemu dała fangę w nos, z całą siłą, na jaką potrafiła się zdobyć jej cherlawa piętnastoletnia pięść.

W rzeczywistości Kołkerowi prawie nic się nie stało. Już po kilku minutach odzyskał przytomność i zdołał o własnych siłach przejść, a raczej przeaparadować labiryntem błotnistych żyłek, do gabinetu doktora (a zarazem cierpiącego na brak klientów dostawcy gotowych potraw) Abrahama M.

*Jak się pan nazywa?* (mierzy cyrklem koliste ostrze).

*Kołker.*

*Doskonale* (lekką dotyka palcem jednego z zębów piły). *Pamięta pan imię żony?*

*Brod, oczywiście. Żona ma na imię Brod.*

*Doskonale. A co się panu właściwie stało?*

*Wbiła mi się w głowę piła tarczowa.*

*Doskonale* (ogłąda ostrze ze wszystkich stron). Zdaniem doktora piła wyglądała jak słońce latem o piątej po południu, znikające za horyzontem głowy Kołkera. To spostrzeżenie przypomniało mu, że zbliża się pora obiadu, jednego z jego ulubionych posiłków. *Coś pana boli?*

*Czuję się jakoś inaczej. To właściwie nie jest ból. Coś prawie jak tęsknota za domem.*

*Doskonale. Tęsknota za domem. Da pan radę śledzić wzrokiem ruch mojego palca? Nie, nie tego. O, teraz dobrze...*

*Doskonale. Mógłby pan przejść przez pokój?... Doskonale.*

I raptem bez żadnej zewnętrznej przyczyny Kołker grzmotnął pięścią w stół i wrzasnął: *Ty gruby pojebańcu!*

*Co proszę? Co takiego?*

*A co się stało?*

*Przed chwilą zwymyślał mnie pan od pojebańców.*

*Naprawdę?*

*Owszem.*

*Przepraszam. Wcale pan nie jest pojebany. Bardzo przepraszam.*

*Pewnie jest pan po prostu...*

*Kiedy to prawda!* – krzyknął Kołker. *Bezczelny pojebaniec! I dodam, że gruby, jeśli przedtem o tym nie wspominałem.*

*Niestety, nie bardzo rozu...*

*Czy ja coś mówiłem?* – zdziwił się Kołker, z najwyższym niepokojem rozglądając się po gabinecie.

*Powiedział pan, że jestem beczelnym pojebańcem.*

*Musi mi pan wierzyć... Tuches ma pan przecież jak stodoła!... Przepraszam, to nie ja... Przepraszam cię najmocniej, ty pojebańcu z tłustym tuchesem, ale ja...*

*Mówi pan, że mam tłusty tuches?*

*Nie!... Tak!*

*Może to przez te spodnie? Mają dosyć obcisły krój w okolicy...*

*Tłusta dupa!*

*Tłusta dupa?*

*Tłusta dupa!*

*Za kogo pan się w ogóle ma?*

*Nie!... Tak!*

*Won z mojego gabinetu!*

*Nie!... Tak!*

*Nawet piła tarczowa nie wszystko usprawiedliwia – powiedział doktor, po czym z wielką urazą zatrzasnął teczkę i jak burza wypadł z własnego gabinetu, a przy każdym jego ciężkim kroku głośno dudniła podłoga.*

Lekarz-żywiciel pierwszy padł ofiarą tego rodzaju złośliwych wybuchów – jedynych symptomów obecności piły, która miała tkwić w czaszce Kołkera, idealnie prostopadła do horyzontu, przez resztę życia.

Małżeństwo zdołało wrócić do czegoś na kształt normy – po usunięciu deski, która dotąd stanowiła wezglowie łóżka, i po narodzinach pierwszego z trójki synów – ale Kołker był wyraźnie zmieniony. Ten sam mężczyzna, który dawniej masował przedwcześnie postarzałe nogi Brod, gdy ją w nich nocą mrowiło, jakby wbijano jej igły i szpilki; który w oparzelizny wcierał jej mleko, jeśli

akurat nie było innego lekarstwa; który liczył palce u jej stóp, bo lubiła ten rodzaj łaskotek – teraz obrzucał ją niekiedy przekleństwami. Zaczęło się od szeptem rzucających uwag o temperaturze żyłastej wołowiny albo o śladach mydła pod kołnierzem. Brod umiała przymknąć na to oczy, potrafiła nawet dostrzec w tym pewien urok.

*Brod, gdzie moje pierdolone skarpetki? Znowu je gdzieś zawieruszyłaś.*

*Wiem* – odpowiadała, uśmiechając się w duchu na myśl, jak to miło, kiedy niewdzięcznik nią pomiata. *Masz rację. Więcej się to nie powtórzy.*

*Dlaczego, do diabła, nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa ten spiralny instrument!*

*Przeze mnie. To moja wina.*

Z czasem jego stan się pogarszał. Brudny brud prowokował całą tyradę. Wystarczała mokra woda w wannie, żeby Kołker wrzeszczał na żonę, aż sąsiedzi musieli zamykać okiennice (pragnienie odrobiny ciszy i spokoju było bowiem jedyną wspólną wszystkim obywatelom sztetla własnością). Niespełna rok po wypadku zaczął ją poszturchiwać. Tłumaczyła sobie jednak, że zdarza się to rzadko i w sumie stanowi zaledwie ułamek ich wspólnego czasu. Raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. Nigdy częściej. A kiedy nie wpadał w ten swój „humor”, był najtroskliwszym z mężów. Humory nie były nim samym, lecz drugim Kołkerem, zrodzonym z metalowych zębów tkwiących w mózgu. A ona go kochała i miała dzięki temu po co żyć.

*Kurwo gadzino suko!* – wył drugi Kołker, wyrażając pięściami, po czym Kołker właściwy brał ją w ramiona, jak tamtej nocy, kiedy się po raz pierwszy spotkali.

*Plugawa wodna poczwaro!* (i grzbietem dłoni walił na odlew w policzek). A potem czule ją prowadził albo dawał się zaprowadzić do sypialni.

Kiedy się z nią kochał, mógł ją nagle skłąć, uderzyć lub zepchnąć z łóżka na podłogę. Gramoliła się z powrotem, znów go dosiadała i zaczęli w tym samym miejscu, w którym przerwali. Żadne nie wiedziało, co też on za chwilę zrobi.

Odwiedzili wszystkich lekarzy z sześciu pobliskich wiosek (Kołker złamał nos pewnemu sobie młodemu doktorowi z Łucka, który zaproponował, żeby małżonkowie sypiali w osobnych łóżkach) i wszyscy oni zgodnie twierdzili, że jedyną skuteczną kuracją byłoby usunięcie ostrza z głowy, co jednak niewątpliwie by go zabiło.

Kobiety ze sztetla cieszyły się, widząc, jak Brod cierpi. Chociaż minęło już szesnaście lat, wciąż była dla nich owocem tej strasznej dziury, przez którą nie mogły jej zobaczyć całej naraz, przez którą nie mogły jej poznać i po macierzyńsku upieścić, przez którą zatem ją znienawidziły. Rozeszły się plotki, jakoby Kołker bił ją za to, że jest oziębła w łóżku (trzy lata małżeństwa i może się pochwalić tylko dwojgiem dzieci!) i zupełnie sobie nie radzi z prowadzeniem domu.

*Nie dziwiłabym się, że mi podbił oko, jakbym tak  
skikała jak ona!*

*A widziałaś, jak zapuściła podwórko? Co za chlew!  
Jeszcze jeden dowód, że jest jednak sprawiedliwość na świecie!*

Kołker nienawidził siebie, czy też raczej drugiego siebie, za te napady. W nocy wielkimi krokami chodził po sypialni i zajadle spierał się ze swoim drugim ja, krzyczał co sił w obu wspólnych płucach, często przy tym waląc się w pierś, którą płuca te zamieszkiwały, lub bijąc siebie i tamtego po twarzy. Gdy podczas kilku nocnych incydentów mocno poturbował Brod, uznał (wbrew zdaniu żony), że lekarz, któremu złamał nos, miał jednak rację: muszą sypiać osobno.

*Nie zgadzam się.*

*Nie ma o czym gadać.*

*No to mnie rzuć. Z dwojga złego już bym woląta. Albo zabij. To byłoby nawet lepsze, niż gdybys odszedł.*

*Nie bądź śmieszna, Brod. Przecież będę tylko spał w drugiej izbie.*

*Kiedy miłość to właśnie izba - odparła. Nic innego.*

*Tak trzeba, i już.*

*Wcale tak nie trzeba.*

*Właśnie, że trzeba.*

Na kilka miesięcy pomogło. Ich życie potoczyło się regularnym trybem, z rzadka tylko zakłócanym wybuchami brutalności. Co wieczór rozstawali się, żeby samotnie się rozebrać i ułożyć do snu, a rano przy chlebie i kawie objaśniali sobie nawzajem swoje sny i opisywali pozycje, które nocą narzucał im niepokój. Była to szansa, jakiej pospieszne małżeństwo nigdy im nie dało: czas na nieśmiałość, na powolność, na wzajemne odkrywanie



się z daleka. Odbyli swoją siódmą, ósmą i dziewiątą dyskusję. Kołker usiłował wyrazić słowami to, co miał to powiedzenia, i zawsze wychodziło mu nie tak. Brod była zakochana i miała po co żyć.

Jego stan się pogarszał. W końcu doszło do tego, że Brod mogła się spodziewać tęgiego lania co rano, zanim Kołker poszedł do pracy – gdzie ku zdumieniu wszystkich lekarzy umiał się powstrzymać od jakichkolwiek wybuchów – i codziennie pod wieczór, przed obiadem. Bijął ją w kuchni wobec garnków i rondli, w salonie wobec dwojga dzieci, a także w spiżarni wobec lustra, w które oboje przy tym patrzyli. Nigdy nie uciekała przed razami jego pięści, lecz dobrowolnie brała je na siebie, sama pod nie szła, pewna, że jej sińce nie są śladami gwałtu, tylko gwałtownej miłości. Kołker tkwił uwięziony we własnym ciele – jak w niedającej się stłuc butelce list miłosny, którego litery przenigdy nie spełzną ani się nie rozmażą, ale też nigdy ich nie przeczyta umiłowany adresat – i chcąc nie chcąc, ranił tę, dla której najbardziej pragnął być łagodny.

Nawet jeszcze pod sam koniec miewał okresy przytomności, nieraz i kilkudniowe.

*Mam coś dla ciebie* – powiedział kiedyś, biorąc Brod za rękę i prowadząc ją przez kuchnię do ogrodu.

*Co?* – zapytała, ani trochę nie starając się zachować bezpiecznej odległości. (Nie istniało już wtedy coś takiego jak bezpieczna odległość. Zawsze byli albo za blisko siebie, albo za daleko.)

*Coś na twoje urodziny. Kupiłem ci prezent.*

*To dziś są moje urodziny?*

*Dziś są twoje urodziny.*

*Widocznie skończyłam siedemnaście lat.*

*Osiemnaście.*

*Co to za niespodzianka?*

*Gdybym ci powiedział, byłoby po niespodziance.*

*Nie cierpię niespodzianek - stwierdziła.*

*A ja je lubię.*

*Dla kogo jest ten prezent? Dla ciebie czy dla mnie?*

*Prezent dla ciebie - odparł. A niespodzianka dla mnie.*

*A gdybym ci sprawiła niespodziankę, mówiąc, żebyś go sobie zatrzymał? Wtedy ja bym miała niespodziankę, a ty prezent.*

*Przecież nie cierpisz niespodzianek.*

*Tak, wiem. No, to daj mi go wreszcie.*

Wręczył jej paczuszkę, zawiniętą w niebieski papier welinowy i przewiązaną jasnoniebieską wstążeczką.

*Co to jest? - zapytała Brod.*

*Już to obgadaliśmy - odparł. Niespodzianka dla ciebie.*

*Rozpakuj.*

*Nie o to pytam - sprostowała, wskazując palcem opakowanie. Co to jest?*

*Jak to co? Papier i tyle.*

Odłożyła paczuszkę i rozplakała się. Nigdy przedtem nie widział, żeby płakała.

*Co się dzieje, Brod? Chciałem ci sprawić radość.*

Pokręciła głową. Płacz był dla niej nowością.

*Co jest, Brod? Co się stało?*

Nie płakała od tamtego Dnia Trachima przed pięćmioma laty, kiedy w drodze z platformy do domu szalony szlachetka Sofijówka zatrzymał ją i zrobił z niej kobietę.

*Nie kocham cię* – powiedziała.

*Co?*

*Nie kocham cię* – powtórzyła, odpychając go. *Przykro mi.*

*Brod* (położył jej dłoń na ramieniu).

*Odczep się!* – wrzasnęła, raptownie się odsuwając. *Nie dotykaj mnie! Nigdy więcej nie waż się mnie dotknąć!* Odwróciła głowę w bok i zwymiotowała na trawę.

Rzuciła się do ucieczki. A on za nią. Wiele razy obiegała dom, mijając drzwi wejściowe, krętą ścieżkę, tylną furtkę, zachlewione podwórko, boczny ogród i znowu drzwi wejściowe. Kołker deptał jej po piętach, a chociaż był od niej dużo szybszy, postanowił, że nigdy jej nie doścignie ani nie odwróci się i nie zaczeka, aż przy następnym okrążeniu sama wpadnie mu w ręce. Biegali więc w koło, raz za razem: drzwi wejściowe, kręta ścieżka, zachlewione podwórko, boczny ogród, drzwi wejściowe, kręta ścieżka, zachlewione podwórko, boczny ogród. Aż wreszcie, gdy popołudnie ubrało się w przedwieczorną suknię, Brod ze zmęczenia runęła w ogrodzie na ziemię.

*Jestem zmęczona* – powiedziała.

Kołker usiadł przy niej. *A w ogóle kiedyś mnie kochałaś?*

Odwróciła od niego twarz. *Nie. Nigdy.*

*Ja zawsze cię kochałem* – powiedział.

*Żal mi ciebie.*

*Jesteś okropna.*

*Wiem – przytaknęła.*

*Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że o tym wiem.*

*No to wiedz, że i ja wiem.*

Przesunął grzbietem dłoni po jej policzku, udając, że ściera pot. *Mylisz, że mogłabyś mnie kiedyś pokochać?*

*Nie sądzę.*

*Bo jestem nie dość dobry.*

*Nie w tym rzecz.*

*Bo nie jestem bystry.*

*Nie.*

*Bo nie mogłabyś mnie pokochać.*

*Bo nie mogłabym cię pokochać.*

Wszedł do domu.

Moja praprapraprababka została sama w ogrodzie. Wiatr odślaniał podbrzusza liści, a w trawie wzburzał fale. Przemykał po twarzy Brod, osuszając pot i wyciskając coraz to nowe łzy. Otworzyła paczuszkę, bo właśnie zdała sobie sprawę, że ani na chwilę nie wypuściła jej z ręki. Niebieska wstążka, niebieski papier, pudełko. Flakon perfum. Widocznie w zeszłym tygodniu kupił je w Łucku. Co za uroczy gest. Prysnęła sobie parę kropli na nadgarstek. Subtelna woń. Nie zanadto niepokalana. *Co?* – spytała w duchu i zaraz powtórzyła na głos: *Co?* Czuła się kompletnie nie na miejscu, niby wirująca kula raptownie zatrzymana lekkim dotknięciem palca. Jakim sposobem wylądowała akurat tu, w tym położeniu? Jak mogło przeminąć tak wiele – tyle chwil, tyle osób i rzeczy, tyle brzytw i poduszek, zegar-

ków i subtelnym trumien - bez udziału jej świadomości? Jakim sposobem życie przeżyło się bez niej?

Odłożyła rozpylacz z powrotem do pudełka, razem z niebieskim papierem welinowym i jasnoniebieską wstążką, po czym weszła do domu. Kołker przewrócił kuchnię do góry nogami. Przyprawy leżały porozrzucane po podłodze. Pocięte sztucze na porysowanych blatach. Szafki wyrwane z zawiasów, brud, potłuczone szkło. Tyle było do zrobienia - tyle zbierania i wyrzucania; po zbieraniu i wyrzucaniu - wyławianie tego, co jeszcze dawało się wyratować; po wyłowieniu tego, co dało się wyratować - czyszczenie; po oczyszczeniu - zmycie wodą z mydlinami; po zmyciu wodą z mydlinami - odkurzenie; po odkurzeniu - jeszcze coś; a po jeszcze czymś - coś jeszcze. Tyle drobnych robótek. Setki milionów. Każdy detal we wszechświecie domagał się, żeby coś z nim zrobić. Opróżniła kawałek podłogi, legła na nim i spróbowała ułożyć w głowie listę.

Było już prawie ciemno, kiedy zbudziło ją ćwierkanie świerszczy. Zapaliła szabasowe świece, śledząc cienie, które padały od nich na jej dłonie, zasłoniła oczy, odmówiła modlitwę i podeszła do łóżka, w którym leżał Kołker. Twarz miał okropnie posiniaczoną i spuchniętą.

*Brod* - powiedział, ale go uciszyła. Przyniosła z piwnicy bryłkę lodu i przyłożyła mu ją do oka, aż stracił czucie w twarzy, a ona w dłoni.

*Kocham cię* - powiedziała. *Naprawdę.*

*Nie, nie kochasz mnie* - odparł.

*Kiedy naprawdę cię kocham* - zapewniła go, dotykając jego włosów.

*Nie. Ale to nic nie szkodzi. Wiem, Brod, że jesteś ode mnie dużo bystrzejsza, a ja nie dorastam ci do pięt. Zawsze czekałem, aż sama na to wpadniesz. Codziennie się tego spodziewałem. Czułem się jak carski dworzanin, który kosztuje potraw przeznaczonych dla władcy i czeka na ten wieczór, kiedy jedzenie wreszcie okaże się zatrute.*

*Przestań* – przerwała mu. *To nieprawda. Wierz mi, kocham cię.*

*To ty przestań.*

*Kiedy ja cię kocham.*

*Już dobrze. Ze mną też wszystko dobrze.* Dotknęła czarnej opuchlizny, otaczającej jego lewe oko. Puch, który ostrze piły wypruło z poduszki, przykleił się do łez na policzkach obojga. *Słuchaj* – powiedział Kołker – *niedługo umrę.*

*Przestań.*

*Oboje o tym wiemy.*

*Przestań.*

*Nie ma co robić uników.*

*Przestań.*

*I zastanawiam się, czy mogłabyś chociaż chwilę poudawać, czy moglibyśmy oboje poudawać, że się kochamy. Póki nie odejdę.*

*Cisza.*

Znowu to poczuła: to samo co tamtej nocy, kiedy go poznała, kiedy stał iluminowany w oknie, kiedy bezwolnie opuściła ręce, tak że po drodze musnęły jej skórę, i zwróciła się twarzą do niego.

*Damy radę* – powiedziała.

Wycięła dziurkę w ścianie, żeby mógł do niej mówić z sąsiedniej sypialni, ze swojego dobrowolnego wygnania, a w drzwi wstawiła klapkę, otwieraną tylko w jedną stronę, i podawała mu przez nią jedzenie. Tak upłynął im ostatni rok małżeństwa. Brod przysunęła łóżko do samej ściany, żeby słyszeć namiętne sprośności, które mamrotał jej mąż, i czuć, jak Kołker kiwa palcem wskazującym, którym jednak w tej pozycji nie mógł jej ani pieścić, ani zranić. W przypiływach odwagi sama wtykała palec w dziurę (jakby kusiła lwa zamkniętego w klatce) i wzywała ukochanego, żeby podszedł do sosnowej grodzi.

*Co robisz?* – szepnęła kiedyś.

*Mówię do ciebie.*

Przyłożył oko do dziury. *Jesteś bardzo piękna.*

*Dziękuję* – odpowiedziała. *Mogę na ciebie popatrzeć?*

Odsunął się od dziury, żeby mogła go przynajmniej częściowo zobaczyć.

*Zechcesz zdjąć koszulę?* – spytała.

*Kiedy nie śmiem.* Ale wybuchnął śmiechem i jednak koszulę zdjął. *A ty mogłabyś zdjąć swoją, żebyś nie czuł się dziwnie, że tu tak stoję?*

*Poczujesz się mniej dziwnie, jeśli zdejmę?* Roześmiała się, ale koszulę zdjęła i odsunęła się na wystarczającą odległość, żeby mógł podejść do otworu i popatrzeć.

*Zdejmiesz i skarpetki?* – zapytała. *I spodnie?*

*A ty zdejmiesz?*

*Ja też nie śmiem* – wyznała i była to prawda, mimo że każde z nich setki, zapewne nawet tysiące razy oglądało

nagie ciało tego drugiego. Nigdy bowiem nie widzieli się z daleka. Nigdy nie zaznali tej najgłębszej intymności, tej bliskości, którą osiągnąć można jedynie z oddalenia. Brod podeszła do dziury i patrzyła na niego przez kilka milczących minut. Potem cofnęła się. Teraz on z kolei podszedł do otworu i przyglądał jej się przez kilka minut wypełnionych ciszą. W milczeniu poznali intymność jeszcze innego rodzaju: poufałość słów, które słyhać, gdy nikt nie mówi.

*Zdejmiesz teraz bieliznę?* – zapytała.

*A ty zdejmiesz?*

*Po tobie.*

*Ale zdejmiesz?*

*Tak.*

*Obiecujesz?*

Zdjęli bieliznę i na zmianę przyglądali się sobie przez dziurę, przejęci nagłą i głęboką radością z wzajemnego odkrywania swoich ciał, a zarazem bólem, który brał się stąd, że nie mogli odkrywać się nawzajem równocześnie.

*Dotknij siebie tak, jakby twoje ręce były moimi* – powiedziała.

*Brod...*

*Proszę.*

Spełnił jej życzenie, chociaż się wstydził, chociaż stał oddalony od otworu o długość ciała. A ona, mimo że widział tylko jej oko – niebieską kulkę wśród czarnego bezmiaru – zrobiła to samo: własnoręcznie przypomniała sobie jego ręce. Przechyliła się do tyłu i prawym palcem wskazującym zaczęła muskać dziurę w sosnowej grodzi,



a lewym zataczać kręgi, naciskając swój największy sekret, który także był dziurą, także przestrzenią ujemną – a kiedy wreszcie można rzecz uznać za dowiedzioną?

*Przyjdiesz do mnie?* – spytała.

*Przyjdę.*

*Tak?*

*Przyjdę.*

Kochali się więc przez dziurę. Troje kochanków przyciskało się do siebie, nigdy całkiem się nie dotykając. Kołker całował ścianę, Brod także ją całowała, ale samolubna ściana ani jemu, ani jej nie oddała pocałunku. Kołker przywierał dłońmi do ściany, a Brod, która odwróciła się tyłem, żeby ułatwić miłości zadanie, przywarła do ściany pośladkami, lecz ściana pozostała obojętna, niczym nie dając poznać, że dostrzega ich starania.

Żyli zatem z dziurą. Z nieobecności, która ją określała, powstała określająca ich dwoje obecność. Życie było małą przestrzenią ujemną, wykrajaną z wiekuistej stałości, i dopiero teraz wydawało się cenne – nie jak wszystkie te słowa, które w końcu nic już nie znaczyły, lecz jak ostatni oddech tonącego.

Nie mogąc zbadać Kołkera, lekarz na odległość stwierdził gruźlicę, choć diagnoza ta była zaledwie czczym domysłem do wpisania w taką czy inną rubrykę. Brod patrzyła przez dziurę w czarnej ścianie, jak jej młody jeszcze mąż więdnie i usycha. Ten silny niczym drzewo mężczyzna, którego w noc śmierci Jankiela iluminowało mgnienie błyskawicy, który wytłumaczył jej, co się dzieje, gdy zaczęła miesiączkować, który wcześniej się

budził i późno wracał do domu, byle tylko zarobić na jej utrzymanie, który nie chciał tknąć jej palcem, lecz aż nazbyt często dawał odczuć siłę swojej pięści, wyglądał na osiemdziesiąt lat. Włosy posiwiały mu koło uszu, a na czubku głowy całkiem wypadły. Na grzbietach przedwcześnie pomarszczonych dłoni wystąpiły pulsujące żyły. Obwisł mu żołądek. Piersi miał teraz większe niż ona, co niewiele mówi o ich rzeczywistym rozmiarze, ale mnóstwo o tym, jak Brod cierpiała na ich widok.

Skłoniła go, żeby po raz drugi zmienić imię, licząc, że tym fortelem zdoła może wywieść w pole Anioła Śmierci, gdy przyjdzie On zabrać Kołkera. (Tego, co nieuniknione, i tak w końcu przecież uniknąć nie sposób.) A nuż uda się wmówić Aniołowi – tak jak przedtem samemu Kołkerowi – że to wcale nie Kołker, tylko całkiem kto inny. Brod nadała mu więc imię Safran, z tęsknotą wspominając szminkowy napis z sufitu ojcowskiej sypialni. (Imiennikiem tego właśnie Safrana stał się potem mój dziadek, pan młody na kłęczkach.) Ale nic to nie pomogło. Stan Szaloma przezwanego Kołkerem, a w końcu Safranem, wciąż się pogarszał, wciąż z dniem każdym mijały całe lata, a rozpacz tak go wycieńczała, że nie miał nawet siły przeciągnąć nadgarstkiem po ostrzu, które tkwiło mu w głowie, i włożyć w to dość energii, żeby skończyć ze sobą.

Wkrótce po tym, jak wygnano ich na dachy, dla Smug z Ardiszt stało się jasne, że niebawem zabraknie im zapalek i nie będą mieli czym zapalać swoich ukochanych papierosów. Zaczęli więc prowadzić rachunki,

stawiając kredą kreski na bocznej ścianie najwyższego komina. Pięćset. Nazajutrz – trzysta. Dzień później – sto. Wydzielali sobie zapalki, wypalali je do samego końca, parząc się w palce, bo od każdej starali się zapalić przynajmniej trzydzieści papierosów. Kiedy zostało im już tylko dwadzieścia zapalek, zapalenie stało się ceremonią. Przy dziesięciu kobiety nie mogły powstrzymać łez. Dziewięć. Osiem. Siódmą niechcący upuścił z dachu przywódca klanu i sam rzucił się w ślad za nią, nie mogąc znieść wstydu. Sześć. Pięć. Nadszedł nieuchronny koniec. Czwartą zapalkę zdmuchnął lekki wietrzyk: było to grube niedopatrzenie ze strony nowego przywódcy klanu, który także runął zaraz potem w objęcia śmierci, choć nie z własnego wyboru. Trzy: *Bez nich umrzemy*. Dwie: *To zbyt bolesne, dłużej już się nie da*. I nagle, w chwili najgłębszej rozpacz, wyłonił się wspaniały pomysł – z dziecięcej główki, skądżeby indziej: trzeba po prostu pilnować, żeby zawsze ktoś palił. Każdego papierosa będzie można odpalić od poprzedniego. Póki pali się choć jeden, żywa jest obietnica następnego. Żarzący się koniuszek popiołu to nasienie ciągłości! Sporządzono grafik: dyżur o świcie, poranne przepalanie, parę machów w porze obiadu, dwie kolejne zmiany wczesnym i średnim popołudniem, kilka sztachnięć o zmierzchu, samotna wachta o północy. Na tle nieba zawsze jarzył się przynajmniej jeden papieros, ogarek nadziei.

Podobnie rzecz miała się z Brod, która wiedziała, że dni Kołkera są policzone, zaczęła więc żałobę na długo przed jego śmiercią. Nosiła porozdzierane czarne szaty

i siadywała tuż przy ziemi, na drewnianym stołeczku. Odmawiała nawet kadysz, i to tak, że Safran słyszał. *To już tylko kwestia tygodni* – myślała. *Dni*. Choć nigdy nie lała łez, nieustannie zawodziła, wstrząsana konwulsyjnymi skurczami. (Z pewnością nie służyły one mojemu prapraprapradziadowi – poczętemu przez dziurę – który ważył w jej brzuchu już osiem miesięcy.) I oto raptem w jednym z chwilowych przejaśnień umysłu Szalom przewany Kołkerem, a później Safranem, zawołał do niej przez ścianę: *Jeszcze tu jestem, wiesz?! Obiecałaś udawać, że mnie kochasz, póki nie umrę, a tymczasem udajesz, że nie żyję.*

*To prawda* – pomyślała Brod. *Łamię obietnicę.*

Nizali więc minuty niby perły na sznurek godzin. Przestali sypiać. Czuwali z policzkami opartymi o sosnową gródź i jak dzieci w szkole podawali sobie przez dziurę karteluski, a na nich sprośności, napowietrzne pocałunki, bluźniercze okrzyki i piosenki.

*Nie płacz, ukochana,  
Nie płacz, ukochana,  
Twoje serce jest przy mnie tuż.  
Suko pierdolona,  
Pizdo niewdzięczna,  
Twoje serce jest przy mnie tuż.  
O, nic się nie bój,  
Jestem blisko, jestem twój,  
Twoje serce jest przy mnie tuż.*

*Wyłupię ci oczy  
I zmiażdżę ten pierdolony łeb,  
Suko, kurwo pierdolona,  
Twoje serce jest przy mnie tuż.*

Ich ostatnie dyskusje (dziewięćdziesiąta ósma, dziewięćdziesiąta dziewiąta i setna) składały się z wzajemnych przysięg – już to w formie sonetów, które Brod czytała z jednej z ulubionych książek Jankiela (czyli z upuszczonego na podłogę skrawka papieru: *Musiłam to zrobić dla siebie*), już to w postaci najobrzydliwszych świntuszeń Szaloma przezwanego Kołkerem, a w końcu Safranem, których jednak nie należało rozumieć dosłownie, bo ich prawdziwy sens zawierał się w alikwotach, słyszalnych jedynie dla jego żony: *Przykro mi, że takie masz życie. Dziękuję, że razem ze mną udajesz.*

*Umierasz* – powiedziała Brod, bo była to prawda, wszystkożerna, przemilczana dotychczas prawda, a ona miała już dość mówienia rzeczy, które prawdą nie były.

*Umieram* – przytaknął.

*Co to za uczucie?*

*Nie wiem* (przez dziurę). *Boję się.*

*Nie musisz się bać* – powiedziała. *Wszystko będzie dobrze.*

*Niby jak ma być wszystko dobrze?*

*Nie będzie bolało.*

*Chyba nie tego się boję.*

*A czego?*

*Tego, że nie będę żył.*

*Nie musisz się bać – powtórzyła.*

Cisza.

Wsunął w dziurę palec wskazujący.

*Muszę ci coś powiedzieć, Brod.*

Co?

*Coś, co chciałem ci powiedzieć, odkąd cię spotkałem, i powinienem był powiedzieć ci dawno temu, ale im dłużej zwlekałem, tym bardziej to wyznanie stawało się niewykonalne. Nie chcę, żebyś mnie znienawidziła.*

*Nie mogłabym cię znienawidzić – odparła, biorąc go za palec.*

*Wszystko wyszło zupełnie na opak. Nie tak chciałem. Musisz to wiedzieć.*

*Csss... csss...*

*Winien ci jestem dużo więcej.*

*Nic nie jesteś mi winien. Csss...*

*Zły ze mnie człowiek.*

*Dobry z ciebie człowiek.*

*Coś ci muszę powiedzieć.*

*Dobrze, dobrze.*

*Przycisnął usta do dziury. Jankiel nie był twoim prawdziwym ojcem.*

Minuty zerwały się ze sznurka. Upadły na podłogę i przeturlały się przez cały dom, gubiąc się po kątach.

*Kocham cię – rzekła Brod i po raz pierwszy w całym jej życiu słowa te coś znaczyły.*

Gdy minęło jeszcze osiemnaście dni, dziecko – które przyciskało ucho do jej pępka i wszystko słyszało – urodziło się. Wyczerpana porodem, nareszcie zasnęła.

Zaledwie kilka minut później, a może akurat w momencie narodzin (cały dom tak pochłonięty był nowym życiem, że nikt nie zauważył nowej śmierci), Szalom przezwany Kołkerem, a w końcu Safranem, zmarł, ani na chwilę nie ujrawszy swojego trzeciego potomka. Brod żałowała potem, że nie wiedziała dokładnie, kiedy odszedł jej mąż. Gdyby stało się to przed narodzeniem dziecka, nazwałaby je Szalom, Kołker albo Safran. Ale żydowski obyczaj zabraniał dać dziecku imię żyjącego krewniaka. Podobno ściągało to nieszczęście. Nazwała więc małego Jankielem, podobnie jak dwóch starszych synów.

Wycięła ze ściany dziurę, która przez ostatnie miesiące odgradzała ją od Kołkera, i zawiesiła sobie sosnowe kółko na szyi – obok koralika z liczydeł, otrzymanego tak dawno temu od Jankiela. Ten nowy koral miał jej przypominać o drugim z kolei mężczyźnie, utraconym w ciągu osiemnastu lat życia, i o dziurze, która – jak się właśnie dowiadywała – nie jest w życiu wyjątkiem, lecz regułą. Dziura nie jest próżnią; próżnia istnieje wokół dziury.

Ludzie z młyna strasznie chcieli zrobić dla Brod coś miłego – coś, za co pokochałyby ich tak, jak oni ją kochali – zorganizowali więc składkę, żeby pobrązowić ciało Kołkera, i zwrócili się do rady okręgu z petycją, aby powstały tym sposobem posąg mógł stanąć na środku rynku jako symbol siły i czujności, który – ponieważ ostrze piły zachowywało idealny pion – pozwalałby także w przybliżeniu określać czas według słońca.

Wkrótce jednak posąg zaczął symbolizować nie tyle siłę i czujność, ile potęgę przypadku. Bo przecież właśnie nie przypadek podarował Kołkerowi w Dniu Trachima worek złota i również przypadek zaprowadził go do Brod, kiedy Jankiel ją opuścił. Przypadek wbił mu w głowę ostrze piły, przypadek sprawił, że utkwilo w niej na stałe, i tenże przypadek kazał mu odejść akurat w chwili, gdy rodziło się jego dziecko.

Mężczyźni i kobiety przybywali z odległych sztetli, żeby potrzeć dłonią czubek jego nosa, toteż w ciągu zaledwie miesiąca obtarli mu go do gołej skóry, trzeba więc było nos powtórnie ubrać. Przed oblicze posągu przynoszono niemowlęta – zawsze w południe, kiedy w ogóle nie rzucał cienia – dla ochrony przed piorunami, złym okiem i zbłąkanymi kulami partyzantów. Starcy powierzali mu swoje sekrety, w nadziei, że może go rozbawią, a on zlituje się i podaruje im jeszcze kilka lat. Niezamężne kobiety całowały go w usta, modląc się o miłość, i tyle w sumie naskładały całusów, że jego wargi zakłęśły w kształt negatywu pocałunków i też wymagały pobrązowienia. Tyłu przybyszów nadciągało, aby pocierać rozmaite części posągu gwoli ziszczenia najrozmaitszych życzeń, że całe jego ciało co miesiąc powlekać musiano świeżą warstwą brązu. Był bogiem zmiennym, niszczone i na nowo stwarzanym przez własnych wyznawców, niszczone i na nowo stwarzanym ich wiarą.

Przy każdej renowacji nieznacznie zmieniał wymiary. Ręce, które początkowo luźno zwisały, centymetr po centymetrze wędrowały w górę, aż wreszcie wzniosły się



wysoko nad głowę. Rachityczne przedramiona z ostatnich dni jego życia pogrubiały, nabierając męskiej tężyzny. Twarz, po wielokroć szlifowana mnóstwem błagających dłoni i tyleż razy odtwarzana tylomaż innymi rękami, w ogóle nie przypominała już tego boga, do którego modliła się garstka pierwszych wyznawców. Przy każdym kolejnym modelowaniu rzemieślnicy nadawali Zegarowi oblicze, wzorowane na twarzach jego męskich potomków, było to więc zjawisko dziedziczności wstecznej. (Gdy zatem mojemu dziadkowi zdawało się, że dostrzeżę w sobie rosnące podobieństwo do swojego praprapradziadka, w rzeczywistości widział tylko, że to praprapradziadek coraz bardziej upodabnia się do prapraprawnuka. Całe objawienie polegało więc na tym, że zobaczył, jak bardzo podobny jest do siebie.) Rozmodleni coraz mniej wierzyli w boga, którego sami stworzyli, coraz więcej zaś we własną wiarę. Całując zmalretowane usta Zegara, niezamężne kobiety nie bogu dochowywały wierności, lecz pocałunkowi: każda z nich siebie samą całowała. A gdy młodzi żonkosie klękali, nie w boga wierzyli, tylko w klęknięcie; i nie w zaśniedziałe kolana boskiego posągu, a we własne sińce na kolanach.

Mój młody dziadek ukląkł więc – jako absolutnie niepowtarzalne ogniwo w absolutnie jednorodnym łańcuchu – prawie sto pięćdziesiąt lat po tym, jak jego prapraprababka Brod ujrzała w oknie iluminowanego Kołkera. Prawą ręką – tą sprawną – wyjął spod kłapy majteczną chusteczkę i otarł pot z czoła, a później znalazł górnej wargi.

*Praprapradziadku – westchnął – nie daj mi zmienawidzić tego, kim się stanę.*

Kiedy poczuł, że gotów jest na dalszy ciąg – ceremonii, popołudnia, życia – wstał z klęczek, a wtedy znów rozbrzmiały radosne okrzyki mężczyzn ze sztetla.

*Hura! Pan młody!*

*Joidle-doidle!*

*Do synagogi!*

Wzięli go na ramiona i ponieśli ulicami. Z wysokich okien zwisały długie białe proporce, a brukowce obsypane były – ach, gdyby tylko wiedziały! – mąką. Od czoła pochodu wciąż dobiegały dźwięki skrzypiec, które teraz dla odmiany grały szybsze, klezmerskie melodie, a mężczyźni w ich takt śpiewali chórem:

*Bidl bidl bidl bidl*

*Bop*

*bidl bop...*

Mój dziadek i jego narzeczoną byli z Rozlazłych, toteż ceremonia pod chupą trwała bardzo krótko. Rabin Nieszkodliwy odprawił ceremoniał siedmiu błogosławieństw, a w stosownej chwili mój dziadek podniósł welon swojej świeżo poślubionej żony – która puściła do niego szybkie, pokaźne oko, gdy rabin odwrócił się twarzą w stronę arki – po czym stłukł kryształowy, a tak naprawdę szklany kielich, wzięwszy go pod obcas.

17 listopad 1997

*Drogi Jonathan!*

*Hmm. Czuję, jakbym miał tylu ci rzeczy do powiadomienia. Począć jest bardzo sztywno, tak? No to pocznę od mniej sztywnej sprawy, czyli od pisania. Nie postrzegłem, czy mój ostatni oddział cię zasycił. Nie całkiem rozumiem, dokąd właściwie cię wzruszył? Cieszę się, że dobrym humorem przyprawiła cię ta partia, co ją wynalazłem, że niby skomenderowałem ci wypijać kawę, aż uwidzę w kubku własną twarz, a ty na to, że przecież to gliniany kubek. Jestem bardzo rozśmieszony persona, uważam, chociaż Igorek zatwierdza, że tylko wyglądam rozśmiesznie. Moje inne wynalazki też były pierwszorzędne, tak? Pytam, bo nic o nich nie wypowiedziałeś w swoim liście. Ach, tak, oczywiście konsumuję ropuchę za ten oddział, co go wynalazłem, ten ze słowem sprokurować, że niby nie wiedziałeś, co ono markuje. Pozostał usunięty, jak również moja efronteria. Nawet Alf nie zawsze jest humoryczny. Siliłem się przedstawić cię jako mniej bezpokojnego personę, tak jak mi już wielukrotnie komenderowałeś. Jednakowszem trudno to osiągnąć, bo prawdę zarzekłszy, jesteś persona bardzo bezpokojny. Może tyś powinien być użytkownik narkotków.*

*Obnośnie twojej fabuły, powiem ci, że początkowo byłem persona bardzo stropiony. Kto to ten nowy Safran, i Zegar, i kto właściwie pobiera ślub? Pierwotnie sądziłem, że to Brod i Kołker się ślubią, ale kiedy się dowiedziałem, że nie oni, pomyślałem: Po czemu ich historia nie kontynuowała? Z radością się dowiesz, że ciągnąłem czytać coraz dalej, chociaż mnie podkuszalo, żeby cisnąć twoje pisanie w śmieci, no i w końcu uczyniła się totalna iluminacja. Bardzo się cieszę, że wróciłeś się do Brod i Kołkera, chociaż nie cieszę się, że Kołker stał się tym personą, którym się stał z powodu piły (nie sądzam, że były już wtedy piły takich sortów, ale ufam, że masz jakiś dobry cel dla swojej ignorancji), chociaż się cieszę, że podotali odkryć jakiś sort miłości, chociaż się nie cieszę po temu, że to wcale nie była prawidłna miłość, co? Wiele można by się nauczyć z małżeństwa Brod i Kołkera. Nie wiem, czego właściwie, ale na pewno czegoś w związku z miłością. Aha, po czemu określasz go „Kołker”, a nie „Kołak”? Podobnie jak określasz „na Ukrainie” zamiast „w Ukrainie”, co dla mnie też nic a nic się kupy nie czepia.*

*Jeśli mogę wypowiedzieć propozycję, proszę, dozwól Brod być szczęśliwą. Proszę. Czy to taka niemożliwa rzecz? A nuż Brod mogłaby wciąż istnieć i być poblisko z twoim dziadkiem Safranem. Albo otóż i majestatyczny pomysł: może Brod mogłaby być Augustyna. Pojmujesz, co mam na pomysłeniu? Musiałbyś bardzo mocno przedzierzgnąć swoją fabułę, no i Brod oczewidno byłaby strasznie postarzała, ale mogło czyby to być cudownie w tej manierze?*

*Poprzez to, co w swoim liście napisałeś o swojej babce, wspominałem, co mi opowiedziałeś na stopniach u Augustyny,*

*jak to siadywałaś u niej pod sukienką i że to ci darowało bezpieczeństwo i spokój. Muszę zeznać, że bardzo się wtedy uczyniłem melancholiczny i wciąż jeszcze taki jestem. Byłem też mocno bardzo ruszony - tak się to mówi? - tym, co napisałeś, jak niemożliwie musiało się wydać twojej babce być matką bezmężną. Zdumiewające, prawda, że twój dziadek tyle przetrwał, ale przetrwał tylko po to, żeby umrzeć, kiedy przyszedł w Amerykę? Całkiem jakby po tyle przetrwaniu już nie miał żaden powód dalej trwać. Kiedy napisałeś o wczesnej śmierci swojego dziadka, pomogło mi to zrozumieć - przynajmniej w pewnych manierach - tą melancholię, którą Dziadek odczuwa, odkąd Babka zmarła, i to wcale nie tylko po temu, że oboje umarli na raka. Oczywiście nie znam twojej matki, ale znam ciebie i mogę ci powiedzieć, że twój dziadek byłby taki, taki dumny. Nadziewam się, że i ja będę personą, z którego Babka byłaby taka, taka dumna.*

*A teraz, obnośnie powiadomienia twojej babce o twojej wozjaży, nie ma kwestii, że musisz to zrobić, choćby miało ją to spowodować do rozplączy. Prawdę zarzekłszy, wiedzieć któreś ze swoich dziadków, jak rozplącza, jest rzecz anormalna. Opowiedziałem ci, jak uświadczyłem Dziadka, kiedy rozplączał, i błagalnie sobie obiecuję, że zanigdy więcej nie jestem spragniony uświadczyć go, jak rozplącza. Jeśli to znaczy, że muszę robić dla niego różne rzeczy, żeby nie rozplączał, no to będę je robił. Jeśli to znaczy, że muszę nie widokować, kiedy on rozplącza, no to nie będę widokował. Ty ode mnie mocno bardzo się odróżniasz w tej manierce. Posądzam, że jednakowszem potrzeba ci uświadczyć, jak twoja babka rozplącza, a jeśli to znaczy, że musisz zrobić coś, żeby ją rozplączyć, to zrób to, i jeśli to znaczy, że musisz widokować, jak ona rozplącza, no to widokowuj.*

*Twoja babka znajdzie jakąś manierę, żeby się ukontentować tym, co robiłeś w Ukrainie. Na pewno ci wybaczy, jeżeli jej powiadomisz. Ale jeżeli nigdy jej nie powiadomisz, nigdy nie będzie mogła ci wybaczyć. A przecież tego jesteś spragniony, tak? Żeby ci wybaczyła? Czy nie po temu właśnie to wszystko zrobiłeś? Jedna partia twojego listu straciła mnie w głęboką melancholię. Mówię o tej partii, kiedy piszesz, że nikogo nie znasz, i wklucasz w to siebie samego. Rozumiem bardzo, co poprzez to mówisz. Pamiętasz ten oddział, w którym napisałem, jak to Dziadek zatwierdzał, że wyglądam jak skrzyżowanie Ojca, Matki, Breźniewa i samego siebie? Sililem się pamiętać to, podówczas gdy czytałem, co napisałeś. (Poprzez to nasze pisanie przypamiętujemy sobie nawzajemno o różnych rzeczach. Czynimy jedną fabułę, tak?) Muszę ci teraz coś powiadomić. To jest coś, co zanigdy nikomu nie powiadomiłem, a ty musisz obiezczać, że nie powiadomisz tego ani duszy. Jeszcze nigdy nie ucieleśniłem się z dziewczyną. Wiem. Wiem. Nie potrafiasz w to uwierzyć, ale wszystkie te fabuły, które ci opowiadałem, że niby moje dziewczyny przeżywają mnie Cała Noc, Dzidzi i Waluta, to wszystko były bezprawdy, i to na dodatek niestosowne bezprawdy. Wytwarzam je chyba po temu, że czuję się wtedy jak persona prima sort. Ojciec bardzo często pyta mnie o dziewczyny, na ów przykład pyta mnie, z którymi się ucieleśniam i w jakich mianowicie aranżacjach ucieleśniam się z nimi. Lubi ze mną się z tego śmiać, zwłaszcza późno w nocy, kiedy jest pełen wódki. Wiem, że rozzarowałoby go bardzo mocno, gdyby wiedział, jaki zaprawdę jestem.*

*Ale co najwięcej bezprawd to wytwarzam dla Igora. Jestem spragniony, żeby się czuł, jakoby miał stylowego brata,*

którego życie pewnego dnia pragnąłby personalnie inscenizować. Chcę, żeby Igorek mógł chętnie się swoim bratem poprzeć przyjaciółmi i żeby chciał być widokowany wraz z nim w miejscach publicznych. Pewnie dlatego tak bardzo rozkoszuję się pisać dla ciebie. Mogę podziękować temu być wcale nie taki, jaki jestem, tylko jaki pragnę, żeby Igorek mnie widział. Mogę być rozśmieszony, bo mam czas pomedytować nad tym, jak być rozśmieszony, i mogę reperować własne pomyłki, ilokrotnie ich dokonuję, i mogę być osobą melancholiczną w takiej manierze, żeby to było interesne, a nie zaledwie melancholiczne. Kiedy piszemy, zawsze mamy szansę spróbować jeszcze raz. Tego pierwszego wieczora naszej podróży wzmiankowałeś mi, jakobyś posądzał, że może być urodziłeś się na pisarza. Co za straszna rzecz, moim zdaniem. Ale muszę ci powiedzieć, ty chyba nie rozumiesz cały sens tego, co powiedziałeś, kiedy to powiedziałeś. Sugerowałeś, że lubisz pisać i że interesne jest tobie zwyobrażanie światów nie całkiem takich jak ten tutaj albo światów całkiem takich jak ten tutaj. Owszem, zapewne napiszesz dużo więcej książek ode mnie, ale to ja, a nie ty, urodziłem się na pisarza.

Dziadek przestuchuje mnie o tobie codziennie. Spragniony jest wiedzieć, czy wybaczasz mu za to, co ci powiedział o wojnie i o Herszlu. (Mógłbyś to przeinaczyć, Jonathan. Dla niego, a nie dla mnie. Twoja powieść graniczy teraz z wojną. Jeszcze możesz.) On nie jest zły persona. On jest dobry persona, co żyje w złym czasie. Pamiętasz, kiedy to powiedział? Taki się robi melancholiczny, jak wspomina własne życie. Prawie co noc odkrywam go, jak rozplacza, ale muszę pozorować, że spoczywam. Igorek też go odkrywa na tym, że Dziadek rozplacza,

zarównieŹ jak i Ojciec, a chociaŹ Ojciec zanigdy by mi tego nie powiadomił, jestem pewien, Źe robi się melancholiczny, kiedy widokuje rozplacz własnago Ojca.

Wszystko jest, jakie jest, bo wszystko było, jak było. Czasem czuję się usidlony w tym wszystkim, Źe niby obojętne, co zrobię, bo to, co nadejdzie, tak a tak jest juŹ ustalone. Dla mnie to nawet i OK, ale sã rzeczy, które chcę dla Igorka. Tyle dokooła niego jest gwałtu, i to nie tylko ten sort, co się przydarza za przemocã pięści. Nie chcę, Źeby jeszcze kiedyśkolwiek odczuł gwałt, ale teŹ nie chcę, Źeby kiedyś innym ludziom gwałt odczuć zadawał.

Ojca nigdy nie ma w domu, bo jakby był, toby musiał widokować, jak Dziadek rozplacza. Tak przynajmniej interpretuję. „Brzuch go boli” – powiedział mi w zeszłym tygodniu, kiedy usłyszał Dziadka z komnaty telewizyjnej. „Brzuch”. Ale ja rozumiem, Źe to nie Źaden brzuch, i Ojciec teŹ rozumie. (Właśnie po temu wybaczam Ojcu. Nie kocham go. Nienawidzam go. Ale za wszystko mu wybaczam.) Papuguję: Dziadek nie jest zły persona, Jonathan. KaŹdy dokonuje złe czyny. Ja je dokonuję. Ojciec je dokonuje. Nawet ty je dokonujesz. Zły persona to ktoś, kto nie ubolewia ponad swoje złe czyny. Dziadek teraz właśnie poprzez to umiera. Błagam cię, wybacz nam, i działaj nas lepszych, niŹ jesteŹmy. Zdziałaj nas dobrych.

Niewinnie,  
Aleksandr



„JON-FEN” - powiedziałem - „Jon-fen, powstań! Patrz, kogo tu mam!” „Ee?” „Patrz” - wyrzekłem, pokazując na Augustynę. „Jak długo spałem? - zapytał. - Gdzie jesteśmy?” „W Trachimbrodzie! Jesteśmy w Trachimbrodzie!” Strasznie byłem dumny. „Dziadku” - wymówiłem, poruszając Dziadka z wielkim gwałtem. „Co?” „Patrz, Dziadku! Patrz, kogo znaszłem!” Sunął sobie dłońmi po oczach. „Augustyna?” - zapytał i wydał się, jakby nie był pewien, czy wciąż jeszcze jest we snach. „Sammy Davis, Junior, Junior! - powiedziałem, roztrzásając nią. - Jesteśmy na miejscu!” „Co to za ludzie?” - spytała Augustyna, z wytrwałością rozpłaczając. Osuszyła łzy sukienką, czyli musiała ją dźwignąć dosyć, żeby pokazać nogi. Ale nie było ją wstyd. „Augustyna?” - zagadnął gieroj. „Zagnieździjmy się - powiedziałem - to wszystko iluminujemy”. Gieroj i suka usunęli się z auta. Nie byłem pewien, czy Dziadek też przyjdzie, ale przyszedł. „Jesteście głodni?” - spytała Augustyna. Gieroj musiał widać pomału nabyć trochę ukraińskiego, bo położył sobie rękę na brzuch. Ruszyłem głową na znak,

że owszem, nieskolcy z nas bardzo są głodni ludzie. „Chodźcie” – powiedziała Augustyna, a ja wyszedłem, że wcale już nie jest melancholiczna, tylko szczęśliwa bez żadnych zahamulców. Wzięła mnie za rękę. „Chodźcie do środka. Przyrządę obiad i zjemy”. Po drzewiennych stopniach, na których się gnieździła, kiedy ją uświadczyłem po pierwszy raz, weszliśmy w jej dom. Sammy Davis Junior, Junior mitrężyła się na dworze, obwąszając ubrania, co leżały na ziemi.

Po pierwsze muszę opisać, że Augustyna miała bardzo niezwykły chód, który szedł stąd tam z wielkim ociężałem. Nie mogła iść ani szybciej niż pomału. Wydawała się, jakby miała nogę, co była towar uszkodzony. (Gdybyśmy wtedy wiedzieli, Jonathan, czy i tak byśmy weszli?) Po drugie muszę opisać jej dom. Nie był podobny na żaden dom, jaki wcześniej widziałem, i chyba bym go w ogóle nie przezwał domem. Jeśli chcesz znać, jak bym go przezwał, otóż przezwałbym go dwie komnaty. W jednej komnacie było łóżko, biurczko, sekretarzyk i mnóstwo rzeczy od podłogi aż po sufit, wkluczając stosy, na których leżało jeszcze więcej ubrań i setki butów w różnych rozmiarach i fasonach. Ściany to aż nie widziałem, tylu na niej wisiało fotografii. Wyglądały, jakby pochodziły z wielu różnych rodzin, chociaż rozpoznałem, że kilkoro ludzi było na więcej niż paru. Całe to mnóstwo ubrań, butów i zdjęć kaziło mi rozumować, że w tej komnacie musi mieszkać przynajmniej sto ludzi. Druga komnata też była bardzo ludna. Stało tam wielu pudeł, z których przelewała się różna

różnorodność. Na bokach pudeł coś było napisane. Biała tkanina przepelniała się z pudła napisanego WESELA I INNE UROCZYŚCIE. Pudełko z marką PRYWATNE: DZIENNIKI/PAMIĘTNIKI/SZKICOWNIKI/BIELIZNA, było takie przeładowne, że wyglądało, jakby sposobem się dostać przepukliny. Na innym pisało SREBRO/WONNOŚCI/ WIATRACZKI, na jeszcze innym ZEGAR/OKULARY, na jeszcze innym HIGIENA/SZPULKI/ŚWIECE, a na jeszcze inniejszym FIGURKI/OKULARY. Gdybym był persona roztropny, utrwaliłbym wszystkie te imiona na kawałku papieru, tak jak uczynił w swoim dzienniku gieroj, ale nie byłem roztropny persona, więc od tamtych pór wielu z nich zapomniałem. Nieskończonych imion nie mogłem wyrozumieć, na ów przykład pudełka z napisem CIEMNOŚĆ albo tego z literami ołówkiem ŚMIERĆ PIERWORODNEJ od frontu. Zauważyłem, że na szczycie jednego z tych pudłanych drapaczów chmur stoi pudło z napisem PYŁ.

W komnacie był malutki piecyk, półka z warzywami i kartoflami oraz drzewienny stół. I właśnie u tego drzewianego stołu zasiedliśmy. Trudno było usunąć krzesła, bo brakowało dla nich miejsca pomiędzy tych wszystkich pudeł. „Pozwólcie, że ugotuję wam drobną przekąskę” – powiedziała kobieta, dyrygując wszystkie swoje słowa i spojrzenia w moją stronę. „Proszę się nie usilać” – odparł Dziadek. „Drobiazg – wyrzekła ona – ale muszę wam się wyznać, że posiadam niewiele waluty i dlatego wcale nie mam w domu mięsa”. Dziadek spojrział na mnie i zamknął jedno oko. „Lubicie kartofle z kapustą?”

- spytała. „Doskonała rzecz” - zatwierdził Dziadek. Uśmiechał się bardzo i nie skłamię, jeśli powiem, że nigdy przy mnie tak bardzo się nie uśmiechał, odkąd Babka jeszcze żyła. Zobaczyłem, że jak Augustyna zwyobrażała się, żeby wydzwignąć kapustę z drzewiennej skrzynki, co stała na podłodze, to Dziadek zaaranżował sobie włosie grzebieniem z kieszeni.

„Powiedz jej, jak bardzo się cieszę, że ją spotkałem” - wyrzekł gieroj. „Wszyscy bardzo się cieszymy, że panią spotkaliśmy - powiedziałem i przez wypadek bębnałem łokciem pudełko POSZEWKI. - Nie podołałaby pani zrozumieć, jak długo za panią szukaliśmy”. Rozpaliła ogień na piecu i zaczęła gotować jedzenie. „Poproś, niech nam wszystko opowie - powiedział gieroj. - Chcę posłuchać, jak spotkała mojego dziadka i czemu postanowiła go uratować, i co się stało z jej rodziną, i czy kiedykolwiek po wojnie rozmawiała jeszcze z moim dziadkiem. Dowiedz się - powiedział cicho, jakby myślał, że ona może zrozumieć - czy byli w sobie zakochani”. „Powolności” - rzekłem, bo nie chciałem, żeby Augustyna zrobiła w portki. „Bardzo pani łaskawa - powiedział do niej Dziadek - że zechciała pani przyjąć nas u siebie i zgotować nam jedzenie. Bardzo pani jest dla nas dobra”. „Wy jesteście lepsi” - odparła, a potem dokonała rzecz, która mnie zaskoczyła. Spojrzała na swoją twarz w odbiciu okna ponad piecem, bo chyba pragnęła zobaczyć, jak wygląda. To tylko moja interpretacja, ale jestem pewien, że trafiona.

Sledziliśmy ją wzrokami, jakby cały świat i jego przyszłość od niej zawisał. Kiedy krajała kapustę na kawa-

lątka, gieroj kręcił głową stąd tam razem z nożem. Kiedy włożyła tych kawałek do rondla, Dziadek uśmiechnął się i jedną ręką wziął się za drugą rękę. Co się odnosi mnie, prosto nie mogłem oczu od niej oderwać. Miała cienkie palce i wydatne kości. Jej włosie, jak już wzmiankowałem, było białe i długie. Końcami włóczyło się po podłodze, nabierając na siebie pyłu i brudu. Sztywno było zegzaminować jej oczy, bo miała ich tak głęboko cofniętych w twarz, ale kiedy patrzyła na mnie, to widziałem, że są niebieskie i przepyszne. To właśnie jej oczy dały mi do zrozumienia, że jest ona bez kwestii Augustyną ze zdjęcia. I byłem pewien, patrząc w jej oczy, że uratowała dziadka gieroja i pewnie jeszcze wielu innych. Zwyobrażałem sobie u siebie w mózgu wszystkie dni, które dziewczynę ze zdjęcia łączyły do tej kobiety, co była z nami w komnacie. Każdy dzień był jak jeszcze jedna fotografia. Jej życie stwarzało księgę fotografii. Jedną fotografię miała z dziadkiem gieroja, a teraz inną z nami.

Kiedy po wielu minutach gotowania jedzenie było usposobione, przetransportowała je na stół talerzami, po talerzu dla każdego z nas i ani talerza dla siebie. Jeden kartofel zstąpił na podłogę, BĘC, co nas rozśmiało z powodów, których pisarz subtelny iluminować nie musi. Ale Augustyna się nie rozśmiała. Musiała być bardzo zewstydzona, bo ukrywała twarz poprzez długo, zanim znów mogła na nas spojrzeć. „Dobrze się pani czuje?” – spytał Dziadek. Nie odpowiedziała. „Dobrze się pani czuje?” I nagle wróciła się do nas. „Na pewno jesteście bardzo sfatygowani po tej całej wojaży” – po-

wiedziała. „Tak” – zeznał Dziadek i zwyobraził głowę, jakby zaambarasowany, ale nie wiem, co by go niby miało ambarasować. „Mogłabym pójść na targ i pokupić coś zimne do picia – powiedziała – jeżeli lubicie colę albo coś”. „Nie – odparł Dziadek z pospiesznością, jakby się bał, że ona opuści nas i nigdy się nie powróci. – Nie potrzeba. Taka jest pani wielkoduszna. Proszę sięść”. Usunął od stołu jedno drzewienne krzesło i przez wypadek lekko bębnał w pudło z napisem MENORY/ATRAMENT/KLUCZE. „Dziękuję” – powiedziała Augustyna i spuściła głowę. „Jest pani bardzo piękna” – zeznał Dziadek, a ja nie oczekiwałem go, że tak powie, i on sam też chyba się nie oczekiwał. Poprzez chwilę władała cisza. „Dziękuję” – przywodziła Augustyna i zdjęła z niego oczy. „To wy jesteście wielkoduszni”. „Ale pani jest piękna” – przywodził. „Nie – odparła. – Nie, nie jestem”. „Dla mnie jest pani piękna” – wyrzekłem i chociaż nie oczekiwałem się, że tak powiem, nie ubolewiam, że tak powiedziałem. Była bardzo piękna, jak ktoś, kogo nigdy nie spotkasz, ale wciąż marzysz, żeby spotkać, jak ktoś, kto jest dla ciebie za dobry. Postrzegalem, że jest też bardzo nieśmiała. Sztwno jej było widokować na nas, a ręce przechowywała w kieszeniach sukienki. Powiem ci, że ilokrotnie raczyła nas wzrokiem, to nigdy nas, tylko zawsze mnie.

„O czym rozmawiacie? – spytał gieroj. – Czy ona wspomniała coś o moim dziadku?” „On nie mówi po ukraiński?” – spytała Augustyna. „Nie” – odparłem. „A skąd jest?” „Z Ameryki”. „Czy to w Polsce?” Nie mogłem uwierzyć, że zaprawdę nic nie wie o Ameryce,

i muszę zeznać, że poprzez to jeszcze mi wypiękniała. „Nie, to daleko. Przyleciał samolotem”. „Czym?” „Samolotem - przywtórzyłem. - Po niebie”. Sunąłem ręką w powietrzu, jakby moja ręka był samolot, i przez wypadek lekko bębnałem w pudełko z napisem PLOMBY. Ustami zrobiłem dźwięk samolotu. To ją zbezpiekowało. „Już dosyć” - powiedziała. „Co?” „Proszę” - powiedziała. „Jeszcze z wojny?” - spytał Dziadek. Nie wyrzekła nic a nic. „Przyjechał do pani - objaśniłem. - Przyleciał z Ameryki, żeby panią zobaczyć”. „A ja myślałam, że to wy - powiedziała do mnie. - Myślałam, że to wy jesteście ten”. To mnie rozśmiało i Dziadka też. „Nie - odparłem. - To on. - Umieściłem dłoń na głowie gieroja. - To on przeprawił się poprzez świat, żeby panią znaleźć”. Z powrotem ją to rozplączyło, chociaż wcale nie miałem zamiaru jej rozplącać, ale muszę zeznać, że ta rozplącz wydawała się stosowna. „Przyjechaliście specjalnie dla mnie?” - spytała gieroja. „Ona pyta, czy przyjechałeś specjalnie dla niej”. „Tak - powiedział gieroj. - Powiedz jej, że tak”. „Tak - powiedziałem. - To wszystko dla pani”. „Czemu?” - spytała. „Czemu?” - spytałem gieroja. „Bo gdyby nie ona, nie byłbym tutaj, żeby ją znaleźć. Tylko dzięki niej całe to poszukiwanie było w ogóle możliwe”. „Po temu, że pani go stworzyła - przetłumaczyłem. - Uratowała pani jego dziadka i dzięki temu on sam mógł się urodzić”. Jej oddechy się ukróciły. „Chciałbym jej coś dać - powiedział gieroj. Wydźwignął z wombata kopertę. - Powiedz jej, że w środku są pieniądze. Wiem, że to za mało. Każda suma byłaby za mało. To po prostu trochę pieniędzy od moich rodziców, żeby jej

ulżyć w życiu. Daj jej”. Zabezpieczyłem kopertę. Była przepelna. Musiało w niej tkwić wielu tysięcy dolarów. „Augustyno – wyrzekł Dziadek. – Zechciałaby pani wrócić się z nami? W Odesse?” Nie odpowiedziała. „Moglibyśmy się panią zaopiekować. Ma pani tu rodzinę? Pani krewni też mogliby u nas zamieszkać. Nie można tak żyć – dodał, pokazując na dokoolny chaos. – Z nami zacznie pani nowe życie”. Przywodziłem gieroju, co Dziadek powiedział Augustynie. Widziałem, że oczymu wyzbierają łzami. „Augustyno – powiedział – możemy panią wyratować z tego wszystka”. Znowu pokazał na jej dom i na wszystkie pudełka: WŁOSY/LUSTERKA RĘCZNE, WIERSZE/GWOŹDZIE/RYBY, SZACHY/RELIKWIE/CZARNA MAGIA, GWIAZDY/POZYTYWKI, SEN/SEN/SEN, POŃCZOCHY/PUCHARY DO KIDUSZU, KREW W WODĘ.

„Kto to taki Augustyna?” – spytała.

„Że co?” – zagadnąłem. „Kto to taki Augustyna?” „Co ona mówi?” „Zdjęcie – wyrzekł do mnie Dziadek. – Nie wiemy, co jest napisane na odwrociu. Może to wcale nie jej imię”. Znowu eksponowałem jej fotografię. I znowu się rozplączyła. „To pani – powiedział Dziadek, kładąc palec pod jej twarz na zdjęciu. – Tu. Ta dziewczyna to pani”. Augustyna poruszyła głowę, żeby powiedzieć: Nie, to nie ja, ja to nie ona. „To bardzo postarzałe zdjęcie – wyrzekł do mnie Dziadek – a ona już zapomniała”. Ale ja już zatwierdziłem w swoim sercu coś, czego Dziadek nie chciał dopuścić. Przywróciłem walutę wspak gieroju. „Zna pani tego człowieka” – powiedział Dziadek



wcale bez pytania, kładąc palec na dziadku gieroja. „Tak – zeznała. – To jest Safran”. „Tak – powiedział Dziadek, patrząc na mnie, a potem na nią. – Tak. I on tu jest z panią”. „Nie – odparła. – Tych pozostałych ludzi nie znam. Oni nie są z Trachimbrodu”. „Pani go uratowała”. „Nie – odparła. – Nie uratowałam”. „Augustyno?” – spytał Dziadek. „Nie” – powiedziała i odprawiła się od stołu. „Pani go uratowała” – uporał się Dziadek. Położyła sobie ręce na twarz. „Ona nie jest Augustyna” – obznajmiłem gieroju. „Co?” „Ona nie jest Augustyna”. „Nie rozumiem”. „Tak” – powiedział Dziadek. „Nie” – powiedziała ona. „Ona nie jest Augustyna – przywodziłem gieroju. – Myślałem, że jest, ale jednak nie jest”. „Augustyno – powiedział Dziadek, lecz ona była w drugiej komnacie. – Jest onieśmiała – zatwierdził Dziadek. – Bardzo ją zaskoczyliśmy”. „Może powinniśmy stąd wymarszować” – powiedziałem. „Nigdzie nie idziemy. Musimy pomóc jej wspomnieć. Wiele osób po wojnie tak sztywno stara się zapomnieć wszystko, że potem już zaprawdę nic nie pamiętają”. „To nie jest ta sytuacja” – wyrzekłem. „Co wy mówicie?” – spytał gieroj. „Dziadek posądza, że ona jest Augustyna” – przetłumaczyłem mu. „Chociaż ona sama mówi, że nie jest?” „No właśnie – przytaknąłem. – On zachowia się nieroztropnie”.

Z drugiej komnaty powróciła się z pudełkiem, na którym napisane były SZCZĄTKI. Postawiła je na stół i wyważyła wierzch. Pudełko było przepelne fotografii, kawałków papieru, wstążek, szmat i dziwności, jak grzebienie, pierścionki i kwiaty już spapierzałe. Usuwała

każdy detal, jeden na raz, i każdy eksponowała każdemu z nas po kolei, chociaż powiem, że dalej wydawała się, jakby tylko mnie poświęcała uwagę. „To jest zdjęcie Barucha przed starą biblioteką. Przesiadywał tam po całych dniach, a wyobraźcie sobie, że nawet nie umiał czytać! Twierdził, że lubi myśleć o książkach, myśleć o nich, wcale ich nie czytając. Zawsze chodził z książką pod pachą i wypożyczał z biblioteki więcej książek niż ktokolwiek w całym sztetlu. Co za bzdura! A to – powiedziała, wydźwigując z pudełka kolejne zdjęcie – Josef i jego brat Cwi. Bawiłam się z nimi, kiedy wracali ze szkoły. Zawsze miałam dla Cwiego takie małe coś w sercu, ale nigdy mu nie wyznałam. Chciałam wyznać, ale w końcu nie wyznałam. Taka już była ze mnie dziwna dziewczyna, że zawsze miałam w sercu jakieś małe coś. Lea dostawała obłędu, kiedy jej o nich opowiadałam. «Tylu małych co-siów – mówiła. – Nie starczy ci miejsca na krew!» Śmiała się wtedy z siebie, a potem milkła”.

„Augustyno?” – powiedział Dziadek, ale chyba nie odsłyszała, bo nie zwyobrażała się do niego, tylko dalej ruszała rękami poprzez rzeczy w pudle, jakby te rzeczy była woda. Teraz już nie raczyła wzrokiem nikogo, jak jedynie mnie. Dziadek i gieroj już jej nie istnieli.

„To jest obrączka ślubna Rywki – wyrzekła, wkładając obrączkę na palec. – Schowała ją w słoik i zakopała do ziemi. Sama mi powiedziała. «Tak na wszelki wypadek» – powiedziała. Wielu ludzi tak robiło. W ziemi do tych pór pełno jest obrączek, pieniędzy, fotografii i różnych żydowskich rzeczy. Odnalazłam tylko niektóre, ale

ziemia jest ich pełna”. Gieroj ani raz nie spytał mnie, co ona mówi, wtedy ani nigdy potem. Nie jestem pewien: może wiedział, co mówiła, a może wiedział, że lepiej nie dociekać.

„To jest Herszel” – powiedziała, unosząc fotografię do światła okiennego. „Pójdziemy już – obznajmił Dziadek. – Powiedz mu, że idziemy”. „Nie idźcie” – powiedziała kobieta. „Cicho być” – odparł jej, i nawet jeśli nie była Augustyna, nie powinien był tak do niej mówić. „Przepraszam – powiedziałem jej. – Proszę kontynuować”. „Mieszkał w Kołkach, w takim sztetlu niedaleko Trachimbrodu. Herszel i Eli byli najbliższymi przyjaciółmi, a potem Eli musiał zastrzelić Herszla, bo inaczej jego samego by zastrzelili”. „Cicho być” – przywodził Dziadek i tym razem jeszcze bębnał pięścią w stół. Ale ona nie była cicho. „Eli nie chciał, ale strzelił”. „To wszystko kłamstwo”. „On tylko tak, bez intencji – powiedziałem do niej i nijak nie mogłem połapać, po czemu Dziadek tak postąpia. – Dziadku...” „Może pani zatrzymać swoje bezprawdy dla siebie” – oświadczył. „Tak mi opowiedziano – odparła – a ja wierzę, że to prawda”. Postrzegłem, że ją rozplączył.

„A to jest spinka – podjęła – którą Miriam upinała sobie włosy, żeby jej nie padały w twarz. Ciągle biegała tam i sam. Umarłaby, jakby na chwilę usiadła, bo uwielbiała bezustannie coś robić. Znalazłam tę spinkę pod jej poduszką. Zaprawdę. Na pewno się zastanawiacie, po czemu spinka leżała u niej pod poduszką. Sekret w tym, że Miriam przez całą noc trzymała ją w ręku, żeby nie

ssać kciuka! Długo miała taki zły nawyk, nawet jak już skończyła dwanaście lat! Tylko ja o tym znam. Zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że opowiadam o jej kciuku, ale powiem wam, gdybyście świadczyli z dość bliska, gdybyście przeświadcili trochę uwagi, uważylibyście, że stale jest czerwony. Zawsze się tego wstydziła”. Przywróciła spinkę do pudełka ze SZCZĄTKAMI i wydzwignęła inną fotografię.

„A tutaj, oj, pamiętam, to są Kalman i Icie, to byli tacy żartownisie”. Dziadek nie widokował na nic oprócz Augustyny. „Patrzcie, jak Kalman trzyma Icie za nos! Co za błazen! Po całych dniach tyle żartowali, że Ojciec nazywał ich błaznami z Trachimbrodu: «To tacy błazni, że nawet do cyrku by ich nie przyjęto!»” „Pani jest z Trachimbrodu?” – spytałem. „Ona nie jest z Trachimbrodu” – odparł Dziadek i zwyobrażał głowę od niej jak najdalej. „Otóż jestem – powiedziała. – Jestem jedyna ocalała”. „Co pani poprzez to syngalezuje?” – zagadnąłem, no bo prosto nie wiedziałem. „Wszystkich zabito – wyjaśniła i tu już począłem tłumaczyć gieroju, co ona mówi – z wyjątkiem paru osób, którym udało się uciec”. „Poszczyściło wam się” – powiedziałem. „Właśnie, że nam się ponieszczęściło” – zaprostowała. „Nieprawda” – rzekł Dziadek, chociaż nie wiem, które z tego, co wymówiono, miało jego zdaniem być bezprawda. „Owszem, prawda. Trzeba uważać, żeby za nic w świecie nie zostać ostatnim niedobitkiem”. „Powinna pani była zginąć razem z innymi” – powiedział Dziadek. (Nie dopuszczę, żeby to pozostało w fabule.)

„Spytaj ją, czy znała mojego dziadka”. „Czy znała pani mężczyznę ze zdjęcia? Był dziadkiem tego chłopaka”. Zaprezentowałem jej fotografię. „Oczewidno – powiedziała i znowu udostępniła mi oczu. – To był Safran. Pierwszy chłopiec, jakiego w życiu pocałowałam. Taka już jestem stara, że już za stara na nieśmiałość. Pocałowałam go, kiedy oboje byliśmy mali. Powiedzcie mu – wyrzekła do mnie i wzięła mnie za rękę. – Powiedzcie mu, że to był pierwszy chłopiec, jakiego w życiu pocałowałam”. „Ona mówi, że twój dziadek był pierwszym chłopcem, jakiego w życiu pocałowała”. „Bardzo się przyjaźniliśmy. W czasie wojny stracił żonę i dwoje dzieci. On o tym zna?” „Dwoje dzieci?” – spytałem. „Tak” – odparła. „On zna” – powiedziałem. Dalej studiowała SZCZĄTKI, wydzwigując fotografie i kładąc je na stół. „Jak pani tak może?” – spytał jej Dziadek.

„O, jest – powiedziała po długim przeszukaniu. – Moje zdjęcie z Safranem”. Zobserwałem, że gieroju zstępują z twarzy małe rzeczułki i chciałem położyć mu rękę na twarz, żeby mu być architekturą. „Stoimy przed jego domem – ciągnęła. – Bardzo pamiętam tamten dzień. To zdjęcie poczyniła moja matka. Jak ona lubiła Safrana. Chyba chciała, żebym za niego wyszła, i nawet mówiła o tym Rabinu”. „To wtedy pani byłaby jego babka” – powiedziałem jej. Rozśmiała się, a ja poczułem się dobrze. „Moja matka tak go lubiła, bo był bardzo uprzejmy i bardzo nieśmiały, i mówił jej, że jest ładna, nawet kiedy wcale ładna nie była”. „Jak miała na imię?” – spytałem i starałem się być łagodny, ale ona zwyobracała głowę,

jakby chciała mi powiedzieć: Nie, zanigdy nie wymówię jej imię. A potem wspomniałem, że nie znam jej własnego imienia. Wytrwale myślałem o niej, że jest Augustyną, bo tak jak i Dziadek nie mogłem przestać pragnąć, żeby to była Augustyna. „Wiem, że mam jeszcze jedno” – powiedziała i znów zaczęła studniować SZCZĄTKI. Dziadek nie chciał na nią patrzeć. „Tak – rzekła, wydzwigując kolejne żółte zdjęcie. – Na tym zdjęciu Safran i jego żona stoją przed swoim domem zaraz po ślubie”.

Dawałem gieroju każde zdjęcie po kolei, jak ona mi je dawała, a on ledwie z trudem trzymał je w rękach, bo tak mu się te ręce potrzęsały. Wydawał się, jakby połową siebie chciał zapisać w swój dziennik wszystko, każde słowo z tego, co się dzieje. A jakieś drugie jego pół odmawiało pisać choćby jeden wyraz. Otwierał dziennik i znów go zamykał, otwierał i zamykał, a dziennik wyglądał, jakby próbował wyfrunąć mu z rąk. „Powiedzcie mu, że byłam na ślubie. Powiedzcie mu”. „Była na ślubie twojego dziadka i jego pierwszej żony” – przetłumaczyłem. „Spytaj ją, jaki był ten ślub” – poprosił gieroj. „Piękny – powiedziała. – Pamiętam, że mój brat trzymał jeden drążek chupy. Był wiosenny dzień. Zosia była taka ładna”. „Było bardzo pięknie – powtórzyłem gieroju. – Była biel i kwiaty, i dużo dzieci, i panna młoda w długiej sukni. Zosia była piękna, a wszyscy inni mężczyźni robili się zazdrośni ludzie”. „Spytaj, czy moglibyśmy zobaczyć ten dom” – powiedział, wskazując fotografię. „Czy mogłaby pani eksponować nam ten dom?” – spytałem. „Nic już nie ma – odparła. – Przecież wam mówiłam.

Nic. Dawniej to było cztery kilometry odległości stąd tam, ale teraz wszystko, co jeszcze istnieje z Trachimbrodu, jest w tym domu”. „Mówi pani, że cztery kilometry stąd?” „Trachimbrodu już nie ma. Skończył się pięćdziesiąt lat temu”. „Proszę nas tam zaprowadzić” – powiedział Dziadek. „Nie ma tam nic do widokowania. Tylko pole. Mogłabym wam eksponować pierwsze lepsze pole i to by wyszło na jedno, co eksponować Trachimbrod”. „Przyjechaliśmy zobaczyć Trachimbrod – rzekł Dziadek – więc do Trachimbrodu nas pani zaprowadzi”.

Spojrzała na mnie i położyła mi rękę na twarz. „Powiedźcie mu, że codziennie o tym myślę. Powiedźcie mu”. „O jakim tym?” – spytałem. „Powiedźcie mu”. „Ona codziennie o tym myśli” – powtórzyłem gieroju. „Myślę o Trachimbrodzie i o czasach, kiedy wszyscy byliśmy tacy młodzi. Biegaliśmy nago po ulicach, dacie wiarę? Byliśmy jeszcze dziećmi, no tak. Tak było. Powiedźcie mu”. „Biegali nago po ulicach. Byli jeszcze dzieci”. „Tak dobrze pamiętam Safrana. Całował mnie za synagogą, a wiedźcie, że za coś takiego mogli nas zamordować. Do dziś pamiętam to uczucie. Trochę jak fruwanie. Powiedźcie mu”. „Pamięta, jak twój dziadek ją całował. Trochę wtedy fruwała”. „Pamiętam też Rosz Haszana, kiedy chodziliśmy nad rzekę i wrzucaliśmy do wody okruchy chleba, żeby nasze grzechy od nas odpłynęły. Powiedźcie mu”. „Pamięta rzekę, okruchy chleba i swoje grzechy”. „Rzekę Brod?” – spytał gieroj. Ruszyła głową, jakby chciała powiedzieć: Tak, tak. „Powiedźcie mu, że jego dziadek i ja razem z resztą dzieci wskakiwa-

liśmy do Brodu, kiedy robiło się gorąco, a rodzice siedzieli na brzegu, pilnowali nas i grali w karty. Powiedzenie mu”. No to mu powiedziałem. „Każdy miał własną rodzinę, ale było trochę tak, jakbyśmy wszyscy byli jedną wielką rodziną. Czasem ludzie się kłócili, a jakże, ale to były drobiazgi”.

Wycofała ze mnie swoje ręce i położyła je sobie na kolanach. „Tak mi wstyd – powiedziała. – Trzeba było działać cośkolwiek. Nikomu nie można było pokazać twarz po czymś takim”. „Powinna się pani wstydzić” – rzekł Dziadek. „Niech się pani nie wstydzi” – powiedziałem. „Spytaj ją, jak mojemu dziadkowi udało się uciec”. „On chciałby znać, jak jego dziadku udało się uciec”. „Ona nic nie zna – rzekł Dziadek. – Głupia i tyle”. „Nie musi pani wymawiać nic, co pani nie chce wymówić” – zapewniłem jej, a ona na to: „W takim razie już nigdy w życiu nie wymówiłabym ani słowa”. „Nie musi pani działać nic, co pani działać nie chce”. „W takim razie już nigdy w życiu nic bym nie zrobiła”. „Ona kłamie” – powiedział Dziadek, a ja nie rozumiałem, co go zmusza tak postąpić.

„Czy moglibyście zostawić nas w osamotnieniu – rzekła do mnie Augustyna – na parę chwil”. „Chodźmy na dwór” – powiedziałem Dziadku. „Nie – zaprostowała. – Z nim”. „Z nim?” – zapytałem. „Proszę, zostawcie nas na parę chwil w osamotnieniu”. Spojrzałem do Dziadka, żeby mi dał jakiegoś drogowskazu, co działać, ale widziałem, że oczy wybierają mu łzami i nie chce na mnie patrzeć. I to właśnie był mój drogowskaz.



„Musimy wyjść na dwór” – obznałmiłem gieroju. „Czemu?” „Oni będą wymawiać różnych rzeczy w sekretności”. „Jakie rzeczy?” „Nie może nas tu być”.

Wyszliśmy i zamknęli poza sobą drzwi. Łaknąłem być po ich drugiej stronie, znaczy się po tej, po której wymawiano tak doniosłych prawd. Albo łaknąłem przycisnąć ucho ku drzwiom, żeby jako minimum chociaż podstyszeć. Ale znałem, że moje miejsce jest za drzwiami razem z gierojem. Z jednej strony nienawidziłem tego, a z drugiej byłem wdzięczny, bo jak już raz się coś usłyszysz, nie sposobna potem zawrócić się w ten czas sprzed usłyszenia. „Możemy jej oskórować kukuruzę” – powiedziałem, a gieroj ze mną zharmonizował. Było poblisko czwartej po południu i temperatura ciepłoty poczynąła się schładzać. Wiatr zaczynał pierwsze nocne hałasy.

„Nie wiem, co robić” – zeznał gieroj.

„Ja nie wiem też”.

Potem na długo zawładnęła głodówka słów. Nic, tylko skórowaliśmy kukuruzę. Nie przejmowało mnie, co mówi Augustyna. To Dziadka słowa byłem spragniony słyszeć. Po czemu mógł różne rzeczy mówić tej kobiecie, której nigdy przedtem nie napotkał, a nie mógł ich mówić mnie? A może nic jej nie mówił. Może kłamał. Tego właśnie chciałem, żeby prezentował jej bezprawdy. Nie należała jej się prawda, nie tak jak mnie. Albo obojgu nam się prawda należała, i gieroju też. Nam wszystkim.

„O czym mamy dyskutować?” – spytałem, bo wiedziałem, że najzwyczajsza przyzwoitość nakaże nam

mówić. „Nie wiem”. „Musi być jakiś temat”. „Chcesz jeszcze czegoś się dowiedzieć o Ameryce?” – spytał. „Akurat teraz nic mi nie przychodzi w głowę”. „Wiesz, co to Times Square?” „Tak – odparłem. – Times Square na Manhattanie, róg Czterdziestej Drugiej Ulicy i Broadway Avenue”. „Wiesz, że są ludzie, którzy po całych dniach siedzą przed automatami do gry i marnują całe swoje pieniądze?” „Wiem – potaknąłem. – Las Vegas w Nevadzie. Czytałem o tym artykuł”. „A wieżowce?” „Oczwividno. World Trade Center. Empire State Building. Sears Tower”. Nie pojmuję po czemu, ale wcale nie byłem dumny z tego, co wiedziałem o Ameryce. Byłem zewstydzony. „Co jeszcze?” – spytał. „Opowiedz mi coś więcej o swojej babce” – poprosiłem. „O mojej babce?” „O której mówiłeś w aucie. O swojej babce z Kołek”. „Pamiętasz”. „Tak”. „A co chcesz wiedzieć?” „Ile ma lat?” „Jest chyba mniej więcej w wieku twojego dziadka, ale wygląda dużo starzej”. „A jak wygląda?” „Jest niska. Mówi o sobie «krewetka», śmiesznie. Nie wiem, jaki naprawdę ma kolor włosów, ale je farbuje na jakiś taki żółtawy brąz, trochę jak włosy na kolbie kukurydzy. Oczy ma jakby nie do pary, jedno niebieskie, drugie zielone. I straszne żyłaki”. „Co znaczy żyłaki?” „Żyły w nogach, czyli naczynia, którymi płynie krew, wystają nad powierzchnię skóry i sprawiają dosyć dziwaczne wrażenie”. „Tak – powiedziałem. – Dziadek też takie ma, bo kiedy jeszcze pracował, stał po całych dniach, i stąd mu się to zrobiło”. „Moja babka nabawiła ich się w czasie wojny, bo musiała przejść pieszo przez całą Europę,

żeby uciec. Jej nogi tego nie wytrzymały”. „Przeszła pieszkom całą Europę?” „Pamiętasz, mówiłem ci, że opuściła Kołki, zanim przyszli naziści”. „Tak, pamiętam”. Przystał na chwilę. Postanowiłem jeszcze raz wszystko zahazardować na jedną kartę. „Opowiedz mi o sobie i o niej”.

„Jak to o sobie i o niej?” „Chcę tylko posłuchać”. „Nie wiem, co powiedzieć”. „Opowiedz mi, jak byłeś mały i jak to z nią wtedy było”. Uskutecznił śmiech. „Kiedy byłem mały?” „Opowiedz mi byle cośkolwiek”. „Kiedy byłem mały – wyrzekł – w czasie obiadów rodzinnych włożyłem jej pod sukienkę i tam sobie siedziałem. To akurat pamiętam”. „Opowiedz mi”. „Dawno już o tym nie myślałem”. Nie wymówiłem nic a nic, żeby wytrwał w opowiadaniu. Chwilami to było trudne, bo istniało tyle ciszy. Ale ~~zrozumiewałem~~ rozumiałem, że ta cisza jest mu potrzebna do mówienia. „Suwałem dłońmi w górę i w dół po jej żyłakach. Nie wiem, czemu ani jak nabrałem tego zwyczaju. Robiłem to, i już. Byłem mały, a maluchy często chyba robią takie rzeczy. Przypomniałem to sobie, bo zacząłem ci mówić o jej nogach”. Wzbronilem się powiedzieć chociaż jednego słowa. „To było jak ssanie własnego kciuka. Robiłem to i było mi z tym dobrze, no i tyle”. Milcz, Aleks. Nie musisz mówić. „Obserwowałem świat przez jej sukienki. Wszystko widziałem, a mnie nikt nie widział. Siedziałem jak w forcie, w zamaskowanej kryjówce. Byłem jeszcze całkiem mały. Miałem cztery, może pięć lat. Nie wiem dokładnie”. Moje milczenie dało mu przestrzeń,

którą mógł wypełnić. „Było mi tam bezpiecznie, spokojnie. Wiesz, miałem poczucie prawdziwego bezpieczeństwa, spokoju”. „Spokoju i bezpieczeństwa przed czym?” „Sam nie wiem. Czułem, że jestem spokojny i zabezpieczony przed nie-spokojem i nie-bezpieczeństwem”. „Miła fabuła”. „To szczerą prawdą. Niczego tu nie zmyślam”. „Oczewidno. Wiem, że jesteś wierny”. „No bo czasem zmyślamy coś, byle tylko mówić. Ale akurat to się naprawdę zdarzyło”. „Wiem”. „Słowo daję”. „Wierzę ci”. Stało się milczenie. Takie ciężkie i długie, że byłem przymuszony się odezwać. „Kiedy przestałeś się chować pod jej sukienką?” „Nie wiem. Mogłem mieć pięć, sześć lat. A może jeszcze trochę później. Pewnie zrobiłem się na to po prostu za duży. Widocznie ktoś mi zwrócił uwagę, że w moim wieku to już nie wypada”. „A co jeszcze pamiętasz?” „Co masz na myśli?” „O niej. O niej i o sobie”. „Coś taki ciekawy?” „O co żeś taki zewstydzony?” „Pamiętam te jej żyły, pamiętam zapach tej mojej sekretnej kryjówki, bo tak właśnie o niej myślałem, pamiętam, jako o sekrecie, i pamiętam, jak babka raz mi powiedziała, że szczęściarz ze mnie, bo jestem zabawny”. „Jesteś bardzo zabawny, Jonathan”. „Nie. To ostatnie, czym chcę być”. „Jak to? Być zabawny to wspinała rzecz”. „Wcale nie”. „Czemu?” „Dawniej myślałem, że humor to jedyny sposób, żeby docenić całą cudowność i straszliwość świata, żeby uczcić ogrom życia. Wiesz, o co mi chodzi?” „Tak, oczewidno”. „Ale teraz myślę, że jest akurat na odwrót. Humor to sposób, żeby zrobić unik przed tym cudownym, a zarazem

straszliwym światem”. „Powiadom mi więcej o tym, jak byłeś mały, Jonathan”. Znowu wyczynił śmiech. „Czego się śmiejesz?” Znowu się rozśmiał. „Powiadom mi”. „Jak byłem mały, z piątku na sobotę nocowałem u babki. Nie w każdy piątek, ale przeważnie tak. Kiedy wchodziłem, brała mnie w te swoje cudowne, straszliwe objęcia i podnosiła do góry. A kiedy nazajutrz po południu wychodziłem, znowu swoją miłością odrywała mnie od ziemi. Śmieję się, bo dopiero po wielu latach zrozumiałem, że mnie wtedy ważyła”. „Ważyła cię?” „Kiedy miała tyle lat co my teraz, szła boso przez całą Europę, po drodze wygrzebując jedzenie ze śmietników. Zależało jej – jeszcze bardziej niż na tym, żebym się dobrze bawił – zależało jej, żebym podczas każdej z tych wizyt trochę przytył. Chciała chyba mieć najtłuściejsze wnuki na świecie”. „Opowiedz mi coś więcej o tych piątkach. Opowiedz o pomiarach, o humorze i o kryciu pod jej sukienką”. „Chyba już dosyć się nagadałem”. „Kiedy musisz mówić”. Zrobiło ci się mnie żal? Czy to dlatego wytrwale kontynuowałeś? „Kiedy u niej nocowałem, babka i ja wychodziliśmy w nocy na werandę od podwórza i wykrzykiwaliśmy różne słowa. To też pamiętam. Wykrzykiwaliśmy najdłuższe wyrazy, jakie nam przychodziły do głowy. «Fantasmagoria!» – wrzeszczałem. – Zaśmiał się. – To akurat dokładnie pamiętam. A potem babka wykrzykiwała jakieś słowo w jidysz, którego nie rozumiałem. Później znów była moja kolej. «Przedpotopowy!» – wrzeszczałem. – Wywrzasnął to słowo, aż się rozległo na całą ulicę, i to by był ambaras, gdyby nie to, że

na ulicy nie było nikogo. – A potem patrzyłem, jak wybrzuszą jej się żyły na szyi, kiedy wrzeszczy jakieś inne słowo w jidysz. Oboje musieliśmy chyba być potajemnie zakochani w słowach”. „I oboje musieliście być potajemnie zakochani w sobie nawzajem”. Znowu się zaśmiał. „A co to za słowa, które ona wyrzaskiwała?” „Nie wiem. Nigdy nie wiedziałem, co znaczą. Do tej pory słyszę jej głos”. Wrzasnął na całą ulicę jakimś słowem w jidysz. „Czemuś ją nie spytał, co te słowa znaczą?” „Bałem się”. „Czegoś się bał?” „Nie wiem. Za bardzo się bałem, i już. Wiedziałem, że mam nie pytać, więc nie pytałem”. „A może ona właśnie była spragniona, żebyś zapytał”. „Nie”. „Może potrzebowała twojego zapytania, bo póki nie pytałeś, nie mogła ci powiedzieć”. „Nie”. „Może krzyczała: «Spytaj mnie! Spytaj, co krzyczę!»”

Obieraliśmy kukuruzę. Milczenie było jak góra.

„Pamiętasz to mnóstwo betonu we Lwowie?” – spytał.

„Tak” – odparłem.

„Ja też”.

Znowu milczenie. Nie mieliśmy nic do obgadania, przynajmniej nic ważnego. Nic nie było dość ważne.

„Co piszesz w swoim dzienniku?” „Notuję”. „Co notujesz?” „Robię notatki do książki, nad którą pracuję. Różne drobiazgi, które chcę zapamiętać”. „O Trachimbrodzie?” „Tak”. „A dobra ta książka?” „Na razie to dopiero fragmenty. Napisałem parę stron, zanim tu przyjechałem tego lata, parę stron w samolocie do Pragi, parę w pociągu do Lwowa, parę wczoraj wieczorem”.

„Przeczytaj mi coś, co napisałeś”. „To krępujące”. „Wcale nie. Wcale nie krępujące”. „Właśnie, że krępujące”. „Nie będzie krępujące, jeżeli wyrelacjonujesz to mnie. Zachłysnę się, obiecuję. Bardzo prosto jest mnie oczarować”. „Nie” – odparł, więc zrobiłem coś, co wydawało mi się OK, a nawet śmieszne. Wziąłem jego dziennik i otworzyłem. Nie powiedział, że mogę czytać, ale też nie poprosił, żebym mu oddał go wspak. Oto co odczytałem:

Powiedział swojemu ojcu, że potrafi się zaopiekować Matką i Igorkiem. Ledwie to powiedział, stało się prawdą. Wreszcie był gotów. Jego ojciec nie mógł uwierzyć. Co? – zapytał. Co? Więc Sasza znów mu powiedział, że opiekuje się rodziną, że zrozumie, jeśli ojciec będzie musiał odejść i nigdy się nie wrócić, i że ojca ojcostwo wcale na tym nie ucierpi. Powiedział ojcu, że wybaczy. O, na to ojciec bardzo się rozgniewał, wręcz rozwścieczył, i pogroził Saszy, że go zabije, na co Sasza odpowiedział ojcu, że to on ojca zabije, więc gwałtem na siebie ruszyli, a ojciec rzekł: Powiedz mi to w oczy, a nie w podłogę, no i Sasza powiedział: Nie jesteś moim ojcem.

Zanim Dziadek i Augustyna zstąpili z domu, skończyliśmy skórować stertę kukuruzy i po drugiej stronie

stopni zostawiliśmy całą stertę skór. Przeczytałem kilka stron jego dziennika. Niektóre sceny były takie. Inne całkiem inne. Niektóre rozegrały się wcześniej w dziejach, a inne w ogóle jeszcze nie. Rozumiałem, o co mu chodzi, kiedy tak pisze. Najpierw ogarnął mnie gniew, ale potem smutek, a jeszcze później wdzięczność i znowu gniew, i setki razy przemierzałem te uczucia, przystając w każdym tylko na chwilę i zaraz przechodząc w następne.

„Dziękuję wam - rzekła Augustyna i zaczęła egzaminować sterty, jedną kukuruzy i jedną skór. - Popelniliście bardzo dobry uczynek”. „Ona nas zaprowadzi w Trachimbrod - powiedział Dziadek. - Nie roztrwajmy czasu. Staje się późno”. Powtórzyłem to gieroju. „Podziękuj jej ode mnie”. „Dziękuję” - powiedziałem jej. „Ona zna” - rzekł Dziadek.



WESELE UDAŁO SIĘ NAD PODZIWIW  
*albo*

PO WESELU ZACZYNAJĄ SIĘ SCHODY, 1941

RODZINA PANNY MŁODEJ zaczęła szykować dom do wesela poniekąd już na długo przed narodzinami Zosi, lecz dopiero gdy mój dziadek z ociąganiem oświadczył się - klękawszy na obu kolanach zamiast na jednym - przygotowania te nabrały historycznego tempa. Dębowe podłogi przykryto białym płótnem, stoły ustawiono rzędem od sypialni państwa domu aż po kuchnię, a każdy stół upierzony był precyzyjnie ustawionymi kartami imiennymi, których rozmieszczenie stanowiło od wielu tygodni przedmiot męczeńskich deliberacji. (Awra nie może siedzieć obok Zosi, tylko gdzieś w pobliżu Joska i Libki, ale nie za tę cenę, żeby Libka miała usiąść przy Anszelu albo Anszel koło Awry, lub Awra w jakiegokolwiek bliskości bukietów, bo to straszny alergik i zaraz umrze. I w żadnym razie nie można posadzić Strzelistych i Rozlazłych po tej samej stronie stołu.) Kupiono nowe firanki do nowych okien - nie żeby czegokolwiek brakowało starym firankom i starym oknom, ale przecież Zosia wychodziła za mąż, a taka okazja wręcz domagała się nowych firanek i nowych okien.

Nowe lustra wyczyszczono tak, że nie została na nich najmniejsza plamka, a ich pseudoantyczne ramy starannie ubrudzono. Dumni rodzice – Menachem i Towa – dopilnowali, żeby wszystko aż do najdrobniejszych, najostatniejszych szczegółów było nadzwyczajne.

Dom tak naprawdę składał się z dwóch domów, których strychy połączono, kiedy ryzykowny interes Menachema (pstrągi) przyniósł nadspodziewane dochody. Był to największy dom w Trachimbrodzie, ale zarazem najmniej wygodny, jego mieszkańcy nieraz bowiem musieli wdrapywać się po schodach przez trzy piętra, potem zaś z tyłu schodów złączyć, przemierzywszy po drodze dwanaście izb – tylko po to, żeby przejść z pokoju do pokoju. Rozplanowano go pod kątem przeznaczenia poszczególnych pomieszczeń: sypialnie, bawialnia dla dzieci i biblioteka mieściły się w jednej połowie, a kuchnia, jadalnia i gabinet – w drugiej. Co się tyczy piwnic, to w jednej trzymano imponujące stojaki do win, na których zgodnie z obietnicą Menachema miały pewnego dnia spocząć równie imponujące wina, druga zaś służyła Towie jako zaciszna szwalnia. Dzieliła je tylko ściana z cegieł, były jednak, praktycznie rzecz biorąc, oddalone od siebie o cztery minuty piechotą.

Dubeltowy Dom ujawniał wszelkie aspekty niedawno zdobytego bogactwa swoich właścicieli. Na w pół wykończona weranda sterczała z tylnej ściany jak kawał utłuczonego szkła. Marmurowe słupy, wokół których wiły się spiralą beczynne schody, łączyły podłogi z sufity. Na dolnych kondygnacjach podwyższono stropy,

toteż drugie piętro nadawało się na mieszkanie tylko dla dzieci lub karłów. W wychodku zainstalowano porcelanowe muszle zamiast ceglanych cokołów, na których reszta mieszkańców sztetla srała w kucki. Zupełnie dobry ogród wykarczowano i zastąpiono żywirowaną ścieżką, ujętą w szpaler azalii, zbyt krótko przyciętych, aby mogły zakwitnąć. Ale największą dumą Menachema było rusztowanie: symbol nieustannej zmienności, nieustannych ulepszeń. W miarę postępów budowy Menachem pałał coraz gorętszym uczuciem do tego prowizorycznego szkieletu z belek i desek, kochał go jeszcze bardziej niż sam dom i wreszcie namówił niechętnego takiemu pomysłowi architekta, żeby wpisał rusztowanie w ostateczny plan budynku. Wraz z robotnikami. W rzeczywistości byli to miejscowi aktorzy, którym płacono za to, że wyglądali jak robotnicy, chodzili po deskach rusztowania, wbijali w zbędne ściany niepotrzebne gwoździe, wyciągali je z powrotem i zaglądali do plików. (Te również wpisano w ostateczny plan domu, który w końcu zawierał plany planów planów planów...) Główne zmartwienie Menachema polegało na tym, że miał więcej pieniędzy, niż na świecie było towarów do kupienia. Rozwiązał kwestię w ten sposób, że zamiast nabywać coraz więcej rzeczy, postanowił nieustannie kupować te, które już posiadał, tak jak człowiek na bezludnej wyspie raz po raz opowiada sobie i wzbogaca ozdobnikami jedyny zapamiętany dowcip. Marzył o tym, żeby Dubeltowy Dom stał się czymś w rodzaju nieskończoności, wiecznie pozostając jedynie ułamkiem siebie

(sugerując zatem istnienie bezdennych zasobów gotówki), wiecznie dążąc do ostatecznej postaci, lecz nigdy jej nie przybierając.

*Wspaniałe! Prawie wszystko to jest wspaniałe, Towo!*

*Co za dom! A ty tak jakbyś zeszczupłała na twarzy.*

*Cudownie! Wszyscy powinni ci zazdrościć.*

Przyjęcie weselne stało się wydarzeniem roku 1941, odbyło się zaś z udziałem tak licznych uczestników, że gdyby dom spłonął albo pochłonięłaby go ziemia, żydowscy mieszkańcy Trachimbrodu znikliby wszyscy bez wyjątku. Specjalne monity trafiły do adresatów kilka tygodni przed zaproszeniami, które rozesłano na tydzień przed oficjalną uroczystością.

NIE ZAPOMNIJ:  
WESELE CÓRKI  
TOWY  
I JEJ MĘŻA\*  
18 CZERWCA 1941  
W WIADOMYM DOMU

\* Menachema

I nikt nie zapomniał. Na weselu nie zjawili się tylko ci spośród mieszkańców Trachimbrodu, którzy zdnaniem Towy nie byli godni zaproszenia, nie znaleźli się zatem w księdze gości, nie objął ich zatem ostatni, praktycznie rzecz biorąc, spis ludności sztetla przed unicestwieniem tegoż, zostali zatem na zawsze zapomniani.

Podczas gdy goście pomału gromadzili się w domu, ogarnięci bezradnym podziwem w obliczu stylizowa-

nych boazerii, mój dziadek wymówił się na chwilę i zszedł do piwnicy, w której trzymano stojaki bez win, chciał bowiem zmienić strój: zdjąć tradycyjny garnitur ślubny i włożyć lekki bawełniany blezer, bardziej odpowiedni w ten wilgotny, upalny dzień.

*Absolutnie zachwycające, Towo. Spójrz na mnie, jestem zachwycona.*

*Drugiego takiego nie ma nigdzie na świecie.*

*Musielście wydać majątek na te strojne bukiety. A psik!*

*Jakie niezwykłe!*

Odległą dal rozpruł dźwięk grzmotu i nim zdążono zamknąć chociaż jedno nowe okno czy choćby zasłonić nowe firanki, przez dom zionął wicher tak niesamowicie szybki i silny, że strojne bukiety poprzewracały się, a kartoniki z imionami wzbily w powietrze. Istne pandemium. Kot wrzasnął, wrzątek wykypiał, starsze panie oburącz uczepliły się ażurowych kapeluszy na swoich łysiejących głowach. Podmuch ustał równie szybko, jak nadciągnął, pozwalając kartonikom z imionami opaść z powrotem na stół, lecz żaden nie upadł w pierwotnie dla niego przeznaczonym miejscu: Libka wylądowała obok Kermana (który zgodził się przyjść na wesele tylko pod warunkiem, że trzy stoły będą go dzieliły od tej koszmarnej pizdy), Towa na szarym końcu ostatniego stołu (w miejscu zarezerwowanym dla handlarza ryb, którego imienia nikt nie pamiętał, a zaproszenie wsunięto pod jego drzwi dopiero w ostatniej chwili, z poczucia winy, bo niedawno żona umarła mu na raka), Rabin Strzelisty obok Szany P., tej wygadanej Rozlazłej

(w której budził taką samą jak ona w nim mieszaninę odrazy i podniecenia), a mój dziadek dosiadł po piesku młodszej siostry swojej oblubienicy.

Zosia i jej matka – czerwone ze wstydu i blade ze smutku, że wesele nie całkiem się udaje – spieszenie się krzątały, daremnie usiłując przywrócić tak przemyślnie zaplanowany ład, podnosząc widelce i noże, ścierając z podłogi kałuże wina, znów ustawiając pośrodku stołów strojne bukiety i porządkując kartoniki z imionami, które pomieszały się jak rzucona talia kart.

*Miejmy nadzieję, że to nieprawda – usiłował skwitować żartem całe to przetasowanie ojciec oblubienicy – jakoby po weselu zaczynały się schody!*

Młodsza siostra panny młodej stała oparta o półkę stojaka bez win, gdy mój dziadek wszedł do piwnicy.

*Serwus, Maju.*

*Serwus, Safran.*

*Przyszedłem zmienić strój.*

*Zosia będzie zawiedziona.*

*Czemu?*

*Bo uważa cię za idealnie brzmiący instrument. Sama mi powiedziała. A własne wesele to nie pora na zmianę stroju.*

*Nawet dla wygody?*

*Własne wesele to nie jest czas wygód.*

*Och, siostrze – powiedział, całując ją tam, gdzie policzek przechodzi w usta. – Żebyś ty miała tyle poczucia humoru, ile masz urody.*

Wyciągnęła mu spod kłapy swoje koronkowe majtki. Nareszcie – westchnęła, wciągając go w objęcia. – *Jeszcze trochę, a byłabym pękła.*

GDY TAK POSPIESZNIE się kochali pod odległym o cztery metry od ziemi sklepieniem, które – sądząc po odgłosach – lada chwila mogło runąć, bombardowane tyłoma obcasami (sprzątanie tak wszystkich pochłone-  
ło, że przydługa nieobecność pana młodego pozostała niezauważona), mój dziadek zastanawiał się, czy aby nie jest zwykłą ofiarą losu. Czy wszystko, co mu się do-  
tąd przydarzyło, od pierwszego pocałunku aż po tę oto pierwszą zdradę małżeńską, nie było nieuniknionym skutkiem splotu okoliczności, nad którymi nie sprawo-  
wał żadnej władzy? Jak dalece można go właściwie winić, skoro tak naprawdę nigdy nie miał wyboru? Czy zamiast w piwnicy mógłby być z Zosią, piętro lub dwa wyżej? Czy istniała taka ewentualność? Czy jego członek mógł tkwić gdziekolwiek indziej niż właśnie tkwił, nie tkwił, tkwił, nie tkwił, tkwił? Czy mój dziadek miał szansę być grzeczny?

Jego zęby. To pierwsze, co zauważam, ilekroć oglą-  
dam jego niemowlęcy portret. To nie mój łupież. Nie okruchy gipsu ani biała farba. Między wąskimi wargami

mojego dziadka z dziąseł fioletowych jak śliwka sterczy niby rząd pestek albinosek pełen komplet zębów. Lekarz pewnie wzruszył ramionami, jak to dawniej robili lekarze, kiedy nie potrafili wyjaśnić jakiegoś medycznego fenomenu, i na pociechę uraczył moją prababkę pogadanką o dobrych omenach. Istnieje też jednak portret rodzinny, namalowany trzy miesiące później. Spójrzcie dla odmiany na *jej* usta, a zobaczycie, że niezupełnie dała się pocieszyć: na tym portrecie moja młoda prababka marszczy brwi.

Właśnie z powodu zębów mojego dziadka, które w jego ojcu budziły podziw, zwiastowały bowiem męskość, jego matka miała pokrwawione i obolałe sutki, musiała sypiać na boku, a po pewnym czasie już w ogóle nie mogła karmić piersią. Właśnie z powodu tych zębów, tych, tyciuteńkich trzonowców, słodkich dwuguzków, moi pradziadkowie przestali kochać się ze sobą i mieli tylko jedno dziecko. Właśnie z powodu zębów przedwcześnie oderwano mojego dziadka od matczynej studni, nie dostał więc porcji pokarmu, której wymagało jego smarkate ciało.

Jego ręka. Można by po wielokroć obejrzeć wszystkie zdjęcia i nie zauważyć, co właściwie jest w nich takiego niezwykłego. Zjawisko to zbyt często jednak się powtarza, aby wolno je było tłumaczyć kaprysem fotografa, który narzucił klientowi taką a nie inną pozę, lub działaniem czystego przypadku. Mój dziadek nigdy niczego nie trzyma prawą dłońią – ani teczki, ani papierów, ani nawet swojej drugiej dłoni. (Na jedynej fotografii, jaką



zrobiono mu w Ameryce – zaledwie dwa tygodnie po przyjeździe i trzy przed śmiercią – moją maleńką podóczas matkę trzyma na lewym ręku.) Pozbawione odpowiedniej dawki wapnia, jego niemowlęce ciało musiało rozważnie gospodarować zasobami, a lewa ręka wyciągnęła krótką słomkę. Patrzył bezradnie, jak czerwona, nabrzmiała sutka coraz bardziej maleje, na zawsze odeń się oddalając. I akurat wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebował, stała się całkiem niedosiężna.

Wyobrażam więc sobie, że właśnie z powodu zębów nie dostawał mleka, to zaś z kolei spowodowało uwiąd prawej ręki. Z powodu tegoż uwiądu nigdy nie pracował w żłowrogim młynie, lecz w farbiarni tuż poza granicą sztetla, i uniknął poboru, w wyniku którego jego kole-dzy szkolni pojechali na front, aby zginąć w beznadziejnych walkach z nazistami. Ta sama ręka znów go uratowała, nie pozwalając mu wrócić wplaw do Trachimbrodu, gdy chciał przybyć na ratunek swojej jedynej miłości (która razem z resztą sztetla zginęła w rzece), a potem jeszcze raz, kiedy nie dała mu się utopić. Oważ ręka ponownie go ocaliła, bo to dzięki niej zakochała się w nim Augustyna i uratowała go, i miała go – wciąż mowa o ręce – uratować raz jeszcze, gdy po latach sprawiła, że nie udało mu się wejść na pokład „Nowego Rodowodu”, kiedy statek ten wypływał ku Ellis Island, skąd na polecenie urzędników imigracyjnych USA zawrócono go i wszyscy jego pasażerowie w końcu zginęli w Treblince.

Jestem pewien, że również tej ręce – sflaczałej wiązce beżużytecznych mięśni – zawdzięczał moc, która

pozwalala mu beznadziejnie w sobie rozkochać każdą kobietę, jaka znalazła się na jego drodze, przespał się więc z ponad czterdziestoma z Trachimbrodu i przynajmniej dwakroć tyłoma z sąsiednich wiosek, teraz zaś na stojąco, pospiesznie kochał się z młodszą siostrą nowo poślubionej żony.

Pierwsza była Róża W. – wdowa, co mieszkała tuż nad Brodem, w jednym ze starych parterowych drewniaków. Wydawało jej się, że do kalekiego chłopca, który zjawił się przysłany przez kongregację Rozlazłych, żeby pomóc posprzątać dom, czuje wyłącznie litość i właśnie z litości przyniosła mu talerz chleba z migdałami i szklankę mleka (na sam widok którego przewróciły w nim się bebechy), a potem z tejże litości spytała go, ile ma lat, i wyznała własny wiek – czyli coś, czego nie wiedział nawet jej mąż. Sądziła, że z czystą litością w sercu usuwa wszystkie warstwy makijażu, aby odsłonić przed chłopcem jedyną część ciała, której nikt, nawet mąż, nie widział od ponad sześćdziesięciu lat. I tylko z litości – tak jej się przynajmniej zdawało – zaprowadziła go do sypialni, chcąc mu pokazać listy miłosne, które podczas pierwszej wojny światowej mąż słał jej z okrętu wojennego patrolującego Morze Czarne.

*W tym – powiedziała, ujmując jego martwą rękę – przysłał mi kawałki sznurka, którymi zmierzył własne ciało – głowę, udo, przedramię, palec, szyję, wszystko po kolei. Chciał, żebym nocą trzymała je pod poduszką. Napisał, że kiedy wróci, znowu zmierzymy go całego sznurkiem, na dowód, że się nie zmienił... Och, ten też pamiętam – westchnęła, muskając*

palcami pożółkły arkusik, sunąc dłonią – świadomie, a może bezwiednie – w tę i z powrotem po martwej ręce mojego dziadka. *Opisał w nim dom, który zamierzał dla nas wybudować. Dołączył nawet rysunek, chociaż bardzo kiepsko rysował. Przy domu chciał urządzić starw, a raczej małą sadzarwkę, żebyśmy mogli mieć ryby. A nad łóżkiem okno, żebyśmy mogli przed zaśnięciem rozmarwiać o gwiazdozbiorach... A tu* – dodała jeszcze, prowadząc jego rękę pod rąbek spódnicy – *jest list, w którym przysiągł być mi oddanym aż do śmierci.*

Zgasiła światło.

*Czy tak jest dobrze?* – zapytała, kierując ruchami jego martwej ręki i odchylając się do tyłu.

Mój dziadek z nadspodziewaną jak na dziesięciolatka przedsiębiorczością przyciągnął ją do siebie i – przy jej zresztą pomocy – zdjął z niej czarną bluzkę, która tak strasznie trąciła starością, że zwątpił, czy sam jeszcze kiedykolwiek w życiu młodo zapachnie, a potem spódnicę, pończochy (wybrzuszone pod naporem żyłaków), majtki i tampon z waty, który wkładała sobie w przewidywaniu regularnych już ostatnimi czasy zaskoczek. Pokój przesycił się aromatami, jakich mój dziadek nigdy przedtem nie wahał w tej akurat kombinacji: pachniało kurzem, potem, gorącą kolacją, a także łazienką, z której przed chwilą skorzystała jego matka. Wdowa zdjęła mu krótkie spodenki oraz gatki i pomału nasunęła się na niego tyłem, jakby był wózkiem inwalidzkim. *Och* – jęknęła – *och*. A że dziadek nie wiedział, co robić, brał z niej przykład: *Och* – jęczał – *och*. Gdy zaś pojękiwała: *Proszę,*

on także proszalnie pojękiwał. A kiedy zatrzepotała w leciutkich, szybkich konwulsjach, zrobił to samo. A gdy umilkła, umilkł i on.

Ponieważ dziadek miał dopiero dziesięć lat, nie wydawało się ani trochę dziwne, że może się kochać – czy też poddawać kochaniu – przez kilka godzin bez przerwy. Jak się jednak z czasem przekonał, tę kopulacyjną żywotność zawdzięczał nie młodemu wiekowi, lecz jeszcze jednemu defektowi fizycznemu, spowodowanemu wczesnym niedożywieniem: niczym wóz pozbawiony hamulców, nigdy nie zatrzymywał się na popas. Osobliwość ta do głębi uszczęśliwiła jego sto trzydzieści dwie kochanki, natomiast on sam odnosił się do niej dość obojętnie: jak bowiem można żałować czegoś, czego nigdy się nie zaznało? Nie był zresztą zakochany w żadnej ze swoich kochanek. Nigdy nie popełnił tego błędu, żeby uczucia, których doznawał, brać za miłość. (Tylko jedna kobieta cokolwiek dla niego znaczyła, a problemy związane z urodzeniem prawdziwą miłość uniemożliwiały.) Czegóż więc miał się spodziewać?

Jego pierwszy związek, który trwał tak długo, ile niedzielnych popołudni mieści się w czterech latach – póki wdowa nie uprzytomniła sobie, że przed trzydziestoma laty z okładem uczyła jego matkę gry na fortepianie, i odtąd nie zdobyła się już na to, żeby mu pokazać kolejny list – ani trochę nie był związkiem miłosnym. Dziadek grał tylko rolę ustępliwego pasażera. Chętnie udostępniał bezwładną rękę – jedyną część swojego ciała, na którą Róża zwracała większą uwagę, sam akt był dla niej

bowiem wyłącznie sposobem, żeby się do tej ręki zbliżyć – jako cotygodniowy dar; rad też zgadzał się udawać wraz z wdową, że kochają się wcale nie w łożu pod baldachimem, tylko w latarni morskiej przy końcu falochronu smaganego wichurą, a ich sylwetki, rzutowane potężnym snopem światła na daleki przestwór czarnych wód, mogą zanieść żeglarzom błogosławieństwo i przyzwać z powrotem jej męża. Z ochotą pozwalał, żeby jego martwa ręka służyła za brakujący członek, dla którego stęskniona wdowa wciąż na nowo czytała żółknące listy i żyła gdzieś poza sobą, poza własnym życiem. Dla którego wreszcie kochała się z dziesięciolatkiem. Ręka była ręką, i właśnie o tej ręce – a nie o swoim mężu ani nawet o sobie samej – myślała Róża siedem lat później, osiemnastego czerwca 1941 roku, kiedy pierwsze niemieckie salwy aż do fundamentów wstrząsnęły jej drewnianym domkiem, a ona przewróciła oczami, żeby przed śmiercią obejrzeć własne wnętrze.

NIE ZDAJĄC SOBIE sprawy z charakteru jego posług, kongregacja Rozlazłych płaciła mojemu dziadkowi za cotygodniowe wizyty u Róży, z czasem zaś zaczęła mu płacić za podobne usługi świadczone wdowom i słabowitym damom w okolicy Trachimbrodu. Pradziadkowie nigdy nie dowiedzieli się prawdy, lecz z ulgą powitali zapał, z jakim dziadek zarabiał pieniądze i poświęcał czas starszym osobom, jedno i drugie głęboko ich bowiem zaprzętało, odkąd popadli w biedę i w wiek średni.

*A już zaczynaliśmy podejrzewać, że masz domieszkę cygańskiej krwi* – powiedział mu ojciec, na co syn tylko się uśmiechnął, bo tak też zazwyczaj kwitował ojcowskie kwestie.

*Innymi słowy* – rzekła matka, którą kochał bardziej niż siebie samego – *miło popatrzeć, jak robisz ze swojego czasu dobry użytek*. Pocałowała go w policzek i zmierzwiła mu włosy, co zirytowało ojca, ponieważ Safran był już za duży na takie zabawy.

*Kto jest moim dzieciątkiem?* – pytała, kiedy ojca nie było w pobliżu.

*Ja* – oświadczał, bo uwielbiał to pytanie, uwielbiał odpowiedź, uwielbiał pocałunek, który następował po odpowiedzi. *Nie musisz rozglądać się za nikim innym.* Jakby naprawdę się obawiał, że matka pewnego dnia rzeczywiście za kimś innym się rozejrzy. I właśnie dlatego, że chciał, aby jej spojrzenie zawsze zatrzymywało się tylko na nim i nigdzie indziej nie podążało, nigdy nie mówił matce o niczym, co – jak sądził – mogło ją zmartwić, mogło umniejszyć jej wyobrażenie o nim lub wzbudzić zazdrość.

Wolno również mniemać, że nigdy nie opowiadał żadnemu koledze o swoich wyczynach ani żadnej z kochanek o jej poprzedniczce. Tak się bał demaskacji, że nawet w swoim dzienniku – jedynej dostępnej mi pisemnej relacji o życiu, jakie prowadził, zanim po wojnie spotkał moją babkę w obozie dla dipisów – ani razu o nich nie wspomina.

W dniu, kiedy za sprawą Róży stracił dziewictwo: *Nic szczególnego dzisiaj się nie wydarzyło. Ojciec dostał z Równego transport szpagatu, a mnie skrzyczał za to, że zaniedbałem obowiązki domowe. Matka ujęła się za mną, jak zwykle zresztą, ale i tak na mnie nakrzyczał. Całą noc myślałem o latarniach morskich. Dziwne.*

W dniu, kiedy po raz pierwszy zaznał seksu z dziewczyną: *Poszedłem dziś do teatru. Za bardzo się nudziłem, żeby wysiedzieć, póki nie skończy się pierwszy akt. Wypiłem osiem filiżanek kawy. Myślałem, że pęknę. Nie pękłem.*

W dniu, kiedy po raz pierwszy kochał się z kobietą od tyłu: *Wiele myślałem nad tym, co matka powiedziała*

*o zegarmistrzach. Brzmiało to bardzo przekonująco, ale wciąż nie jestem pewien, czy się z nią zgadzam. Słyszałem, jak ona i ojciec krzyczyli na siebie w sypialni, i to tak, że prawie przez całą noc nie zmrużyłem oka, lecz kiedy wreszcie zasnąłem, spałem twardo.*

Nie żeby się wstydził czy choćby uważał, że robi coś, co jest nie w porządku, bo wiedział skądinąd, że to, co robi, jest słuszne, bardziej niż cokolwiek, co ktokolwiek inny dotąd przy nim robił, i wiedział też, że właśnie postępując słusznie, człowiek często czuje się nie w porządku, ilekroć więc łapie się na tym uczuciu, prawdopodobnie znaczy to, że postępuje słusznie. Zarazem jednak wiedział, że miłość podlega pewnym regułom inflacji i gdyby jego matka albo Róża, lub którekolwiek z tych, co go kochały, dowiedziały się o sobie nawzajem, nie mogłyby oprzeć się wrażeniu, że są przez to mniej warte. Wiedział, że słowa *Kocham cię* znaczą równocześnie *Kocham cię bardziej, niż ktokolwiek inny cię kocha, kochał albo pokocha*, a także *Kocham cię taką miłością, jaką nikt inny cię nie kocha, nie kochał ani nie pokocha*, i *Kocham cię taką miłością, jaką nikogo innego nie kocham, nigdy nie kochałem i nie pokocham*. Wiedział, że na mocy samej definicji miłości nie sposób jest kochać dwie osoby naraz. (Aleks, między innymi dlatego nie mogę powiedzieć mojej babce o Augustynie.)

Druga z kolei też była wdową. Zanim skończył jedenaście lat, kolega szkolny zaprosił go do teatru, który w sztetlu służył również za salę taneczną, a dwa razy w roku pełnił rolę synagogi. Okazało się, że otrzymany



bilet uprawnia go do zajęcia miejsca zajętego już przez Listę P.: rozpoznał w niej młodą wdowę po mężczyźnie, który pierwszy padł ofiarą Dubeltowego Domu. Była drobną szatynką, a z jej ciasno ściągniętego końskiego ogona wymykały się kosmyki cienkich włosów. Miała na sobie różową spódnicę, tak uderzająco gładką i czystą – aż nazbyt gładką, nazbyt czystą – jakby ją dziesiątki razy uprała i wyprasowała. Była piękna, owszem, piękna mimo żalostnej pedanterii, z jaką troszczyła się o każdy szczegół. Jesliby uznać, że jej mąż pozostał nieśmiertelny, ponieważ rozproszona energia komórek jego ciała wsiąkała w ziemię, karmiąc i użyźniając glebę, i zachęciła nowe życie do wzrostu, to i jej miłość nadal żyła, rozsiąta wśród tysięcy codziennych zajęć, stanowiąc taki bezmiar miłości, że nawet gdy rozbiegała się w tyle różnych stron, wciąż jej starczało na przyszywanie guzików do koszul, których nikt nigdy nie miał już nosić, zbieranie spadłych gałązek spod pni drzew, pranie i prasowanie spódnic po kilkanaście razy między jednym a drugim włożeniem.

*Wydaje mi się...* – zaczął, pokazując jej swój bilet.

*Ale spójrz* – odparła Lista, pokazując mu z kolei swój, z wyraźnie widocznym numerem tego samego fotela.  
– *Przecież to moje miejsce.*

*Ale moje też.*

Zaczęła coś mamrotać o tym, jak absurdalny jest ten teatr, jak mierni są jego aktorzy, jak niemądrzy dramaturdzy i ile głupoty zawiera się w samej istocie sztuki scenicznej, nic więc dziwnego, że ci kretyni nie umieją

sobie poradzić nawet z tak prostą sprawą jak zapewnienie każdemu z widzów po jednym fotelu. Wtem jednak spostrzegła jego martwą rękę i natychmiast uległa.

*Wygląda na to, że mamy do wyboru tylko dwa rozwiązania - powiedziała, siąkając nosem. Albo usiądę ci na kolanach, albo wynosimy się stąd.* Wyszło na to, że zrobili jedno i drugie, tylko w odwrotnej kolejności.

*Lubisz kawę?* - spytała, krzątając się po swojej nienagannej kuchni, dotykając wszystkiego po trochu, przedstawiając z miejsca na miejsce, nie patrząc na niego.

*No pewnie.*

*Wielu młodych ludzi za nią nie przepada.*

*Lubię kawę* - zapewnił ją, chociaż w rzeczywistości nie wypił dotąd ani filiżanki.

*Wprowadzę się z powrotem do matki.*

*Co proszę?*

*Kupiliśmy ten dom z myślą o moim małżeństwie, ale wiesz, co się stało.*

*Tak. Przykro mi.*

*No, to napijesz się?* - spytała, muskając palcami wypolerowaną do połysku klamkę szafki.

*No pewnie. Jeśli pani też się napije. Proszę nie parzyć specjalnie dla mnie.*

*Napiję się. Jeśli i ty masz ochotę* - odparła i wzięła do ręki gąbkę, i zaraz z powrotem ją odłożyła.

*Ale proszę nie parzyć specjalnie dla mnie.*

*Też się napiję.*

Dwa lata i sześćdziesiąt dwie kochanki później Safiran zrozumiał, że krwawe łyzy, które zostały na przeście-

radle Listy, były łzami dziewictwa. Przypomniat sobie okoliczności śmierci jej o mały figiel niedoszłego małżonka: gdy rankiem w dniu swojego ślubu szedł uklęknąć przed Zegarem, zawaliło się rusztowanie i pozbawiło go życia, a Listę uczyniło wdową jedynie w sensie duchowym, zanim jeszcze małżeństwo zostało skonsumowane, zanim zdążyła dla męża zakrwawić.

Mój dziadek uwielbiał zapach kobiet. Nosił ich wonie jak pierścionki na palcach, a na końcu języka – jak słowa: nowe kombinacje bynajmniej nie nowych aromatów. Pod tym względem Lista zajmowała w jego pamięci szczególne miejsce – chociaż wcale nie była wyjątkiem ani jako dziewczica, ani jako jednorazowa kochanka – ponieważ ona jedna spośród wszystkich partnerek natchnęła go do tego, że się wykąpał.

*Poszedłem dziś do teatru. Za bardzo się nudziłem, żeby wysiedzieć, póki nie skończy się pierwszy akt. Wypiłem osiem filiżanek kawy. Myślałem, że pęknę. Nie pękłem.*

Trzecia nie była wdową, lecz kolejną przypadkową znajomą z teatru. Znow poszedł tam na zaproszenie kolegi – tego samego, którego porzucił dla Listy – i znow wyszedł bez niego. Tym razem siedział między kolegą a młodą Cyganką, którą wcześniej widywał w jednym ze straganów na niedzielnych jarmarkach w Łucku. Niewiarygodna wydała mu się jej śmiałość: dziewczyna pojawiła się w sztetlu na publicznej imprezie; zaryzykowała poniżenie, jakim groziło jej to, że nieopłacany i nadgorliwy bileter Rubin B. zobaczy ją i wyprosi z sali; ona, Cyganka, usiadła wśród Żydów. Dowodziło to zalet,

których sam czuł się pozbawiony, i coś w nim poruszyło.

Na pierwszy rzut oka długi warkocz, spływający jej przez ramię aż na kolana, skojarzył mu się z wężem, któremu na niedzielnych jarmarkach kazała prześlizgiwać się w tańcu z jednego wysokiego kosza do sąsiedniego; na drugi rzut oka – tak samo. Kiedy światła przygaasty, mój dziadek lewą ręką położył prawą, tę martwą, na oparciu między sobą a dziewczyną. Dopilnował, żeby to zauważyła – i z przyjemnością patrzył, jak jej wargi, początkowo rozluźnione w wyrazie współczucia, napięły się w erotycznym uśmiechu – gdy zaś rozchyliła się ciężka kurtyna, był pewien, że jeszcze tej nocy uda mu się rozchylić cienką spódnicę Cyganki.

*Był osiemnasty marca 1791 roku, zadudnił zza kulisy władczy głos, kiedy ośmiokołowy wóz Trachima B. przygwoździł go albo i nie przygwoździł do dna rzeki Brod. Młode bliźniaczki W. pierwsze zauważyły wypływające na powierzchnię osobliwe drobiazgi...*

*Kurtyna rozjeżdża się, odstawiając prowincjonalne dekoracje: bulgoczący strumyk, który płynie od lewej do prawej z głębi sceny ku proscenium, wiele drzew i opadłych liści oraz dwie dziewczynki, bliźniaczki mniej więcej sześćioletnie, w wełnianych pantalonach z troczkami z przędzy i bluzkach z kołnierzami w kształcie motyli, obszytymi niebieską lamówką.*

## WŁADCZY GŁOS

...trzy puste kieszenie, znaczki pocztowe z dalekich stron, szpilki i igły, kawałki purpurowej tkaniny, pierwsze i jedyne słowa czyjegoś testamentu, ostatniej woli: „Ukochanej mojej wszystko pozostawiam”.

*H a n n a ogłuszająco zarodzi.*

*C h a n a wchodzi do zimnej wody, podciągając wyżej kolan troczki z przędzy u nogawek pantalonów, rozgarnia na boki okruchy życia T r a c h i m a, które wypływają na powierzchnię, i wchodzi głębiej.*

ZHAŃBIONY LICHWIARZ JANKIEL D. *kuśtyka w stronę dziewcząt, a nadržeczne błoto tryska mu spod stóp*

Ja się was pytam, co też wy tam robicie, niemądre dziewczynki? Woda? Woda? Przecież nie ma w niej nic do oglądania! To tylko takie ciekłe coś. Nie wchodźcie! Nie bądźcie takie głupie, jaki ja kiedyś byłem. Życie to nie jest uczciwa zapłata za idiotyzm.

BICL BICL R. *śledzi to zamieszanie ze swojej łódki, przywiązanej szpagatem do jednego z wiecierzy*

Hola, co się tam wyprawia? Zły Jankielu, odejź od bliźniaczek rabina, od jego córek płci żeńskiej!

SAFRAN *C y g a n c e prosto do ucha, pod żółtą kołdrą z przygaszonych świateł rampy*

Lubisz muzykę?

CHANA *ze śmiechem rozchlapuje zbieraninę różnych różności, która wyrasta wokół niej jak ogród*

Wyływają niesamowicie fikuśne rzeczy!

CYGANKA *wśród cieni dwuwymiarowych drzew, z ustami przy uchu S a f r a n a*

Co mówisz?

SAFRAN *ruchem ramienia spycha swoją martwą rękę na kolana Cy g a n k i*

Byłem ciekaw, czy lubisz muzykę.

SOFIJÓWKA N. *wychodząc zza drzewa*

Widziałem wszystko, co się wydarzyło. Byłem naocznym świadkiem.

CYGANKA *ściskając martwą rękę S a f r a n a między udami*

Nie, nie lubię muzyki.

*Ale tak naprawdę chciała przez to powiedzieć: Lubię muzykę bardziej niż cokolwiek na świecie, oprócz ciebie.*

ZHAŃBIONY LICHWIARZ JANKIEL D.

Trachim?

SAFRAN

*Kurz sypie się z krokwi, a on w ciemnościach szuka ustami karmelowego ucha Cy g a n k i.*

Pewnie nie masz czasu słuchać muzyki.

*Ale tak naprawdę chciał przez to powiedzieć: Głupi to ja nie jestem, wiesz?*

SZLOIM W.

Pytam się, ja się pytam, co to za jeden, ten jakiś Trachim? Śmiertelny es-flores?

*Dramaturg uśmiecha się, siedząc na jednym z tanich miejsc. Stara się wyczuć reakcję publiczności.*

ZHAŃBIONY LICHWIARZ JANKIEL D.

Na razie niczego jeszcze do końca nie zgłębiliśmy.  
Nie spieszmy się tak.

GŁOS Z JASKÓŁKI *szept nie wiadomo skąd*

To takie niewiarygodne. Wcale niepodobne do tego, co się naprawdę wydarzyło.

CYGANKA *międląc między udami martwą rękę S a f r a n a, sunąc palcem po zgięciu jego nieczułego łokcia, szczypiąc go w to zgięcie*

Prawda, że tu gorąco?

SZLOIM W. *szybko się rozbiera, obnażając kałdun okazałszy niż większość brzuchów oraz plecy porośnięte spilsnioną gęstwą czarnych kędziorów*

Zasłońcie im oczy.

*Nie dla ich dobra, tylko dla mojego. Wstydzę się.*

SAFRAN

Bardzo gorąco.

NIEUTULONA W ŻALU SZANDA *do Szloima, gdy ten wynurza się z wody*

Jechał w osamotnieniu czy z żoną ślubną od lat wielu?

*Ale tak naprawdę chciała przez to powiedzieć: Po tym wszystkim, co się wydarzyło, wciąż jednak wierzę, że jest jeszcze nadzieja. Jeśli nie dla mnie, to dla Trachima.*

CYGANKA *splatając palce z palcami martwej dłoni*  
*S a f r a n a*

A nie możemy stąd wyjść?

SAFRAN

Proszę.

SOFIJÓWKA N.

Tak, to były listy miłosne.

CYGANKA *z oczekiwaniem, z wilgocią między nogami*  
Wyjdźmy.

RABIN STRZELISTY

I pozwólcie życiu toczyć się dalej w obliczu tej śmierci.

SAFRAN

Tak.



*Muzycy przygotowują się do kulminacji. Strojenie czworga skrzypiec. Chuchanie na harfę. Trębacz, który tak naprawdę jest oboistą, z trzaskiem wyciąga sobie palce. Młoteczki pianina wiedzą, co za chwilę nastąpi. Batuta, która tak naprawdę jest nożem do masła, wznosi się jak instrument chirurgiczny.*

ZHAŃBIONY LICHWIARZ JANKIEL D. z rękami uniesionymi ku niebu, ku mężczyznom, którzy celują punktowcami  
Może powinniśmy zacząć żniwo szczątków.

SAFRAN

Tak.

*Wchodzi muzyka. Piękna muzyka. Zrazu ściszona. Szeptem. Nikt ani szpilki nie upuści. Tylko muzyka. Niepostrzeżenie nabrzmiewa. Wywleka się z grobu ciszy. Fosę orkiestry wypełnia pot. Nastrój oczekiwania. Wchodzi łagodny warkot kotłów. Wchodzą flet piccolo i altówka. Zapowiedzi crescendo. Skok adrenaliny, i to po tylu przedstawieniach. Wciąż jednak wrażenie nowości. Muzyka narasta, rozkwita.*

WŁADCZY GŁOS z pasją

Bliźniaczki zasłoniły sobie oczy ojcowskim tałesem.

*C h a n a i H a n n a* zastaniają oczy tałesem.

Ich ojciec odśpiewał długą i inteligentną modlitwę za niemowlę i jego rodziców.

*Rabin Strzelisty spogląda na własne dłonie, kiwa głową, gestami markując modlitwę.*

Twarz Jankiela okrył woal łez jego własnego łkania.

*Jankiel gestami markuje łkanie.*

Narodziło nam się dziecię!

*Ściemnienie. Jednoczą się połówki kurtyny. Cyganka rozchyła uda. Aplauz zmieszany ze szmerem przyciszonych rozmów. Trupa teatralna przygotowuje scenę do kolejnej odłony. Muzyka wciąż narasta. Trzymając go za martwą prawą rękę, Cyganka wyprowadza Safra na z teatru i wiedzie labiryntem błotnistych zaułków, mija wraz z nim rozstawione koło starego cmentarza stragany ze słodyczami, prowadzi go pod pędami pnączy, zwisającymi ze splekanego portyku synagogi, i dalej przez rynek – gdzie na chwilę rozdziela ich ostatnia już w tym dniu smuga cienia, którą Zegar wskazuje godzinę – wzdłuż grząskiego brzegu Brodu, po linii uskoku między dzielnicą żydowską a ludzką, pod rozkołysanymi parasolami palm, nieustraszenie kroczą wśród cieni szczerbatej skały i dalej po drewnianym moście...*

CYGANKA

Chciałbyś zobaczyć coś, czego jeszcze nigdy nie widziałeś?

SAFRAN *ze szczerością, jakiej dotychczas nie znał*

Chciałbym. Chciałbym.

...przez gąszcz jeżyn i czarnych borówek wchodzą w skamieniały las, którego S a f r a n nigdy nie widział. C y g a n k a ustawia go pod skalistym baldachimem olbrzymiego klonu, ujmuje jego martwą rękę i wśród cieni kamiennych gałęzi, bez reszty oddając się nostalgii za wszystkim, szepcze mu do ucha (coś, czego nikt inny nie ma zaszczytu słyszeć), wsuwa jego martwą dłoń pod rąbek swojej cienkiej spódnicy, mówi) Proszę (zgina nogi w kolanach), proszę (kuca jeszcze niżej, nadzierwając się na jego martwy palec wskazujący, tak (crescendo), tak (kładzie karmelową dłoń na górnym guziku jego wieczorowej koszuli, kołysze się w talii), proszę (trąbka tusz, skrzypce tusz, kotły tusz, czynele tusz), tak (zmierzch rozlewa się po nocnym pejzażu, nocne niebo jak gąbka chłonie ciemność, wyciągają się szyje), tak (zamykają się oczy), proszę (rozchylają się usta), tak (Dyrygent upuszcza batutę, nóż do masła, skalpel, jad, wszechświat, czerń.)

12 grudzień 1997

*Drogi Jonathan!*

*Powitania z Ukrainy. Właśnie otrzymałem twój list i przeczytałem go wielukrotnie, nie pomieniając tych partii, które odczytałem na głośno Igorku. (Czy już ci mówiłem, że on czyta twoją powieść równoległe z moją jej lekturą? Tłumaczę mu ją i też jestem tobie redaktor.) Nie wypowiem nic ponad to, że obaj wyczekujemy ostatków. Daje nam to do myślenia i dyskusowania. Zarównież jak i do śmiechu, a bardzo go wymagamy.*

*Tyle chcę ci powiadomić, Jonathan, ale nie umiem wysondować odpowiedniej manieri. Chcę ci powiadomić o Igorku, jaki z niego bratek prima sort, i o Matce, która jest bardzo, bardzo pokorna, jak już nieraz ci zauważałem, nie mniej jednakowszem dobra z niej persona i nie mniej jednakowszem moja Matka. Może nie odmalowałem jej w takich barwach, w jakich byłem powinien. Jest dla mnie dobra i zanigdy dla mnie zła i tak właśnie masz ją widzieć. Chcę ci powiadomić o Dziadku i o tym, jak on wielu godzinami widokuje telewizję i już nie może świadczyć moich oczu, tylko musi zważać na coś zza moich plec. Chcę ci powiadomić o Ojcu i o tym, że wcale*

nie jestem karykaturą, kiedy twierdzę, że usunąłbym go ze swojego życia, gdybym nie był takowy tchórz. Chcę ci powiadomić, co to syngalezuje być mną, bo akurat o tym wciąż nie posiadasz ani szeptu. Może jak przeczytasz następny oddział mojej fabuły, to pojmiesz. To był najtrudniejszy oddział ze wszystkich, które do tych pór skomponowałem, ale na pewniaka ani trochę nie tak trudny jak to, co ma dopiero nastąpić. Odkładałem na potem coś, co wiem, że prędzej czyli później zdziałać muszę, to jest wskazać palcem na Dziadka, jak wskazuje palcem na Herszla. Bez powątpienia sam to obserwowałeś.

Dostałem wielu domiosłych nauczek z twojego pisania, Jonathan. Jedna nauczka byłaby taka, że nieważne, czy jesteś niewinny, delikatny czy skromny. Prosto bądź sobą. Nie mogłem uwierzyć, że twój dziadek był taki zaniżony persona, żeby ucieleśnić się z siostrą swojej żony, i to w dniu własnego ślubu, a na dodatku ucieleśnić się z nią stojący, która to aranżacja jest strasznie zaniżona, z powodów tobie chyba świadomych. No i jeszcze ucieleśnia się z tą postarzałą, która na pewniaka miała bardzo luźne puzdro, a ja więcej już w tej ropie nie wypowiem. Jak możesz to czynić swojemu dziadku, pisać w takiej manierze o jego życiu? Mógłbyś w tej manierze pisać, gdyby dziadek jeszcze żył? A jeśli nie, to co to syngalezuje?

Mam jeszcze dalszą sprawę do omówienia w kwestii twojego pisania. Po czemu kobiety zakochują się z twoim dziadkiem z powodu jego martwe ramię? Czy po temu je kochają, że dzięki niemu mogą czuć się silniejsze niż twój dziadek? A może kochają je od współczucia, a tacy już jesteśmy, że przeważniej pokochiwamy to, nad czym współczujemy? Albo może je kochają, bo to taki domiosły symbol śmierci? Pytam, bo nie znam.

*Posiadam tylko jedną uwagę obnośnie twoich uwag obnośnie mojego pisania. Co się dotyka twojej komendy, żebyś usunął oddział, w którym mówisz o swojej babce, muszę ci powiedzieć, że to nie jest możliwość. Zaakceptuję, jeżeli z powodu mojej decyzji postanowisz nie zofiarować mi więcej ani waluty albo skomenderujesz mi posilić ci wspaniałą tą walutę, którą mi podarowałaś w przeminionych miesiącach. Powiadamiam ci, że w takim bądź razie rozrachowałbym się co do każdego dolara.*

*Bardzo koczowniczo obchadzamy się z prawdą, tak? My obaj? Myślisz, że to do przyjęcia, kiedy piszemy o rzeczach zdarzonych? Jeżeli odpowiesz zaprzeczająco, to po czemu piszesz o Trachimbrodzie i o swoim dziadku w takiej manierze, w jakiej piszesz, i po czemu komenderujesz mi wymijać prawdę? A jeżeli odpowiesz zatwierdzająco, to wyłonia się następne pytanie: skoro już mamy obchodzić się z prawdą tak koczowniczo, to po czemu nie z działamy fabuły bardziej pierwszorzędnej niż jest życie? Wydaje mi się, że działamy fabułę nawet zaniższą. Często przedstawiamy się, jakbyśmy byli durni ludzie, a naszą wojaż, która nader była wszak uszlachcona, przedstawiamy jako coś całkiem normalne i drugorzędnicze. Moglibyśmy dać twojemu dziadku dwie ręce i przeinaczyć go na hi-fi. Moglibyśmy dać Brod to, co jej się przynależy, za miast tego, co jej wpada w przydziale. Moglibyśmy nawet znaleźć Augustynę, Jonathan, i mógłbyś jej podziękować, a dziadek i ja moglibyśmy się uściskać, i wszystko mogłoby być doskonałe i piękne, i śmieszne, i użytecznie smutne, jak ty to marwiasz. Moglibyśmy nawet wpisać do twojej fabuły twoją babkę. Tego przecież jesteś spragniony, tak? I to mi nadsuwa myśl, że może*

*i Dziadka udałoby się nam wpisać do fabuły. Może - tak sobie tylko wymarwiam - moglibyśmy tak skutecznie, żeby to on uratował twój dziadka. Mógłby być Augustyn. No, może August. Albo prosto Aleks, jeśli to cię satysfakcjonuje. Chybabyśmy mogli nadać życiu pozór znakomity aż do wręcz bezgraniczności.*

*Niewinnie,  
Aleksandr*

CO ZOBACZYLIŚMY, KIEDY  
ZOBACZYLIŚMY TRACHIMBROD,  
*czyli*  
ZAKOCHANIE

„NIGDY NIE BYŁAM w żadnym takim” – powiedziała kobieta, którą dalej w myślach nazywaliśmy Augustyną, chociaż wiedzieliśmy, że to nie Augustyna. Wy mogło to na Dziadku, że obficie się roześmiał. „Z czego on się śmieje?” – spytał Gieroj. „Ona nigdy nie jechała autem”. „Naprawdę?” „Nie ma czego się bać” – upewnił ją Dziadek. Otworzył przed nią frontowe drzwiczka i sunął dłonią nad siedzeniem, żeby pokazać, że nie jest niegodziwe. Wyglądało, że najzwyczajniejsza przyzwoitość każe poświęcić jej frontowe siedzenie, nie tylko po temu, że była bardzo stara kobieta, co odniosła wielu strasznych rzeczy, lecz i po temu, że po najpierwszy raz miała zasiąść do auta, a uważam, że najbardziej oszałamiająco jest siedzieć z frontu. Gieroj mi później powiedział, że to się nazywa „siedzieć na *Todplatz*”. Augustyna siadła na *Todplatz*. „Nie będziecie podróżować ze zbytnim rozpędem?” – zapytała. „Nie” – powiedział Dziadek, aranżując sobie brzuch pod kierownicą. „Powiedz jej, że samochód to bardzo bezpieczny środek do lokomocji,



więc niech się nie boi”. „Samochody to bezpieczne rzeczy – powiadomiłem jej. – Niektóre mają nawet poduszki powietrzne i strefy zgniotu, chociaż ten akurat nie ma”. Chyba nie była przysposobiona na odgłos *brmmmm*, który wytworzyło auto, bo krzyknęła obficie. Dziadek uciszył samochód. „Nie mogę” – powiedziała.

I co zdziaaliśmy? Pojechaliśmy autem za Augustyną, która szła. (Sammy Davis Junior, Junior szła obok, żeby ją akompaniować, no i żebyśmy nie musieli węszyć w aucie sucze pierdy.) Augustyna powiedziała, że to tylko kilometr odległości, więc jakoś podoła dojść i dotrzemy, zanim zanadto się zaciemni, żeby cośkolwiek dało się uświadczyc. Muszę powiedzieć, że bardzo dziwacznie się jechało za kimś, kto idzie, zwłaszcza kiedy personą idącą była Augustyna. Była tylko wydolna przejść kilka dziesiątek metrów i zaraz się fatygowała, i musiała zdziałać rozziew. Kiedy tak rozziewała, Dziadek zatrzymywał auto, a ona siadała na *Todplatz*, dopóty nie była gotowa znowu iść dalej na ten swój dziwny sposób.

„Macie dzieci?” – spytała Dziadka, kiedy tak zbierała oddech. „Oczewidno” – odparł. „Jestem jego wnuk” – powiedziałem od tyłu i napawiłem się jak bardzo dumny persona, bo chyba po pierwszy raz wtedy rzekłem to na głośno, i postrzegłem, że Dziadek też się napawił wielką dumą. A ona bardzo się uśmiechnęła. „Nie wiedziałam”. „Mam dwóch synów i córkę – objaśnił Dziadek. – Sasza to syn od mojego najbardziej postarzałego syna”. „Sasza – powtórzyła, jakby spragniona usłyszeć, jak zabrzmie moje imię, kiedy sama je wymówi.

- A wy macie dzieci?" - spytała mnie. Roześmiałem się, bo to mi się wydało bardzo dziwaczne pytanie. „On jeszcze młody” - odparł Dziadek i położył mi rękę na ramię. Bardzo mnie to wzruszyło, że czuję jego dotyk, który mi przypomina, że ręce mogą okazać a jakże miłość. „O czym rozmawiacie?” - spytał gieroj. „A on ma dzieci?” „Ona chce wiedzieć, czy masz dzieci” - przetłumaczyłem gieroju, wiedząc, że to go rozśmieszy. Nie rozśmieszyło. „Mam dwadzieścia lat” - powiedział. „Nie - objaśniłem jej. - W Ameryce to nieprzyjęte mieć dzieci”. Roześmiałem się, bo wiedziałem, jak durno w tym zabrzmiałem. „A rodziców ma?” - zapytała. „Oczewidno - powiedziałem. - Ale jego matka puściła się do pracy, więc ojcu często przydarza się wyrządzić obiad”. „Świat zawsze się zmienia” - powiedziała. „A pani ma dzieci?” - spytałem. Dziadek sprezentował mi na swojej twarzy minę, co syngalezowała: Cicho być. „Nie musi pani odpowiadać na to pytanie - rzekł jej - jeśli pani nie jest spragniona”. „Mam malutką dziewczynkę” - odparła, a ja wiedziałem, że to już kres konwersacji.

Kiedy Augustyna szła, to niewyłącznie szła. Podnosiła kamienie i usuwała je na pobocze. Jeśli uświadczyła coś ze śmieci, też podnosiła i usuwała na pobocze. Kiedy na drodze nie było nic, rzucała kamień parę metrów przed siebie i go odzyskiwała, a potem znowu przedsięwzięła. Konsumowało to wielość czasu i nigdy nie ruszaliśmy się ani szybciej niż pomału. Uważyłem, że Dziadka to pognębia, bo trzymał kierownicę z wielką siłą, no i powiedział: „To mnie pognębia. Będzie ciemno, zanim dojedziemy”.

„Jesteśmy blisko - mawiała wielokrotnie. - Już niedługo. Niedługo”. Poścignęliśmy za nią z drogi w pole. „Tak można?” - spytał Dziadek, a ona: „Kto nam zapobieże?”, i palcem pokazała, że w promieniu wielkiej dali nikogo nie istnieje. „Ona mówi, że nikt nas nie zapobieże” - obznajmiłem gieroju. Miał dokooła szyi kamerę i wyczekiwał wielu fotografii. „Nic tu już nie rośnie - powiedziała kobieta. - Nikt tu nawet nie jest właściciel. To już tylko ziemia. Kto by jej chciał?” Sammy Davis, Junior, Junior zagalopowała się na maskarę auta i siadła jak znak Mercedesu.

Wytrwale ścigaliśmy za Augustyną, a ona wytrwale rzucała przed siebie ten swój kamień i potem znów go podbierała. Ścigaliśmy za nią, ścigaliśmy coraz dalej. Tak jak i Dziadka, mnie to również pognebiało, a przynajmniej gmatwało. „Już tędy jechaliśmy - powiedziałem. - Raz już uświadczyliśmy to miejsce”. „Co tu się dzieje? - spytał gieroj z zadniego siedzenia. - Jeździmy już godzinę i do nikąd nie zajechaliśmy”. „Myśli pani, że niedługo będziemy na miejscu?” - zapytał Dziadek, ruszając auto tuż do niej. „Niedługo - odparła. - Niedługo”. „Ale będzie już ciemno, tak?” „Ruszam się najszybciej, jak mogę”.

No więc wytrwale za nią ścigaliśmy. Prześcigaliśmy za nią poprzez wielu pól i w wielu lasach, które autu były trudne. Ścigaliśmy za nią po drogach ze skał, a także po piachu i po trawie. Słyszałem, że insekty zaczynają już zwiastować, i po tym właśnie poznałem, że nie zobaczymy Trachimbrodu, zanim nadejdzie noc. Prześcignę-

liśmy za nią obok trzech stopni, które były bardzo załamane i wyglądało, że onegdaj wprowadzały w domy. Położyła rękę na trawie przed każdym z nich. Stawało się coraz bardziej ciemno – ciemniej? – kiedy tak ścigaliśmy za nią po szlakach, jak i tam, gdzie nie były żadne szlaki. „Ledwo ją uświadczyć” – ogłosił Dziadek, a chociaż jest ślepy, zeznam, że uświadczyć jej rzeczywiście stawało się prawie niesposobna. Było tak ciemno, że czasem musiałem skosić oczu, żeby dopatrzeć jej białą sukienkę. Całkiem jakby była duch i raz wchodziła nam w widok, a raz nam z widoku wychodziła. „Gdzie ona się podziała?” – spytał gieroj. „Jest, jak była – odparłem. – Patrz”. Przeminieliśmy miniaturowy ocean – jezioro? – i wjechaliśmy w małe pólko, z trzech stron obtoczone drzewami, a z czwartej wyciągnięte w przestrzeń, od której słyshałem daleką wodę. Było tymczasem za ciemno, żeby uświadczyć nieomal cośkolwiek.

Doścignęliśmy za Augustyną aż do poblisko środka pola i tam ona ustała iść. „Wysiadaj – powiedział Dziadek. – Znowu rozziew”. Przesunąłem się na zadnie siedzenie, żeby Augustyna mogła zasiąść na *Todplatz*. „Co się dzieje?” – zapytał gieroj. „Ona rozziewa”. „Znowu?” „To bardzo postarzała kobieta”. „Pani zmęczona? – spytał jej Dziadek. – Dużo się pani naszała”. „Nie – odparła. – Jesteśmy na miejscu”. „Ona mówi, że jesteśmy na miejscu” – przetłumaczyłem gieroju. „Co takiego?” „Przecież wam powiadomiłam, że nic tu nie będzie – powiedziała. – Wszystko zniszczyli”. „Jak to, jesteśmy na miejscu?” – dociekł gieroj. „Powiedz mu, że to przez tą

ciemność – rzekł do mnie Dziadek – bo jakby było widno, tobyśmy więcej увидzieli”. „Jest tak ciemno” – powiedziałem gieroju. „Nie – przetrąciła ona. – Tak a tak увидzielibyście tylko tyle. Tu zawsze tak jest, zawsze ciemno”.

Upraszam siebie odmalować Trachimbrod, więc rozumiesz, po czemu byliśmy tacy zoszołomieni. Nie było tam prosto nic. Kiedy wymawiam „nic”, nie znaczy, że nie było nic oprócz dwóch domów i trochę drewna na ziemi, i kawałków szkła, i dzieciatych zabawek, i fotografii. Kiedy wymawiam, że nie było tam nic, zamyślam, że nie było tam żadnej z pomienionych rzeczy ani żadnej innej rzeczy, która jest. „Jak to?” – spytał gieroj. „Jak to? – spytałem Augustyny. – Jak mogło cośkolwiek kiedykolwiek tu istnieć?” „To było raptem” – powiedziała, i mnie by to już wystarczyło. O nic bym więcej nie zapytał, o nic więcej nie powiedział, i gieroj chyba też nie chciał pytać ani powiadać. Ale Dziadek rzekł: „Pani mu powie”. Augustyna umiejscowiła ręce tak daleko w kieszeniach sukienki, że wyglądało, jakby za zakolami nie miała już nic. „Pani mu powie, co się stało”. „Nie wszystko wiem”. „Pani mu powie, co pani wie”. Dopiero wtedy zrozumiałem, że ten jakiś „mu” znaczy „mnie”. „Nie” – odparła. „Proszę” – uporał się. „Nie” – powiedziała. „Proszę”. „Zrozumcie, że to wszystko było bardzo raptem. Człowiek biegł i nie mógł się troszczyć, co jest za nim, boby przestał biec”. „Czołgi?” „Pewnego dnia”. „Pewnego dnia?” „Niektórzy odprawili się wcześniej”. „Zanim tamci przyszli?” „Tak”. „Ale nie pani”.

„Nie”. „Miała pani szczęście, że wytrzymała”. Cisza. „Nie”. Cisza. „Tak”. Cisza. I z tym oto mogliśmy poprzestać. Mogliśmy obejrzeć Trachimbrod, wrócić się do auta i poścignąć za Augustyną wspaniale ku jej domu. Gieroj mógłby powiedzieć, że był w Trachimbrodzie, mógłby nawet powiedzieć, że spotkał Augustynę, a Dziadek i ja moglibyśmy powiedzieć, że wykonaliśmy zadanie. Ale Dziadek nie był temu kontent. „Pani mu powie – powtórzył. – Pani mu powie, co się stało”. Nie byłem zewstydzony ani zestrachany. W ogóle nie byłem nic. Byłem tylko spragniony wiedzieć, co się następane stanie. (Nie zamyślam, co się następane stanie w fabule Augustyny, tylko pośród Dziadkiem a nią.) „Urządzili nas w szeregi – powiedziała. – Mieli rejestry. Poczynali logicznie”. Tłumaczyłem gierojowi, co mówi Augustyna. „Spalili synagogę”. „Spalili synagogę”. „To było pierwsze, co zrobili”. „To pierwsze zrobili”. „Potem wszystkich mężczyzn urządzili w szeregi”. Nie możesz wiedzieć, co to było za uczucie, kiedy musiałem słuchać tych rzeczy, a później je powtarzać, bo gdy je powtarzałem, czułem się, jakbym przywracał im nowość. „A potem?” – spytał Dziadek. „To było w środku miasta. Tu – powiedziała, wskazując palcem w ciemność. – Rozwinęli przed nimi Torę. Coś straszne. Mój ojciec zawsze kazał nam całować każdą książkę, która dotknęła ziemi. Książki kucharskie. Książeczki dla dzieci. Kryminały. Sztuki teatralne. Powieści. Nawet niezapisane pamiętniki. Generał szedł wzdłuż szeregu i każdemu mężczyźnie kazał splunąć na Torę, bo jak nie, to mu zabiją rodzinę”.

„To nieprawda” - rzekł Dziadek. „To prawda - rzekła Augustyna i wcale nie płakała, co mnie bardzo zadziwiło, ale teraz już rozumiem, że znalazła dla swojej melancholii zakamarki grubiej zamaskowane niż tylko samymi oczami. - Pierwszy w szeregu stał Josef, co był szewcem. Człowiek z blizną na twarzy powiedział: Pluj, i przytknął Rebecę lufę do głowy. Rebeka była córką Josefa i moją bliską przyjaciółką. Grywałyśmy w karty - o, tam - wskazała palcem w ciemność - i zwierzałyśmy sobie sekrety o chłopcach, w których się kochałyśmy i chciałyśmy za nich wyjść”. „Splunął?” - zapytał Dziadek. „Splunął. A wtedy Generał powiedział: Podepcz ją”. „A on posłuchał?” „Tak”. „Podeptał ją” - przetłumaczyłem gieroju. „Potem podszedł do drugiego w szeregu. Drugi był Icie. Przychodziłam do niego do domu - o, tam - wskazała palcem w ciemność - a on mnie uczył rysować. Przesiadaliśmy do późna, rysując i śmiejąc się. W niektóre wieczory tańczyliśmy przy muzyce z płyt ojca. Icie był moim przyjacielem, a kiedy jego żona urodziła dziecko, opiekowałam się nim jak własnym. Pluj, powiedział niebieskooki i włożył lufę w usta żonie Iciego, tak po prostu” - powiedziała, wkładając sobie palec do ust. „Splunął?” - spytał Dziadek. „Tak”. „Splunął” - powiedziałem gieroju. „A wtedy Generał kazał mu przekląć Torę i tym razem włożył lufę w usta synowi Iciego”. „A Icie posłuchał?” „Tak. I wtedy Generał kazał mu własnymi rękami rozedrzeć Torę”. „I rozdarł?” „Rozdarł”. „A potem Generał podszedł do mojego ojca”. Nie było aż tak ciemno, żebym nie widział, jak Dziadek

zamknął oczy. „Pluj, powiedział”. „Splunął?” „Nie – odparła takim tonem, jakby to było pierwsze lepsze słowo z jakiegokolwiek innej opowieści, pozbawione wagi, jaką w tej akurat miało. – Pluj, powiedział jasnowłosey Generał”. „A on nie splunął?” Nic nie powiedziała, ale obróciła głowę stąd tam. „Włożył lufę w usta mojej matce i powiedział: Pluj, bo inaczej”. „Włożył w usta jej matce”. „Nie” – powiedział gieroj bez nagłośnienia. „Zabiję ją na miejscu, jeżeli nie spluniesz, powiedział Generał, ale on nie chciał splunąć”. „No i?” – spytał Dziadek. „No i ją zabił”. Powiem ci, że cała ta historia najstraszniejsza była właśnie po temu, że posuwała się tak raptem. Nie chodzi mi o to, co się działo w samej historii, lecz o sposób opowiadania. Czuję, że nie da się jej przerwać. „To nieprawda” – powiedział Dziadek, ale tylko do siebie. „I wtedy Generał włożył lufę w usta mojej młodszej siostrze, która miała cztery lata. Bardzo płakała. Pamiętam to. Pluj, powiedział, pluj, bo inaczej”. „Splunął?” – spytał Dziadek. „Nie” – odparła. „Nie splunął” – powtórzyłem gieroj. „Czemu nie splunął?” „I wtedy Generał zastrzelił moją siostrę. Nie mogłam na nią patrzeć, ale pamiętam ten odgłos, kiedy uderzyła o ziemię. Słyszę go za każdym razem, jak coś spada. Cokolwiek”. Gdybym tylko mógł, zrobiłbym tak, żeby już nigdy nic nie upadło na ziemię. „Nie chcę już więcej słyszeć” – powiedział gieroj, więc odtąd zaniechałem tłumaczyć. (Jonathan, jeżeli wciąż nie chcesz wiedzieć reszty, nie czytaj dalej. Ale jeżeli jednak wytrwasz, nie rób tak dla ciekawości. To niewystarczający powód.)



„Mojej starszej siostrze rozdarli sukienkę. Siostra była w ciąży, z wielkim brzuchem. Jej mąż stał na końcu szeregu. Tutaj urządzili sobie dom”. „Gdzie?” – spytałem. „Tu, gdzie stoimy. Jesteśmy w sypialni”. „Jak pani poradzi to uważać?” „Bardzo marża, pamiętam, chociaż było lato. Ściągnęli jej majtki i jeden włożył koniec lufy w to jej miejsce, a reszta śmiała się do rozpuku, zawsze pamiętam ten ich śmiech. Pluj, powiedział Generał mojemu ojcu, pluj, bo jak nie, to już po dziecku”. „Splunął?” – spytał Dziadek. „Nie – odparła. – Odwrócił głowę, a oni strzelili siostrze w to jej miejsce”. „Czemu nie splunął?” – zapytałem. „Ale siostra nie umarła. Więc włożyli jej lufę do ust, kiedy tak leżała na ziemi, płacząc i krzycząc, zasłaniając rękami to swoje miejsce, z którego chlustała krew. Pluj, powiedział Generał, bo jak nie, to jej nie zastrzelimy. Proszę, powiedział ojciec, nie w ten sposób. Pluj, powiedział Generał, bo pozwolimy jej leżeć tu w bólu i umierać poprzez czas”. „Splunął?” „Nie. Nie splunął”. „No i?” „No i jej nie zastrzelili”. „Czemu? – spytałem. – Czemu nie splunął? Taki był religijny?” „Nie – odparła – nie wierzył w Boga”. „Był głupi” – rzekł Dziadek. „Nie macie racji” – powiedziała. „To wy nie macie racji” – odparł Dziadek. „Nie, to wy” – powtórzyła. „I co dalej?” – spytałem i muszę się wyznać, że było mi wstyd własnej dociekliwości. „Przytknął lufę do głowy mojemu ojcu. Pluj, powiedział Generał, to cię zabijemy”. „No i?” – spytał Dziadek. „I splunął”. Gieroj był zdystansowany o kilka metrów i układał ziemię do przeźrocznej plastikowej torebki z zaciskiem u góry.

Mówił mi potem, że to dla jego babki, gdyby miał kiedykolwiek opowiedzieć jej o swojej podróży. „A pani? – spytał Dziadek. – Gdzie pani wtedy była?” „Tam”. „Gdzie? Jak się pani uratowała?” „Moja siostra, już wam mówiłam, nie umarła. Zostawili ją na ziemi po tym, jak jej strzelili w to jej miejsce. Zaczęła się stamtąd czołgać. Nogi miała bezwładne, ale podciągała się na rękach. Zostawiała za sobą smugę krwi i bała się, że po tej smudze ją znajdą”. „Zabili ją?” – spytał Dziadek. „Nie. Stali i się śmiali, kiedy tak się czołgała. Dokładnie pamiętam, jak brzmiał ten ich śmiech. O, tak – zaśmiała się w ciemność – HA HA HA HA HA HA HA HA HA HA. Wszyscy chrześcijanie patrzyli na to ze swoich okien, a ona do każdego wołała: Pomocy, proszę, pomóżcie mi, umieram”. „Pomogli?” – spytał Dziadek. „Nie. Wszyscy odwrócili twarze i pochowali się. Nie mogę mieć im za złe”. „Po czemu nie?” – zapytałem. „Po temu – odparł Dziadek w imię Augustyny – że gdyby pomogli, zabito by ich razem z ich rodzinami”. „A ja i tak miałbym im za złe” – powiedziałem. „Umie im pani wybaczyć?” – spytał Dziadek. Zamknęła oczy, żeby powiedzieć: Nie, nie umiem im wybaczyć. „Byłbym spragniony, żeby ktoś mi pomógł” – powiedziałem. „Ale – rzekł Dziadek – sam byś czelowieku nie pomógł, gdyby to syngalezowało, że wymordują cię razem z całą twoją rodziną”. (Zastanawiałem się nad tym poprzez wiele chwil i wreszcie zrozumiałem, że miał rację. Wystarczyło, że pomyślałem o Igorku, i zaraz nabrałem pewności, że ja też odwróciłbym się i ukrył twarz.) Uczyniło się już tak

mętnie, bo uczyniło się późno, no i bo w promieniu wielu kilometrów nie było żadnych sztucznych świateł, że nie widzieliśmy się nawzajem, tylko słyszeliśmy głosy. „A ty byś im wybaczył?” – spytałem Dziadka. „Tak – odparł. – Tak. Postarałbym się”. „Mówicie tak tylko po temu, że nie umiecie sobie wyobrazić, jak to jest” – powiedziała Augustyna. „Umieć”. „To nie jest coś wyobrażalne. To po prostu jest. Po czymś takim nie ma już miejsca na żadne wyobrażanie”.

„Tak tu ciemno” – powiedziałem, i brzmiało to dziwacznie, ale czasem lepiej powiedzieć coś dziwaczne niż nie powiedzieć nic. „Tak” – rzekła Augustyna. „Tak tu ciemno” – powiedziałem gieroju, który tymczasem wrócił z torebkami ziemi. „Tak – odparł. – Bardzo ciemno. Nie przywykłem być tak daleko od sztucznych świateł”. „To prawda” – wyznałem. „I co się z nią stało? – spytał Dziadek. – Uciekła, tak?” „Tak”. „Ktoś ją uratował?” „Nie. Pukała do stu drzwi i nie otworzyły się ani jedno. Dowlokła się do lasu i tam zasnęła z upływu krwi. W nocy obudziła się, oblepiona zakrzepłą krwią, i czuła się jak nieżywa, ale to tylko dziecko nie żyło. Dziecko przyjęło kulę i uratowało matkę. Prosto cud”. Teraz już wszystko działo się nazbyt raptem, żebym nadążył rozumieć. Chciałem ogarnąć rozumem całość, ale trzeba by roku na każde słowo. „Miała jeszcze dość sił, żeby iść bardzo wolnym krokiem. No więc wróciła w Trachimbrod po smudze własnej krwi”. „Czemu wróciła?” „Była młoda i bardzo głupia”. (Czy to dlatego wróciliśmy, Jonathan?) „Bała się, że ją zabiją, tak?” „Tego akurat

nie bała się ani trochę”. „I co się zdarzyło?” „Było bardzo ciemno i wszyscy sąsiedzi spali. Niemcy byli już w Kołkach, więc ich się nie bała. Chociaż i tak nie bałaby się, nawet gdyby. Z ciszą przeszła przez żydowskie domy i pozbierała wszystko, wszystkie książki i ubrania i wszystko”. „Po co?” „Żeby tamci nie zabrali”. „Naziści?” „Nie – odparła. – Sąsiedzi”. „Nie” – rzekł Dziadek. „Tak” – rzekła Augustyna. „Nie”. „Tak”. „Nie”. „Podeszła do ciał, które leżały w dziurze przed synagogą, i powyjmowała złote plomby, i obcięła włosy, na ile zdołała, nawet własnej matce, nawet mężowi, nawet sobie”. „Czemu? Jak?” „A potem?” „Ukryła to wszystko w lesie, żeby móc odnaleźć, kiedy już wróci, i poszła przed siebie”. „Gdzie potem była?” „Różnie”. „Ale gdzie?” „W Rosji. Gdzie indziej też”. „A jeszcze później?” „Później wróciła”. „Po co?” „Żeby pozbierać wszystko, co poukrywała, i zobaczyć, co jeszcze zostało. Każdy, kto wracał, był pewien, że zobaczy swój dom i przyjaciół, i nawet krewnych, których na jego oczach zabito. Powiadają, że jak będzie koniec świata, to przyjdzie Mesjasz”. „Ale to nie był koniec świata” – powiedział Dziadek. „Był. Tylko że On zwyczajnie nie przyszedł”. „Czemu nie przyszedł?” „Właśnie tę naukę wyciągnęliśmy ze wszystkiego, co się stało – Boga nie ma. Potrzeba było wszystkich ukrytych twarzy, żeby sam nam to udowodnił”. „A jeśli to była próba waszej wiary?” – spytałem. „Nie mogłabym wierzyć w Boga, który na ten sposób poddawałby wiarę próbie”. „A jeśli to nie leżało w jego mocy?” „Nie mogłabym wierzyć w Boga, który nie umiałby zapobiec temu, co się stało”. „A jeśli

to wszystko zrobił człowiek, a nie Bóg?” „W człowieka też nie wierzę”.

„Co zobaczyła, kiedy wróciła po drugi raz?” – spytał Dziadek. „To – powiedziała, sunąc palcem po fresku ciemności. – Nic. Nic a nic tu się nie zmieniło, odkąd wróciła. Tamci zabrali wszystko, co zostawili Niemcy, a później poszli do innych sztetli”. „Czy odeszła, kiedy to zobaczyła?” – spytałem. „Nie, została. Znalazła dom najbardziej pobliski Trachimbrodu, bo wszystkie, których nie zburzono, stały puste, i obiecała sobie, że będzie w nim mieszkać, póki nie umrze. Zabezpieczyła wszystkie rzeczy, które przedtem poukrywała, i przyniosła je do swojego domu. To była jej kara”. „Za co?” „Za to, że ocalała” – powiedziała.

Zanim odjechaliśmy, Augustyna zaprowadziła nas pod pomnik Trachimbrodu. Był to kawał kamienia, duży mniej więcej jak gieroj, rozstawiony na środku pola, tak bardzo na środku, że mocno nie sposób go było znaleźć po nocy. Na kamieniu pisało po ruski, po ukraiński, po hebrajski, po polski, w jidysz, po angielski i po niemiecki:

TEN POMNIK WZNIESIONO KU CZCI  
1204 MIESZKAŃCÓW TRACHIMBRODU  
KTÓRZY ZGINĘLI Z RĄK NIEMIECKIEGO FASZYZMU  
18 MARCA 1942 ROKU

*Odślonięto 18 marca 1992 roku  
Izaak Szamir, premier Izraela*

Wiele minut stałem z gierojem przed frontem pomnika, a Augustyna i Dziadek odeszli w ciemność. Nie mówiliśmy. Mówić byłaby najzwyklejsza nieprzyzwoitość. Raz na niego spojrzałem, kiedy pisał w dzienniku informację z pomnika, i uważylem, że on też na mnie raz popatrzył, kiedy się pomnikowi przyglądałem. Zagnieździł się w trawie, a ja zagnieździłem się obok niego. Gnieździliśmy się tak poprzez parę chwil, a potem obaj położyliśmy się na wznakach i trawa była jak łóżko. Dzięki ciemności widzieliśmy dużo gwiazd. Było tak, jakbyśmy leżeli pod wielkim parasolem albo sukienką. (Nie piszę tego za ciebie, Jonathan. Dla mnie naprawdę tak było.) Rozmawialiśmy wiele minut o wielu rzeczach, ale, po prawdzie rzekłszy, ani ja go słuchałem, ani on mnie, i ani ja nie słuchałem siebie, ani on siebie. Leżeliśmy na trawie, pod gwiazdami, i nic więcej nie działaliśmy.

W końcu Dziadek i Augustyna wrócili.

Powrót pojmał nam pięćdziesiąt procent tyle czasu, ile jazda na wymarsz w tamtą stronę. Nie wiem, po czemu tak było, ale jest u mnie pewna interpretacja. Augustyna nie zaprosiła nas w swój dom, kiedy wróciliśmy. „Tak już późno” – powiedziała. „Musi pani być zmęczona” – rzekł Dziadek. Uśmiechnęła się połowicznie. „Nie bardzo mi wychodzi robić sen”. „Spytaj ją o Augustynę” – powiedział gieroj. „A Augustyna, ta kobieta z fotografii? Wie pani o niej cośkolwiek albo jak byśmy mogli ją odnaleźć?” „Nie – odparła, patrząc tylko na mnie. – Wiem, że jego dziadek się uratował, bo widziałam go raz,

po roku, a może po dwóch latach. – Dała mi chwilę, żebyśmy przetłumaczył. – Wrócił w Trachimbrod, bo chciał zobaczyć, czy przyszedł Mesjasz. Zjedliśmy u mnie w domu. Zgotowałam mu to niewiele, co miałam, i zrobiłam mu kąpiel. Staraliśmy się odczyścić. Widziałam, że bardzo dużo przeżył, ale mieliśmy dość rozumu, żeby o nic się nawzajemno nie pytać”. „Spytaj ją, o czym rozmawiali”. „On chce wiedzieć, o czym rozmawialiście”. „Po prawdzie, to o niczym. O sprawach wagi piórzej. Rozmawialiśmy o Szekspirze, pamiętam, o jednej sztuce, którą oboje czytaliśmy. No bo były tłumaczone na jidysz, a on raz dał mi jedną do przeczytania. Na pewno do dziś ją tu mam. Mogłabym poszukać i wam dać”. „A potem co się stało?” – spytałem. „Pokłóciliśmy się o Ofelię. Strasznie się pokłóciliśmy. Rozpłakałam się przez niego, a on przeze mnie. Nie rozmawialiśmy o niczym. Za bardzo się baliśmy”. „Znał już wtedy moją babkę?” „Znał już wtedy swoją drugą żonę?” „Nie wiem. Ani razu o niej nie wspomniał, a chyba by nie przemilczał, jakby ją znał. Zresztą, nie wiem. Taki to był trudny czas na rozmowy. Człowiek ciągle się bał, że powie, czego nie powinien, i zwykle wydawało się na miejscu nie mówić nic wcale”. „Spytaj ją, jak długo został w Trachimbrodzie”. „On chce wiedzieć, jak długo jego dziadek został w Trachimbrodzie”. „Tylko jedno popołudnie. Obiad, kąpiel i kłótnia – powiedziała – a i to chyba dłużej, niż był spragniony. Chciał tylko sprawdzić, czy przyszedł Mesjasz”. „A jak wyglądał?” „On chce wiedzieć, jak jego dziadek wyglądał”. Uśmiechnęła się i włożyła ręce

w kieszenie sukienki. „Miał szorstką twarz i gęste włosie brąz. Powiedzcie mu”. „Miał szorstką twarz i gęste włosie brąz”. „Był nie bardzo wysoki. Może taki niewysoki jak wy. Powiedzcie mu”. „Był nie bardzo wysoki. Może taki niewysoki jak ty”. „Tyle mu pozbawiono. Kiedyś go widziałam i był wtedy chłopcem, a w dwa lata zrobił się starzec”. Powtórzyłem to gieroju, a potem spytałem: „Czy on wydaje się jak jego dziadek?” „Przed tym wszystkim, tak. Ale Safran bardzo się zmienił. Powiedzcie mu, żeby nigdy nie zmienił się aż tak”. „Ona mówi, że kiedyś wyglądał jak ty, ale potem się zmienił. Mówi, żebyś nigdy się nie zmienił”. „Spytaj ją, czy są w tej okolicy jacyś inni ocaleni”. „On chce wiedzieć, czy są jeszcze jacyś inni Żydzi w ostatkach”. „Nie – odparła Augustyna. – Jest w Kiwercach jeden Żyd, który mi czasem przynosi jeść. Twierdzi, że znał mojego brata, bo robił z nim interes w Łucku, ale ja nigdy brata nie miałam. I jeszcze jeden Żyd z Sokierecz zimą rozpala mi ogień. W zimie tak mi trudno, bo jestem stara i już nie poradzę rąbać drewna”. Powiedziałem to gieroju. „Spytaj ją, czy jej zdaniem tamci mogą wiedzieć o Augustynie”. „Czy oni mogą coś wiedzieć o Augustynie?” „Nie – odparła. – Są tacy starzy. Nic już nie pamiętają. Wiem, że kilkoro Żydów od Trachimbrodu ocalało, ale nie wiem, gdzie są. Ludzie tyle się przemieszkowali z miejsca na miejsce. Znałam jednego z Kołek, co się uratował i ani słowa już potem nie powiedział. Całkiem jakby miał usta zaszyte igłą i sznurkiem. Po prostu”. Powiedziałem to gieroju. „Pojedzie pani z nami? – spytał Dziadek. – Zaopiekujemy się panią



i będziemy w zimie palić ogień”. „Nie” – odparła Augustyna. „Proszę z nami pojechać – rzekł Dziadek. Nie może pani tak żyć”. „Wiem – odparła – ale”. „Ale pani”. „Nie”. „No to”. „Nie”. „Mogłaby”. „Nie mogę”. Ciska. „Ostańcie chwilę – powiedziała. – Chciałabym mu coś zofiarować”. I wtedy zmaterializowało mi się, że tak jak nie znamy jej imienia, tak i ona nie zna imię Dziadka ani gieroja. Tylko moje. „Ona idzie teraz do środka, żeby coś dla ciebie odzyskać” – objaśniłem gieroju. „Sama nie wie, co dla niej dobre – powiedział Dziadek. – Nie po to przeżyła, żeby teraz być w ten sposób. Skoro poddała się losu, powinna się zabić”. „Może bywa szczęśliwa niekiedy – powiedziałem. – Nie wiemy. Dzisiaj chyba była szczęśliwa”. „Ona nie jest spragniona szczęścia – rzekł Dziadek. – Umie żyć tylko, jak jest melancholiczna. Chce, żebyśmy za nią mieli wyrzuty. Chce, żebyśmy to ją żalowali, a nie tamtych”.

Augustyna wróciła ze swojego domu z pudełkiem z napisem W RAZIE CZEGO niebieskim ołówkiem. „Macie” – powiedziała gieroju. „Jest spragniona, żebyś to miał” – objaśniłem mu. „Nie mogę” – odparł. „On mówi, że nie może”. „Musi”. „Ona mówi, że musisz”. „Nie rozumiałam, po czemu Rywka schowała obrączkę ślubną w słoiku i po czemu mi powiedziała, że to na w razie czego. W razie czego, a potem co? Co?” „W razie gdyby ją zabili” – rzekłem. „No tak, a potem co? Niby po czemu obrączka coś różnicuje?” „Nie wiem” – wyznałem. „Spytajcie go” – powiedziała. „Ona chce wiedzieć, po czemu jej przyjaciółka ocaliła swoją obrączkę, kiedy

myślała, że ją zabiją”. „Żeby zostawić dowód swojego istnienia” – rzekł gieroj. „Co?” „Uchwytny ślad. Dokumentację. Świadectwo”. Powtórzyłem to Augustynie. „Ale do tego niepotrzebna obrączka. Ludzie i bez niej potrafią pamiętać. A kiedy zapomną albo umrą, to i tak nikt nie będzie wiedział o obrączce”. Powiedziałem to gieroju. „Ale obrączka może służyć jako przypomnienie – stwierdził. – Za każdym razem, kiedy na nią spojrzysz, pomyślisz o tej, do której należała”. Powtórzyłem Augustynie, co powiedział gieroj. „Nie – odparła. – Myślę, że to było na w razie dziś. W razie gdyby ktoś kiedyś przyjechał szukać”. Nie umiałem postrzec, czy mówi do mnie, czy do gieroja. „Żebyśmy mieli co znaleźć” – powiedziałem. „Nie – odparła. – Obrączka nie istnieje dla was. To wy istniejecie dla obrączki. Obrączka nie jest na w razie was. To wy jesteście na w razie obrączki”. Zrobiła w kieszeni archeologię i wydzwignęła obrączkę. Spróbowała włożyć ją na palec gieroju, ale nie harmonizowało, więc spróbowała włożyć mu na najmniejszy palec, ale nawet i wtedy nie harmonizowało. „Miała drobne dłonie” – stwierdził gieroj. „Miała drobne dłonie” – powtórzyłem Augustynie. „Tak – potwierdziła. – Takie drobne”. Znowu spróbowała wsunąć obrączkę gieroju na mały palec i bardzo sztywno się przyłożyła, a ja postrzegłem, że gieroj od tego dostaje bólu wielorakich sortów, chociaż nie eksponował ani jednego. „Nie zharmonizuje” – rzekła, a kiedy usunęła obrączkę, zobaczyłem, że obrączka zrobiła gieroju zacięcie dokooła najmniejszego palca.

„Wymarszujemy – obznajmił Dziadek. – Pora się odprawić”. Powtórzyłem to gieroju. „Jeszcze raz jej podziękuj”. „On mówi dziękuję” – powiedziałem. „Ja też wam dziękuję”. Znowu się rozplakała. Płakała zaraz po naszym przyjeździe i teraz, kiedy odjeżdżaliśmy, ale nigdy w trakcie, jak z nią byliśmy. „Mogę o coś zapytać?” – zapytałem. „Oczewidno” – pozwoliła. „Ja jestem Sasza, jak już pani wie, on jest Jonathan, suka jest Sammy Davis, Junior, Junior, Dziadek jest Aleks. A kto pani jest?” Chwilę milczała. „Lista” – rzekła potem. I powiedziała: „Mogę teraz ja o coś spytać?” „Oczewidno”. „Czy wojna się skończyła?” „Nie rozumiem”. „Jestem” – wymówiła albo tylko zaczęła wymawiać, ale wtedy Dziadek dokonał coś, co nie oczekiwałem. Zatworzył jej dłoń w swojej i pocałował Augustynę na jej usta. Odwróciła się tyłem, twarzą ku domu. „Muszę iść zająć się dzieckiem – powiedziała. – Tęskni za mną”.

POZOSTAJĄC na usługach kongregacji Rozlazłych, która bezwiednie wzięła na się rolę agencji stręczącej kawalerów do towarzystwa wdowom i osobom starszym, mój dziadek co tydzień składał kilka wizyt domowych i zdołał zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby zacząć myśleć o założeniu własnej rodziny, a może raczej: żeby rodzina zaczęła myśleć o założeniu jego własnej rodziny.

*Aż miło popatrzeć, jaki jesteś pracowity* – powiedział mu ojciec pewnego popołudnia, zanim chłopiec wyszedł do Goldy R. – wdowy, która mieszkała w ceglany domku obok Synagogi Strzelistej. *Nie taki z ciebie leniwy Cyganiak, jak myśleliśmy.*

*Jesteśmy z ciebie bardzo dumni* – rzekła matka, ale wbrew jego nadziejom nie przypieczętowała tych słów pocałunkiem.

*To przez ojca* – pomyślał. *Gdyby go tu nie było, pocałowałyby mnie.*

Ojciec podszedł do niego, klepnął go po ramieniu i powiedział, nieświadom podtekstów: *Bądź twardy.*

Golda zaślaniała wszystkie lustra, nim zaczęła z nim się kochać.

Lea H., dwakroć owdowiała, którą odwiedzał trzy razy w tygodniu (i to nawet wtedy, kiedy sam już się ożenił), prosiła go tylko, żeby obchodząc się z jej postarzałym ciałem, zachowywał powagę: żeby nigdy się nie śmiał z jej obwisłych piersi ani łysiejących genitaliów, sumiennie traktował żylaki na łydkach i nie wzdrygał się od zapachu, bo wiedziała, że cuchnie zgnilizną winorośli.

Rina S., wdowa po Kazwelu L. – jedynym Smudze z Ardiszt, który zdołał porzucić nałóg i zejść z dachów Równego, aby żyć odtąd na ziemi, lecz w końcu, podobnie jak Zegar, padł we młynie ofiarą piły tarczowej – wbiła Safranowi zęby w martwą rękę, ilekroć się kochali, bo chciała się upewnić, że on rzeczywiście nic nie czuje.

Elena N., wdowa po właścicielu zakładu pogrzebowego, Chaimie N., tysiąc razy widywała, jak śmierć przechodzi przez drzwi jej piwnicy, a mimo to nie zdołała zawczasu sobie wyobrazić głębi żalu, z którym musiała żyć, odkąd kurza kość obróciła się w poprzek i uwięzła. Prosiła go, żeby kochał się z nią pod łóżkiem, w płytkim podmażeńskim grobie, aby nieco złagodzić ból, odrobinę ułatwić sprawę. Safran, mój dziadek, ojciec mojej matki, którego nie zdążyłem poznać, szedł im wszystkim na rękę.

Zanim jednak namaluję jego portret w nazbyt pochlebnych barwach, należy wspomnieć, że zaledwie co druga kochanka mojego młodego dziadka była wdową. Wiódł on podwójne życie: bywał kochankiem nie tylko niewiast w żałobie, lecz i kobiet jeszcze nietkniętych jej

wilgotną dłonią, bliższych swojej pierwszej aniżeli drugiej śmierci. Trafiły mu się mniej więcej pięćdziesiąt dwie dziewice, a on kochał się z nimi we wszystkich pozycjach, jakich nauczył się z talii świńskich kart pożyczonej od kolegi, którego raz po raz zostawiał samego w teatrze: w pozycji sześćdziesiąt dziewięć z niejaką Tali M., jednookim waletem z ciasno zaplecionymi warkoczykami i zrobioną ze złożonej we dwoje jarmułki opaską na oku; od tyłu brał dwójkę kier – Brandil W., która miała tylko jedno bardzo słabe serce i właśnie dlatego utykała i nosiła grube szkła, a potem umarła przed wojną (przedwcześnie, a zarazem w samą porę); od tyłu i na boku kochał się z królową karo, Mellą S. (wielkie piersi, za to tyłka ani, ani), jedyną córką najbogatszej rodziny z Kołek (która, jak powiadają, żadnego srebrnego sztucca nie użyła więcej niż raz); pozwalał się dosiadać asowi pik – Tremie O., nader pilnej pośród pól, której wrzaski (nie wątpił) prędzej czy później musiały ich zdradzić. One go kochały, a on je pierdolił: dziesiątkę, waleta, królową, króla, asa – sekwens wprost arcykrólewski. Miał więc dwie ręce zdolne do pracy: u jednej pięć palców, u drugiej zaś pięćdziesiąt dwie dziewczyny, które nie umiały ani nie chciały odmawiać.

Oczywiście żył także od pasa w górę. Chodził do szkoły i uczył się wraz z innymi chłopcami w swoim wieku. Był niezły z arytmetyki, a jego nauczyciel, Jakim E., młody Rozlazły, namawiał pradziadków, żeby posłali Safrana do Łucka, do szkoły dla zdolnych dzieci. Nic

jednak nie nudziło mojego dziadka bardziej niż nauka. *Książki są dla tych, co nie żyją naprawdę* – myślał. *I nędzna to namiastka*. Szkoła, do której chodził, była niewielka – raptem czterech nauczycieli i czterdziestu uczniów. Każdy dzień dzielono między przedmioty religijne, których uczył Rabin Średniak oraz jeden z członków jego Strzelistej kongregacji, i świeckie, inaczej zwane użytecznymi, wyładało je zaś trzech – czasem dwóch, a czasem czterech – Rozlazłych.

Każdy uczeń wiedzę o dziejach Trachimbrodu czerpał z książki, którą pierwotnie napisał Rabin Wielebny – *A WIĘC JEŚLI MAMY TRUDZIĆ SIĘ GWOLI LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI, CZY NIE MUSIMY ZAPOZNAĆ SIĘ I POGODZIĆ Z WŁASNĄ PRZESZŁOŚCIĄ?* – potem zaś regularnie aktualizował ją komitet, złożony ze Strzelistych i Rozlazłych. *Księga antecedensów* zaczęła się od kroniki najdonioślejszych wydarzeń: bitew i traktatów, klęsk głodu, zjawisk sejsmicznych, początków i końców politycznych reżimów. Niebawem jednak poczęto w niej uwzględniać i wyczerpująco opisywać również mniej istotne zdarzenia – festyny, co ważniejsze śluby i zgony, ziszczone plany budowy (planowego niszczenia jeszcze podówczas nie znano) – toteż stosunkowo niewielką książeczkę trzeba było zastąpić trytomowym kompletem. Wychodząc naprzeciw żądaniom czytelników – czyli ogółu mieszkańców, Strzelistych na równi z Rozlazłymi – do *Księgi antecedensów* wkrótce dodano dwuletni spis ludności, zawierający wszystkie imiona wszystkich obywateli wraz z krótkimi życiorysami (po rozła-

mie w łonie synagogi spisem tym objęto też kobiety); zamieszczano w niej relacje ze zdarzeń coraz mniejszej wagi oraz przyczynki na temat tego, co Rabin Wielebny nazywał *ŻYWOTEM TUDZIEŻ ŻYWOTEM ŻYWOTA*, jako to definicje, przypowieści, rozmaite zasady i przepisy dotyczące prawego życia, a także zgrabne, choć może wyprane z sensu, powiedzonka. Późniejsze wydania, które w omawianym okresie zajmowały już całą półkę, stawały się coraz bardziej szczegółowe, w miarę jak obywatele dostarczali kroniki rodzinne, portrety, ważne dokumenty i prywatne dzienniki, aż w końcu każdy uczeń mógł z łatwością ustalić, co jego dziadek jadł na śniadanie w pewien konkretny czwartek przed pięćdziesięciu laty albo co robiła cioteczna babka, kiedy łało przez pięć miesięcy bez przerwy. *Księgę antecedensów*, niegdyś aktualizowaną raz do roku, w rzeczonym okresie aktualizowano nieustannie, a gdy nie było nic do zrelacjonowania, pełnoetatowy komitet relacjonował – po prostu po to, żeby księga nie utknęła w miejscu, żeby się rozrastała, coraz bardziej upodabniała do życia – własne relacjonowanie: *Piszemy... Piszemy... Piszemy...*

Nawet najbardziej wykolejeni uczniowie czytali *Księgę antecedensów*, nie opuszczając ani słowa, wiedzieli bowiem, że sami też zamieszkają kiedyś na jej stronicach, i gdyby tylko jakimś sposobem dostali do rąk któreś z przyszłych wydań, mogliby przeczytać w nim o własnych błędach (i może ich uniknąć), o błędach swoich dzieci (i dopilnować, żeby nigdy nie zostały popełnione) oraz o wynikach przyszłych wojen (i przygotować się na śmierć kochanych osób).



Jestem pewien, że mój dziadek nie był pod tym względem wyjątkiem. On także skakał pewnie z tomu w tom, ze strony na stronę, szukając...

#### HANIEBNY KORAL JANKIELA D.

Wskutek pewnych mało chwalebnych poczynań odbył się w roku 1741 przed Wysokim Sądem Strzełistym proces zhańbionego lichwiarza Jankiela D. Gdy lichwiarz ten został uznany za winnego wspomnianych wstyd przynoszących czynów owych, zgodnie z proklamacją sztetla zobowiązano go, aby nosił odtąd na szyi kompromitujące kółko z liczydeł, przewleczone białym sznurkiem. Niniejszym niechaj zostanie zapisane, że nosił je nawet wtedy, kiedy nikt nie patrzył, nawet kiedy szedł spać.

#### DZIEŃ TRACHIMA, 1796

Pewna szczególnie utrapiona mucha ukąsiła w tuches kobyłę, która w Dniu Trachima ciągnęła tratwę z Równego, tak że owa drażliwa kobyła podrzuciła zadem i cisnęła swojego pasażera – czyli kukłę fornala – do Brodu. Parada tratw zatrzymała się na jakieś pół godziny, a kilku silnych mężczyzn wydobyło przez ten czas nasiąknięty wodą manekin. Odpowiedzialna za to zamieszanie mucha złapała się w siatkę niezidentyfikowanego ucznia. Podniósł on rękę, żeby zdusić owada, wiedząc, że trzeba tak zrobić dla przykładu, lecz gdy jego pięść zaczęła się zniżać, mucha poruszyła skrzydłem, nie wzbijając się jednak

do lotu. Chłopca, wrażliwego chłopca, ogarnęło prze-  
możne wzruszenie w obliczu kruchości życia, uwol-  
nił zatem muchę. Mucha zaś, również przemożnie  
wzruszona, skonała z wdzięczności. Potrzebie przy-  
kładu stało się zadość.

## NIEZDROWE NIEMOWLĘTA

(Zob. BÓG)

## KIEDY LAŁO BEZ USTANKU PRZEZ PIĘĆ MIESIĘCY

Ta najgorsza ze wszystkich ulew przypadła na dwa  
ostatnie miesiące 1914 roku i pierwsze trzy 1915.  
Z filiżanek zostawionych na parapetach wnet zaczy-  
nało się przelewać. Kwiaty rozkwitały, a potem ginęły  
topielczą śmiercią. W sufitach nad wannami wycina-  
no otwory... Warto zauważyć, że ta nieustanna ulewa  
zbiegła się w czasie z rosyjską okupacją\* i choćby nie  
wiedzieć ile wody spadło z nieba, wciąż nie brakowa-  
ło takich, co uskarżali się na dokuczliwe pragnienie.  
(Zob. GITEL K., JAKOW L.)

## MŁYN

Otóż stało się, że w jedenastym roku dawno minio-  
nego stulecia Naród Wybrany (czyli nas) wysłano

---

\* Zastłyszawszy, jakoby pierwszy wynalazca poezji miłosnej był  
Żydem, nieodwzajemniony urzędnik magistracki Rufkin S., oby imię  
jego zaginęło między poduszkami, zalał nasz skromny sztetl deszczem  
ognia i tłuczonego szkła. (Oczywiście to nie Żyd wynalazł poezję  
miłosną, lecz wręcz odwrotnie.)

z Egiptu pod kierunkiem naszego podówczas mądrego przywódcy, Mojżesza. W pośpiechu ucieczki nie zdążył wyrosnąć chleb, że zaś Pan Nasz Bóg, oby imię jego było natchnieniem dla niezatapialnych myśli, poszukiwał doskonałości w każdym dziele swojego stworzenia, nie życzył sobie niedoskonałego chleba, rzekł zatem do swego narodu (czyli do nas, a nie do tamtych): *NIE BĘDZIESZ WYPIEKĄŁ ŻADNEGO CHLEBA, KTÓRY BYŁBY CHOCLAŻ TROCHĘ CHRUPKI, MDŁY, NIESMACZNY LUB POWODOWAŁBY BEZNADZIEJNE ZATWARDZENIE.* Ale Naród Wybrany bardzo już zgłodniał, więcemy zaryzykowali trochę drożdży dobrej jakości. To, co wypiekło się na naszych grzbietach, okazało się niezupełnie doskonałe, w rzeczy samej mdłe, chrupkie i niesmaczne, spowodowało też zatrzymanie sporej liczby kup, a Bóg, oby imię jego nigdy nie schodziło z naszych niespierzchłych warg, wielce się rozgniewał. I właśnie przez ten grzech przodków naszych rokrocznie jeden mieszkaniec naszego sztetla ponosi śmierć w młynie, odkąd młyn ten zbudowano w roku 1713. (Listę ofiar młyna znajdzie czytelnik w SUPLEMENCIE G pod hasłem PRZEDWCZESNE ŚMIERCI.)

ISTNIENIE GOJÓW

(*Zob. BÓG*)

# CAŁOKSZTAŁT ŚWIATA TAKIEGO, JAKIM GO ZNAMY I NIE ZNAMY

(*Zob. BÓG*)

## ŻYDZI MAJĄ PO SZEŚĆ ZMYSŁÓW

Dotyk, smak, wzrok, węch, słuch... pamięć. Podczas gdy goje doświadczają świata i przetwarzają to doświadczenie za pośrednictwem tradycyjnie zdefiniowanych zmysłów, a pamięcią posługują się tylko jako narzędziem wtórnej interpretacji zdarzeń, dla Żydów pamięć ma charakter równie pierwotny jak ukłucie szpilką, jej srebrzysty połysk czy wreszcie smak krwi, puszczonej nią z palca. Ukłuty szpilką Żyd natychmiast przypomina sobie inne szpilki. Dopiero skojarzywszy to najnowsze ukłucie z wcześniejszymi – kiedy matka próbowała zaszyć mu rękaw, zanim zdążył wyciągnąć z niego rękę; kiedy dziadkowi zdrętwiały palce, bo tak długo głąskał pradziadka po wilgotnym czole; kiedy Abraham sprawdzał, czy czubek noża jest dość ostry, żeby Izaak nie cierpiał – Żyd dowiaduje się, czemu go zabolalo.

Ilekroć Żyd napotyka szpilkę, pyta: *Jaka ona jest we wspomnieniu?*

ZAGADNIENIE ZŁA: CZEMU BEZWARUNKOWO ZŁE RZECZY PRZYTRAFIAJĄ SIĘ BEZWARUNKOWO DOKŁADNYM LUDZIOM

Nie przytrafiają się.

Czas farbowanych dłoni zaczął się wkrótce po omyłkowych samobójstwach, gdy piekarz bułek Herzog J. zauważył, że te bułki, których nie śledzi baczny okiem, niekiedy znikają. Wielokrotnie obserwował to zjawisko, kładąc bułki w różnych miejscach w piekarni, a nawet obrysowując je węglowym ołówkiem, żeby zaznaczyć, gdzie leżą, lecz ilekroć rzucił za siebie szybkie, ukradkowe spojrzenie, stwierdzał, że pozostał tylko węglowy obrys.

*Wciąż te kradzieże* – narzekał.

W owym okresie naszych dziejów Rabin Wybitny, czyli Fajgiel F. (*zob. też SUPLEMENT B: WYKAZ RABINÓW STRZELISTYCH*), był naczelnym egzekutorem porządku prawnego. Chcąc przeprowadzić sprawiedliwe śledztwo, dopilnował, żeby wszystkich mieszkańców sztetla objęto podejrzeniem, póki niewinność ich nie zostanie udowodniona. *KAŻDEMU OBYWATELOWI UFARBUJEMY DŁONIE NA INNY KOLOR* – oznajmił – *I W TEN SPOSÓB USTALIMY, KTO SIĘGA ZA LADĘ HERZOGA.*

Lippa R. chodziła więc z dłońmi ufarbowanymi krwistą czerwienią. Pelsa G. dostała z przydziału jasną zieleń, kolor swoich oczu. Mika P. – subtelny fiolet w odcieniu, jaki przybrało pasemko nieba nad Lasem Radziwiłłów, gdy w trzeci szabas owego listopada zachodziło słońce. Nie pominięto niczyich dłoni ani żadnej barwy. Gwoli sprawiedliwości nawet Herzogowi J. ufarbowano dłonie na kolor różu – dokładnie taki sam odcień, jaki miał pewien motyl

z gatunku *Troides helena*, co akurat przypadkiem sko-  
nał na biurku Dykla D., chemika, który wynalazł  
niezmywalny barwnik, pozostawiający jednakowoż  
ślady na każdym przedmiocie dotkniętym ufarbo-  
waną dłonią.

Jak się z czasem okazało, bułki wykradał nie kto  
inny, tylko zwykła mysz, oby pamięć jej żyła w naj-  
bliższym sąsiedztwie czyjegoś cuchnącego tuchesu,  
toteż za ladą nie pojawiły się żadne barwne ślady.

Pojawiały się za to wszędzie indziej.

Szlomo W. znalazł srebrne smugi między udami  
swojej żony Chebry, oby postępowanie jej pozostało  
odosobnione w tym i we wszystkich innych świa-  
tach, lecz nic nie powiedział, póki nie zostawił na jej  
piersiach zieleni z własnych dłoni, a potem nie polał  
tychże piersi białym nasieniem. Powłókł ją nagą uli-  
cami szarymi w blasku księżyca, idąc od domu do do-  
mu i łomocząc w drzwi, aż sobie posiniaczył knykcie  
na granatowo. Zmusił ją, żeby patrzyła, jak on obcina  
jądra Samuelowi R., który podniósłszy srebrne palce,  
błagał o litość i wołał cokolwiek dwuznacznie: *Zaszła  
pomyłka! Wszędzie kolory.* Odciski palców Rabina  
Wybitnego, Fajgiel F., w kolorze indygo na stro-  
nicach niejednego ultraświeckiego periodyku. Na  
miejscowym cmentarzu Szifra K., zboleła wdowa,  
błękitem zimnych warg porobiła na nagrobku męża  
znaki podobne do wcierek, jakimi zabawiają się dzie-  
ci. Wszyscy skwapliwie oskarżyli Irwina P. o to, że  
brązowymi dłońmi pomazał cały Zegar. *Taki z niego  
egoista!* – mówili. *Niczym się nie podzieli!* Ale to  
ich własne dłonie, wszystkie po kolei, namalowały tę

skondensowaną tęczę, zbiorowy podpis wszystkich obywateli sztetla, którzy modlili się o przystojnych synów, o jeszcze kilka lat życia, o osłonę przed piorunem, o miłość.

Sztetl obmalowany był poczynaniami swoich mieszkańców, ponieważ zaś do farbowania dłoni użyto wszelkich możliwych kolorów – oczywiście z wyjątkiem koloru lady – nie sposób było stwierdzić, czego dotknęły ludzkie ręce, a co jest takie, jakie jest, bo jest takie, jakie jest. Krążyły plotki, jakoby Gecel G. potajemnie grywał na skrzypcach wszystkich skrzypków – chociaż w rzeczywistości wcale grać nie umiał! – gdyż struny miały kolor jego palców. Ludzie szeptali, że Hesja R. musiała widać nauczyć się akrobacji, jakże bowiem inaczej tłumaczyć to, że linia uskoku między dzielnicą żydowską a ludzką przybrała żółty odcień jej dłoni? A kiedy rumieniec na policzkach jakiejś uczennicy brano przez pomyłkę za ślad purpury z palców świętego męża, to za dziewczyną wołano: *dziwka, ścierka, zdzira*.

ZAGADNIENIE DOBRA: CZEMU BEZWARUNKOWO DOBRE RZECZY PRZYTRAFIAJĄ SIĘ BEZWARUNKOWO ZŁYM LUDZIOM

(Zob. BÓG)

MINETA I MIESIĄCZKUJĄCA NIEWIASTA

Nie będziesz pożywał z krzewu płonącego. (Pełny wykaz zasad i przepisów dotyczących wiadomej sprawy znajdzie czytelnik w SUPLEMENCIE PENIE.)

## POWIEŚĆ, KIEDY KAŻDY BYŁ PRZEKONANY, ŻE MOŻE JĄ NAPISAC

Powieść jest ze wszystkich form sztuki najbardziej zapalna. Otóż stało się, że w połowie dziewiętnastego wieku każdy obywatel naszego sztetla – mężczyzna, kobieta czy dziecko – odkrył w sobie zadatki na autora przynajmniej jednej powieści. Początek dał temu prawdopodobnie pewien Cygan, wędrowny przekupień, który w trzecią niedzielę co drugiego miesiąca zajeżdżał na rynek wozem pełnym książek, zachwalając je jako *Wszczęświaty ważne wielce, z wiarygodnych wydumań wyrosłe, wątki wiedźmińskie, z wębny wyrzów wite*. Jakież więc słowa mogły nasunąć się Narodowi Wybranemu, jeśli nie te: *Ja też tak potrafię?*

Między rokiem 1850 a 1853 napisano ponad siedemset powieści. Jedna zaczynała się tak: *Jakże dawno już nie myślałem o tych wichrem smaganych porankach*. Inna: *Podobno każda pamięta swój pierwszy raz, ale nie ja*. Jeszcze inna: *Morderstwo to wstrętny czyn, trudno zaprzeczyć, lecz bratobójstwo zaprawdę jest najohydniejszą spośród zbrodni znanych człowiekowi*.

Były więc dwieście siedemdziesiąt dwa tomy dość przejrzyście zakamuflowanych pamiętników, sześćdziesiąt sześć powieści kryminalnych, dziewięćdziesiąt siedem opowieści wojennych. Mężczyzna zabił własnego brata w stu siedmiu powieściach. We wszystkich oprócz osiemdziesięciu dziewięciu dopuszczano się niewierności. W dwudziestu dziewięciu zakochane pary zastanawiały się, co przyniesie im przyszłość; sześćdziesiąt osiem kończyło się poca-



łunkiem; we wszystkich prócz trzydziestu pięciu padało słowo „wstyd”. Ci, co nie umieli czytać i pisać, tworzyli powieści wizualne: kolaże, grafiki, rysunki ołówkiem, akwarele. Do Biblioteki Jankiela i Brod dodano specjalny pokój na powieści trachimbrodczyków, chociaż tylko nieliczne ktokolwiek czytał pięć lat po ich napisaniu.

Pewnego razu, po upływie nieomal stulecia, pewien chłopiec zaczął szperać wśród regałów.

*Szukam jednej książki* – oświadczył bibliotekarce, która od najwcześniejszej młodości opiekowała się trachimbrodzkimi powieściami i jako jedyna obywatelka sztetla wszystkie je przeczytała. *Napisał ją mój pradziadek.*

*A jak się nazywał?* – zapytała bibliotekarka.

*Safranbrod, ale chyba pisał pod pseudonimem.*

*A jaki tytuł ma książka?*

*Nie pamiętam. Ciągle o niej mówił. Oporwiadał mi z niej różne historyjki na dobranoc.*

*A o czym ona jest?*

*O miłości.*

Bibliotekarka roześmiała się. *One wszystkie są o miłości.*

## SZTUKA

Sztuką jest to, co samo dla siebie stanowi jedyny punkt odniesienia: sztuka powstaje jako efekt udanej próby stworzenia dzieła sztuki. Nie ma, niestety, żadnych przykładów istniejących dzieł artystycznych i nie ma też żadnego rozsądnego powodu, aby spo-

dziewać się, że takowe dzieła kiedykolwiek zaistnieją. (Wszystkiemu, co dotychczas stworzono, przyświecał jakiś cel, każda stworzona rzecz powstała z myślą o czymś, co istnieje poza nią samą, na przykład: *Chcę to sprzedać*, albo *Chcę, żeby przyniosło mi to sławę i uwielbienie*, albo też *Chcę osiągnąć dzięki temu pełnię*, lub co gorsza *Chcę, żeby inni osiągnęli dzięki temu pełnię*.) A jednak nie przestajemy pisać, malować, rzeźbić i komponować. Czy to głupota?

#### YKUŁ

Ykuł to właśnie takie dzieło, podporządkowane pewnemu celowi – rzecz stworzona z pobudek funkcjonalnych, dla której punktem odniesienia jest świat. Wszystko w ten czy inny sposób podpada pod tę kategorię.

#### EFAKT

Efakt to inaczej fakt uprzeszłościowiony. Wiele osób wierzy na przykład, że po zburzeniu pierwszej Świątyni istnienie Boga stało się efektem.

#### ARTYKUŁ

Artykuł to taka rzecz, która pomyślana została jako dzieło sztuki, a wykonana jako ykuł. Rozejrzyj się. Przykłady widać na każdym kroku.

#### ARTEFAKT

Artefakt powstaje jako efekt udanej próby przerobienia faktu uprzeszłościowionego na bezużyteczną,

piękną rzecz do niczego. Nigdy nie wyjdzie z tego ani sztuka, ani fakt. Żydzi to takie artefakty Edenu.

#### EFAKTYKUŁ

Muzyka jest piękna. My zaś (Żydzi) od zarania czasu poszukujemy nowego sposobu mówienia. To, jak traktowano nas na przestrzeni dziejów, często skłamy na karb straszliwych nieporozumień. (Słowa nigdy nie znaczą tego, co byśmy chcieli.) Gdybyśmy porozumiewali się za pomocą czegoś w rodzaju muzyki, nigdy by nas źle nie rozumiano, bo w muzyce nie ma nic do rozumienia. To właśnie przekonanie dało początek śpiewaniu Tory, a zapewne i językowi jidysz, najbardziej onomatopeicznemu z narzeczy świata. Również i dlatego starsi ludzie pośród nas – zwłaszcza ci, co przeżyli pogrom – tak często nucą, wręcz nawet sprawiają wrażenie, jakby ani na chwilę nie mogli przestać nucić, jakby uparli się za nic w świecie nie zostawić miejsca na ciszę ani na żaden lingwistyczny sens. Dopóki jednak nie znajdziemy wspomnianego już nowego sposobu mówienia, dopóki nie znajdziemy słownictwa naprawdę precyzyjnego, obchodzącego się bez przybliżonych definicji, dopóty nonsensowne słowa pozostaną najlepszym narzędziem, jakie mamy. Efaktykuł to właśnie jedno z takich słów.

#### PIERWSZE ZGWAŁCENIE BROD D.

Pierwsze zgwałcenie Brod D. zdarzyło się pośród obchodów, które nastąpiły po trzynastym festynie

z okazji Dnia Trachima, osiemnastego marca 1804 roku. Brod szła do domu, wracając z błękitnie ukwieconej platformy, na której stała przez tyle godzin, ascetycznie piękna, machając swoim syrenim ogonem tylko w stosownych momentach, a ciężkie worki cisnęła w głęboką toń rzeki-imienniczki dopiero wtedy, kiedy rabin nieodzownym skinieniem dał znak... aż tu raptem zastąpił jej drogę szalony szlachetka Sofijówka N., pod którego imieniem nasz sztetl figuruje dziś na mapach i w mormońskich spisach ludności.

*Wszystko widziałem – powiedział. Oglądałem paradę, nieprawdą, umieściwszy się hen, hen, wysoko nad pospółstwem i jego pospolitym świętowaniem, w którym, przyznać muszę, rad bym oczywiście co nieco pouczestniczył. Widziałem cię na naszej tratwie i och, jaka byłaś niepospolita. Na ile tego całego blichtru byłaś taka naturalna.*

*Dziękuję – odrzekła i zaraz ruszyła dalej, wzięła bowiem sobie do serca przestrogę Jankiela, że Sofijówka gotów jest zamęczyć człowieka swoim gadaniem, jeśli mu się tylko na to pozwoli.*

*Ale dokąd ty idziesz? Jeszcze nie skończyłem – powiedział, chwytając ją za chudą rękę. Ojciec nie nauczył cię, że trzeba słuchać, kiedy ktoś do ciebie przemawia, namawia cię, obmarwia czy umarwia, albo nawet coś ci wmarwia?*

*Chciałabym pójść do domu, Sofijówko. Obiecałam ojcu, że zjemy razem ananasa, a już i tak jestem spóźniona.*

*Z tą obietnicą to nieprawda – rzekł Sofijówka, obracając ją twarzą ku sobie. Okłamujesz mnie.*

*Kiedy naprawdę mu obiecałam. Umówiliśmy się, że po paradzie wrócę i będę z nim jadła ananasa.*

*Ale powiedziałaś, żeś obiecała ojcu, i może użyłaś tego słowa w przybliżonym sensie, może nawet nie wiesz, Brod, co ono naprawdę znaczy, ale jeśli będziesz mi tu w żywe oczy twierdzić, że złożyłaś jakąś obietnicę swojemu ojcu, to ja ci w żywe oczy powiem, że kłamiesz.*

*Gadasz bez ładu ni składu.* Brod zaśmiała się nerwowo i znów ruszyła w stronę domu.

Sofijówka szedł tuż za nią, przydeptyując koniec jej ogona.

*Ciekawe, kto tu tak na prawdę gada bez ładu ni składu, Brod?*

Znów ją zatrzymał i obrócił twarzą ku sobie.

*Ojciec dał mi imię rzeki, bo...*

*A ty znowu swoje – powiedział, sunąc palcami w górę, od jej ramion do karku, tam gdzie zaczynają się włosy, które zresztą zaraz rozgarnął, strącając jej z głowy niebieską tiarę Królowej Tratw. Małej dziewczynce kłamstwo nie przystoi.*

*Chcę już iść do domu, Sofijówko.*

*No to idź.*

*Kiedy nie mogę.*

*Czemu?*

*Bo mnie trzymasz za włosy.*

*Ach, rzeczywiście. Masz rację. Nawet nie zauważyłem. To twoje włosy, prawda? A ja cię za nie trzymam i właśnie dlatego nie możesz pójść do domu ani w ogóle nigdzie, tak? Pewnie mogłabyś zacząć krzyczeć, ale co by ci to dało? Nad rzeką wszyscy są teraz zajęci własnymi krzykami, wszyscy*

*krzyczą z rozkoszy. Krzyknij z rozkoszy, Brod. No, dalej. Przecież umiesz. Jeden jedyny okrzyk rozkoszy.*

*Proszę – zaczęła pochlipywać. Sofijówko, proszę cię. Chcę tylko wrócić do domu, a wiem, że ojciec czeka...*

*Znowu zaczynasz, ty pizdo załgana! – wrzasnęła. Nie dość jeszcze się nakłamałaś jak na jeden wieczór?*

*Czego chcesz? – spytała z płaczem.*

Wyjął z kieszeni nóż i przeciął ramiączka jej syreniego kostiumu.

Ściągnęła z siebie kostium, do kostek i dalej przez stopy, a potem zdjęła majtki. Wolną ręką – tą, której Sofijówka nie wykręcał jej za plecami – podtrzymała ogon, żeby go nie zabłócić.

Kiedy nocą wróciła do domu i zastała tam zwłoki Jankiela, mgnienie błyskawicy iluminowało stojącego w oknie Kołkera.

*Idź precz!* – krzyknęła, zasłaniając dłońmi nagie piersi i znów odwracając się w stronę Jankiela, żeby siebie i jego uchronić przed spojrzeniem Kołkera.

Ale Kołker nie odszedł.

*Idź precz!*

*Bez ciebie nie odejdę!* – zawołał do niej przez okno.

*Idź precz! Idź precz!*

Z górnej wargi kapały mu krople deszczu. *Tylko z tobą.*

*Zabiję się!* – wrzasnęła.

*No to zabiorę ze sobą twoje ciało* – powiedział, opierając dłonie o szybę.

*Idź precz!*

*Nie pójdę!*

Jankiel wzdrygnął się, bo ogarniało go już stężenie pośmiertne, i wyrzucił lampkę oliwną, która sama się zdmuchnęła, spadając na podłogę, a wtedy w pokoju zapanowała zupełna ciemność. Policzki zmarłego ściągnęły się w napiętym uśmiechu, prezentując wyrugowanym ceniom kontentą minę. Ręce Brod musnęły jej skórę, gdy bezwolnie je opuściła, po czym obróciła się przodem do Kołkera – drugi raz w ciągu trzynastu lat życia pokazując komuś swoje nagie ciało.

*Skoro tak, musisz coś dla mnie zrobić* – oświadczyła.

Sofijówkę znaleziono nazajutrz rano: dyndał powieszony za szyję na drewnianym moście. Odcięte dłonie wisały na sznurkach przywiązanych do stóp, a na piersi widniał napis czerwoną szminką Brod: ZWIERZE.

CO JAKUB R. JADŁ NA ŚNIADANIE RANKIEM DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO LUTEGO 1877 ROKU

Smażone kartofle z cebulą. Dwie kromki czarnego chleba.

PLAGIAT

Kain zabił brata za to, że ten splagiatował jeden z jego ulubionych wierszyków:

*Brzoza drży, bieleją wierzby,  
Lekki wietrzyk zmierzchem świerzbi  
Falę tę, po której - wierz mi -  
Wieczność pędzi jak po bieżni.*

Niezdolny pohamować furii wzgardzonego poety, niezdolny dalej pisać w obliczu świadomości, że łup powstały dzięki jego trudom zgarną pióraci piraci, niezdolny odegnać pytania: *Jeśli jamb sam nie dla mnie, cóż dla mnie będzie?* – on, niemocen Kain, raz na zawsze położył kres literackiej ablacji. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Lecz ku jego wielkiemu zdziwieniu to właśnie jemu, Kainowi, kazano się kajać, w pocie czoła uprawiać ziemię i nosić straszliwe piętno; to właśnie on, Kain, aczkolwiek tyle napisał smutnych i dowcipnych wierszy, mógł wprawdzie na każdą noc znaleźć sobie kogoś do łóżka, ale nie znał ani jednej osoby, która przeczytałaby choćby stronicę z jego *magnum opus*.

Czemu?

Bóg kocha plagiatorów. Napisane jest zatem: „Bóg stworzył rodzaj ludzki na obraz swój, na obraz Boga stworzył go”. Bóg jest prekursorem sztuki plagiatu. Wobec braku jako tako odpowiednich źródeł, z których mógłby zżynać – bo i na czyj niby obraz miał stworzyć człowieka? zwierząt? – stworzenie ludzkości stało się aktem plagiatorstwa ksobnego; Bóg splądrował lustro. Ilekroć my sami popełniamy plagiat, także tworzymy coś *na obraz* czegoś innego i pomagamy doprowadzić do końca dzieło stworzenia.

*Mamże służyć za tworzywo bratu memu?*

*Oczywiście, Kainie. Oczywiście.*



ZEGAR

(Zob. FAŁSZYWE BOŻKI)

## LUDZKA CAŁOŚĆ

Pogrom Bitych Piersi (1764) był straszny, ale wcale nie najgorszy ze wszystkich, a pewnie zdarzą się kiedyś jeszcze gorsze. Tamci wtargnęli konno. Gwałcili nasze ciężarne kobiety, a naszych najsilniejszych mężczyzn ścinałi sierpami. Nasze dzieci zachłostali na śmierć. Kazali nam przekląć najświętsze pisma nasze. (Krzyki niemowląt i dorosłych były wręcz nie do odróżnienia.) Natychmiast po odjeździe napastników Strzełsi i Rozlaźli wspólnymi siłami podnieśli i przesunęli synagogę aż do Trzech Ludzkich Kwartałów, przemieniając je, acz tylko na jedną godzinę, w Ludzką Całość. Nie wiedząc, czemu to robimy, biliśmy się w piersi jak wtedy, gdy w Jom Kipur błagamy o grzechów odpuszczenie. Czy modliliśmy się: *Wybacz naszym oprawcom to, co uczynili?* A może: *Wybacz nam to, co nam uczyniono?* Lub wreszcie: *Sam Sobie wybacz nieodgadnioność Swoją?* (Zob. SUPLEMENT G: PRZEDWCZESNE ŚMIERCI.)

## MY, ŻYDZI

Żydem jest to, co Bóg kocha. Skoro róże są piękne, należy domniemywać, że Bóg je kocha. A więc róże to Żydzi. Tym samym Żydami są gwiazdy i planety, Żydami są wszystkie dzieci i śliczne „sztuki piękne” też (Szekspir nie był Żydem, ale Hamlet owszem),

podobnie jak i seks jest Żydem – pod warunkiem, że spółkują mąż i żona w odpowiedniej i stosownej pozycji. A czy Kaplica Sykstyńska jest Żydówką? Nie ważcie się w to wątpić.

#### ZWIERZĘTA

Zwierzęciem jest to, do czego Bóg wprawdzie czuje sympatię, ale go nie kocha.

#### PRZEDMIOTY ISTNIEJĄCE

Przedmiotem istniejącym jest to, do czego Bóg nawet sympatii nie czuje.

#### PRZEDMIOTY NIEISTNIEJĄCE

Przedmioty nieistniejące nie istnieją. Gdybyśmy mieli sobie wyobrazić przedmiot nieistniejący, byłoby to coś, czego Bóg nienawidzi. Jest to najmocniejszy argument przeciwko niedowiarkom. Gdyby Bóg nie istniał, musiałby siebie nienawidzić, a to przecież oczywisty nonsens.

#### STO DWADZIEŚCIA ŚLUBÓW JÓZEFA I SARY L.

Owa młoda para wzięła swój pierwszy ślub piątego sierpnia 1744 roku, kiedy Józef miał osiem lat, Sara zaś sześć, a pierwszy raz rozeszła się po sześciu dniach, gdy Józef ku rozżaleniu Sary nie chciał uwierzyć, że gwiazdy to srebrne gwoździe, którymi czarny pejzaż nocy przybity jest do nieba. Cztery dni później znów się pobrali, bo Józef wsunął pod drzwi domu rodziców Sary kartkę następującej treści:

*Rozważyłem wszystko, co mi powiedziałaś, i uwierzyłem, że gwiazdy to srebrne gwoździe.* Małżeństwo ich znowu się rozpadło rok później, gdy Józef skończył dziewięć lat, a Sara siedem, z powodu kłótni o właściwości dna rzeki Brod. Po tygodniu znowu wzięli ślub, włączając tym razem do tekstu przysięgi małżeńskiej obietnicę, że będą kochać się wzajemnie aż do śmierci, niezależnie od tego, czy rzeka Brod ma dno, czy też go nie ma, od temperatury tegoż dna (gdyby takowe istniało) i hipotetycznej obecności rozgwiazd na owym hipotetycznie istniejącym dnie. W ciągu następnych siedmiu lat ich związek dobiegał kresu trzydzieści siedem razy, lecz pobierali się wciąż na nowo, za każdym razem składając dłuższą aniżeli poprzednio listę przysięg. Rozwiedli się dwukrotnie, kiedy Józef miał dwadzieścia dwa lata, a Sara dwadzieścia, czterokrotnie, gdy mieli odpowiednio dwadzieścia pięć i dwadzieścia trzy lata, i ośmiokrotnie - ustanawiając tym samym swój rekord rozwodów w ciągu jednego roku - kiedy on miał lat trzydzieści, a ona dwadzieścia osiem. Po raz ostatni wzięli ślub jako sześćdziesięciolatek i pięćdziesięcioośmiolatka, a za ledwie po trzech tygodniach Sara zmarła na niewydolność serca, Józef zaś z rozmysłem utopił się w wannie. Ich kontrakt małżeński wciąż jeszcze wisi nad drzwiami domu, który w sposób nieciągły dzielili: przybity gwoździem do górnej belki futryny, dolną krawędzią ociera się o słomiankę z napisem SZALOM:

Z nieprzemijającym oddaniem my, Józef i Sara L., niniejszym ponownie wступujemy w niezniszczalny związek małżeński i obiecujemy kochać się aż do śmierci, przyjmując, że gwiazdy są srebrnymi gwoździami na niebie, niezależnie od tego, czy rzeka Brod ma dno, czy też go nie ma, od temperatury tegoż dna (gdyby takowe istniało) i hipotetycznej obecności rozgwiad na owym hipotetycznie istniejącym dnie; przymykając oczy na plamy, które mogły pochodzić albo i nie pochodzić z niechcący wylanego soku z winogron; zgadzając się puścić w niepamięć to, że Józef grał z kolegami w palanta, chociaż obiecał pomóc Sarze nawlec igłę potrzebną do szycia kołdry, którą akurat ściboliła, i że Sara miała dać tę kołdrę Józefowi, a nie jego kumplowi; odmawiając wszelkiej wagi pewnym szczegółom historii wozu Trachima, takim jak kwestia, czy to Chana, czy Hanna pierwsza zauważyła wypływające na powierzchnię osobliwe drobiazgi; ignorując ten prosty fakt, że Józef chrapie jak knur, a spanie z Sarą to też wcale nie taki znów cymes; bagateliżując niejaką skłonność obojga do zbyt długiego przyglądania się osobom płci

przeciwnej; nie robiąc wielkiej kwestii ani z niechlujstwa Józefa, który rzuca swoje ubrania tam, gdzie akurat przyjdzie mu ochota je zdjąć, i spodziewa się, że Sara pozbiera je za niego, wyszczotkuje i odłoży na miejsce, ani z tego, że Sara jest tak cholernie upierdliwa, gdy chodzi o najbłahsze drobnostki, na przykład o to, w którą stronę odwija się papier toaletowy albo że kolacja zaczyna się o pięć minut później, niż ona to sobie zaplanowała, no bo przecież, bądźmy szczerzy, to dzięki Józefowi papier wisi w łazience, a kolacja stoi na stole; uznając za obojętne, czy burak jest lepszym warzywem niż kapusta; odkładając na bok problem zakutej pały i chronicznego braku pomysłu; usiłując wymazać z pamięci ten dawno już obumarły krzew różany, o którego podlewaniu miał pamiętać pewien wiadomy ktoś, podczas gdy żona tego ktosia bawiła z wizytą u rodziny w Równem; godząc się iść na kompromis w związku z tym, jacy byliśmy, jacy jesteśmy i jacy najprawdopodobniej będziemy... obyśmy żyli razem w niezachwianej miłości i dobrym zdrowiu, amen.

(Pełny wykaz apokalips znajdzie czytelnik w SUPLEMENCIE Z32. Co się tyczy pełnego wykazu zjawisk, określanych mianem genesis, zob. SUPLEMENT Z33.)

Koniec świata nieraz już nadszedł i nadal często nadchodzi. Nieubłagany, bezlitosny, ściągający ciemność za ciemnością, koniec świata jest czymś, co zdążyliśmy dobrze poznać, oswoić, zrytualizować. Z religijną wręcz sumiennością staramy się zapominać o nim pod jego nieobecność, żyć z nim w pokoju, ilekroć staje się niezaprzeczalnym faktem, i padać mu w ramiona, gdy wreszcie po nas przychodzi, jak to przecież zawsze czyni.

Jeszcze się nie urodził człowiek, któremu udałooby się przetrwać jakiś okres dziejów i nie przeżyć po drodze przynajmniej jednego końca świata. Przedmiotem szerokiej debaty naukowej jest pytanie, czy martwo narodzone dzieci również podlegają tego rodzaju objawieniom – czy możemy o nich powiedzieć, że przeżyły życie, uniknąwszy zakończeń. Owa debata wymaga oczywiście dokładnego zbadania pewnej głębszej kwestii, a mianowicie: *Czy świat najpierw został stworzony, czy najpierw się skończył?* Gdy zaś Bóg a Nasz Pan uraczył wszechświat swoim tchnieniem, nastąpiło genesis czy raczej apokalipsa? Czy słynnych siedem dni należy liczyć w przód czy wstyk? Jak smakowało jabłko, Adamie? A ta połówka robaka, którą znalazłeś w słodko-gorzkiem mięszu: głowa to była czy ogon?

CO WŁAŚCIWIE ZROBIŁ JANKIEL D.

(Zob. HANIEBNY KORAL JANKIELA D.)

### PIĘĆ POKOLEŃ MIĘDZY BROD A SAFRANEM

Brod miała z Kołkerem trzech synów i wszystkim da-  
no na imię Jankiel. Dwaj pierwsi zginęli we młynie,  
padając tak jak ich ojciec ofiarą piły tarczowej. (Zob.  
SUPLEMENT G: PRZEDWCZESNE ŚMIERCI.) Trzeci  
Jankiel, poczęty przez dziurę, kiedy Kołker przeby-  
wał już na wygnaniu, żył długo i twórczo, życie zaś  
nie skąpiło mu doświadczeń, uczuć i nieznacznych  
zmądrzeń, o których nikt z nas nigdy się nie dowie.  
Ów Jankiel spłodził Trachimkołkera. Trachimkołker  
spłodził Safranbroda. Safranbrod spłodził Trachim-  
jankiela. Trachimjankiel spłodził Kołkerbroda. Koł-  
kerbrod spłodził Safrana. Albowiem jest napisane:  
*A WIĘC JEŚLI MAMY TRUDZIĆ SIĘ GWOLI LEPSZEJ  
PRZYSZŁOŚCI, CZY NIE MUSIMY ZAPOZNAĆ SIĘ  
I POGODZIĆ Z WŁASNĄ PRZESZŁOŚCIĄ?*

### SZEŚĆSET TRZYNAŚCIE SMUTKÓW BROD

Poniższą encyklopedię smutku znaleziono przy  
zwłokach Brod D. Sześćset trzynaście smutków,  
pierwotnie spisanych w jej dzienniku, odpowiadało  
sześciuset trzynastu przykazaniom naszej (nie ich-  
niej) Tory. Poniższy wykaz obejmuje to, co zdołano  
ocalić po wyłowieniu ciała. (Mokre kartki dziennika  
pozostawiły na skórze Brod odbitkę smutków. Zaled-  
wie niewielki ich ułamek [pięćdziesiąt pięć] dało się

odczytać. Reszta, czyli pięćset pięćdziesiąt osiem smutków, zaginęła na wieki i należy mieć nadzieję, że nie wiedząc, czym są, nikt nie będzie musiał ich doświadczyć.) Dziennika, z którego pochodzą, nigdy nie odnaleziono.

*SMUTKI CIELESNE:* Smutek lustrzany; Smutek [zewnątrznego] podobieństwa lub niepodobieństwa do własnych rodziców; Smutek niewiedzy, czy własne ciało jest normalne; Smutek wiedzy, że własne [ciało jest] nienormalne; Smutek wiedzy, że własne ciało jest normalne; Smutek piękna; Smutek makijażu; Smutek fizycznego bólu; Smutek szpilek i [igieł]; Smutek ubrań [*sic*]; Smutek drżącej powieki; Smutek brakującego zębra; Smutek dostrzegalny; Smutek nie-dostrzeganych; Smutek kogoś, czyje genitalia nie są podobne do genitaliów kochanka; Smutek kogoś, czyje genitalia są podobne do genitaliów kochanka; Smutek dłoni...

*SMUTKI PRZYMIERZA:* Smutek miłości bożej; Smutek boskich pleców [*sic*]; Smutek ulubionego dziecka; Smutek tego, kto smuci się w obecności swojego Boga; Smutek przeciwieństwa wiary [*sic*]; Smutek „A jeżeli?”; Smutek Boga samotnego w niebiosach; Smutek Boga potrzebującego ludzi, którzy by się do Niego modlili...



*SMUTKI INTELEKTUALNE:* Smutek niezrozumianych [*sic*]; Smutek humoru; Smutek miłości bez ujęcia; Smut[ek włas]nej bystrości; Smutek kogoś, kto zna za mało słów, żeby [się wysławić]; Smutek swobody wyboru; Smutek pragnienia smutku; Smutek zamętu; Smutek udom[owi]onych ptaków; Smutek ukoń[czenia] książki; Smutek pamiętania; Smutek zapominania; Smutek niepokoju...

*SMUTKI MIĘDZYLUDZKIE:* Smutek tego, kto smuci się w obecności kogoś z rodziców; Sm[ut]ek fałszywej miłości; Smutek miłości [*sic*]; Smutek przyjaźni; Smutek niedobrej rozmowy; Smutek tego, co być mogło, a nie było; Smutek potajemny...

*SMUTKI SEKSU I SZTUKI:* Smutek podniecenia jako niezwykłego stanu fizycznego; Smutek kogoś, kto czuje potrzebę tworzenia pięknych rzeczy; Smutek odbytu; Smutek kontaktu wzrokowego w pozycji sześćdziesiąt dziewięć; Smutek pocałunków; Smutek zbyt szybkiego ruchu; Smutek bez[ruch]u; Smutek nagich modeli; Smutek sztuki portretowej; Smutek jedyne go zasługującego na uwagę artykułu Pinchasa T., pod tytułem *Do pyłu: z człowiekaś powstał i w człowieka się obróciś*, w którym autor twierdził, że – teoretycznie rzecz biorąc – życie i sztuka mogłyby zamienić się rolami....





24 grudzień 1997

*Drogi Jonathan!*

*Nie wspominajmy już nigdy nawzajemno o swoim pisaniu. Posiłem ci swoją fabułę i błagam (a wraz ze mną Igorek), żebyś dalej posilał swoją, ale nic już nie korygujemy ani nawet komentujemy. Nie chwalmy ani gańmy. W ogóle nie osądzajmy. Jesteśmy już poza tym etapem.*

*Mówimy teraz, Jonathan, razem, nie osobno. Wspólnie pracujemy nad tą samą fabułą i jestem pewien, że ty też to czujesz. Czy wiesz, że ja jestem Cyganką, a ty jesteś Safranem, jestem Kołkerem, a ty jesteś Brod, jestem twoją babką, a ty jesteś Dziadkiem, jestem Aleksem, a ty jesteś tobą, i ja jestem tobą, a ty jesteś mną? Czy nie pojmujesz, że możemy dać sobie nawzajemno bezpieczeństwo i spokój? Nie czułeś tego, kiedy leżeliśmy pod gwiazdami w Trachimbrodzie? Nie prezentuj mi bezprawd. Nie mnie.*

*A oto, Jonathan, jest tobie fabuła. Nawierna fabuła. Wczoraj wieczór powiadomiłem Ojcu, że zabieram się w jeden sławny klub nocny. „Na pewno wrócisz do domu z towarzysztwem?” – powiedział. Jeśli chcesz znać, co miał w oddechu, otóż miał wódkę. „Nie zamyslam” – odparłem. „To dopiero*

się ucieleśnisz” – dodał ze śmiechem. Dotknął mnie w ramię i powiem ci, że to było jak dotyk od diabła. Zrobiło mi się głębinowo za nas wstyd. „Nie – odparłem. – Będę tylko tańczył i przestawał pośród przyjacieli”. „Szapka, Szapka”. „Cicho być!” – powiedziałem mu i złapałem go za nadgarstek. Muszę ci powiadomić, że nigdy przedtem nie wymówiłem do niego nic podobne i ani też nigdy gwałtem na niego nie ruszyłem. „Przykro mi” – powiedziałem i puściłem mu nadgarstek. „Już ja dopilnuję, żeby ci było przykro” – odpowiedział. Szczęściarz ze mnie, bo miał w sobie takie pełno wódki, aż brykło mu uwagi, żeby mnie bębnać.

Oczewidno nie poszedłem w żaden sławny klub nocny. Jak już wspomniałem, często powiadamiam Ojcu, że idę w sławny klub, a potem schadzam na plażę. Nie chadzam w nocne kluby, bo wolę składać walutę w puszcze od ciastek i kiedyś razem z Igorkiem przemieszkać się w Amerykę. Ale muszę ci powiadomić, że wcale też zresztą nie kocham sławnych klubów nocnych. Czuję się w nich strasznie bezradosny i poniechany. Czy przykładam to słowo korekt? Poniechany?

Plaża wczoraj wieczór była piękna, ale to mnie nie zaskoczyło. Uwielbiam siedzieć na brzegu ziemi i czuć, jak mnie woda graniczy, a potem znówu opuszcza. Czasem zdejmuję buty i stawiam stopy, dokąd myślę, że woda dostąpi. Próbuje myśleć o Ameryce relatywnie z miejscem, w którym siedzę na plaży. Zwyobrażam sobie kreskę, białą kreskę, namalowaną na piasku i na oceanie, ode mnie do ciebie.

Siedziałem na brzegu wody, myśląc o tobie, no i o nas, aż tu nagle coś usłyszałem. Nie była to woda ani wiatr, ani insekty. Obróciłem się głową, żeby zobaczyć, co to takie. Ktoś ku

mnie szedł. Strasznie mnie to zestraszło, bo nigdy nie kontempluję nijakiego innego persony na plaży, kiedy nocą tam jestem. Nie było nic poblisko mnie, nie było ku czemu iść, jak tylko ku mnie. Włożyłem buty i zacząłem odchodzić od tego persony. Czy on był policja? Policje często dają wyzysk ludziom, co siedzą sami. Czy on był przestupnik? Nie bardzo się bałem przestupnika, bo oni nie mają broni prima sort i niewiele mogą człowieku zaleźć. Chyba że dany przestupnik jest policja. Słyszałem, że ten persona wciąż ku mnie nadchadza. Ruszyłem w raptowniejszy krok. Persona śigał mnie z rozpędem. Nie patrzyłem już więcej, żeby uświadczyć, kto to zacz, bo nie chciałem, żeby wiedział, że go sobie uświadamiam. Na ucho wydawało mi się, że się zbliża, że niedługo mnie dosięgnie, więc wypuściłem się biegiem.

Ale wtedy usłyszałem: „Sasza!” I położyłem swojemu biegowi kres. „Sasza, czy to ty?”

Obróciłem się. Dziadek stał uchylony z dłonią na brzuchu. Widziałem, że wytwarza ogromne oddechy. „Szukałem cię” – powiedział. Nie rozumiałem, skąd wiedział, żeby mnie szukać na plaży. Jak już ci powiadomiłem, nikt nie wie, że w nocy chodzę na plażę. „Tu jestem” – odpartem, co brzmiało dziwacznie, ale nie wiedziałem, co inne powiedzieć. Dziadek naprostował się i rzekł: „Mam pytanie”.

To była pierwsza sposobność, jaką pamiętam, że Dziadek zwrócił się do mnie bez czegoś pośród nami. Nie było ani Ojca, ani gieroja, ani suki, ani telewizji, ani jedzenia. Zaledwie my. „O co chodzi?” – spytałem, bo postrzegłem, że nie zdoła zadać mi to swoje pytanie, jeżeli go nie wspiorę. „Muszę cię o coś poprosić, ale pojmiij, że proszę tylko o pożyczkę tego czegoś, i poj-

*mij też, że możesz mi odmówić i ani mnie to nie urani, ani nie pomyślę o tobie nic złe”. „O co chodzi?” Nie przychodziło mi na myśl nic z moich posesji, czego Dziadek mógłby być spragniony. W ogóle nie przychodziło mi w głowę nic na świecie, czego mógłby spragniony być Dziadek.*

*„Chcesz mi pożyczyć waluty?” – spytał. Po prawdzie rzekłszy, zrobiło mi się bardzo wstydliwie. Nie po to całe życie harowałem, żeby teraz musiał prosić waluty od swojego wnuka. „Chcę” – powiedziałem. I nie powinien byłem wymówić ani słowo więcej, tylko pozwolić, żeby to moje „chcę” mówiło za wszystko, co kiedykolwiek miałem Dziadku do powiedzenia, żeby to jedno „chcę” zastąpiło wszystkich moich pytań i wszystkich jego odpowiedzi na te pytania i wszystkich moich odpowiedzi na te jego odpowiedzi. Ale to było niesposobna. „Czemu?” – spytałem.*

*„Czemu co?”*

*„Czemu jesteś spragniony mojej waluty?”*

*„Bo nie posiadam dostateczną sumę”.*

*„Na co? Na co potrzebujesz waluty?”*

*Obrócił głowę ku wodzie i nie powiedział nic a nic. Była to jego odpowiedź? Ruszył stopą po piasku i namalował koło.*

*„Jestem rozstrzygnięty, że ją potrafię znaleźć – powiedział. – Cztery dni. Może pięć. Ale nie może to wymagać więcej niż tydzień. Byliśmy bardzo poblisko celu”.*

*Powinien byłem powtórzyć „chcę” i znowu nie mówić nic więcej. Powinien byłem poszanować, że Dziadek jest dużo postarzały ode mnie i poprzez to mądrzejszy, a jeśli nawet nie, to zasługuje, żebym go nie przestuchiwał. Ale ja za miast milczeć, powiedziałem: „Nie. Nie byliśmy poblisko”.*

„Owszem – powiedział. – Byliśmy”.

„Nie. Nie byliśmy pięciu dni od tego, żeby ją znaleźć.  
Byliśmy od tego pięćdziesiąt lat”.

„To jest coś, co muszę zrobić”.

„Czemu?”

„Nie rozumiałbyś”.

„Zrozumiałbym. Rozumiem”.

„Nie, nie rozumiałbyś”.

„Herszel?”

Namalował stopą jeszcze jedno koło.

„No to weź mnie ze sobą” – powiedziałem. Wcale nie  
zamyślałem tak powiedzieć.

„Nie” – odparł.

Byłem spragniony powtórzyć: „Weź mnie ze sobą”, ale wie-  
działem, że znowu by odpowiedział: „Nie”, a chyba nie potra-  
fiłbym tego usłyszeć i się nie rozplakać, a wiem, że nie mogę  
plakać u Dziadka na widoku.

„Nie musisz od razu decydować – powiedział. – Nie myś-  
lałem, że zdecydujesz raptownie. Oczekuj, że odmówisz”.

„Czemu myślisz, że odmówię?”

„Bo nie rozumiesz”.

„Rozumiem”.

„Nie, nie rozumiesz”.

„Możliwe, że nie odmówię”.

„Dałbym ci każdą swoją posesję, której jesteś spragniony.  
Może być twoja, póki nie przywrócę ci waluty, a to będzie  
niebawem”.

„Weź mnie ze sobą” – powiedziałem, chociaż znowu wcale  
nie zamyślałem tak powiedzieć, ale samo oswobodziło mi się  
z ust jak artykuły z wozu Trachima.



„Nie” – odparł.

„Proszę – powiedziałem. – Ze mną będzie ci mniej sztywno. Bardzo mogę wspomóc”.

„Muszę znaleźć ją sam” – rzekł, a ja w tej chwili nabrałem pewności, że jeśli dam Dziadku walutę i pozwolę mu odejść, nigdy więcej go nie zobaczę.

„Weź Igorka”.

„Nie – odparł. – Sam. – Żadnych słów. A potem: – Nie powiadamiaj Ojcu”.

„Oczewidno” – powiedziałem, bo oczewidno nie powiadomiłbym Ojcu.

„To musi być nasz sekret”.

I właśnie to ostatnie, co powiedział, zostawiło mi najtrwalszy znak na mózgu. Dopiero kiedy to wymówił, uświadomiłem sobie, że mamy sekret. Mamy coś pośród nami, czego nikt inny na świecie nie zna ani znać nie może. Mamy sekret razem, a nie tak jak przedtem w rozłamie.

Powiadomiłem mu, że raptownie sprezentuję odpowiedź.

Nie wiem, co robić, Jonathan, i jestem spragniony, żebyś mi powiedział, co twoim zdaniem jest słuszne. Wiem, że niekoniecznie musi być tylko jedno słuszne. Mogą być dwa. A może nie być ani jedno słuszne. Rozważę, cokolwiek zasądzisz. Obiecuję. Ale nie mogę obiecać, że zharmonizuję. Są rzeczy, o których nie masz pojmovania. (No i oczewidno podsięwezmę decyzję, zanim otrzymasz ten list. Zawsze porozumiewamy się w tym zawieruszonym czasie.)

Nie jestem głupi persona. Wiem, że Dziadek nigdy nie podoła przywrócić waluty. Czyli nie będę mógł przemieszkać się z Igorkiem w Amerykę. Nasze marzenia nie mogą istnieć

*jednocześnie. Jestem taki młody, a on taki stary, że obydwu nam powinno się należeć marzenie, ale w rzeczywistości to niesposobna.*

*Jestem pewien, co wymówisz. Wymówisz: „Pozwól, że to ja dam ci walutę”. Wymówisz: „Możesz ją zwrócić, kiedy będziesz miał, a możesz nigdy nie zwracać i nikt ci słowa na ten temat nie powie”. Wiem, że tak wymówisz, bo wiem, że jesteś dobry personą. Ale to nie do przyjęcia. Z tego samego powodu, dla którego Dziadek nie może wziąć mnie w swoją wozą, ja nie mogę wziąć od ciebie waluty. To kwestia wyboru. Rozumiesz? Proszę, wysił się zrozumieć. Ty jeden rozumiałeś ze mnie choćby szept, a powiem ci, że z ciebie też tylko ja jeden choćby szept rozumiałem.*

*Będę z wyczekiwaniem spodziewał na twój list.*

*Niewinnie,*

*Aleksandr*

ZANIM WRÓCILIŚMY w hotel, zrobiło się tak bardzo późno, że już prawie bardzo wcześnie. Właściciel ociągał ze snu w recepcurze. „Wódki – rzekł Dziadek. – Musimy się napić, wszystka trzech”. „Czterech” – zakonsyliowałem, wskazując Sammy Davis, Junior, Junior, która cały dzień była taki tumor łaskawy. No więc wszystka czterech w marszowaliśmy w hotelowy bar. „Jesteście powrotni – zatwierdziła kelnerka, kiedy nas uświadczyła. – I znowu z Żydem”. „Radzę się przymknąć” – powiedział Dziadek, nawet nie wcale z ogłuszającym nagłośnieniem, tylko cicho, jakby to był oczywisty fakt, że ona ma się przymknąć. „Najmocniej upraszam” – odrzekła. „To jest całkiem nic” – upewniłem ją, bo nie chciałem, żeby czuła się zaniżona poprzez mały błąd, no i także widziałem jej łono, kiedy zginała się naprzód. (Za kogo to napisałem, Jonathan? Już nie chcę więcej być niesmaczny. I zabawny też być już nie chcę.) „Właśnie, że to jest całkiem coś – powiedział Dziadek – i musi pani teraz prosić u Żyda łaskawości”. „Co tu się dzieje? – spytał

gieroj. – Czemu nie wchodzimy?” „Pani się pokaja” – powiedział Dziadek do kelnerki, która była młoda dziewczyna, jeszcze bardziej młodsza ode mnie.

„Najmocniej upraszam, że przezwalam pana od Żyda” – powiedziała gieroj. „Ona najmocniej uprasza, że cię przezwala od Żyda” – przetłumaczyłem. „Skąd wiedziała?” „Wie, bo jej przedtem powiedziałem, przy śniadaniu”. „Powiedziałeś jej, że jestem Żydem?” „Akurat podówczas był to stosowny fakt”. „Piłem mochaccino”. „Muszę ci skorygować. Piłeś kawę”. „Co on mówi?” – spytał Dziadek.

„Może byłoby najlepiej – powiedziałem – gdybyśmy pozyskali stół i zamówili dużą liczbę napitków, a także jedzenia”. „Co oprócz tego o mnie mówiła? – spytał gieroj. – Powiedziała coś jeszcze? Widać jej cycki, jak się schyla”. (Tyś powiedział, pamiętasz. Nie ja to wynalazłem, nie moja wina.)

Poścignęliśmy za kelnerką do naszego stołu, który był w kącie. Mogliśmy zająć każdy inny, bo byliśmy w sali wyłączni ludzie. Nie wiem, czemu usadziła nas w kącie, ale jest u mnie pewna interpretacja. „Co mogę panom pozyskać?” – spytała. „Cztery wódki – odparł Dziadek. – Jedna w misce. I czy ma pani cośkolwiek do jedzenia, ale bezmięсне?” „Fistaszki” – odparła. „Doskonale – zareagował Dziadek – tylko ani jednego dla Sammy Davis, Junior, Junior, bo ona po nich ciężko chorzeje. Dostaje strasznych przejawów, jeżeli choćby jeden dotknie jej warg”. Powiadomiłem to gieroj, bo myślałem, że go rozbawi. Ale zaledwie się uśmiechnął.

Kiedy kelnerka wróciła z naszymi napitkami, obmawialiśmy już przeminiony dzień, a także plany na naza jutrz. „On musi być obecny na kolei przed 19:00 wieczór, tak?” „Tak – odparłem – więc będziemy pragnąć się odprawić z hotelu w obiad, dla wszelkiego wypadku”. „Może znajdziemy czas, żeby jeszcze więcej poszukać”. „Nie jestem za pewien – powiedziałem. – Zresztą gdzie by nibyśmy szukali? Nie ma nic. Nie ma nikogo pytać. Pamiętaj, co powiedziała”. Gieroj nie dawał nam ani uwagi i ani raz nie spytał, co obmawiamy. Stowarzyszał się zaledwie z fistaszkami. „Bez niego byłaby lżejsza betka” – zatwierdził Dziadek, ruszając oczami ku gierojowi. „Ale to jest jego poszukiwanie” – odparłem. „Czemu?” „Bo to jego dziadek”. „Nie szukamy za jego dziadkiem. Szukamy za Augustyną. A ona nie jest ani trochę bardziej jego niż nasza”. Póki nie powiedział, nie myślałem o tym na ten sposób, ale to była prawda. „O czym rozmawiacie? – spytał mnie Jonathan. – I czy mógłbyś poprosić kelnerkę o jeszcze trochę fistaszków?”

Powiedziałem kelnerce, żeby aportowała nam więcej fistaszków, a ona na to: „Dobrze, aportuję, chociaż właściciel komenderuje, żeby nikt nigdy nie otrzymał więcej niż jedną miskę. Zrobię was wyjątkiem, bo czuję się tak podle o to, że przezwałam Żyda od Żydów”. „Dziękuję – powiedziałem – ale nie ma pani powodu czuć się podle”. „A co z jutrem? – spytał Jonathan. – Muszę być na stacji o 7:00, prawda?” „Korekt”. „Co będziemy robili do tej pory?” „Jestem personą niepewnym. Musimy odprawić się bardzo wcześnie, bo musisz być na dworcu

kolejnym dwie godziny, zanim twój pociąg wymarszuje, a na dworzec mamy trzy godziny jazdy autem i jest bardzo prawdopodobne, że zrobimy się zabłądzeni”. „Wygląda na to, że powinniśmy natychmiast wyruszyć” – powiedział gieroj i roześmiał się. Ja się nie roześmiałem, bo wiedziałem, że powód, dla który musimy wcześniej się odprawić, nie jest po prawdzie z tego względu, co mu zapodałem, tylko dlatego, że nie ma już za czym szukać. Ponieśliśmy klapę.

„Przestudniujmy W RAZIE CZEGO” – powiedział Dziadek. „Że co?” – spytałem. „Pudełko. Sprawdźmy, co w nim jest”. „Czy to zły pomysł?” „Oczewidno, że nie – odparł. – Niby czemu miałby być złym?” „Może powinniśmy pozwolić Jonathanu przestudniować pudło poufnie, a może w ogóle nikt nie powinien go studniować”. „Kiedy mu je zofiarowała, przyświęcał jej jakiś cel”. „Wiem – przytaknąłem – ale może ten cel nie miał nic wspólnie z studniowaniem pudła. Może cel jest taki, żeby nigdy nie zostało otwarte”. „Nie jesteś ciekawy persona?” – spytał mnie. „Jestem bardzo ciekawy”. „O czym tak rozmawiacie?” „Czy byłbyś kontent przestudniować W RAZIE CZEGO?” „O co ci chodzi?” „O pudełko, które zofiarowała ci dzisiaj Augustyna. Moglibyśmy je zrewidować”. „Czy to dobry pomysł?” „Jestem niepewny. Sam identycznie spytałem”. „Nie widzę, czemu miałby to być zły pomysł. Przecież nie bez powodu mi je dała”. „To samo wypowiedział i Dziadek”. „Nie widzisz żadnych istotnych przeciwwskazań?” „Żadnych nie potrafie wyprognozować”. „Ja też nie”. „Ale”. „Co ale?” „Ale nic”

- wymówiłem. „Ale co?” „Ale nic. Ty decydujesz”. „I ty”. „Roztwórzcie to pierdolone pudło” - powiedział Dziadek. „On mówi, roztwórzcie pierdolone pudło”. Jonathan usunął pudło spod swojego krzesła i umiejscowił je na stół. W RAZIE CZEGO napisane było na bocznej ścianie i teraz z bardziej pobliska uważałem, że słowa te wiele razy napisano i wymazano, napisano, wymazano i znowu napisano.

„Mmmm” - powiedział Jonathan i wyczynił gesty ku czerwonej wstążce opasanej dokooła pudełka. „To tylko po to, żeby się nie otwarło” - wyjaśnił dziadek. „To tylko po to, żeby się nie otwarło” - przetłumaczyłem. „Pewnie tak” - odparł Jonathan. „Albo - dodałem - żeby nam nieumożliwić przestudniowanie”. „Nic nie mówiła, że mamy nie zaglądać. A coś by chyba powiedziała, gdyby sobie nie życzyła, nie sądzisz?” „Tak bym sądził”. „Twój dziadek uważa, że powinniśmy otworzyć?” „Tak”. „A ty?” „Jestem niepewny”. „Jak to, jesteś niepewny?” „Myślę, że nie byłoby to takie straszne nędzarstwo, jak-byśmy otworzyli. Coś by pewnie wymówiła, gdyby wolała, żeby pudło pozostało niezstudniowane”. „Otwórzcie to pierdolone pudło” - rzekł dziadek. „On mówi: Otwórzcie pierdolone pudło”.

Jonathan rozmontował wstążkę, która była wielokrotnie owinięta dokooła pudła, i otworzył. Może wy-czekiwaliśmy, że pośrodku będzie bomba, bo kiedy nie wybuchła, wszyscy byliśmy potrząśnięci. „Jak dotąd nic straszego” - zatwierdził Jonathan. „Jak dotąd nic straszego” - powtórzyłem Dziadku. „Przecież mówiłem -

powiedział. – Mówiłem ci, że to nic strasznego”. Zajrzeliśmy w pudło. Jego ingrediencje wyglądały bardzo podobne do SZCZĄTKÓW, tylko że było ich może więcej. „No jasne, że chciała, żebyśmy je otworzyli” – rzekł Jonathan. Spojrzał na mnie i się roześmiał, no to i ja się roześmiałem, a potem roześmiał się Dziadek. Śmiałyśmy się, bo już wiedzieliśmy, jakie to było bezrozumne, że robiliśmy w portki z powodu inauguracji pudła. A także dlatego się śmialiśmy, że wielu rzeczy jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, no i wiedzieliśmy, że wielu rzeczy jeszcze nie wiemy.

„Poszukajmy” – rzekł Dziadek i ruszył ręką poprzez pudło z napisem W RAZIE CZEGO, tak jak dziecko zasięga w pudełko z podarkami. Wydźwignął naszyjnik. „Patrzcie” – powiedział. „To chyba perły – stwierdził Jonathan. – Prawdziwe perły”. Perły, jeżeli to były prawdziwe perły, były bardzo brudne i żółte, i nawet pośród nimi tkwiły zbłąkane kawałki brudu jak jedzenie pośród zębami. „Wygląda bardzo postarzały” – rzekł Dziadek. Powtórzyłem to Jonathanu. „Tak – zharmonizował. – I brudny. Na pewno ktoś go pogrzebał”. „Co znaczy pogrzebał?” „Schował w ziemi tak jak trupa”. „Tak, wiem tę rzecz. Może z perłami miało się podobnie jak z tą obrączką z pudła SZCZĄTKI”. „Racja”. Dziadek podniósł naszyjnik do świecy, co stała na stole. Perły, jeżeli to były prawdziwe perły, były wielorace zabarwione i już nie przepyszne. Dziadek spróbował oczyścić je kciukiem, ale pozostały brudne. „Piękny naszyjnik – powiedział. – Bardzo podobny pokupiłem twojej babce,



zaraz jak tylko się ze sobą zakochaliśmy. To było wielu lat temu, ale pamiętam, jak wyglądał. Wymagało całej mojej waluty, żebym go pokupił, więc jak mógłbym zapomnieć?” „A gdzie on teraz jest? – spytałem. – W domu?” „Nie – odparł. – Ona wciąż ma go na sobie. To jest całkiem nic. Po prostu tak sobie życzyła”. Położył perły na stół, a ja uważałem, że wcale go ten naszyjnik nie zapędził w melancholię, jak niby można było spodziewać, tylko mianował bardzo kontentym personą. „Teraz ty” – powiedział mi Dziadek i bębnał mnie w plecy, nie tak, żeby miało zboleć, ale i tak zabolalo. „On mówi, że mam coś wybrać” – powiedziałem Jonathanu, bo byłem spragniony odkryć, jak odpowie na tą interpretację, że Dziadek i ja mamy tak samo jak on przywilej studniować pudło. „Dalej” – odparł. No to wstawiłem rękę we

W RAZIE CZEGO.

Poczułem wielu anormalnych rzeczy i nie umiałem zgadnąć, co one są. Niby nie było takiej umowy, ale zabawa polegała między innymi na tym, że nie można zaglądać w pudło, kiedy się wybiera rzecz do wydźwignięcia. Niektóre rzeczy pod moją ręką były gładkie jak marmur albo kamyki z plaży. Inne rzeczy pod moją ręką były zimne jak metal albo ciepłe jak futro. I dużo kawałków papieru. Byłem tego pewien nawet bez świadczenia. Ale nie wiedziałem, czy to fotografie, zapiski czy kartki z książki albo z magazynu. Wydźwignąłem to, co wydźwignąłem, bo to była największa rzecz w całym pudle. „O” – powiedziałem, usuwając kawał papieru strąbiony w rulon i umocniony z białym sznurkiem. Usunąłem

sznurek i rozrolowałem papier na stół. Jonathan powściągał za jeden koniec, a ja powściągałem za drugi. Na papierze pisało MAPA ŚWIATA 1791. Chociaż kształty ziem były cośkolwiek podmienione, pomimo temu wszystko wydawało się bardzo jak świat, który bieżąco znamy. „Rzecz prima sort” – powiedziałem. Taka mapa warta jest wieluset, a jak się dobrze przytrafi, to i wielu tysięcy dolarów. Ale zwłaszcza jest ona wspomnienie tych dawnych czasów, kiedy nasza planeta była jeszcze taka mała. Kiedy udziałano tą mapę, pomyślałem, można było mieszkać i nie wiedzieć, gdzie się nie mieszka. To mi nasunęło myśl o Trachimbrodzie i jak Lista, ta, co koniecznie byliśmy spragnieni, żeby była Augustyną, nigdy nie słyszała o Ameryce. Możliwe, że jest ostatnią na ziemi personą, rozumowałem, która nie wie o Ameryce. Albo w każdy raz miło tak pomyśleć. „Jestem zachłyśnięty” – powiedziałem Jonathanu i muszę wyznać, że nie miałem żadnych podtekstów, kiedy mu to mówiłem. Byłem prosto zachłyśnięty mapą. „Możesz ją sobie wziąć” – odparł. „To nie prawdziwa rzecz”. „Weź ją sobie i ciesz się nią”. „Nie możesz mi jej dać. Cały bagaż musi zostać razem” – powiedziałem. „No, bierz ją – odparł. – Jest twoja”. „Jesteś upewniony?” – spytałem, bo nie chciałem, żeby czuł się brzemienno mi ją zofiarować. „Jestem pewien. To może być suvenir z naszej podróży”. „Suvenir?” „Pamiątka”. „Nie – odparłem. – Dam ją Igorku, jeśli jesteś sogłasy”, bo wiedziałem, że Igorek też się taką mapą zachłyśnie. „Mam nadzieję, że sprawi mu dużo radości – powiedział Jonathan. – Dla niego to też może być suvenir”.

„Ty” - powiedziałem Jonathanu, bo nadeszła jego sposobność, żeby wydzwignąć coś z W RAZIE CZEGO. Odwrócił głową od pudła i wstawił rękę. Nie wymagał długiego czasu. „O” - powiedział i usunął jakąś książkę. Umieścił ją na stół. Wyglądała bardzo stara. „Co to za książka?” - spytał. Ruszyłem pył z okładki. Nigdy poprzednio nie świadczyłem książki podobnej na tą. Obie okładki miała zapisane, a kiedy ją odemknąłem, zobaczyłem, że po wewnętrznych okładek też widać pismo, no i oczywiście na każdej kartce. Tak jakby w książce było nie dość miejsca na książkę. Podług kręgosłupa zaznaczono po ukraiński: *Księga minionych zdarzeń*. Powiedziałem to Jonathanu. „Przeczytaj mi z niej coś” - poprosił. „Początek?” „Cokolwiek, wszystko jedno”. Otworzyłem na centralnej stronie i wybrałem do przeczytania fragment z jej centra. Bardzo trudno mi szło, ale jakoś przetłumaczyłem na angielski, równoleżnie czytając. „Sztetl był wielobarwny od poczynań swoich mieszkańców - powiedziałem - a ponieważ użyto każdego kolorów, niesposobna było postrzec, czym manipulowali ludzie, a co zawzięła w swoje ręce natura. Gecel G., krążyły głoski, grywał widocznie na skrzypkach wszystkich skrzypków - chociaż nie umiał grać! - bo struny miały kolor jak od jego palców. Szeptano, że Gesza R. próbuje zostać gimnastyczka. I dlatego żydowsko-ludzka linia uskoju jest żółta jak jej dłonie. A kiedy czerwień twarzy jednej uczennicy pobłędzono z czerwienią palców świętego męża, to właśnie uczennicę obrzucono nazwiskami”. Jonathan zabezpieczył książkę

i zaczął ją studniować, a ja tymczasem opowiedziałem Dziadku, co przed chwilą przeczytałem. „Cudowna” – rzekł Jonathan, i muszę wyznać, że widokował ją podobnym fasonem jak Dziadek zdjęcie Augustyny.

(Możesz rozumieć to jako podarek tobie ode mnie, Jonathan. I tak jak ja teraz ratuję ciebie, tak i ty mógłbyś uratować Dziadka. Jesteśmy zaledwie o dwa akapity. Proszę, spróbuj znaleźć inne rozwiązanie.)

„Teraz ty” – rzekł do Dziadka Jonathan. „On mówi, że teraz ty” – przetłumaczyłem. Dziadek odwrócił głowę od pudła i wstawił rękę. Byliśmy podobni na troje dzieci. „Tylu tu rzeczy – powiedział Dziadek. – Nie wiem, którą wziąć”. „Nie wie, którą wziąć” – powiedziałem Jonathanu. „Czasu starczy na wszystkie” – odparł Jonathan. „Może to – powiedział Dziadek. – Albo nie, lepiej to. Takie miękkie i miłe w dotyku. Nie, lepiej to. Składa się z ruchomych części”. „Wystarczy czasu na wszystkie” – powiedziałem mu, bo pamiętaj, Jonathan, w którym miejscu fabuły teraz jesteśmy. Wciąż jeszcze nam się wydawało, że posiadamy czas. „O – rzekł Dziadek i wydzwignął fotografię. – Aaa, zwykła rzecz. Niestety. W dotyku wydawała się, że to co inne”.

Położył fotografię na stół, nie obejrzawszy. Ja także samo jej nie obejrzałem, bo niby po co miałbym oglądać, rozumowałem. Dziadek miał rację, wyglądała bardzo prosto i zwyczajnie. W pudle było pewnie ze sto fotografii w tej manierze. Raptowne spojrzenie, którym ją uraczyłem, nie wykazało mi nic anormalne. Było na niej trzech mężczyzn, a może czterech. „Teraz ty” – powiedział

mi Dziadek, a ja odwróciłem głową i wstawiłem rękę. Głowę miałem odwróconą, żeby nie widzieć pudła, toteż świadczyłem Jonathana, podówczas gdy moja ręka śledziła. Coś miękkie. Coś szorstkie. Jonathan ruszył fotografią ku twarzy, nie żeby się zaciekawił, tylko dlatego, że nie miał nic inne do roboty, kiedy przeszukiwałem pudło. Tyle pamiętam. Zjadł dłoń fistaszków i uwolnił kilkoro na podłogę dla Sammy Davis, Junior, Junior. Upił miniaturowy łyżeczek ze swojej wódki. Na chwilę oderwał wzrok od fotografii. Poczułem pióro i kość. Potem pamiętam, że znowu spojrział na fotografię. Poczułem coś gładkie. Coś filigranowe. Oderwał wzrok od fotografii. I znowu na nią spojrział. Coś twarde. Świeca. Coś kwadratowe. Ukłucie od szpilki.

„O Boże” – powiedział i uniósł fotografię ku blasku świecy. Odłożył ją na stół. Potem znowu wziął do ręki i tym razem przytknął mi blisko do twarzy, żeby obserwować fotografię i moją twarz w zarówno tym samym momencie. „Co on robi?” – spytał Dziadek. „Co robisz?” – spytałem Jonathana. Położył fotografię na stół. „To ty” – powiedział.

Usunąłem rękę z pudła.

„Kto ja?” – spytałem. „Człowiek na tym zdjęciu. To ty”. Dał mi zdjęcie. Tym razem obejrzałem je bardzo śledczo. „Co to takie?” – spytał Dziadek. Na zdjęciu było czworo ludzi, dwaj mężczyźni, kobieta i dziecko u kobiety na ręce. „Ten z lewej – rzekł Jonathan. – Tu”. Położył palec pod twarzą mężczyzny i muszę wyznać, że nie mogło być nic bardziej prawdopodobne, aniżeli

przytaknąć, bo rzeczywiście wyglądał podobny na mnie. Całkiem jakby lustro. Wiem, że to idiom, ale mówię tu to bez nijakiego sensu prócz samych słów. Było całkiem jakby lustro. „Co?” – spytał Dziadek. „Chwileczka” – odparłem i podniosłem fotografię ku blasku świecy. Ten mężczyzna stał nawet w tym samym mocarnym upozowaniu co ja. Policzki mu wyglądały jak moje. Oczy mu wyglądały jak moje. Włosie, usta, ręce, nogi, wszystkie one wyglądały mu jak moje. Nawet nie wyglądały, tylko *były* moje. „Powiedzcie mi – rzekł Dziadek – co to takie?” Zofiarowałem mu fotografię, a napisać resztę tej fabuły to najbardziej niesposobna rzecz.

Najpierw obejrzał zdjęcie, bo chciał zobaczyć, co na nim zdjęto. Ponieważ patrzył w dół, żeby widzieć fotografię, która leżała na stole, nie postrzegalem, co wyczynia oczami. W końcu odejrzał od fotografii na Jonathana i na mnie i się uśmiechnął. Nawet wzruszył ramiona do góry, tak jak czasem robią dzieci. Lekko się zaśmiał, a potem dźwignął fotografię. Uniósł ją sobie ku twarzy jedną ręką, a drugą uniósł sobie ku twarzy świecę. Porobiła dużo cieni tam, gdzie jego skóra miała fałdy, dużo więcej fałd, niż przedtem zobszowałem. Tym razem widziałem, jak wojażuje oczami stąd tam po całej fotografii. Przystawały na każdym personie i każdego wyświadczały od stóp aż po włosie. Potem znowu odejrzał od zdjęcia i uśmiechnął się do Jonathana i do mnie, i jeszcze raz wzruszył jak dziecko ramionami.

„Podobny na mnie” – powiedziałem.

„Rzeczywiście” – potaknął.

Nie spojrzełam na Jonathana, bo byłem pewien, że na mnie patrzy. No więc dalej patrzyłem na Dziadka, który dalej studiował fotografię, chociaż na pewno czuł, że go widokuję.

„Wygląda całkiem jak ja – rzekłem. – On też to zobserwał” – powiedziałem o Jonathanie, bo nie chciałem być samotny w tej obserwacji.

(Tutaj już robi się tak groźnie, że ledwie da się dalej ciągnąć. Wielukrotnie pisywałem do tego miejsca i korygowałem partie, które mówiłeś mi skorygować, i przyczyniałem coraz to nowych śmieszności i wynalazków, i pisałem, jakbym był tobą, który byś to pisał, lecz ilekroć siłę się wytrwać, ręka tak mi trzęsie, że nie mogę wydzierżyć pióra. Zrób to za mnie. Proszę. To teraz twoje.)

Dziadek ukrył twarz za fotografią.

(I wcale nie uważam, Jonathan, że to taki tchórzowski postępek od jego strony. My też ukrylibyśmy twarze, tak? Po prawdzie jestem pewien, że byśmy ich ukryli.)

„Świat jest malutki” – powiedział.

(I tutaj się zaśmiał, jak pamiętasz, ale nie możesz tego wkluczyć do fabuły.)

„Jaki on na mnie podobny” – powiedziałem.

(I tutaj wsunął ręce pod stół, na pewno pamiętasz, ale ten szczegół ukaże go jako słabeusza, a czy nie dosyć, że w ogóle to wszystko piszemy?)

„Jak skrzyżowanie ojca, matki, Breżniewa i siebie samego”.

(To nie był błąd, że akurat tutaj wyczynił śmieszność. To było trafne.)

Uśmiechnąłem się.

„Jak myślisz, kto to jest?” – spytałem.

„A ty jak myślisz, kto to?” – spytał Dziadek.

„Nie wiem”.

„Nie musisz mi prezentować bezprawd, Sasza. Nie jestem dziecko”.

(Ale ja ci je prezentuję. Właśnie tego nigdy nie możesz zrozumieć. Prezentuję bezprawdy, żeby cię chronić. I właśnie też dlatego tak nieugięcie staram się być zabawnym persona. Wszystko po to, żeby cię chronić. Istnieję na w razie, gdybyś potrzebował ochrony.)

„Nie rozumiem” – powiedziałem. (Rozumiem.)

„Nie rozumiesz?” – spytał. (Otóż rozumiesz.)

„Gdzie zrobiono to zdjęcie?” – spytałem. (Musi być jakieś wytłumaczenie.)

„W Kołkach”.

„To ty byłeś stamtąd?” (Zawsze mówiłeś, że z Odesy... Zakochać się...)

„Tak. Przed wojną”. (Tak się sprawy mają. Tak to po prawdzie jest.)

„A babka Jonathana?”

„Nie znam jej imię i nie chcę znać”.

(Muszę ci powiadomić, Jonathan, że jestem bardzo smutny persona. Chyba zawsze jestem smutny. Może to oznacza, że w ogóle nie jestem smutny, bo smutek to coś niżej niż zwykłe usposobienie człowieka, a ja zawsze jestem to samo. Skoro tak, to może jestem jedyny człowiek na świecie, który nigdy nie smutnieje. Może jestem szczęściarz.)



„Nie jestem zły człowiek – powiedział Dziadek. – Jestem człowiek dobry, co żyje w zły czas”.

„Wiem” – potaknałem. (Choćbyś nawet był zły, i tak bym wiedział, że jesteś dobry.)

„Musisz mu to wszystko powiadomić, tak jak ja powiadamiam tobie” – rzekł Dziadek i to mnie bardzo zdumiało, ale nie pytałem czemu, w ogóle nic nie pytałem. Tylko zrobiłem, jak skomenderował. Jonathan odemknął swój dziennik i począł pisać. Zapisywał każde wypowiedane słowo. Oto co napisał:

„Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dlatego, że wydawało mi się słuszne do zrobienia”.

„Wszystko, co zrobił, zrobił dlatego, że wydawało mu się słuszne do zrobienia” – przetłumaczyłem.

„Żaden ze mnie gieroj, to prawda”.

„Żaden z niego gieroj”.

„Ale nie jestem też złym człowiekiem”.

„Ale nie jest złym człowiekiem”.

„Ta kobieta ze zdjęcia to twoja babka. Trzyma na ręku twojego ojca. Ten, co stoi obok mnie, był nasz najlepszy przyjaciel, Herszel”.

„Kobieta ze zdjęcia to moja babka. Trzyma na ręku mojego ojca. Ten, co stoi obok Dziadka, był Dziadka najlepszy przyjaciel, Herszel”.

„Herszel na zdjęciu ma na głowie jarmułkę, bo był Żyd”.

„Herszel był Żydem”.

„I mój najlepszy przyjaciel”.

„Był jego najlepszym przyjacielem”.

„A ja go zamordowałem”.

KIEDY KOCHALI się ze sobą po raz ostateczny, siedem miesięcy przed tym, zanim ona się zabiła, a on ożenił się z inną, Cyganka spytała mojego dziadka, jak ustawia swoje książki.

Była jedyną, do której wracał, nie czekając, aż go o to poprosi. Spotykali się na bazarze: patrzył – nie tylko z oczekiwaniem, ale i z dumą – jak dziewczyna lekko zawianą muzyką fletu prostego wywabia węże z plecionych koszy. Spotykali się w teatrze albo przed jej nędzną chatką o słomianym dachu, w cygańskiej wiosce po drugiej stronie Brodu. (Ona nigdy oczywiście nie mogła się pokazać w pobliżu jego domu.) Spotykali się na drewnianym moście, pod drewnianym mostem lub przy małym wodospadzie. Przeważnie jednak lądowali w skamieniałym narożniku Lasu Radziwiłłów i tam właśnie żartowali, opowiadali sobie różne historyjki, śmiali się całymi popołudniami aż do wieczora, kochali się – może zakochani, a może nie – pod kamiennymi baldachami.

*Myślisz, że jestem cudowna?* – spytała go pewnego dnia, gdy siedzieli oparci o pień zeskalonego klonu.

Nie – odparł.

Dlaczego?

*Dlatego, że cudownych dziewczyn jest na kopy. Pewnie setki mężczyzn zdążyły już choćby dziś powiedzieć swoim ukochanym, jakie są cudowne, a przecież ledwie nadeszło południe. Nie możesz być podobna do setek innych.*

Więc mówisz, że jestem niecudowna?

No właśnie.

Musnęła palcami jego martwą rękę. *Mylisz, że jestem niepiękna?*

*Jesteś taka niepiękna, że wprost nie do wiary. Nic na świecie nie jest tak dalekie od piękna jak ty.*

Rozpięła mu koszulę.

*A czy jestem bystra?*

*Nie. Oczywiście, że nie. Nigdy bym nie powiedział, że jesteś bystra.*

Uklękła, żeby mu rozpiąć spodnie.

*A czy jestem seksowna?*

Nie.

*Zabarwna?*

*Jesteś niezabarwna.*

*Przyjemnie ci?*

Nie.

*Lubisz, kiedy ci to robię?*

Nie.

Rozpięła bluzkę. Pochyliła się i oparła o niego całym ciężarem.

*Mam to robić dalej?*

Była w Kijowie, jak się dowiedział, i w Odessie, a nawet w Warszawie. Przez rok żyła wśród Smug z Ardiszt, kiedy jej matka śmiertelnie zachorowała. Opowiadała mu o swoich podróżach statkami do miejsc, o jakich nigdy nie słyszał, opowiadała mu historie, o których wiedział, że to same nieprawdy, w dodatku kiepskie, ale kiwał głową i usiłował przekonać samego siebie, że dał się przekonać, próbował jej uwierzyć, gdyż wiedział, że źródłem każdej historii jest jakaś nieobecność, a chciał, żeby Cyganka żyła wśród rzeczy i spraw obecnych.

*Na Syberii – mówiła – są takie pary, co kochają się ze sobą na odległość, oddzielone setkami mil, a w Austrii jedna księżniczka wytatuowała sobie na skórze całe ciało swojego kochanka, żeby spoglądając w lustro widzieć nie siebie, tylko jego, a a a znów za Morzem Czarnym jest kamienna kobieta – ja sama nigdy jej nie widziałam, ale widziała ją moja ciotka – która ożyła, bo zakochał się w niej rzeźbiarz, co ją wykuł w skale!*

Safran przynosił Cygance kwiaty i czekoladki (prezenty od wdów), a także układał dla niej wiersze, ale ona śmiała się z tego wszystkiego.

*Do jakiej jeszcze głupoty potrafisz się posunąć! – powiedziała kiedyś.*

*Dlaczego uważasz, że jestem głupi?*

*Dlatego, że z największym trudem dajesz akurat te rzeczy, które dawać jest najłatwiej. Kwiaty, czekoladki i wiersze nic dla mnie nie znaczą.*

*Nie lubisz ich?*

*Nie lubię ich dostawać od ciebie.*

*A co byś chciała ode mnie dostać?*

Wzruszyła ramionami – nie żeby była zbita z tropu: raczej zażenowana. (On jeden na świecie potrafił wprawić ją w ten stan.)

*Gdzie trzymasz swoje książki? – zapytała.*

*W swoim pokoju.*

*Gdzie w swoim pokoju?*

*Na półkach.*

*A jak te książki ustawiasz?*

*Co ci to robi za różnicę?*

*Po prostu chcę wiedzieć.*

Była Cyganką. On był Żydem. Ilekroć publicznie brała go za rękę, chociaż wiedziała, że ten gest jest mu nienawistny, wymyślał dla tej ręki jakieś zajęcie – no bo właśnie musiał się uczesać albo wskazać palcem miejsce, w którym jego praprapradziadek wylał złote monety z worka na brzeg niby złociste wymiociny – a potem chował ją do kieszeni, kończąc sprawę.

*Wiesz, czego mi teraz trzeba – powiedziała, sięgając po martwą rękę, kiedy którejś niedzieli szli przez bazar.*

*Powiedz, to dostaniesz. Cokolwiek to jest.*

*Pocałunek.*

*Możesz mieć tyle pocałunków, ile zechcesz i gdziekolwiek zechcesz.*

*Tu – powiedziała, przytykając sobie palec wskazujący do ust. Teraz.*

Skinieniem wskazał pobliski zaułek.

*Nie – zaprotestowała. Pocałuj mnie tu – i znów położyła sobie na ustach palec wskazujący. – Teraz.*

Roześmiał się. *Tu?* Położył palec na własnych ustach.  
*Teraz?*

*Tu* – odparła, kładąc sobie na ustach palec. *Teraz.*

Oboje się roześmiali. Nerwowo. Najpierw lekki chichot. Dodawanie. Głośniejszy śmiech. Mnożenie. Coraz głośniejszy. Do kwadratu. Śmiech przerywany brakiem tchu. Śmiech niepohamowany. Gwałtowny. Do niekończoności.

*Nie mogę.*

*Wiem.*

Mój dziadek i Cyganka kochali się ze sobą przez siedem lat, przynajmniej dwa razy na tydzień. Wyznali sobie wszystkie sekrety; nawzajem objaśnili, najlepiej jak umieli, działanie swoich ciał; bywali przemożni i bierni, zachłanni i hojni, wielosłowni i milczący.

*Jak ustawiasz swoje książki?* – spytała, gdy leżeli nago na łożu z drobnych kamyków i twardej ziemi.

*Przecież ci mówiłem, stoją na półkach w mojej sypialni.*

*Ciekawa jestem, czy potrafisz sobie wyobrazić życie beze mnie.*

*Oczywiście, że potrafię, ale nie lubię go sobie w ten sposób wyobrażać.*

*To nic przyjemnego, prawda?*

*Po co to robisz?*

*Po prostu się zastanawiałam.*

Żaden jego przyjaciel – jeśli w ogóle można powiedzieć, że miał jakichkolwiek przyjaciół oprócz niej – nie wiedział o Cygance, nie wiedziała o niej żadna z jego pozostałych kobiet i jego rodzice też oczywiście nic

o Cygance nie wiedzieli. Stanowiła tak pilnie strzeżony sekret, że chwilami czuł się, jakby sam nie był wtajemniczony w swój z nią związek. Wiedziała, ilu dołożył starań, żeby ukryć ją przed resztą swojego świata, zamknąć w osobnej komnacie, do której prowadziłoby tylko jedno tajne przejście, odgrodzić murem. Wiedziała, że nawet jeśli mu się zdaje, że ją kocha, jest to wyłącznie złudzenie.

*Jak myślisz, gdzie będziesz za dziesięć lat?* – spytała, podnosząc głowę z jego piersi.

*Nie wiem.*

*A jak myślisz, gdzie ja wtedy będę?* Ich zmieszany pot wysechł, tworząc między nimi ciastowatą warstewkę.

*Za dziesięć lat?*

*Tak.*

*Nie wiem* – powtórzył, bawiąc się jej włosami. *A ty jak myślisz, gdzie wtedy będziesz?*

*Nie wiem.*

*A jak myślisz, gdzie ja wtedy będę?*

*Nie wiem* – odparła.

Leżeli w milczeniu, a każde trwało pogrążone we własnych myślach i usiłowało odczytać myśli drugiego. Leżeli na sobie, wzajemnie trochę już obcy.

*Czemu pytasz?*

*Nie wiem* – powiedziała.

*A co my w ogóle wiemy?*

*Niewiele* – przyznała, opuszczając głowę z powrotem na jego piersi.

Pisywali do siebie liściki, jak dwoje dzieci. Mój dziadek układał swoje z wycinków gazetowych i wrzucał je do jej plecionych koszy, wiedząc, że nikt oprócz niej nie odważy się wsadzić tam ręki. *Spotkajmy się pod drewnianym mostem, to ci pokażę rzeczy wielkie, jakich nigdy, przenigdy nie widziałaś.* „Się” wziął od armii, która miała pozbawić życia jego matkę: WOJSKA NIEMIECKIE ZBLIŻAJĄ SIĘ DO SOWIECKIEJ GRANICY; „pod” – z nadciągających okrętów tejże: FLOTA NAZISTÓW POKONUJE FRANCUSKĄ POD LESACS; „aj” – z ciężkiej sytuacji półwyspu, w który wpatrywali się błękitnoocy najeźdźcy: NIEMCY OTACZAJĄ KRYM; „wielkie” dała mu spóźniona i zbyt skąpa pomoc: AMERYKA ZASIŁA FUNDUSZ WOJENNY WIELKIEJ BRYTANII; „r” wyrwał psu nad psami: HITLER UNIEWAŻNIA PAKT O NIEAGRESJI... i tak dalej, a każdy list był kolażem nierealnej miłości i jakże realnej wojny.

Cyganka wyrzynała miłosne komunikaty na korze drzew, wypełniając las listami do Safrana. *Nie opuszczaj mnie* – wycięła na drzewie, w którego cieniu pewnego razu zasnęli. *Szanuj mnie* – wyrzeźbiła w pniu zeskalonego dębu. Układała nową listę przykazań, których oboje mogliby przestrzegać, które wprowadzałyby ład w życie wspólne, a nie osobne. *Nie miej innych miłości w sercu swoim przede mną. Nie wzywaj imienia mego nadaremno. Nie zabijaj mnie. Czuj mnie i dbaj, abym pozostała święta.*

*Chciałbym być tam, gdzie ty będziesz za dziesięć lat, gdziekolwiek się zdarzy* – napisał jej, przyklejając do żółtej



kartki fragmenty gazetowych nagłówków. *Prawda, że miły pomysł?*

*Bardzo miły* – przeczytał na drzewie blisko skraju lasu. *Ale dlaczego tylko pomysł?*

*Dlatego* – poplamił sobie dłonie drukiem i poznał na własnej skórze treść swojego listu – *że dziesięć lat to kawał czasu od dziś.*

*Musielibyśmy uciec* – wyryte jak obręcz wokół pnia kłonu. *Porzucić wszystko prócz siebie nawzajem.*

*Dałoby się zrobić* – ułożył ze strzępów wiadomości o rychłej wojnie. *W każdym razie miły pomysł.*

Mój dziadek zaprowadził Cygankę pod Zegar i opowiedział jej tragiczne życie swojej prapraprababki, obiecując poprosić dziewczynę o pomoc, gdy pewnego dnia spróbuje spisać dzieje Trachimbrodu. Opowiedział jej o wozie Trachima i o tym, jak małe bliźniaczki W. pierwsze zauważyły wypływające na powierzchnię osobliwe drobiazgi: rozpełzłe węże białego sznurka, uszytą z wygniatanego aksamitu rękawiczkę o wyprostowanych palcach, ogołoczone szpulki, binokle o zapaćkanych szklach, maliny i jeżyny, fekalia, falbanki, okruchy stłuczonego rozpylacza do perfum, krwawiące czerwonym atramentem litery oświadczenia: *Chcę... Chcę...* Ona zaś szczerze zwierzyła mu się z tego, jak ojciec nią poniewiera, i pokazała sińce, jakich nikt by nie dostrzegł nawet na nagim ciele. On wyjaśnił, czemu jest obrzezany, na czym polega Przymierze i w jakim sensie sam należy do Narodu Wybranego. Ona opowiedziała mu, jak to pewnego razu własny stryj siłą jej się narzucił i że już

od kilku lat zdolna jest urodzić dziecko. On opowiedział jej, jak onanizuje się swoją martwą ręką, bo w ten sposób może sobie wmówić, że kocha się z kimś innym. Ona przyznała mu się, że dawniej rozważała pomysł samobójstwa: rzekła to takim tonem, jakby mówiła o podjętej decyzji. On wyznał jej swój najmroczniejszy sekret: otóż w przeciwieństwie do tego, jak rzecz ma się pod tym względem z resztą chłopców, jego miłość do matki wcale nie słabnie, nie osłabła ani trochę, odkąd wyrósł z wczesnego dzieciństwa, i proszę, nie śmieć się ze mnie, że ci to mówię, i nie miej o mnie, proszę, niższego mniemania, ale za jej pocałunek oddałbym wszystko na tym świecie. Cyganka rozplakała się, a kiedy mój dziadek spytał, co się stało, nie powiedziała: *Jestem zazdrosna o twoją matkę. Chcę, żebyś to mnie tak kochał*, w ogóle nic nie powiedziała, tylko roześmiała się, jakby mówiła: co za głupota. Oświadczyła, że powinno istnieć jeszcze jedno przykazanie, jedenaste, do wyrycia na kamiennych tablicach: *Nie zmieniaj się*.

Pomimo tylu związków, pomimo tylu kobiet, które na sam widok jego martwej ręki gotowe były dla niego się rozebrać, nie miał żadnych przyjaciół oprócz Cyganki i nie umiał sobie wyobrazić gorszego osamotnienia aniżeli życie bez niej. Tylko ona miała prawo twierdzić, że go zna, tylko za nią tęsknił, gdy jej przy nim nie było, i przed każdym rozstaniem też właściwie zaczynał już tęsknić. Tylko ona pragnęła z niego czegoś oprócz martwej ręki.

*Nie Kocham cię* – oświadczył jej pewnego wieczoru, gdy leżeli nago w trawie.

Pocałowała go w czoło i powiedziała: *Wiem. A ty z pewnością wiesz, że i ja ciebie nie Kocham.*

*Oczywiście* – odparł, chociaż był ogromnie zdumiony – nie tyle wiadomością, że Cyganka go nie kocha, ile faktem, że mu to powiedziała. W ciągu siedmiu lat uprawiania miłości tyle razy słyszał te słowa: od wdów i dzieci, od prostytutek, od przyjaciółek swojej rodziny, od podróżniczek i cudzołożnych żon. Kobiety mówiły: *Kocham cię*, a on mógł się w ogóle nie odzywać. *Im bardziej kogoś się kocha* – doszedł w końcu do przekonania – *tym trudniej jest to wyznać.* Dziwił się, że obcy ludzie nie zaczepiają się nawzajem na ulicy, żeby powiedzieć: *Kocham cię.*

*Moi rodzice zaaranżowali małżeństwo.*

*Twoje?*

*Z taką jedną Zosią. Z mojego sztetla. Skończyłem siedemnaście lat.*

*A Kochasz ją?* – spytała, nie patrząc na niego.

Pokruszył własne życie na najdrobniejsze cząstki, każdą obejrzał dokładnie jak zegarmistrz i złożył całość z powrotem.

*Prawie jej nie znam.* On także unikał wzroku Cyganki, ponieważ jego oczy – tak jak Pinczer P., który żył na ulicy, z łaski obcych ludzi, bo wszystko aż do ostatniego pieniążka oddał ubogim – niczego nie umiałyby zatrzymać dla siebie.

*Pójdiesz na ten układ?* – spytała, rysując karmelowym palcem kółka na ziemi.

*Nie mam wyboru – odparł.*

*Oczywiście.*

*Wolała na niego nie patrzeć.*

*Czeka cię takie szczęśliwe życie – powiedziała. Zaraz  
będziesz szczęśliwy.*

*Po co to robisz?*

*Bo taki z ciebie szczęściarz. Masz w zasięgu ręki prawdziwe  
i trwałe szczęście.*

*Przezań – powiedział. Jesteś niesprawiedliwa.*

*Chciałabym ją poznać.*

*Wcale byś nie chciała.*

*Właśnie, że chciałabym. Jak ona ma na imię? Zosia? Bar-  
dzo bym chciała poznać Zosię i powiedzieć jej, jaka będzie  
szczęśliwa. Ale z niej szczęściara. Na pewno jest bardzo piękna.*

*Nie wiem.*

*Przecież chyba ją widziałeś, nie?*

*Tak.*

*No to wiesz, czy jest piękna. Jest piękna?*

*Chyba tak.*

*Piękniejsza ode mnie?*

*Przezań.*

*Chciałabym przyjść na ślub i sama wszystko zobaczyć. Nie,  
nie na ślub, skądże znowu! Cyganka nie może przecież wejść  
do synagogi. Ale na wesele. Chyba mnie zaprosisz, prawda?*

*Wiesz, że to niemożliwe – odparł, odwracając się od  
niej.*

*Wiem, że to niemożliwe – przytaknęła, rozumiejąc,  
że się zagalopowała, że była zbyt okrutna.*

*To niemożliwe.*

*Powiedziałam ci: wiem.*

*Ale musisz mi uwierzyć.*

*Wierzę.*

Kochali się ze sobą ostatni raz, nieświadomi, że przez najbliższe siedem miesięcy nie zamienią ani słowa. Wielokrotnie ją widywał i ona jego także – w ciągu wspólnie spędzonych lat przywykli odwiedzać te same miejsca, chadzać tymi samymi ścieżkami, zasypiać w cieniu tych samych drzew – ale nigdy w żaden sposób nie dawali poznać, że się wzajemnie dostrzegają. Oboje rozpaczliwie pragnęli cofnąć się o siedem lat, do swojego pierwszego spotkania w teatrze, i zrobić to wszystko jeszcze raz, lecz tym razem nie zauważyć się nawzajem, nie rozmawiać, nie wyjść z teatru tak jak wtedy, kiedy ona prowadziła go za martwą prawą rękę przez labirynt błotnistych zaułków, obok straganów ze słodyczami, stojących niedaleko starego cmentarza, a potem wzdłuż linii uskoku między dzielnicą żydowską a ludzką, coraz dalej i dalej, w czerń. Przez siedem miesięcy kompletnie ignorowali się nawzajem na bazarze, pod Zegarem, przy fontannie z syreną na płask rozciągniętą, i byli przekonani, że potrafią ignorować się zawsze i wszędzie, pozostać dla siebie zupełnie obcymi ludźmi, lecz przeświadczenie to okazało się złudne, gdy pewnego popołudnia Safran, wracając z pracy, minął się w drzwiach własnego domu z Cyganką, która akurat stamtąd wychodziła.

*A co ty tu robisz?* – spytał, raczej przestraszony, że dziewczyna wyjawiała ich związek – ojcu, który na pewno by go zbił, lub matce, która byłaby taka rozczarowana – niż ciekaw, co ją sprowadza w te progi.

*Ustawiles książki według koloru grzbietów* – odparła.  
*Co za głupi pomysł.*

Przypomniał sobie, że matka bawi akurat w Łucku, tak jak w każdy czwartek o tej godzinie; ojciec mył się na dworze. Safran poszedł do swojego pokoju, bo chciał sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Jego dziennik leżał pod materacem, jak zwykle. Książki stały w ordynku, według kolorów. (Wyciągnął jedną z półki – ot tak, żeby wziąć coś do ręki.) Fotografia matki na szafce nocnej przy łóżku nachylona była pod tym kątem co zawsze. Nic nie wskazywało na to, że Cyganka czegokolwiek dotknęła. Przeszukał kuchnię, gabinet, a nawet łazienki, wypatrując śladów, jakie mogła po sobie zostawić. Nic. Żadnych zgubionych włosów. Żadnych odcisków palców na lustrze. Żadnych liścików. Wszystko w najzupełniejszym porządku.

Poszedł do sypialni rodziców. Poduszki były idealnie czworokątne. Prześcieradła gładkie jak woda, pedantycznie podwiniete pod materac. Pokój wyglądał, jakby niczego w nim nie tykano od lat, może od dnia czyjejś śmierci – jak gdyby starano się zachować go w niegdyśniejszym stanie niby kabinę zatrzymanego czasu. Safran nie wiedział, ile razy Cyganka odwiedzała jego dom. Nie mógł jej o to spytać, ponieważ już z nią nie rozmawiał, nie mógł też zapytać ojca, wtedy bowiem musiałby mu wszystko wyznać, i matki także spytać nie mógł, bo gdyby się dowiedziała prawdy, toby ją zabiło, tego zaś z kolei on sam by nie przeżył, a choćby nie wiedzieć jak nieznośne wydawało mu się ostatnimi czasy własne życie, nie był jeszcze gotów go zakończyć.

Pobiegł do domu Listy P. – jedynej kochanki, która natchnęła go do tego, że się wykapał. *Wpuść mnie* – poprosił, oparłszy o drzwi głowę. *To ja, Safran. Wpuść mnie.*

Usłyszał szuranie: ktoś z trudem włókł się w stronę drzwi.

*Safran?* Rozpoznał głos matki Listy.

*Dzień dobry* – powiedział. *Jest Lista?*

*Siedzi w swoim pokoju* – odparła kobieta, myśląc, jaki uroczy z niego chłopiec. *Idź do niej na górę.*

*Co się stało?* – spytała Lista, kiedy stanął w drzwiach. Wyglądała znacznie starszej niż przed trzema zaledwie laty w teatrze, zadał więc sobie w duchu pytanie, czy to ona tak się zmieniła, czy może raczej on. *Wejdz. Wejdz. Siadaj* – dodała. – *O, tutaj. Co się dzieje?*

*Jestem zupełnie sam* – odparł.

*Nie jesteś sam* – powiedziała, tuląc jego głowę do piersi.

*Jestem.*

*Nie jesteś sam* – powtórzyła. *Tylko czujesz się samotny.*

*Na jedno wychodzi. Samotność to właśnie uczucie, że jest się samotnym.*

*Zrobię ci coś do jedzenia.*

*Nie chce mi się jeść.*

*No to napij się czegoś.*

*Nie chce mi się pić.*

Zaczęła mu rozcierać martwą dłoń i przypomniała sobie, kiedy ostatnio jej dotykała. Pociąg do tej ręki wzbudziła w niej nie martwota, lecz niepoznawalność. Niedoсяżność. Safran nigdy nie mógłby pokochać jej

miłością pełną, całym sobą. Nigdy nie można by go całkowicie posiadać i on także nie zdołałby zawładnąć nikim bez reszty. Jej pragnienie wznieciła nieziszczalność tego pragnienia.

*Żenisz się, Safran. Dziś rano dostałam zaproszenie. Czy właśnie to tak cię wyprowadza z równowagi?*

*Tak - przyznał.*

*Nie masz co się martwić. Każdy się denerwuje przed swoim ślubem. Ja na pewno się denerwowałam. Wiem, że mój mąż też. Ale Zosia to taka miła dziewczyna.*

*Nigdy jej nie widziałem - powiedział.*

*Mówię ci, jest bardzo miła. A w dodatku piękna.*

*Myślisz, że mi się spodoba?*

*Tak.*

*Pokocham ją?*

*Możliwe. W sprawach miłości lepiej niczego z góry nie przewidywać, ale to z całą pewnością niewykluczone.*

*Kochasz mnie? - spytał. Kochałaś mnie kiedykolwiek? Tamtego wieczoru, kiedy wypiliśmy tyle kawy.*

*Nie wiem - odparła.*

*Myślisz, że mogłaś mnie kiedyś kochać?*

Dotknął zdrową ręką jej policzka i musnął szyję, a potem wsunął dłoń za kołnierz bluzki.

*Nie - powiedziała, wyjmując ją stamtąd.*

*Nie?*

*Nie.*

*Kiedy ja chcę. Naprawdę chcę. Nie robię tego dla ciebie.*

*Właśnie dlatego nie możemy - odparła. Nigdy bym się na to nie zdobyła, gdybym przypuszczała, że chcesz.*



Położył głowę na jej kolanach i zasnął. Zanim odszedł wieczorem, dał Liście przyniesioną z domu książkę (*Hamleta* z fioletowym grzbietem, którego wyciągnął z półki – ot tak, byle wziąć coś do ręki.)

*Na zawsze?* – spytała.

*Kiedyś mi oddasz.*

Mój dziadek i Cyganka nic o tym wszystkim nie wiedzieli, kiedy kochali się ostatni raz, kiedy Safran dotykał jej twarzy i gładził miękką skórę pod brodą, kiedy okazywał jej względy niby rzeźbiarz swojej żonie. *Lubisz, jak tak robię?* – spytał. Zatrzepotała rzęsami i musnęła nimi jego pierś. Przemknęła mu tym motylinym pocałunkiem w poprzek torsu i w górę po szyi, do miejsca, w którym płatek lewego ucha łączy się z żuchwą. Ściągnął jej przez głowę niebieską bluzkę, rozpiął sznury koralu, wylizał gładkie, spocone pachy i przejechał palcem od szyi do pępka. Czubkiem języka zakreślił kręgi wokół karmelowych obwódek jej sutek. *Lubisz, jak tak robię?* – spytał. Skinęła głową, a potem odchyliła ją do tyłu. Językiem smagnał jej sutki, czując, że wszystko jest zupełnie nie tak, każda chwila, od momentu jego narodzin aż do teraz, wszystko wychodzi źle, i to nawet nie na opak, tylko jeszcze gorzej: w przybliżeniu. Cyganka obiema rękami rozpięła mu pasek. Uniósł się w biodrach, żeby mogła mu ściągnąć spodnie i gatki. Wzięła do ręki jego członek. Tak strasznie chciała, żeby mu było dobrze. Była przekonana, że jeszcze nigdy nie było mu dobrze. Chciała stać się sprawczynią jego pierwszej i jedynej rozkoszy. *Lubisz, jak tak robię?* Nakrył dłońią jej dłoń i nią pokiero-

wał. Zdjęła spódnicę i majtki, ujęła jego martwą dłoń, włożyła sobie między nogi i ścisnęła. Jej gęste, czarne włosy łonowe spływały luźnymi kędziorami, falami. *Lubisz, jak tak robię?* – spytał, chociaż to ona prowadziła jego dłoń, jakby próbowała manewrować wirującym stolikiem, żeby wydębić odpowiedź. Oprawdzali się nawzajem po swoich ciałach. Cyganka włożyła sobie jego martwe palce i na chwilę udzieliła jej się drętwota i paraliż. Poczuła, jak śmierć w nią wnika, przenika od stóp do głów. *Teraz?* – spytał Safran. *Teraz?* Wtoczyła się na niego i rozłożyła nogi, obejmując nimi jego kolana. Sięgnęła za siebie i martwą ręką wsunęła sobie członek. *Dobrze tak?* – spytał. *Dobrze?*

Siedem miesięcy później, osiemnastego czerwca 1941 roku, kiedy pierwszy pokaz niemieckich bombardowań świetlicie zelektryzował niebo nad Trachimbrodem, a mój dziadek przeżywał swój pierwszy orgazm (pierwszą i jedyną rozkosz, której nie ona jednak była sprawczynią), Cyganka przecięła sobie nadgarstek nożem stępionym od strugania listów miłosnych. Lecz wtedy, tam, gdy złożył senną głowę na jej pulsującej piersi, niczego mu nie wyznała. Nie powiedziała: *Ożenisz się*. Nie powiedziała: *A ja się zabiję*. Spytała tylko: *Jak ustawiasz swoje książki?*

26 styczeń 1998

*Drogi Jonathan!*

*Obiecałem nigdy więcej nie wspomnieć o pisaniu, bo wydawało mi się, że jesteśmy już poza tym etapem. Ale muszę przełamać obietnicę.*

*Mógłbym cię znienawidzić! Czemu nie pozwoliś swojemu dziadku, żeby się kochał z Cyganką i okazał jej miłość? Kto ci każe pisać w takiej manierze? Mamy takie sposobności działać dobro, a ty raz i po raz uporasz się przy złu. Nie zachciałem odczytać ten najwspółczesny oddział Igorku, bo nie uznałem go za godzien Igorka uszu. Nie, ten oddział zofiarowałem Sammy Davis, Junior, Junior, a ona postąpiła z nim prawidłnie.*

*Muszę wystosować proste pytanie, czyli co z tobą jest nie tak? Skoro twój dziadek kocha Cygankę, a przecież na pewno ją kocha, to czemu z nią nie odjedzie? Mogłaby mu tak uszczęśliwić. A on odmawia zakosztować szczęścia. Ani to rozsądne, Jonathan, ani dobre. Gdybym to ja był pisarz, urządziłbym, żeby Safran okazał miłość Cygance i pobrał ją w Greenwich Shtetl w Nowy Jork. Albo urządziłbym, żeby Safran się zabił, co jest jedyny równie prawidłny wariant do postąpienia,*

*choć w tedy byś się nie był urodził, a to by markowało, że ta fabuła nie mogłaby pozostać napisana.*

*Jesteś tchórz, Jonathan, i sprawiłeś mi rozczarowanie. Nigdy bym ci nie komenderował pisać fabułę zgodnie z tym, jak potoczyła się w faktyczności, ale komenderowałbym ci wyznaczyć fabułę wierną. Jesteś tchórz w tym samym wytłumaczeniu, w którym Brod jest tchórz, i Jankiel jest tchórz, i Safran jest tchórz – wszyscy twoi pokrewni są tchórzami! Wszyscy jesteście tchórzami, bo życie w świecie, który jest „o krok od rzeczywistości”, jeśli pozwolisz, że cię zacytuję. Nie mam ani odrobiny hołdu dla nikogo u ciebie w rodzinie, z wyjątkiem twojej babki, bo wszyscy jesteście blisko miłości i wszyscy od niej się odżegnacie. Załączam walutę, którą mi ostatnio posiliłeś.*

*Oczywiście w pewnych manierach rozumiem, co silisz się dokonać. Istnieje niezawzględnie takie coś jak miłość, która być nie może. Gdybym na przykład miał powiadomić Ojca, jak pojmuję miłość i kogo jestem spragniony kochać, zabiłby mnie, i mówię to bez żadnych idiomów. Każdy z nas coś wybiera i każdy z nas wybiera też przeciwko czemuś. Chcę być osobą, który więcej wybiera za, niż wybiera przeciw, ale tak samo jak Safran i jak ty odkrywam, że wybieram raz i po raz przeciwko temu, co moim zdaniem na pewno jest dobre i słuszne, i przeciwko temu, co moim zdaniem na pewno jest godne. Wybieram, żeby czegoś nie robić, zamiast wybrać, żeby coś zrobić. Ani jedno z odgórnich słów nie było mi gładko powiedzieć.*

*Nie dałem Dziadku pieniędzy, ale z całym innymi powodów, niż sugerowałaś. Wcale się nie zdziwił, kiedy mu obznaμίłem. „Jestem z ciebie dumny” – powiedział.*

*„Ale przecież chciałaś, żeby ci dał?” – spytałem.*

„Bardzo chciałem - odparł. - Jestem pewien, że bym ją umiał znaleźć”.

„No to jak możesz być dumny?”

„Jestem dumny z ciebie, a nie z siebie”.

„Nie jesteś na mnie zły?”

„Nie”.

„Nie chcę ci sprawić rozczarowanie”.

„Nie jestem zły ani rozczarowany” - powiedział.

„Smuci cię, że ci nie dają pieniędzy?”

„Nie. Jesteś dobry człowiek, robisz dobrą i słuszną rzecz. Jestem z ciebie kontent”.

Skoro tak, czemu czułem, że to żaloszny, tchórzowski postępek, a ja jestem żaloszny tchórz? Objaśnię, czemu nie dałem Dziadku pieniędzy. Wcale nie dlatego, że oszczędzam na własny wyjazd w Amerykę. To tylko taki sen, z którego już się obudziłem. Nigdy nie zobaczę Ameryki ani Igorek jej nie zobaczy, teraz już rozumiem. Nie dałem Dziadku pieniędzy, bo nie wierzę w Augustynę. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Nie wierzę w Augustynę, której Dziadek szukał. Kobieta ze zdjęcia żyje. Jestem pewien, że żyje. Ale jestem też pewien, że ona nie jest Herszlem, tak jak Dziadek chciał, żeby była, i nie jest moją babką, tak jak Dziadek chciał, żeby była, ani nie jest moim Ojcem, tak jak Dziadek chciał, żeby była. Gdybym dał mu pieniądze, znalazłby ją i zobaczył, kim ona naprawdę jest, a to by go zabiło. Nie mówię tego metaforyczeski. To by go zabiło.

Ale to była sytuacja bez wygrania. Możliwości były żadne, pomiędzy tym, co było możliwe, a tym, czego chcieliśmy. A teraz muszę ci się podzielić straszliwą wiadomością. Dziadek umarł cztery dni temu. Pokrajał sobie ręce. Była późna noc,

*a ja nie mogłem spać. Z wanny nadbiegał jakiś hałas, więc poszedłem wysłedzić. (Odkąd jestem w tym domu mężczyzną, to do mnie należy pilnować, żeby wszystko grało.) Znalazłem Dziadka w wannie, która była cała przekrwiona. Powiedziałem mu, żeby przestał spać, bo jeszcze nie rozumiałem, co się dzieje. „Obudź się!” Potem gwałtownie nim potrząsnąłem, a jeszcze potem rąbnąłem go w twarz. Aż mnie ręka zaboląła, tak mocno go rąbnąłem. I jeszcze raz rąbnąłem go. Nie wiem czemu, ale rąbnąłem. Prawdę rzekłszy, nigdy przedtem nikogo nie rąbnąłem, tylko mnie rąbali. „Obudź się!” – krzyknąłem na niego i znowu go rąbnąłem, tym razem w drugą stronę twarzy. Ale wiedziałem, że się nie obudzi. „Za dużo śpisz!” Moje krzyki zbudziły matkę, więc przybiegła do wanny. Musiała mnie siłą odciągnąć od Dziadka, a później mi powiedziała, że myślała, że go zabiłem, bo tak go rąbałem i taki miałem wyraz oczu. Zmyśliliśmy historyjkę o kraksie z proszkami na sen. Tak powiedzieliśmy Igorku, żeby nigdy nie musiał wiedzieć.*

*Cóż to był za wieczór. Zdarzyły się rozliczne mnóstwa, tak jak mnóstwa teraz się zdarzają i jeszcze się zdarzą. Po pierwszy raz w życiu powiedziałem Ojcu dokładnie, co myślę, tak ja i tobie zaraz powiem, po pierwszy raz, dokładnie to, co myślę. I tak samo jak u niego, u ciebie też proszę wybaczenia.*

*Kochający*

*Aleks*

„HERSZEL opiekował się twoim ojcem, jeżeli akurat miałem coś do zatrudnienia albo jak twoja babka zachorzała. A chorzała bez przerwy, nie tylko ku końcu życia. Herszel opiekował się dzieckiem i nosił je na rękach jak własne. Nawet mówił do niego «synu»”.

Powiedziałem to wszystko Jonathanu, tak jak Dziadek mnie powiedział, a Jonathan zapisał u siebie w dzienniku. Napisał tak:

„Herszel nie posiadał własnej rodziny. Nie był aż taki towarzyski persona. Uwielbiał dużo czytać i pisać też. Był poetą i eksponował mi dużo swoich wierszy. Wiele z nich pamiętam. Były głupie, rzec by można, i o miłości. Zawsze siedział w swoim pokoju i je pisał, a nigdy nie siedział z ludźmi. Mówiłem mu: Co komu po tej całej miłości na papierze? Daj jej, niech miłość trochę popisze na tobie, mówiłem. Ale on był taki uporany. A może tylko nieśmiały”.

„Byłeś jego przyjacielem?” – spytałem, chociaż sam już wcześniej powiedział, że był przyjacielem Herszla.

„Byliśmy jego jedyni przyjaciele. Sam nam tak raz powiedział. Twoja babka i ja. Jadał z nami kolację i czasem zasiadywał się do bardzo spóźna. Nawet uskutecznialiśmy razem wakacje. Kiedy urodził się twój ojciec, we trójkę wyprawialiśmy spacerować z dzieckiem. Kiedy tylko cośkolwiek potrzebował, zaraz ku nam przychodził. Kiedy miał problem, też przychodził ku nam. Raz mnie spytał, czy może pocałować twoją babkę. Czemu, zapytałem, i mianowało mnie to gniewnym personą, po prawdzie bardzo gniewnym, że jest spragniony ją całować. Bo się boję, powiedział, że nigdy nie pocałuję kobiety. Herszel, powiedziałem, to dlatego, że żadnej nie próbujesz całować”.

(Kochał się w Babce?)

(Nie wiem.)

(Była taka możliwość?)

(Była możliwość. Patrzył na nią, no i przynosił jej kwiaty w podarku.)

(To cię drażniło?)

(Kochałem ich oboje.)

„Pocałował ją?”

„Nie - odparł Dziadek. (I pamiętasz, Jonathan, że tutaj się roześmiał. Krótkim, srogim śmiechem.) - Znadto był nieśmiały, żeby kogokolwiek pocałować, nawet Annę. Chyba nic nigdy między nimi nie zaszło”.

„Był twoim przyjacielem” - powiedziałem.

„Był moim najlepszym przyjacielem. W tamtych czasach było inaczej. Żydzi, nie Żydzi. Byliśmy jeszcze młodzi i mnóstwo życia trwało poprzód nami. Kto



wiedział?” (Siłę się objaśnić, że nie wiedzieliśmy. Bo niby skąd mieliśmy wiedzieć?)

„Kto wiedział co?”

„Kto wiedział, że żyjemy na takiej igle?”

„Na igle?”

„Pewnego dnia Herszel je z nami kolację, trzyma twojego ojca na rękach i śpiewa mu piosenki”.

„Piosenki?”

(I tutaj zaśpiewał piosenkę i chociaż wiem, Jonathan, jak gustujesz wstawiać piosenek między pisanie, tym razem nie możesz mnie wymagać, żebym to napisał. Od tak dawna próbuję wyguzić sobie z mózgu tą piosenkę, ale ona ciągle tam siedzi. Słyszę, jak ją śpiewam, kiedy chodzę, i w czasie zajęć na uniwersytecie, i przed snem.)

„Ale byliśmy bardzo głupcy – powiedział, znowu obejrzał fotografię i się uśmiechnął. – Tacy głupcy”.

„Czemu?”

„Bo wierzyliśmy w różne rzeczy”.

„Jakie rzeczy?” – spytałem, bo nie wiedziałem. Byłem nierozumiejący.

(Co mnie tak wypytuje?)

(Bo nie mówisz ze mną jasno.)

(Jest mi bardzo wstyd.)

(Nie musi ci być wstyd w moim pobliżu. Rodzina to ludzie, przy których nigdy nie powinno ci być wstyd.)

(Mylisz się. Rodzina to ludzie, przy których właśnie powinno ci być wstyd, kiedy masz o co się wstydzić.)

(A ty masz o co?)

(Mam o co. Właśnie próbuję ci powiedzieć.) „Byliśmy głupcy – rzekł – bo wierzyliśmy w różne rzeczy”.

„Czemu to ma być głupie?”

„Temu, że nie ma żadnych rzeczy do wierzenia”.

(Miłość?)

(Nie ma miłości. Jest tylko jej koniec.)

(Dobroć?)

(Nie bądź głupi.)

(Bóg?)

(Jeżeli Bóg istnieje, nie należy w Niego wierzyć.)

„Augustyna?” – spytałem.

„Marzyłem, że może to właśnie jest ta rzecz – odparł – ale się myliłem”.

„Może się nie myliłeś. Nie potrafiliśmy jej znaleźć, ale to jeszcze nic nie markuje, czyś powinien w nią wierzyć, czy nie”.

„Co komu po czymś, czego nie można znaleźć?”

(Powiem ci, Jonathan, że w tym miejscu rozmowy to już nie mówił Aleks z Alekssem, dziadek z wnukiem. Wydołaliśmy przeinaczyć się w dwóch nowych ludzi, takich ludzi, co mogą widokować sobie w oczy i wymawiać rzeczy, które nie bywają wymawiane. Kiedy go słuchałem, nie słuchałem Dziadka, tylko kogoś innego, kogoś, kogo nigdy przedtem nie napotkałem, ale to pominiawszy, znałem go lepiej niż Dziadka. A ten, co słuchał tego kogoś, to nie był ja, tylko ktoś inny, ktoś, kim nigdy przedtem nie byłem, ale znałem go lepiej niż samego siebie.)

„Opowiedz mi coś więcej” – powiedziałem.

„Więcej?”

„Herszel”.

„Był dla nas jak ktoś z rodziny”.

„Powiedz mi, co się stało. Co się z nim stało?”

„Z nim? Z nim i ze mną. To się stało ze wszystkimi, nie tkwij w błędzie. Z tego, że nie byłem Żyd, jeszcze nie wynika, że akurat ze mną to się nie stało”.

„Jakie to?”

„Trzeba było wybrać i mieć nadzieję, że wybiera się pomniejsze zło”.

„Trzeba było wybrać - powiedziałem Jonathanu - i mieć nadzieję, że wybiera się pomniejsze zło”.

„No więc wybrałem”.

„No więc wybrał”.

„Co wybrał?”

„Co wybrałeś?”

„Kiedy wzięli nasze miasto...”

„Kołki?”

„Tak, ale nie mów mu. Nie ma mu po co mówić”.

„Rano mogliśmy pojechać”.

„Nie”.

„Może dobrze byłoby pojechać”.

„Nie - odparł. - Moje duchy są gdzie indziej”.

(To ty masz duchy?)

(No jasne, że mam duchy.)

(A jakie są te twoje duchy?)

(Są po wewnętrznej stronie moich powiek.)

(To tam, gdzie i moje zamieszkują.)

(To ty masz duchy?)

(No jasne, że mam duchy.)

(Przecież z ciebie jeszcze dziecko.)

(Żadne ze mnie dziecko.)

(Ale przecież nie zaznałeś miłości.)

(To właśnie są moje duchy, przestrzenie pośród miłości.)

„Mógłbyś nam to wyjawić – powiedziałem. – Mógłbyś nas zabrać tam, gdzie dawniej żyłeś i gdzie dawniej żyła jego babka”.

„Nie ma w jakim celu – odparł. – Ci ludzie nic mi nie markują”.

„Jego babka”.

„Nie chcę znać jej imię”.

„On mówi, że nie ma celu wracać do miasta, w którym się urodził – powiedziałem Jonathanu. – Nic ono dla niego nie znaczy”.

„Czemu stamtąd wyjechał?”

„Czemuś stamtąd wyjechał?”

„Nie chciałem, żeby twój ojciec wyrastał tak blisko śmierci. Nie chciałem, żeby o niej wiedział i z nią żył. Dlatego nigdy nie powiadomiłem mu, co zaszło. Tak bardzo chciałem, żeby miał dobre życie, bez śmierci, bez wyborów i bez wstydu. Ale nie był ze mnie dobry ojciec, muszę ci powiadomić. Był ze mnie ojciec najgorszy. Byłem spragniony usunąć go od wszystkiego zła, a tymczasem dawałem mu zło i jeszcze raz zło. Ojciec zawsze odpowiedzialny jest za to, jaki wyrośnie jego syn. Musisz to rozumieć”.

„Nie rozumiem. Nie rozumiem nic a nic. Nie rozumiem, że jesteś z Kołek i czemu nigdy o tym nie wiedziałem. Nie rozumiem, czemu zabrałeś się z nami w tą wojaż, skoro wiedziałeś, jak blisko pojedziemy. Nie rozumiem, co są twoje duchy. Nie rozumiem, skąd twoje zdjęcie w pudle Augustyny”.

(Pamiętasz, Jonathan, co wtedy zrobił? Znowu obejrzał fotografię i znowu odłożył ją na stół, a potem powiedział: Herszel był dobry człowiek i ja też byłem dobry i właśnie dlatego nie miało prawa się stać to, co się stało, nic a nic z tego nie miało prawa się stać. No to go spytałem: Co, co się stało? Schował fotografię z powrotem do pudła, pamiętasz, i opowiedział nam całą historię. Właśnie tak. Umieścił fotografię w pudle i wszystko nam opowiedział. Ani razu nie umknął oczami, ani razu nie schował rąk pod stół. Zamordowałem Herszla, rzekł. A w każdym razie to, co mu zrobiłem, równa się morderstwu. Jak to? Wytłumacz, spytałem go, no bo przecież powiedział coś tak mocarne. Nie, to nieprawda. Herszla ze mną czy beze mnie tak a tak by zamordowali, ale tak a tak wychodzi, że go zamordowałem. Co się stało? – spytałem. Przyszli w samą najciemną godzinę nocy. Przyszli prosto od innego miasta i zaraz potem mieli pójść w następne. Wiedzieli, co robią, poczynali logicznie. Pamiętam z bardzo wielką precyzją to uczucie, kiedy moje łóżko się trzęsło, jak przyszły czołgi. Co to takie? Co to takie? – spytała Babka. Ruszyłem z łóżka i zacząłem śledzić przez okno. Co zobaczyłeś? Zobaczyłem cztery czołgi i do

dziś pamiętam je w każdym aspekcie. Były cztery zielone czołgi, a równorzędnie z nimi szli ludzie. Musisz wiedzieć, że mieli broń i celowali ją w nasze drzwi i okna, bo a nuż ktoś by próbował uciec. Było po ciemku, ale i tak widziałem. Bałeś się? Bałem się, chociaż wiedziałem, że to nie po mnie idą. Skąd wiedziałeś? Wiedzieliśmy, jacy oni są. Wszyscy wiedzieli. Herszel wiedział. Nie sądziliśmy, że i nas to spotka. Już ci mówiłem, wierzyliśmy w różne rzeczy, tacy byliśmy głupcy. No i co? No i kazałem Babce wziąć dziecko, znaczy się twojego ojca, iść z nim do piwnicy i nie wytworzyć żaden hałas ale też nie bać się za dużo bo to nie po nas przyszli. No i co? No i zatrzymali wszystkie czołgi i przez chwilę byłem taki głupi że myślałem że już po wszystkim że postanowili wrócić do Niemiec i zakończyć wojnę bo przecież nikt wojny nie lubi nawet ci którym udaje się przeżyć nawet zwycięzcy. Ale? Ale oczywiście nic takiego nie zrobili tylko zatrzymali czołgi przed synagogą a potem wysiedli z czołgów i ustawili się w bardzo logiczne szeregi. Generał z włosami blond przytknął mikrofon do ust i przemówił po ukraiński kazał wszystkim przyjść w synagogę wszystkim bez żadnych pominięć. Żołnierze bębnilo bronią w każdej drzwi i sprawdzali domy żeby wszyscy na pewno przyszli pod synagogę powiedziałem Babce niech wróci z dzieckiem na górę bo się bałem że tamci znajdą ich w suterenie i jeszcze zastrzelą przez to chowanie. Herszel pomyślałem Herszel musi uciec jak on może uciec musi biec teraz biec w ciemność może już pobiegł

może usłyszał czołgi i pobiegł ale kiedy przyszliśmy pod synagogę zobaczyłem Herszla a on zobaczył mnie i stanęliśmy obok siebie bo tak przecież robią przyjaciele w obliczu zła albo miłości. Co teraz będzie spytał mnie więc mu powiedziałem nie wiem co będzie a prawda jest taka że nikt z nas nie wiedział co będzie chociaż każdy wiedział że będzie coś złe. Żołnierzom tak długo pojmąło zanim skończyli przeszukiwać domy bardzo było im ważne żeby wszyscy na pewno stawili się przed synagogę. Tak się boję powiedział Herszel chyba się rozpłaczę. Czemu spytałem czemu nie ma o co płakać nie ma powodu do płaczu ale powiem ci że samemu też chciało mi się płakać i że ja też się bałem chociaż nie o siebie o Babkę i o dziecko. I co tamci zrobili? Co się dalej działo? Kazali nam stanąć w szeregi i ja stałem obok Anny z jednej strony i obok Herszla z drugiej niektóre kobiety płakały a to dlatego że się bały broni co ją żołnierze trzymali i myślały że nas wszystkich zabiją. Generał z niebieskimi oczami przytknął sobie mikrofon do twarzy. Musicie słuchać uważnie i zrobić wszystko co będzie rozkazane bo jak nie to się was zastrzeli. Herszel szepnął do mnie bardzo się boję a ja mu chciałem powiedzieć uciekaj masz większe szanse jeżeli uciekniesz jest ciemno uciekaj bo jak nie to nie masz szans ale nie mogłem mu powiedzieć bo się bałem że mnie zastrzelą za to odezwanie i też bałem się poddać śmierci Herszla przez to że przyjmę ją do wiadomości bądź dzielny powiedziałem z możliwie najmniejszym nagłośnieniem trzeba żebyś

był dzielny i teraz wiem że to było głupio wymówione najgłupiej jak w życiu cośkolwiek wymówiłem bądź dzielny po co? Który to rabin spytał Generał więc rabin wywindował rękę. Dwaj strasznicy chwycili rabina i wepchnęli w synagogę. Który to kantor spytał Generał i kantor wywindował rękę ale nie był w sprawie śmierci taki cichy jak rabin płakał i mówił do swojej żony nie nie nie nie nienienie a ona podniosła ku niemu rękę i dwaj strasznicy chwycili ją i też umieścili w synagodze. Którzy to Żydzi spytał Generał do mikrofonu wszyscy Żydzi wystąpić powtórzył i tym razem nawet krzyknął ale znowu nikt nie wystąpił i powiem ci że gdybym był Żyd to też bym nie wystąpił Generał podszedł do pierwszego szeregu i powiedział w mikrofon każdy ma wskazać na Żyda bo jak nie to sam będzie Żydem uznany pierwszy do którego podszedł był Żyd imieniem Abraham. Kto tu jest Żyd spytał go Generał i Abraham zadrżał Kto jest Żyd znowu spytał Generał i przytknął Abrahamu pistolet do głowy Aaron jest Żyd Aaron i wskazał palcem na Aarona który stał w drugim rzędzie tam gdzie i my. Dwaj strasznicy chwycili Aarona a on bardzo się wspierał więc zastrzelili go w głowę i wtedy poczułem że Herszel ręką dotyka mnie w rękę. Róbcie co wam się każe krzyknął do mikrofonu Generał z blizną na twarzy bo jak nie. Podszedł do drugiego w szeregu a to był mój przyjaciel Leo i spytał Kto tu jest Żyd a Leo wskazał Abrahama i powiedział ten człowiek jest Żyd przykro mi Abraham



dwaj strasznicy zabezpieczyli Abrahama w synagogę jedna kobieta z czwartego rzędu próbowała uciec z dzieckiem na rękę ale Generał krzyknął coś po niemiecki w tym najstraszniejszym najokropniejszym najpaskudniejszym najwstrętniejszym najohydniejszym języku i jeden strasznik zastrzelił ją w potylicę i razem z jej dzieckiem jeszcze żywym zaciągnęli ją w synagogę. Generał podszedł do następnego w szeregu a potem do jeszcze następnego i każdy wskazywał palcem na jakiegoś Żyda bo nikt nie chciał żeby go zabili jeden Żyd wskazał na swojego kuzyna a jeden na siebie bo wolał to niż wskazać na kogo innego. Zabezpieczyli Daniela w synagogę i także Talię i Ludwika i każdego Żyda jaki tylko tam był ale nie wiedzieć czemu nigdy się nie dowiem czemu na Herszla nikt ani razu nie wskazał może dlatego że tylko ja się z nim przyjaźniłem był niezbyt towarzyski i wielu ludzi w ogóle nie wiedziało o jego istnieniu tylko ja mogłem wpaść na to żeby na niego wskazać a może dlatego że było tak ciemno że już go nie było widać. Nie trzeba było czekać wieki zanim ze wszystkich Żydów tylko on jeden został poza synagogą Generał był już przy drugim rzędzie i mówił do jednego mężczyzny bo pytał tylko mężczyzn nie wiem czemu kto tu jest Żyd a mężczyzna odparł wszyscy są w synagodze no bo nie znał Herszla albo nie wiedział że Herszel jest Żyd więc Generał zastrzelił go głowę a ja poczułem jak Herszel leciuteńko dotyka mnie dłońią w dłoń i pilnowałem się żeby na niego nie spojrzeć Generał podszedł do następnego kto tu jest Żyd

spytał a ten następny odpowiedział wszyscy są w synagodze musi mi pan uwierzyć ja nie kłamię niby po co miałbym kłamać możecie ich wszystkich zabić nic mi do tego ale proszę oszczędźcie mnie proszę nie zabijajcie mnie proszę a wtedy Generał zastrzelił go w głowę i powiedział zaczynam mieć już tego dość i podszedł do następnego w szeregu a to byłem ja i spytał kto tu jest Żyd a ja znowu poczułem dłoń Herszla i wiem że ta jego dłoń mówiła proszę proszę Eli proszę nie chcę umierać proszę nie wskazuj mi palcem wiesz co mi zrobią jeżeli mi nie wskażesz nie wskazuj mi boję się umierać tak bardzo się boję umierać tak bardzo się boję umierać tak bardzo się boję umierać kto tu jest Żyd znowu mnie spytał Generał a ja poczułem że mojej drugiej dłoni dotyka swoją dłonią Babka i wiedziałem że ona trzyma na rękach twojego ojca a on trzyma ciebie a ty trzymasz swoje dzieci tak bardzo się boję umierać tak bardzo się boję umierać tak bardzo się boję umierać tak bardzo się boję umierać i powiedziałem on jest Żyd kto jest Żyd spytał Generał a Herszel objął moją dłoń z wielką siłą a był moim przyjacielem był moim najlepszym przyjacielem pozwoliłbym mu pocałować Annę a nawet kochać się z nią ale ja jestem ja i moja żona jest moją żoną i moje dziecko jest moim dzieckiem czy rozumiesz co do ciebie mówię wskazałem palcem na Herszla i powiedziałem on jest Żyd ten człowiek jest Żyd proszę powiedział do mnie Herszel i już płakał powiedz im że tonie prawda proszę Eli proszę dwaj strasznicy chwycili go a on się nie opierał ale dalej płakał

jeszcze bardziej i krzyczał powiedz im że już nie ma ani jednego Żyda anijednegoŻyda a ty powiedziałaś że ja jestem Żyd tylko po to żeby cię nie zabili błagam cię Eli jesteśmójprzyjaciel nie daj mi umrzeć tak bardzo się boję umierać takbardzosięboję wszystko będzie dobrze powiedziałem mu wszystko będzie dobrze nie rób tego powiedział zrób coś zrób coś zróbcoś zróbcoś wszystko będzie dobrze wszystko będzie dobrze komu ja to mówiłem zrób coś Eli zróbcoś tak bardzo sięboję umierać tak bardzo się boję wiesz co oni zrobią jesteśmójprzyjaciel powiedziałem mu chociaż nie wiem czemu powiedziałem to akurat w tamtej chwili a strasznicy wsadzili go w synagogę razem z resztą Żydów a wszyscy inni ludzie byli pozostali na dworze żeby słyszeć płaczniemowląt i płaczdorosłych i zobaczyć czar-ną iskrę kiedy pierwszą zapalkę zapalił młodymężczyzna który nie mógł być ani trochę starszy niż ja byłem niż Herszel był niż ty teraz jesteś iluminowała tych co nie byli w synagodze tych co nie mieli umrzeć a on ją rzucił na gałęzie dosunięte pod ścianę synagogi to było straszne dlatego że działo się tak wolno i ogień wilerazysięzamartwiał i musieli go od nowa przeście-łać spojrzałem na Babkę i ona pocałowała mniewczo-ło a ja pocałowałemjąwusta i nasze łzyzmieszały nam sięnawargach a potem pocałowałemtwojegoojca wiele razy zabezpieczyłem go z objęć Babki i uściskałem-zwielkąsiłą tak wielką że się rozplakał powiedziałem kocham cię kocham cię kocham cię kocham cię ko-cham cię kocham cię kocham cię kocham cię kocham



i za toczegoniedotknął wciąż jest winny ja jestem ja  
jestem jajestem jajestemja?)

„A teraz - powiedział - róbmy sen”.

PRZYJĘCIE WESELNE UDAŁO SIĘ NAD PODZIWI  
albo KONIEC CHWILI,  
KTÓRA NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY, 1941

KIEDY JUŻ DOGŁĘBNIIE zaspokoił siostrę panny młodej (wparta plecami w ścianę z pustych stojaków do win, *O Boże!* – krzyczała, *O Boże!* – trzymając obie ręce w widmowym cabernecie), a sam pozostał dogłębnie niezaspokojony, Safran podciągnął spodnie, wszedł po nowiuteńkich kręconych schodach – z rozmysłem, z zadumą muskając dłonią marmurową oś klatki schodowej – i powitał gości weselnych, którzy dopiero siadali do stołów po przejściu niesamowitego podmuchu.

*Gdzie byłeś?* – spytała Zosia, ujmując jego martwą rękę: pragnęła to uczynić od ponad pół roku, kiedy pierwszy raz ją ujrzała przy okazji zapowiedzi swoich zaręczyn.

*Na dole, zmieniałem...*

*Och, tylko się nie zmieniaj* – powiedziała, myśląc, że udał jej się dobry żart. *Dla mnie wyglądasz po prostu idealnie.*

*Zmieniałem ubranie.*

*Strasznie długo to trwało.*

Skinieniem głowy wskazał martwą rękę, a potem patrzył, jak usta Zosi tracą pytający wyraz i układają się w ciup, żeby go cmoknąć w policzek.

W Dubeltowym Domu kipiało zorganizowane pan-demonium. Do ostatniej chwili, a nawet jeszcze i potem, wieszano firanki, mieszano sałatki, sznurowano i wiązano gorsety, odkurzano żyrandole, bieżniki po-bieżnie rzucono na podłogę... Było nadzwyczajnie.

*Panna młoda na pewno bardzo się cieszy szczęściem swojej matki. Zawsze popłakuję na weselach, ale na tym całkiem się rozbeczę.*

*Nadzwyczajne. Po prostu nadzwyczajne.*

Smagłe kobiety w białych uniformach właśnie zaczynały podawać talerze z rosółem z kury, kiedy Mena-chem zadzwonił widelcem w kieliszek i rzekł: *Poświęćcie mi chwilę czasu.* W pokoju natychmiast zapadła cisza, wszyscy wstali – posłuszni tradycji nakazującej podnieść się z miejsc, gdy ojciec panny młodej wznosi toast – a mój dziadek kątem oka rozpoznał karmelową dłoń, która postawiła przed nim talerz.

*Podobno czasy się zmieniają. Wokół nas granice przesuwają się pod naporem wojny; miejsca znane nam od tak dawna, jak tylko sięgamy pamięcią, zyskują nowe nazwy; niektórzy spośród naszych synów nie biorą udziału w tym radosnym zgromadzeniu, bo walczą w służbie narodu; uderzmy jednak w weselszy ton: mamy przyjemność oznajmić, że za trzy miesiące sprowadzimy do Trachimbrodu pierwszy automobil!* (Wiadomość tę powitano gremialnym westchnieniem, po czym wybuchła wściekła owacja.) *No cóż – podjął*

mówca, stając za nowożeńcami i kładąc jedną dłoń na ramieniu córki, a drugą na ramieniu mojego dziadka – *obym zachował w pamięci tę chwilę, wczesne popołudnie osiemnastego czerwca 1941 roku.*

Cyganka nie odezwała się ani słowem – bo nawet jeśli nienawidziła Zosi, nie chciała popsuć jej wesela – lecz przycisnęła się do lewego boku mojego dziadka i pod stołem wzięła go za zdrową rękę. (A może nawet wsunęła mu w nią kartkę?)

*Niechaj odłąd spoczywa w medalionie na moim sercu – ciągnął dumny ojciec, przechadzając się po pokoju i trzymając przed sobą pusty kryształowy puchar – niechaj spoczywa w nim po wsze czasy, bo jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy i będę całkiem zadowolony, jeśli nigdy w życiu nie zaznam ani połowy tego szczęścia – oczywiście póki nie nadejdzie dzień wesela mojej drugiej córki. Właściwie – dodał, pochrzäkując z rozbawieniem – gdyby przez resztę czasu nie zdarzyła się ani jedna chwila więcej, wcale bym nie narzekał. Niechaj ta obecna nigdy się nie skończy.*

Mój dziadek ścisnął w dłoni palce Cyganki, jakby chciał powiedzieć: *Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze jest czas. Moglibyśmy uciec, wszystko zostawić, ani razu nie obejrzeć się za siebie, uratować się.*

Ścisnęła jego palce, jakby chciała powiedzieć: *Nie wybaczylam ci.*

Menachem mówił dalej, usiłując pohamować łzy: *Podnieście, proszę, wraz ze mną puste kieliszki. Za moją córkę i nowego syna, za dzieci, które ci dwoje sprowadzą na świat, i za dzieci tych dzieci, za życie!*



*L'chaim!* – poniosło się echem wzdłuż szeregu stołów.

Nim jednak ojciec panny młodej usiadł, nim zdążyły zadzwięzczyć kieliszki, z nadzieją stukając o siebie odzwierciedlonymi uśmiechami, przez dom znowu przemknął niesamowity podmuch. Kartoniki z imionami tak jak przedtem wzbily się w powietrze, a strojne bukiety znów się poprzewracały, tyle że tym razem ziemia z doniczek wysypała się na biały obrus i prawie wszystkim na kolana. Cyganki rzuciły się sprzątać, a mój dziadek szepnął Zosi do ucha, które dla niego było uchem cygańskiej dziewczyny: *Wszystko będzie dobrze.*

Cyganka – prawdziwa Cyganka – rzeczywiście wsunęła mojemu dziadkowi w dłoń kartkę, lecz ta w ogólnym zamieszaniu wypadła mu z palców na podłogę, a biesiadnicy – Libka, Lista, Omeler, bezimienny przekupień ryb – kopali ją aż do końca stołu, gdzie spoczęła pod przewróconym kieliszkiem, aby pod jego spódnicą bezpiecznie doczekać nocy, kiedy to jedna z Cyganek podniosła kieliszek i zmiotła kartkę (wraz z upuszczonymi resztkami jedzenia, ziemią z bukietów i kłębami pyłu) do wielkiej papierowej torby. Torbę tę inna Cyganka wystawiła potem przed dom. Rano zabrał ją stamtąd śmieciarz Fajgiel B., typ obsesyjno-kompulsywny. Następnie wywieziono ją na pole za rzeką – które miało niebawem stać się miejscem pierwszej masowej egzekucji ludzi z Kowla – i spalono razem z dziesiątkami innych toreb, z których trzy czwarte zawierało odpadki z wesela. Płomienie sięgnęły nieba czerwono-żółtymi palcami.

Dym rozsnuł się baldachimem ponad okoliczne pola, aż niejeden Smuga z Ardiszt rozkasał się, bo każdy dym jest inny i wymaga oswojenia. Część popiołu wchłonęła gleba. Resztę najbliższy deszcz spłukał do Brodu.

Na kartce napisane było: *Zmień się.*

TAMTEJ NOCY mój dziadek pierwszy raz kochał się z nowo poślubioną żoną. Odprawiając ten przeciwzyczny do perfekcji akt, myślał o Cygance: znowu rozważał argumenty za tym, żeby z nią uciec, porzucić Trachimbrod, choć dobrze wiedział, że po czymś takim nie miałby już powrotu. Owszem, kochał swoją rodzinę – a przynajmniej matkę – ile jednak minęłoby czasu, nim przestałby tęsknić za krewnymi? Wypowiedziane na głos, stwierdzenie to brzmiało okropnie, ale – zastanawiał się – czy istniało cokolwiek, czego w żadnym razie nie umiałby porzucić? Bawił się myślami wstrętnymi, a zarazem prawdziwymi: wszyscy prócz Cyganki i jego matki mogliby umrzeć, a on jakoś by sobie z tym poradził; całe jego życie prócz czasu spędzonego z Cyganką lub z matką napawało go uczuciem niedosytu i właściwie niegodne było życia. Miał niebawem stać się kimś, kto stracił połowę wszystkiego, dla czego żył.

Przypominały mu się rozmaite wdowy z ubiegłych siedmiu lat: Golda R. i jej zasłonięte lustro, krew Listy P., nie dla niego przeznaczona. Myślał o wszystkich dziewi-



ludzkości, runął swobodnym lotem w przepaść niekłamnego zwierzęcego zachwyty, kiedy w ciągu siedmiu wiecznotrwałych sekund z nawiązką odrobił nagromadzone zaległości z dwóch tysięcy siedmiuset jałowych aktów, kiedy zalał Zosię niedającym się już dłużej wstrzymywać potopem, kiedy trysnął we wszechświat kopulacyjnym światłem o tak wielkiej sile, że gdyby można je było okiełznać i spożytkować, zamiast puścić wolno i roztrwonić, Niemcy nie mieliby szans - otóż po tym wszystkim zadał sobie w duchu pytanie, czy aby któraś bomba nie spadła na łóżko małżeńskie, nie wklinowała się między rozedrgane ciało oblubienicy a jego własne i nie unicestwiła Trachimbrodu. Lecz gdy wylądował na skalistym dnie kanionu, gdy siedem sekund bombardowania dobiegło końca, a jemu głowa opadła na poduszkę, wilgotną od Zosinych łez i przemoczoną jego nasieniem, zrozumiał, że nie jest martwy, tylko zakochany.

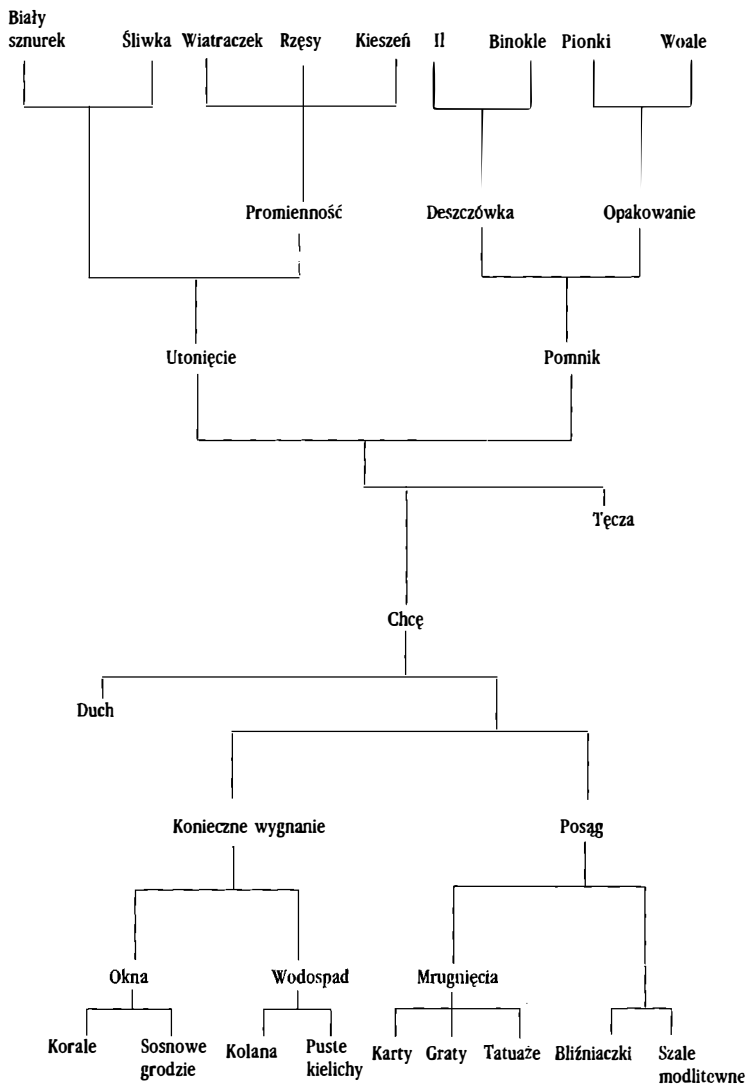
PODOBNIEM JAK orgazm mojego dziadka nie dla Zosi był przeznaczony, tak i bomby, które stały się dla niego natchnieniem, nie celowały w Trachimbrod, lecz gdzieś między wzgórzem Równego. Dopiero po dziewięciu miesiącach – w sam Dzień Trachima – sztetl paść miał ofiarę bezpośredniego ataku nazistów. Lecz owej nocy wzburzone wody Brodu wystąpiły z brzegów, jakby dotarła tam już wojna, a wiatr z takimże pogłosem wtórował wybuchom, strzelając z bicza, w sztetlu zaś ludziska drżeli, jakby mieli wytatuowane na własnej skórze tarcze dla bomb. Od tej chwili – dwadzieścia osiem po dziewiątej wieczór osiemnastego czerwca 1941 roku – wszystko się zmieniło.

Smudzy z Ardiszt odwrócili papierosy wspak, chowając w ustach rozżarzone koniuszki, żeby ich nie wypatrzono z daleka.

Cyganie w swojej wiosce zwinęli namioty, rozebrali słomiane chatki i żyli odtąd pod gołym niebem, lgnąc do ziemi niby ludzki mech.

Trachimbrodem owładnęła dziwna inercja. Obywatelom, którzy imali się niegdyś tylu różnych rzeczy, że nie sposób było stwierdzić, co ma kolor naturalny, a co sztuczny, nagle opadły ręce. Wszelką działalność zastąpiła myśl. Pamięć. Każdemu z obywateli każdy szczegół przypominał o jakimś innym szczególe, co zrazu miało nawet pewien czar (urodziny z wczesnego dzieciństwa ożywały w pamięci dzięki świadowi zgaszonej zapałki, a pierwszy pocałunek – za sprawą potu w dłoni), wkrótce jednak zaczęło odbierać ludziom siłę do życia. Wspomnienia rodziły się ze wspomnień wspomnień wspomnień. Każdy z mieszkańców sztetla stał się ucieleśnieniem tylekroć im wszystkim opowiadanej legendy o tym, jak szalony Sofijówka omotał się białym sznurkiem, żeby za pomocą wspomnień spamiętać inne wspomnienia, i utkwiał w pętach wspomnienia, daremnie usiłując przypomnieć sobie jakikolwiek początek lub koniec.

Mężczyźni układali schematy blokowe (które same z kolei były wspomnieniami rodowych drzew genealogicznych), żeby zorientować się w gmatwaninie własnych wspominków. Usiłowali wrócić za ich nicią do punktu wyjścia, niby Tezeusz w labiryncie, lecz tylko zapuszczali się coraz głębiej, dalej.





Kobiety miały jeszcze gorzej. Nie mogąc w synagodze ani w pracy zwierzyć się z tego, jak świerzbi je pamięć, musiały cierpieć samotnie, pochylone nad stosami bielizny do prasowania i brytfannami. Znikąd nie znajdowały pomocy w swoich poszukiwaniach prapoczątków, nie miały kogo spytać, czemu wytloki z malin kojarzą się z bąblem, który pozostawiła na dłoni para z garnka, i dlaczego głosy dzieci pluskających się w Brodzie sprawiają, że serca wypadają im z piersi na podłogę. Zamiast wypełniać czas, pamięć robiła z niego dziurę do zatkania. Każda sekunda wlokła się przez dwieście metrów, które należało jakoś przejść, przepelznąć. Następna godzina majaczyła w takiej dali, że w ogóle nie było jej widać. Jutro leżało hen, za horyzontem, odległe o cały dzień drogi.

Ale najgorzej miały dzieci, choć bowiem na pozór mogłoby się wydawać, że nie zdążyły jeszcze nagromadzić aż tylu nękających wspomnień, świerzbienie pamięci dokuczało im wcale nie mniej niż starszym sztetla. Wlokące się za nimi sznurki nie były nawet ich własne, lecz związane rękami rodziców i dziadków – do niczego nieprzymocowane, luźno zwisały z ciemności.

Od sytuacji czynnego zapominacza boleśniejsza jest tylko sytuacja nieruchomego wspominkarza. Safran leżał w łóżku, próbując zesnurować wydarzenia swoich siedemnastu lat w spójną fabułę – coś, co mógłby pojąć; coś, w czym obowiązywałby pewien ład wyobrażeń i rozumiała symbolika. Gdzież były symetrie? Gdzież pęknięcia? Jaki sens miało wszystko, co się wydarzyło?

Urodził się z zębami, więc matka przestała karmić go piersią, więc zmartwiła mu ręka, więc kobiety w nim się zakochiwały, więc robił to, co robił, więc był teraz tym, kim był. Ale czemu urodził się z zębami? I dlaczego matka nie ściągnęła po prostu mleka do butelki? I czemu zmartwiła mu ręka, a nie noga? I jakim niby sposobem martwa kończyzna mogła w kimkolwiek budzić miłość? I dlaczego robił to, co robił? Dlaczego był teraz tym, kim był?

Nie potrafił się skupić. Miłość dopadła go od wewnątrz jak choroba. Dostał straszliwego zatwardzenia i mdłości, bardzo też osłabł. Na dnie nowej porcelanowej muszli klozetowej widział w wodzie odbicie twarzy, której nie poznawał: obwisłe policzki z siwymi bokobrodami, pod oczami worki (a w nich, jak przypuszczał, wszystkie niewyplakane łzy radości), spękane, grubiejące usta.

Tym razem dopatrzył się w sobie czegoś innego niż w przeddzień rano, kiedy to w szklanych oczach Zegara dostrzegł własną twarz. Nie starzał się w wyniku jakiegoś naturalnego procesu, lecz ulegał starzeniu, padając ofiarą swojej miłości, która liczyła sobie tylko jeden dzień. Pozostał chłopcem, chociaż już nim nie był. Był mężczyzną, chociaż jeszcze nim się nie stał. Uwiązł gdzieś między ostatnim pocałunkiem matki a tym pierwszym, którym obdarzyć miał własne dziecko; między wojną już trwającą a tą, która miała dopiero się rozpętać.

Rankiem nazajutrz po bombardowaniu zwołano w teatrze zgromadzenie sztetla – pierwsze od kilku lat,

kiedy to debatowano nad elektryfikacją – aby omówić możliwe skutki wojny, która zdawała się zmierzać wprost do Trachimbrodu.

REB D. *trzymając nad głową arkusz papieru*

Dowiedziałem się z listu od syna, który dzielnie walczy na polskim froncie, że naziści dopuszczają się niewyobrażalnych zbrodni i niech Trachimbrod przygotuje się na najgorsze. Syn pisze, żebyśmy (*zagląda do listu i gestem podkreśla czytane słowa*) „natychmiast zrobili cokolwiek i wszystko”.

ARI F.

Co ty wygadujesz! Sami powinniśmy pójść do nazistów! (*Woła, kiwając palcem nad głową.*) Bo wykończą nas Ukraińcy! Słyszeliście, co zrobili we Lwowie! (To mi przypomina moje narodziny [urodziłem się na podłodze u Rabina, wicie (mój nos do tej pory pamięta ten koktajl łożyska i judaików [rabin miał niezwykle piękne lichtarze (z Austrii [jeśli się nie mylę (albo z Niemiec)])])))]...

REB D. *zacukany, gestem maluje własne zacukanie*

Co ty wygadujesz?

ARI F. *najszczerzej zacukany*

Nie pamiętam. Ukraińcy. Moje narodziny. Świece. Wiem, że dokądś to wszystko zmierzało. Od czego ja właściwie zacząłem?

I tak było za każdym razem, kiedy ktoś próbował zabrać głos: umysły gmatwały się we wspomnieniach. Słowa rozplywały się w myślotokach bez początku ani końca i zatapiały mówcę, zanim zdążył dotrzeć do zbawczej tratwy zamierzonej konkluzji. Nie sposób było nie stracić z oczu własnej tezy i po wylaniu tyłu słów wciąż jeszcze pamiętać, o co właściwie idzie.

Z początku byli przerażeni. Zgromadzenia sztetla odbywały się codziennie, a ich uczestnicy z uwagą redaktorów studiowali doniesienia prasowe (NAZIŚCI ZABIJAJĄ 8200 OSÓB NA GRANICY UKRAINY), kreślili plany działania, aby zaraz potem je zmiąć, rozpościerali na stołach wielkie mapy, które wyglądały jak pacjenci, czekający, aż ktoś ich rozpruje. Z czasem jednak zaczęli się zbierać co drugi dzień, potem co drugi co drugi i wreszcie już tylko raz na tydzień, toteż zgromadzenia te nabrały w końcu charakteru raczej spotkań zapoznawczych dla osób samotnych aniżeli zebrzań roboczych. Ponieważ bombardowania się nie powtórzyły, zaledwie po dwóch miesiącach impet się wyczerpał, a większość mieszkańców Trachimbrodu zdążyła uwolnić się od ostatnich zadr zgrozy, która wtargnęła w ich życie owej strasznej nocy.

Nie zapomnieli wprawdzie, ale się oswoili. Zgroza ustąpiła miejsca wspomnieniom. Starając się przypomnieć sobie, co mianowicie z takim trudem usiłują sobie przypomnieć, swój strach przed wojną zdołali w końcu przemyśleć do cna. Wspomnienia ich własnych narodzin, dzieciństwa i wczesnej młodości

miały większy rezonans od huku wybuchających pocisków.

Toteż nic nie zrobiono. Nie podjęto żadnych decyzji. Nie spakowano walizek ani nie opróżniono domów. Nie usypano szańców, nie ufortyfikowano budynków. Nic a nic nie działo. Czekali jak głupcy, jak głupcy siedzieli z założonymi rękami i również jak głupcy rozmawiali o tym, jak Szymon D. wykonał tę przezabawną sztuczkę ze śliwką, i godzinami z niej się zaśmiewali, chociaż samej sztuczki nikt nie potrafił dokładnie sobie przypomnieć. Czekali, aż umrą, i nie możemy im tego mieć za złe, bo przecież postąpilibyśmy tak samo i dziś też tak samo postępujemy. Śmiali się i żartowali. Myśleli o świeczkach urodzinowych i czekali, aż umrą, a my musimy im to wybaczyć. Zawijali olbrzymie pstrągi Menachema w gazetę (NAZIŚCI ZBLIŻAJĄ SIĘ DO ŁUCKA) i z plastrami żylastej wołowiny w wiklinowych koszykach chadzali na pikniki pod baldachimami wysokich drzew przy małym wodospadzie.

Odkąd mój dziadek doznał orgazmu, był obłożnie chory, nie mógł więc uczestniczyć w pierwszym zgromadzeniu sztetla. Zosia ze swoim orgazmem poradziła sobie w bardziej godny sposób: może dlatego, że w ogóle nie orgazmowała, a może – chociaż kochała być mężatką i dotykać martwej ręki – potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby się zakochać. Zmieniła prześcieradła, ukrochmalone nasieniem, podała nowo poślubionemu mężowi grzanekę i kawę na śniadanie, a na obiad talerz zimnej kurzący pozostaje z wesela.

*O co chodzi?* – spytała, siadając w nogach łóżka. *Zrobiłam coś nie tak? Jesteś ze mną nieszczęśliwy?* Mój dziadek uprzytomnił sobie, że przecież to jeszcze dziewczynka: ma dopiero piętnaście lat i jest wyjątkowo dziecinna jak na swój wiek. W porównaniu z nim niczego do tej pory nie przeżyła. Nic nie poczuła.

*Jestem szczęśliwy* – odparł.

*Mogę związać włosy w koński ogon, jeżeli myślisz, że byłoby mi z tym ładniej.*

*I tak jesteś ładna. Naprawdę.*

*A dziś w nocy było ci ze mną dobrze? Jeszcze się nauczę. Na pewno.*

*Byłaś cudowna* – powiedział. *Po prostu nie najlepiej się czuję. To nie ma z tobą nic wspólnego. Z tobą wszystko jest cudowne.*

Pocałowała go w usta i powiedziała: *Jestem twoją żoną*, jakby chciała w ten sposób powtórnie złożyć przysięgę małżeńską lub przypomnieć sobie, a może jemu, że już ją złożyła.

Wieczorem, kiedy na tyle wydobrzał, że miał siłę umyć się i ubrać, znów poszedł pod Zegar – po raz drugi w ciągu dwóch dni. Tym razem było tam zupełnie inaczej. Pusto. Bezludnie. Żadnego joidle-doidlenia. Rynek wciąż jeszcze oblepiony był mąką, chociaż deszcz spłukał ją do szpar w bruku, tak że zamiast jednolitej białej warstwy pojawiła się zawiła siatka. Zdjęto już większość transparentów pozostałych po wczorajszym święcie, kilka jednak nadal zwisało z parapetów górnych pięt.

*Praprapradziadku* – powiedział, osuwając się (z wielkim trudem) na kolana – *wydaje mi się, że proszę o tak niewiele.*

*Zważywszy na to, że nigdy nie przychodzisz, żeby ze mną porozmawiać* – odparł Zegar (nieruchomymi ustami brzuchomówcy) – *nie minąłeś się z prawdą. Nigdy nie piszesz, nigdy...*

*Za nic nie chciałem cię obarczać.*

*To ja za nic nie chciałem cię obarczać.*

*Ale obarczyłeś mnie, praprapradziadku. Naprawdę. Patrz, co stało się z moją twarzą, jak obwisała i oklapła. Wyglądam, jakbym był cztery razy starszy. No i ta martwa ręka, ta wojna, te kłopoty z pamięcią. A teraz jeszcze w dodatku się zakochałem.*

*Dlaczego przypuszczasz, że mam z tym cokolwiek wspólnego?*

*Jestem ofiarą losu.*

*A Cyganka? Co się z nią stało? Była miła.*

*Co takiego?*

*Cyganka. Ta, którą kochałeś.*

*To nie ją kocham, tylko moją dziewczynę. Kocham się w mojej dziewczynie.*

O – westchnął Zegar, upuszczając to westchnienie na bruk, i dopiero gdy wsiąkło w mękę wypełniającą szpary, dodał: *Kochasz dziecko, które Zosia ma w brzuchu. Innych ciągnie wstecz, a ciebie do przodu.*

*W obie strony!* – odparł mój dziadek, widząc wypływające z wozu szczątki bagażu, słowa z dziennika, który znaleziono przy Brod, pogromy, śluby, samobójstwa,

prowizoryczne kołyski, parady, a także różne warianty własnej przyszłości: życie z Cyganką, życie samotne, życie z Zosią i z dzieckiem, dzięki któremu osiągnąłby spełnienie, i wreszcie kres życia. Wizje własnych nieskończonych przeszłości i równie nieskończonych przyszłości zalewały go, gdy tak czekał w terażniejszości, dotknięty paraliżem. On sam, Safran, wyznaczał granicę między tym, co było, a tym, co dopiero być miało.

*A czego właściwie ode mnie chcesz?* – spytał Zegar.

*Daj jej zdrowie. Niech się urodzi nietknięta chorobą ani ślepotą, bez takich skaz jak słabe serce czy martwe członki. Niech będzie doskonała.*

Cisza, a potem: Safran wyrzygał poranną grzanekę i popołudniowe resztki prosto na prawy but Zegara, zalewając go gruzłowatą kałużą rozmaitych żółci i brązów.

*Przynajmniej w to nie wdepnąłem* – rzekł Zegar.

*No i sam widzisz!* – błagalnym tonem odparł Safran, któremu nawet klęczeć było trudno. *Taka ona właśnie jest!*

*Która ona?*

*Miłość.*

*Co?*

*Miłość* – powtórzył Safran. *Taka ona jest.*

*Wiesz, że kiedy zdarzył mi się ten wypadek, twoja praprababka przychodziła potem w nocy do mojej sypialni?*

*Co?*

*Kładła się ze mną do łóżka, niech Bóg ma jej duszę w opiece, chociaż wiedziała, że na nią napadnę. Mielśmy*



sypiać w osobnych pokojach, ale co noc przychodziła, żeby ze mną być.

*Nie rozumiem.*

*Co rano obmywała mnie z odchodów, kąpała, ubierała i dbała, żebym miał włosy uczesane jak człowiek poczytalny, chociaż zapłaciła za to był cios łokciem w nos albo złamane żebro. Polerowała piłę. Nosila na ciele ślady moich zębów, tak jak inne żony noszą biżuterię. Co tam dziura. Nie zwracaliśmy na nią uwagi. Mielśmy wspólny pokój. Ona była ze mną. Robiła wszystkie te rzeczy i jeszcze wiele innych, o których nigdy nikomu nie powiem, i w dodatku wcale mnie nie kochała. To dopiero jest miłość.*

*Coś ci opowiem – podjął po chwili milczenia. Z domu, do którego ja i twoja prapraprababka wprowadziliśmy się zaraz po ślubie, był widok na mały wodospad, ten przy końcu linii uskoku między dzielnicą żydowską a ludzką. Dom miał drewniane podłogi, wysokie okna i mógł pomieścić liczną rodzinę. Był to ładny dom. Dobry dom.*

*Tylko że ta woda, powiedziała twoja prapraprababka, nie słyszę przez nią własnych myśli.*

*Czekać, upomniałem ją. Spróbuj to przeczekać.*

*I wiesz co, chociaż w domu była nieznośna wilgoć, chociaż w powietrzu unosiło się tyle pyłu wodnego, że zamiast trawnika mieliśmy przed wejściem wieczne grzęzawisko, chociaż ściany trzeba było co pół roku od nowa tapetować, a z sufitu przez okrągły rok płaty farby sypały się jak śnieg, potwierdziło się to, co mówią o ludziach mieszkających w pobliżu wodospadów.*

*A co – spytał mój dziadek – mówią?*

*Mówią, że ludzie, którzy mieszkają koło wodospadu, nie słyszą huku wody.*

*Tak o nich mówią?*

*No właśnie. Twoja prapraprababka miała oczywiście rację. Z początku było okropnie. Nie mogliśmy wytrzymać w domu dłużej niż parę godzin jednym ciągiem. Przez pierwsze dwa tygodnie co chwila budziliśmy się w nocy i zaraz zaczynał się kłócić, bo inaczej nie słyszelibyśmy własnych głosów, tylko łoskot wody. Ciągłe się kłóciliśmy, żeby sobie przypomnieć, że łączą nas miłość, nie zaś nienawiść.*

*Ale z upływem tygodni nastąpiła pewna poprawa. Udało nam się co noc smacznie przespać kilka godzin, a przy posiłkach czuć tylko lekką irytację. Twoja prapraprababka wciąż jeszcze przeklinała wodę (wyposażając jej personifikację w coraz więcej szczegółów anatomicznych), robiła to jednak rzadziej i z mniejszą wściekłością niż na początku. Na mnie też łagodniej napadała. To przez ciebie, mówiła. To ty chciałeś tu mieszkać.*

*Życie toczyło się dalej, jak to życie, a czas mijał, jak to czas, i wreszcie po dwóch miesiącach z niewielkim okładem: Słyszysz? – spytałem ją w jeden z tych rzadkich poranków, kiedy siedzieliśmy razem przy stole. Słyszysz ten dźwięk? Odstawiłem kubek z kawą i wstałem z krzesła. Słyszysz go?*

*Jaki dźwięk? – spytała.*

*Otóż to! – zarwołałem, wybiegłem na dwór i zaciśniętą pięścią wskazałem wodospad. Otóż to!*

*Zaczęliśmy tańczyć, ciskając w powietrze pełne garście wody i nic a nic nie słysząc. Co chwila już to padaliśmy sobie w ramiona na znak przebaczenia, już to wznosiliśmy*

triumfalne okrzyki, oto bowiem człowiek odniósł zwycięstwo nad wodą. Kto jest górą? Kto jest górą, wodospadzie? My! My jesteśmy górą!

*I tak to właśnie jest, kiedy żyje się blisko wodospadu, Safranie. Każda wdowa pewnego ranka budzi się, niechby nawet po latach czystej, niezachwianej żałoby, i nagle stwierdza, że smacznie przespaała całą noc, a teraz zdoła zjeść śniadanie, i już tylko chwilami słyszy głos ducha swojego męża. Jej głęboki żal ustępuje miejsca użytecznemu smutkowi. Każdy, kto straci dziecko, z czasem znów w ten czy inny sposób nauczy się śmiać. Nuta brzmi coraz mniej wyraziście. Tępieje ostrze. Ból słabnie. Każda miłość wyrzeźbiona jest z jakiejś straty. Z moją na pewno tak było. I z twoją tak jest. I tak też będzie z miłosciami twoich praprapravnuków. Ale uczymy się jakoś żyć w tej miłości.*

Mój dziadek skinął głową, jakby zrozumiał.

*Ale to jeszcze nie koniec historii – podjął Zegar. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy po raz pierwszy spróbowałem szeptem wyjawić komuś sekret i mi się nie udało, albo zagwizdać melodię, nie siejąc trwogi w sercach wszystkich ludzi w promieniu stu metrów, albo gdy moi koledzy ze młyna błagali, żebym mówił ciszej, no bo: Kto da radę myśleć przy tych twoich wrzaskach? A ja pytałem: **TO JA NAPRAWDĘ WRZESZCZE?***

Cisza, a potem: niebo zmroczniało, rozsunęły się kotary chmur i grom klasnął w dłonie. Wszechświat chlusnął bombową salwą niebiańskich wymiotów.

Ci, co jeszcze nie spali i wciąż byli na dworze, rzucili się szukać schronienia. Podróżny dziennikarz Szalek R.

zasłonił sobie głowę „Lwowskim Kurierem Codziennym” (NAZIŚCI POSUWAJĄ SIĘ NA WSCHÓD). Bawiący z wizytą w sztetlu słynny dramaturg Bunim W., którego tragicomiczną wersję historii Trachima – *Trachim!* – publiczność przyjęła entuzjastycznie, a krytyka obojętnie, skoczył do Brodu, żeby go nie trafiło. Boski grad runął z firmamentu grudami wielkości noworodków, po czym lunęło tak rześście, że Trachimbrod przemókł aż do fundamentów, woda w Brodzie spomarańczo-  
wiała, sucha fontanna z syreną na płask rozciągniętą wypełniła się po same krawędzie, podobnie jak szczeliny w spękany portyku synagogi; zaszklify się topole, utonęły drobne owady, a nadrzeczne szczury i sępy pijane były rozkoszą.

POCZĄTEK ŚWIATA CZĘSTO

NADCHODZI, 1942–1971

PO POŁUDNIU OSIEMNASTEGO MARCA 1942 roku, tak jak w każdym Dniu Trachima od stu pięćdziesięciu lat, nad wąskimi, brukowanymi arteriami Trachimbrodu wisały baldachimy z cienkiego białego sznurka. Był to pomysł Bicla Bicla, poczciwego handlarza *gefiltefish*, żeby w ten właśnie sposób upamiętnić to, co pierwsze wypłynęło na powierzchnię rzeki z zatopionego wozu. Biały sznurek jednym końcem przywiązano do gałki potencjometru radia (NAZIŚCI WKRACZAJĄ NA TERYTORIUM UKRAINY I POSUWAJĄ SIĘ KU WSCHODOWI W SZYBKIM TEMPIE), stojącego na chwiejnej biblioteczce w jednopokojowej chacie Benjamina T., a drugim – do pustego srebrnego lichtarza na stole w jadalni Rabina Mniej-Lub-Bardziej Poważanego w jego ceglanym domu, który stał dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie błotnistej ulicy Szelistera; cienki biały sznurek ciągnął się jak sznur z praniem od statywu reflektora w atelier pierwszego i jedyne go w Trachimbrodzie fotografa aż do młoteczka „c” razkreślnego w tym akurat fortepianie, który Zajnwel Z. najbardziej sobie upodo-

bał spośród wszystkich instrumentów, jakie miał w swoim sklepie po przeciwnej stronie ulicy Malknera; biały sznurek biegł ponad rozwartą i wyczekującą dłonią rzeki Brod od dziennikarza wolnego strzelca (NIEMCY PRA NAPRZÓD, PRZECZUWAJĄC RYCHŁE ZWYCIĘSTWO) do elektryka; biały sznurek łączył pomnik Pinchasa T. (marmurowy, w absolutnie realistycznym stylu) z pewną trachimbrodzką powieścią (o miłości), aby potem skierować się ku szklanej gablotce z rozpetzłymi węzami z białego sznurka (ustawionej pod kątem pięćdziesięciu sześciu stopni w Muzeum Autentycznego Folkloru), tak że w sumie tworzył trójkąt nierównoboczny, odbity w szklanych oczach Zegara na środku rynku.

Mój dziadek i jego nader ciężarna żona urządzili sobie piknik na trawniku przed domem i leżąc na kocu, patrzyli, jak zaczyna się parada tratw. Zgodnie z tradycją pierwsza ruszyła platforma z Równego: była skąpo przybrana, a przywiedle żółte motyle nieskromnie okrywały najeżoną drzazgami sosnową kukłę fornala, która już w zeszłym roku wyglądała dość kiepsko, a teraz jeszcze gorzej. (Przez szpary między skrzydłami prześwitowały zwierzęce truchła.) Przed tratwą z Kołek sunęły klezmerskie orkiestry; sama tratwa kolebała się na barkach niemłodych mężczyzn, ponieważ młodzi walczyli na froncie, a konie pracowały w pobliskiej kopalni węgla, żeby wnieść swój wkład w wojnę.

*OCH!* – głośno zachichotała Zosia, nie zdolawszy stłumić okrzyku. *WŁAŚNIE MNIE KOPNĘŁO!*

Mój dziadek przytknął ucho do jej brzucha i dostał w głowę tak potężnego kopniaka, że wleciał nad ziemię i o parę kroków dalej padł na wznak.

*TO DZIECKO JEST NADZWYCZAJNE!*

Nad rzeką zgromadziło się mniej przystojnych mężczyzn niż kiedykolwiek przedtem, począwszy od tego pierwszego roku, gdy wszystko się zaczęło, gdy wóz Trachima B. przywoździł go albo i nie przywoździł do dna rzeki. Przystojni mężczyźni wyruszyli na wojnę, której wszelkich konsekwencji dopiero z czasem nikt miał nie zrozumieć, nikt ich też nie rozumiał i nigdy nie zrozumie. Wśród tych, co pozostali, aby wziąć udział w turnieju, przeważali kalecy, a także tchórze, którzy dobrowolnie się okaleczyli – złamali rękę, wypalili oko, symulowali głuchotę lub ślepotę – żeby wymigać się od poboru. Był to więc turniej kalek i tchórzów, nurkujących w pogoni za workiem złota, w istocie zawierającym bryłki pirytu zwanego złotem głupców. Usiłowali oni wmówić sobie, że życie trwa, jak zwykle, w dobrym zdrowiu, że tradycja potrafi zatkać każdy przeciek, a radość wciąż jeszcze jest możliwa.

Tratwy wraz z pieszymi uczestnikami pochodu sunęły od ujścia rzeki w stronę straganów z zabawkami i ciastkami, ustawionych nieopodal rdzewiejącej tablicy, która upamiętniała miejsce, gdzie wóz może przekoziołkował i poszedł na dno, a może nie.

TA OTO TABLICA UPAMIĘTNIA MIEJSCE  
(ALBO MIEJSCE W POBLIŻU MIEJSCA)  
GDZIE WÓZ NIEJAKIEGO  
TRACHIMA B.  
(JAK SĄDZIMY)  
ZATONAŁ

*Proklamacja Sztetla, rok 1791*

Gdy pierwsze tratwy miały okno, z którego Rabin Mniej-Lub-Bardziej Poważany nieodzownym skinieniem wyraził zgodę, mężczyzn ubranych w szarozielone mundury zabijano w płytkich okopach.

Łuck, Sarny, Kowel. Tratwy z tych miejscowości ozdobione były tysiącami motyli, a w ich wystroju pojawiały się aluzje do historii Trachima: wóz, bliźniaczki, szkielet parasola, wytrychy, krwawiące czerwonym atramentem litery oświadczenia: *Chcę... Chcę...* Gdzie indziej ich synowie ginęli, rozpięci na kółkach własnych zasieków, ginęli od chybionych bomb, wijąc się w błocie jak zwierzęta, ginęli od strzałów swoich towarzyszy, ginęli, czasem nie wiedząc nawet, że za moment zginą – trafieni kulą w głowę, akurat gdy żartowali z kolegą, roześmiani.

Lwów, Pińsk, Kiwerce. Ich tratwy maszerowały wzdłuż Brodu, ozdobione czerwonymi, brązowymi i fioletowymi motylami, demonstrując zwierzęce truchła niby wstrętne prawdy. (I tu już z każdą chwilą coraz trudniej powstrzymać się od krzyku: *IDŹCIE PRECZ!*)



*UCIEKAJCIE, PÓKI CZAS, GŁUPCY! UCIEKAJCIE, JEŚLI WAM ŻYCIE MIŁE!*) Orkiestry ryczały: trąbki i skrzypce, kieszonkowe trąbki i altówki oraz własnej roboty kazoo z woskowanego papieru.

*ZNOWU KOPNĘŁO!* – roześmiała się Zosia. *JUŻ DRUGI RAZ!*

Mój dziadek znowu przyłożył ucho do jej brzucha (musiał uklęknąć, żeby sięgnąć do jego grani) i tak jak przedtem dostał kopniaka, który odrzucił go wstecz.

*WDAŁO SIĘ WE MNIE!* – zawrzasnęła, a jego prawe oko jak gąbka wchłaniało siniec.

Platformę z Trachimbrodu obsiadły czarne i niebieskie motyle. Pośrodku siedziała na podwyższeniu córka elektryka Berla G.: na głowie miała pałającą niebieskim światłem tiarę z neonowych rurek, a za nią ciągnął się kilkusetmetrowy kabel, którego wtyczka tkwiła w gniazdku nad łóżkiem dziewczyny. (Berlanka zamierzała zwinąć sznur, wracając do domu po zakończeniu parady.) Wokół Królowej Tratw trachimbrodzkie księżniczki-trawianki, całe w niebieskich koronkach, wymachiwały rękami, naśladując ruch fal. Na estradzie z przodu platformy czterech skrzypków grało polskie pieśni narodowe, a z tyłu drugi kwartet grał tradycyjną muzykę ukraińską.

Po obu stronach rzeki mężczyźni siedzący na drewnianych krzesłach wspominali swoje niegdysiejsze miłości, nigdy niepocałowane dziewczyny, nieprzeczytane ani nienapisane książki, i ten dzień, kiedy Taki-To-A-Taki zrobił tę śmieszna sztuczkę z... no, jak to się nazywa?... i kontuzje, i kolacje, i jak chętnie umyliby włosy nigdy

niepoznanym kobietom, i przeprosiny, i zastanawiali się, czy Trachim w końcu leży przygwożdżony własnym wozem, czy jednak nie leży.

Ziemia obróciła się w niebie.

Jankiel obrócił się w ziemi.

Prehistoryczna mrówka na kciuku Jankiela, która od chwili osobliwych narodzin Brod tkwiła bez ruchu w miodobarwnym kamieniu, odwróciła się tyłem do nieba i skryła głowę w gęstwie własnych odnóży, zawstydzona.

Mój dziadek i jego młoda, niezmiernie ciężarna żona poszli nad rzekę, żeby popatrzeć, jak nurkowie skaczą.

(Teraz już prawie nie sposób pisać dalej, bo wiemy, co się dzieje, i zachodzimy w głowę, czemu oni nie wiedzą. A może nie sposób dalej pisać, bo obawiamy się, że jednak wiedzą.)

Kiedy platforma z Trachimbrodu dotarła do straganów z zabawkami i ciastkami, Rabin dał znak Królowej Tratw, żeby rzuciła worki do wody. Otworzyły się usta. Rozdzieliły się dłonie, czyli oklaskom połowicznie stało się zadość. W ciałach krążyła krew. Było prawie jak za dawnych czasów. Świętowanie, niezmaćcone rychłą śmiercią. Rychła śmierć, niezmaćcona świętowaniem. Królowa rzuciła worki wysoko w powietrze.....

.....  
.....  
.....  
.....





Kiedy skończyło się bombardowanie, naziści przeczesali sztetl. Wszystkich, którzy nie utonęli w rzece, ustawili w szeregu. Rozwinęli przed nimi Torę. „Pluj – powiedzieli. – Pluj, bo inaczej...” Potem wszystkich Żydów zapędzili do synagogi. (Ten sam scenariusz powtarzał się w każdym sztetlu. Setki razy. To samo zdarzyło się w Kowlu zaledwie kilka godzin wcześniej i miało zdarzyć się w Kołkach zaledwie kilka godzin później.) Pewien młody żołnierz cisnął dziewięć tomów *Księgi powracających snów* na ognisko rozpalone Żydami, ale z pośpiechu – pilno mu było bowiem porwać i zniszczyć jeszcze więcej – nie zauważył, że z jednego tomu wypadła kartka i osiadła jak welon na spalonej twarzy dziecka:

9:613 – *Sen o końcu świata.* z nieba lunęło bombami wybuchają co krok w trachimbrodzie gejzerami światła i żaru widzowie przyglądający się obchodom rozkrzyczeli się rzucili szalonym biegiem skakali do bulgoczącej chlupoczącej szalenie dynamicznej wody wcale nie po worek złota tylko po ratunek wytrzymywali pod wodą jak najdłużej potem wypływali zaczerpnąć tchu i rozejrzeć się za bliskimi mój safran wziął żonę na ręce i zaniósł jak nowożeniec do wody która wśród walących się drzew

i trzaskających siekających eksplozji wydawała się najlepszym schronieniem setki ciał wlaty się do brodu mojej rzeki-imienniczki powitałam je z otwartymi rękami chodźcie do mnie chodźcie chciałam uratować ich wszystkich uratować każdego przed każdym deszcz bomb padał z nieba ale wcale nie wybuchy ani rozpryski szrapneli miały nam zadać śmierć ani nękające iskry ani roześmiany gruz tylko wszystkie te ciała ciała miotające się i czepiające siebie nawzajem ciała szukające czego by się uczepić mój safran stracił z oczu żonę bo wciągnął ją głębiej we mnie napór ciał bezgłośnie krzyki niosły się bańkami powietrza ku powierzchni i dopiero tam pękały PROSZĘ PROSZĘ PROSZĘ PROSZĘ kopanie w brzuchu zosi było coraz bardziej PROSZĘ PROSZĘ dziecko nie chciało umrzeć akurat tak PROSZĘ bomby spadały gładząc dymiąc a mój safran zdołał się wyrwać z ludzkiej masy i spłynął z prądem aż za mały wodospad gdzie woda spokojniejsza zosię wciągnęło w głąb PROSZĘ a dziecko co nie chciało umrzeć akurat tak wyrwało w górę z jej ciała aż poczerwieniała woda wokoło mała wypłynęła jak

bańka powietrza do światła do tlenu do  
życia do życia ŁAŁAŁAŁAŁAŁA wołała  
doskonale zdrowa i byłaby przeżyła  
gdyby nie pępowina wciągnęła ją z po-  
wrotem pod wodę ku matce która led-  
wie przytomna ale przytomna że pępo-  
wina więc chciała ją rękami rozerwać  
potem zębami przegryźć ale nie mogła  
pępowina się nie dała więc matka umar-  
ła ze swoim doskonale zdrowym bez-  
imiennym dzieckiem w ramionach tu-  
ląc je do piersi a tłum wciągał się sam  
w siebie jeszcze długo po skończonym  
bombardowaniu skołowana przerażona  
zrozpaczona masa niemowląt dzieci  
nastolatków dorosłych starców wczepia-  
li się w siebie nawzajem żeby przeżyć ale  
wciągali się nawzajem we mnie topiąc  
się wzajemnie zabijając ciała zaczęły  
wznosić się pojedynczo aż nie było  
mnie widać przez gęstwę ciał niebieska  
skóra otwarte białe oczy byłam niewi-  
doczna pod nimi byłam truchło one  
były motyle białe oczy niebieska skóra  
oto cośmy uczynili zabiliśmy własne  
dzieci żeby je ocalić

22 styczeń 1998

*Drogi Jonathan!*

*Jeżeli czytasz ten list, to dlatego, że Sasza go znalazł i dla ciebie przetłumaczył. To znaczy, że ja umarłem, a Sasza żyje.*

*Nie wiem, czy Sasza ci powie, co tu się dzisiaj wieczorem stało i co się niebawem stanie. Ważne jest, żebyś wiedział, co z niego za człowiek, więc ci tutaj powiem.*

*Powiedział swojemu ojcu, że potrafi się zaopiekować Matką i Igorkiem. Ledwie to powiedział, stało się prawdą. Wreszcie był gotów. Jego ojciec nie mógł uwierzyć. Co? – zapytał. Co? Więc Sasza znów mu powiedział, że zaopiekuje się rodziną, że zrozumie, jeśli jego ojciec będzie musiał odejść i nigdy nie wrócić, i że ojca ojcostwo wcale na tym nie ucierpi. Powiedział ojcu, że wybaczy. O, na to ojciec bardzo się rozgniewał, wręcz rozwścieczył, i pogroził Saszy, że go zabije, na co Sasza odpowiedział ojcu, że to on ojca zabije, więc gwałtem na siebie ruszyli, a ojciec rzekł: Powiedz mi to w oczy, a nie w podłogę, no i Sasza powiedział: Nie jesteś moim ojcem.*

*Jego ojciec podniósł się i z szafki pod zlewem wyjął torbę. Nakładł do niej kuchennych różności, chleb, parę butelek wódki, ser. Masz, powiedział Sasza i wziął ze stoja po ciastkach*



dwie garści pieniędzy. Jego ojciec spytał, skąd te pieniądze, a Sasza kazał mu wziąć je i nigdy nie wracać. Jego ojciec na to, nie potrzebuję twoich pieniędzy. A Sasza, że: To nie żaden podarek. To zapłata za wszystko, co tu zostawisz. Weź ją i nigdy już nie wracaj.

Powiedz mi to w oczy, to ci obiecuję, że pójdę i nie wrócę.

Weź pieniądze i nigdy więcej nie wracaj, powtórzył Sasza.

Matka i Iguś byli tacy roztrzęsieni. Iguś powiedział Saszy, jaki on głupi, że wszystko popsuł. Całą noc przepłakał, a czy wiesz, co człowiek czuje, jak całą noc słucha płaczu Iguścia? Ale on jeszcze taki młody. Mam nadzieję, że kiedyś zrozumie, co Sasza zrobił, i wybaczy mu, i jeszcze podziękuję.

Rozmawiałem z Saszą wieczorem, kiedy jego ojciec już wyszedł, i powiedziałem mu, że jestem z niego dumny. Powiedziałem mu, że jeszcze nigdy nie byłem taki dumny ani taki pewny, kim on jest.

Ale przecież ojciec jest twoim synem. I moim ojcem.

Dobry z ciebie człowiek, odparłem, i dobrze postąpiłeś.

Położyłem mu dłoń na policzku i przypomniałem sobie, kiedy mój policzek był taki, jak teraz jego. Wymówiłem jego imię, Aleks, które jest też moim imieniem od czterdziestu lat.

Będę harował w Zwiedzaniu Dziedzictwa, powiedział. Wypełnię nieobecność po Ojcu.

Nie, odparłem.

To dobra robota, powiedział, i zarobię na niej dość pieniędzy, żeby zaopiekować się Matką, Igorkiem i tobą.

Nie, odparłem. Ułóż sobie życie. W ten sposób najlepiej się nami zaopekujesz.

Położyłem go do łóżka, pierwszy raz, odkąd był mały. Przykryłem go kocami i rozczesalem mu ręką włosy.

Postaraj się tak żyć, żebyś zawsze mógł mówić prawdę, powiedziałem.

Będę tak żył, odparł, a ja w niego uwierzyłem i to całkiem wystarczyło.

Potem poszedłem do pokoju Igusia. Mały już spał, ale pocałowałem go w czoło i pobłogosławiłem. Modliłem się w milczeniu, żeby był silny i znał dobro, a nigdy nie zaznał zła ani nigdy nie zaznał wojny.

Potem przyszedłem tu, do pokoju telewizyjnego, żeby napisać do ciebie ten list.

Wszystko ma być dla Saszy i Igusia, Jonathan. Rozumiesz? Oddałbym wszystko, byle tylko żyli bez przemocy. W pokoju. Chcę dla nich jedynie pokoju. Nie pieniędzy, nawet nie miłości. To jeszcze ciągle jest możliwe. Teraz już o tym wiem i budzi to we mnie tyle szczęścia. Muszą zacząć od nowa. Muszą przeciąć wszystkie sznurki, tak? Z tobą (Sasza powiedział mi, że nie będziecie do siebie więcej pisywać), z ich ojcem (który odszedł na zawsze), ze wszystkim, co dotąd znali. Sasza zaczął to wszystko, a teraz ja muszę dokończyć.

W domu wszyscy oprócz mnie pokładli już się do łóżek. Piszę to w pobliżu telewizora i bardzo mi przykro, jeżeli trudno ci czytać, Sasza, ale ręka tak mi się trzęsie, i wcale nie ze słabości pójdę do wanny, kiedy będę pewien, że już śpisz, i nie dlatego, że dłużej nie wytrwam. Rozumiesz? Jestem zupełnie ze szczęścia i to właśnie muszę zrobić i zrobić to chcę. Rozumiesz mnie? Chcę pójść bez hałasu, chcę otworzyć drzwi w ciemność i chcę